



Aptekarz

TOMASZ STĘŻAŁA

PORZUCONA PRAWDA POWRÓCI W KRWI

Tomasz Steżala

Aptekarz

Dramatis Personae

I. XIII wiek

1. Brat-skryba z Lanzanii - dwudziestodwuletni neofita, uczestnik wyprawy krzyżowej przeciw Prusom.

2. Hermann Balk (1209[?]-1239) rycerz, mistrz krajowy zakonu krzyżackiego w Prusach, w powieści uczestnik wyprawy krzyżowej przeciw Prusom.

II. XX wiek

1. Edmund Boehmer - aptekarz i właściciel apteki „Rats” przy Schmeidestraße 3 w Elbingu.

2. Horst Boehmer - syn Edmunda Boehmera, także aptekarz.

3. Otto Scheppke - detektyw, ekspolicjant, obecnie oficer Volkssturmu.

4. Gerhard Bergmann - funkcjonariusz NSDAP z Königsbergu.

5. Heinz Cohn - oficer gestapo z Elbinga.

6. Emil Preuß - kreisleiter Elbinga.

7. Else Breitfeld - bratanica kreisleitera Emila Preußa.

8. Karl Bauer - sąsiad Boehmerów, z zawodu drukarz.

9. Ksiądz Józef Przepierski - uciekinier z obozu pracy, ukrywany przez Karla Bauera.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Styczeń 1945

- Dzień 1 -

- Kogo tam diabli niosą? Już dawno zamknięte! - Zdenerwowany starszy mężczyzna podniósł oczy znad rachunków. To one były najgorszą rzeczą w całym jego zawodzie i codziennie toczył z sobą prawdziwą walkę, zanim zasiadł przy pulpicie, starając się podsumować dzień, przygotować zamówienie na nowe środki i substancje do wyrobu leków i zanotować w osobnej książce, co też lekarze ordynowali swoim pacjentom. Jego syn, Horst, porządkował aptekę, ustawiał na wysokich półkach flaszki i pudełka - coś, czego on ze względu na wiek i zawroty głowy nie mógł już robić.

Łomot do tylnych drzwi powtórzył się, więc ze złością rzucił ołówkiem o blat i mieląc przekleństwa pod nosem, ruszył ku drzwiom. Zdarzało się, że pacjenci budzili ich nocą, ale zawsze korzystali z dzwonka przy drzwiach wejściowych od ulicy - nigdy od podwórza! Za niewielką okratowaną szybką wpasowaną w solidne dębowe drzwi stał człowiek, który wyraźnie miał problemy z utrzymaniem się w pionie. Jego ruch na pewno nie był spowodowany podmuchami, gdyż w podwórku ostry wiatr, zawiewający przez cały dzień śnieg, nie miał już takiej siły. Coś szeptało aptekarzowi, by nie otwierać drzwi, lecz narastająca wściekłość zagłuszyła głos rozsądku. Nerwowo odsunął sztabę i przekręcił klucz w zamku.

- Cze... - Głos zamarł mu w ustach. Postać okryta baraním kożuchem miała trupioblada twarz, sine usta i nieprzytomne, załzawione oczy. Za nim stał ktoś inny, który pchnął go w głąb

korytarza, zmuszając aptekarza do cofnięcia się. Człowiek w kożuchu coraz bardziej się chwiał, aż wreszcie opadł na kolana i ciężko oparł się o ścianę, odsłaniając niewysokiego mężczyznę w wojskowym płaszczu. W bladym świetle żarówki jego twarz była zaczerwieniona z wysiłku, a usta z trudem łapały powietrze.

- Ten tu - zmęczonym ruchem wskazał na wpółleżącego - kazał się wieźć do centrum. Musi, że on jakiś ważny, ale chyba coś z nim nie tak, bo mnie w samochodzie zaczął rzygać i bełkotać o skrzyni z manuskryptami czy czymś takim. Do lazaretu ani szpitala za żadne skarby nie chciał, więc powiedziałem, że pojedziemy po jakieś proszki do apteki, to się zgodził.

- Ojczy, co tu się dzieje? - zza pleców doszedł ich głos Horsta.

- O, pana to poznaję, sprzedawał mi pan ten środek na kolkę wątrobową. I pomogło! - ucieszył się umundurowany. - To co, ja muszę wracać do jednostki na autostradę, a panowie zajmą się nim. - Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę wpółotwartych drzwi, przez które widać było wciąż padający śnieg. Horst minął ojca i poszedł za mundurowym. Zanim zaryglował drzwi, przez chwilę przyglądał się, jak sprawnie manewruje swoją ciężarówką, przy okazji niszcząc grządkę zrzedliwych sióstr Weiss.

- I co z nim zrobimy? - zapytał pochylonego nad mężczyzną ojca.

- Niedobrze z nim. No, na co czekasz? Złap go pod pachy, zaciągnij do gabinetu i połóż. Trzeba go rozebrać i zbadać - ponaglił zirytowany staruszek.

Horst zrezygnowany wzruszył ramionami i schwycił półprzytomnego za ramiona.

- Boże, ale ciężki! - wyjęczał, ciągnąc bezwładne ciało. Z trudem ułożył je na kozetce, po czym pomógł ściągnąć ciężki

chłopski kozuch. Spod baranicy wyłoniła się opasła sylwetka odziana w elegancki brunatny mundur z czerwoną opaską na ramieniu. Mężczyzna kilkakrotnie jęknął, więc ojciec odsunął syna i sam zaczął rozpinąć mundurową kurtkę oraz zupełnie świeżą koszulę. Na prawej stronie klatki piersiowej rozlewał się potężny krwiak. Delikatny dotyk wywołał jęk i grymas bólu na twarzy. Oczy mężczyzny rozszerzyły się i zamknęły na chwilę, by otworzyć się przytomnie.

- Gdzie... gdzie jestem? - wyszeptał z trudem.

- W aptece. Ale ma pan połamane żebra i obawiam się, że i uszkodzone płuco. Poza tym ma pan silną gorączkę, panie... Musi pan natychmiast trafić na stół operacyjny, pańskie życie jest w niebezpieczeństwie. Horst, zadzwoń do szpitala po ambulans.

- Żadnych lekarzy, słyszysz, Boehmer! - Mimo wyraźnego bólu głos mężczyzny był mocny, nawykły do rozkazywania.

- Skąd mnie pan zna? - Obaj Boehmerowie byli szczerze zaskoczeni.

- Parę lat temu mieszkałem niedaleko i byłem pańskim klientem, ale to nieważne. Słuchaj pan! - Przez chwilę ciężko oddychał, nabierając sił. - Wiozę bardzo ważne dokumenty z Königsbergu do Berlina. One nie mogą wpaść w niepowołane ręce! Zostały w samochodzie na autostradzie i trzeba je natychmiast wydobyć i tu przywieźć. Niech pan notuje - podam dokładne namiary.

Przerywając na nabranie tchu, mężczyzna opisywał samochód, który został zatrzymany przy jednym z posterunków pospolitego ruszenia. Okazało się, że próbował wyminąć punkt kontrolny i wpadł w poślizg, rozbijając auto w rowie. Uzbrojeni członkowie Volkssturmu chcieli go zastrzelić, ale ocalił go podoficer, który wyciągnął go z samochodu, a następnie kazał przetransportować do miasta.

- Daj pan jakiejś wódki - wyrzucił na koniec.

- Panie, w pańskim stanie... - próbował zaprotestować starszy pan, ale jego syn po chwili pojawił się ze szklanką i butelką sznapsa. Ranny uniósł się nieco i pociągnął zdrowo, po czym opadł na kozetkę i odpłynął.

- I co robimy, tato?

Starszy z aptekarzy przez chwilę stał, wpatrując się w nieprzytomnego, po czym podszedł do telefonu. W notesie wyszukał numer i pośpiesznie wykręcił go.

- Dobry wieczór, tu Edmund Boehmer. Wiem, że przeszkadzam, ale mam niezwykle ważną sprawę. Czy mógłby pan jak najszybciej pofatygować się do nas do apteki? Tak, wiem, że służba, jednak sprawa jest - przez chwilę wahał się - natury, powiedzmy, państwowej i delikatnej. To czekam, do widzenia.

Drapiąc się po kłującym policzku, zafrasowany spojrzął na syna.

- Zadzwoń po ambulans. Niech go zawiozą do szpitala, bo przecież u nas nie wyżyje. Zresztą, na co on tu nam. No, ruszcie się, Horście!

* * *

Mimo późnej pory w kamienicy nad apteką pod numerem 3 przy ulicy Schmeidestraße¹ w Elbingu nikt nie spał.

Masy uciekinierów przelewające się przez miasto w kierunku mostów Elbing potrzebowały nieustannie lekarstw i porad. Horst co chwila otwierał aptekę i obsługiwał zmarzniętych ludzi, po czym wracał na zaplecze do swojego gabinetu, gdzie jego ojciec przy parującej herbacie i karafce pigwówki rozmawiał z siwym, mocno zbudowanym mężczyzną w oficerskim mundurze. Obok stolika, na fotelu stała sporych

rozmiarów antyczna drewniana skrzynia, okuta stalowymi taśmami. Jej otwarte wieko odsłaniało grube księgi w skórzanych oprawach. Mężczyźni co chwila przerywali rozmowę, to popijając, to zerkając na zawartość skrzyni. Kompanieführer² odstawił kieliszek na stół i podjął przerwany wątek.

- Faktycznie, sporo uciekających z Königsbergu ludzi nasi chłopcy wcielili do swoich szeregów. Siedzą teraz w okopach i marzną razem z naszymi. Na początku rzucali się, grozili, ale wie pan, pod groźbą karabinu każdy mięknie. Zresztą kilku partyjniaków i urzędasów zastrzeliliśmy dla przykładu, a ich ciała leżą i świadczą o determinacji naszych wojaków. Auto, którym jechał, było ładne i nowe, ale przód miało cały rozbity. Na dnie bagażnika pod klamotami była ta skrzynia - dokładnie jak ją pan opisałeś. Trochę się chłopcy oburzali, że biorę cudze, ale na szczęście jeden z podoficerów pamiętał mnie ze służby w policji, więc uspokoił ich. To co, pan Horst już jest - zerkamy co w środku?

We trzech pochylili się nad zawartością skrzyni. Edmund, jako członek Towarzystwa Kopernikańskiego i miłośnik wszystkiego co „starożytne” z należytą delikatnością wyciągał tom za tomem. Kompanieführer Scheppke zdjął jedną z ksiąg; ze stolika i powoli otworzył.- Do diaska! Niech panowie patrzą! - Wskazał dłonią na niewielki znaczek na marginesie. Obaj aptekarze znieruchomieli na moment, po czym przysunęli się do oficera.

- Nasza biblioteka! To jest jedna z tych ksiąg, które zginęły w... - przez chwilę Scheppke grzebał w pamięci - chyba na przełomie trzydziestego trzeciego i czwartego. To drań! Wypuściłem go ze swoich rąk! W którym szpitalu go położono?

Mężczyzna gwałtownie opadł na krzesło, aż niebezpiecznie zatrzeszczało, i chwycił za karafkę. Zaskoczeni aptekarze wpatrywali się w twarz, z której powoli schodził grymas wściekłości.

- Ale o co chodzi, panie Otto? - Edmund Boehmer odłożył trzymaną w ręku księgę i usiadł naprzeciwko oficera.

- To długa historia. Cholera jasna, tak mnie podszedł! Sukinkot! - kapitan nie mógł się uspokoić.

- No dobrze, powiem to, co pamiętam. Kojarzy pan zapewne nazwisko Nitschmann - ten kompozytor i pisarz. Otóż zgromadził on ogromny zbiór książek i w testamencie przekazał je miastu. Wśród tych książek znajdowały się manuskrypty, mszały i pierwsze księgi drukowane w Niemczech oraz Polsce. Jednym słowem, bezcenne rzeczy. Wydaje mi się, że w trzydziestym czwartym przyjechał tu z Breslau pewien archiwista piszący pracę o Nitschmannie i odkrył, że w jednym z jego notesów znajdował się fragment łacińskiego rękopisu opisujący zdobywanie miejscowych terenów przez rycerzy Balka. Jak później ustalił, kawałek pergaminu został wyrwany z jednej z książek. Pamiętam to dokładnie, bo wtedy właśnie prowadziłem tę sprawę. Pan, Horście, pewnie tego nie pamięta, ale pan - spojrzał na starszego Boehmera - musi coś kojarzyć?

Edmund skinął głową. Faktycznie, niektórzy z jego przyjaciół z Towarzystwa Kopernikańskiego dużo dyskutowali o owym odkryciu.- O ile pamiętam, na stronie z fragmentem o Balku był zapisany jeszcze jakiś kodeks, ale dużą część słów i liter udało się odcyfrować. Ten opis nie bardzo zgadzał się z potocznym obrazem brata Balka i jego zasługami dla niemczyzny - zaznaczył starszy z aptekarzy.

- No tak, ja w to nie wnikałem. W każdym razie jakoś tak zimą podjęto decyzję o dokładnym zbadaniu tych książek i

poproszono tego, jak mu tam, zapomniałem nazwiska, tego z Breslau, o przyjazd. Nawet opłacono mu bilet lotniczy. Dwa lub trzy dni później okazało się, że czternaście najcenniejszych ksiąg znikło, a razem z nimi ów człowiek. Wtedy właśnie zlecono mi śledztwo w tej sprawie, bo w naszej miejskiej komendzie specjalizowałem się w tej dziedzinie. Od początku było tam wiele niejasności i fałszywych tropów i... dziwny opór naszej władzy. Niby chcieli, żeby złapać złodzieja, jednak wciąż mnożyli przeszkody. Potem okazało się, że ciało tego archiwisty znaleziono w Zoppot³. W płaszczu miał zaszyty bilet na statek odpływający z Gdyni, czyli musiał jeszcze przejść przez granicę między Wolnym Miastem a Polską.

Mężczyzna sięgnął po karafkę i nalał sobie kolejny kieliszek nalewki. Przez chwilę delektował się jej smakiem, po czym podjął opowieść.

- W tym czasie przysłano nam do komendy, jako wzmocnienie, tak oficjalnie się to nazywało - grupę SA- i SS-manów, którzy mieli pełnić służbę patrolową, ale też wdrażać się do zajęć policyjnych. Mnie również dali takiego z Königsbergu - Bergmann się nazywał. Od razu mi podpadł. Niby układny, wykonywał wszystko jak należy, garnął się do wiedzy, ale było coś w nim takiego fałszywego. Zbyt dużo chciał wiedzieć właśnie w tej sprawie. Kiedy głośno analizowałem fakty i hipotezy, on zawsze znajdował jakieś argumenty podważające te tropy, które intuicyjnie uważałem za najbardziej obiecujące. Wtedy też wysłali mnie do Breslau, gdzie spędziłem chyba koło miesiąca. Tamtejsze gliny niewiele mi pomogły. Na szczęście odszukał mnie tam znajomy detektyw, z którym moja robota ruszyła. W końcu złapałem ślad, prowadzący właśnie do Königsbergu, i wybraliśmy się tam we trzech. I niech panowie sobie wyobrażą: kiedy

przeszukiwaliśmy pewien dom, napadnięto nas. Ja dostałem solidnie w łeb i potem przez kilka dni leżałem w miejscowym szpitalu, a lekarze dawali mi małe szanse na przeżycie. Natomiast Bergmann został tylko podrapany! Bardzo szybko wysłano mnie na rentę i potem emeryturę, choć jeszcze wieku nie nabrałem. Ja, porucznik policji z takim doświadczeniem! No i musiałem zacząć dorabiać jako prywatny detektyw, bo jak wyżyć z państwowej emerytury? A zresztą, kto został raz psem policyjnym, to będzie nim aż do śmierci.

- To, panie Otto, jak rozumiem, są te skradzione księgi?

- Tak, przynajmniej ta - są na niej znaczki naszej biblioteki. Panie Boehmer, mam prośbę. Ja tu się zasiedziałem, a moi ludzie z Volkssturmu pozostali bez dowódcy. Pan jesteś niezwykle uczciwym i wykształconym człowiekiem, więc tutaj zostawię te księgi na przechowanie. Biblioteka ewakuowała lub ukryła zbiory, więc nie ma sensu im teraz tego oddawać. Niech pan przejrzy te księgi i krótko je opisz, a potem ukryje. Wasza piwnica ma bardzo grube mury, a ja podeślę człowieka z cegłami i wapnem, to przygotuje tam skrytkę. Jak się wszystko uspokoi, oddamy ten skarb miastu. Zgoda?

Kordialny uścisk dłoni zakończył rozmowę i były policjant zaopatrzony w dodatkową butelkę nalewki wyszedł na mróz. Obaj aptekarze zapakowali księgi do skrzyni, po czym wstawili ją do szafy. Było już zbyt późno, by dokładnie zająć się znaleziskiem.

* * *

Tej nocy Horst Boehmer jeszcze kilkakrotnie musiał zrywać się z łóżka i maszerować wyziębionymi schodami do apteki, by sprzedać lub podarować potrzebującym medykamenty. Zauważył, że w mieszkaniu ojca światło zgasło dopiero nad

ranem. Wstał około ósmej i zastał go w kuchni dojadającego swoją poranną bułkę z miodem gryczanym i popijającego miętę. Ich gospodyni, pani Henriette Krauße z sąsiedniej ulicy Kettenbrunnenstraße⁴, sprzątając pokoje ojca, jak zwykle narzekała na drożyznę, na swojego męża, na bolące stawy i całą inną masę urojonych przypadłości. Horst mruknął powitanie i zasiadł do stołu.

- Przeczytałeś już? - Wskazał leżącą na stole gazetę. Ojciec zawsze walczył z nim o prawo pierwszego czytania, a dziś gazeta wyglądała na nieruszoną.

- O, dzisiaj to pan Edmund jakiś nietutejszy - wtrąciła swoje trzy grosze gospodyni. - Jak przyszłam, to już był na nogach! No nie pamiętam, kiedy tak biegał! Chyba od śmierci świętej pamięci nieboszczki pani Edmundowej tak szybko nie wstał. Cuda jakieś?

Ojciec powoli przeżuwał swoją kanapkę wyraźnie nieobecny duchem i niesłyszący słów Krauße.

Edmund przesunął się naprzeciw ojca. Kiedy gospodyni podjęła kolejną zwrotkę swoich narzekań, nachylił się do niego i rzekł ściszym głosem:

- Czytałeś, prawda? Prawie całą noc czytałeś?

Ojciec jakby ocknął się, spojrział ukosem na gospodynię i uniósł kąciki ust. Uśmiech zmienił się w nieczęsto widziany u starszego pana wyraz satysfakcji. Horst spojrzeniem zadał mu kolejne pytanie, a w odpowiedzi Edmund ponownie zerknął na krzątającą się kobietę. Pani Henrietta była świetną gospodynią i jeszcze lepszą kucharką, lecz niestety miała nawyk ciągłego utyskiwania i, co gorsza, nie mogła się nauczyć, że należy traktować to, co się słyszy w domu przy Schmeidestraße 3, jako sprawy poufne.

Mężczyźni szybko skończyli śniadanie i przeszli do biblioteki Horsta Boehmera. Ciężka skrzynia na podłodze była pusta, a na krzesłach i stołach leżały starodruki i manuskrypty. Ulubiony stolik zakrywała masywna księga w grubej drewniano-skórzanej oprawie. Horst przez chwilę przyglądał się w milczeniu niezwykłemu dla jego ojca nieładowi.

- Naprawdę są takie cenne?

- Cenne? Cenne? Chłopcze, czy zdajesz sobie sprawę, o czym mówisz? Nie wiem, jakie pieniądze można by za nie dostać. Pewnie nawet miliony reichsmarek, ale nie to jest ważne. Przypomnij sobie, co mówił Otto Schepcke o tym archiwiscie i znalezionym przez niego pergaminie. To jest fragment z tej księgi! - Palec starszego pana dramatycznie wskazywał na leżący przed nim manuskrypt. - O, zobacz, tu właśnie widzisz nachodzące na siebie litery. - Pod lupą wyraźnie wyzierał inny inkaust i inny kształt liter.

- Gdzie z paluchami! - Ostry ton ojca zatrzymało wyciągniętą dłoń syna tuż nad pergaminem. - Rękawiczki, chłopcze. - Horst sięgnął po leżącą na krześle bawełnianą rękawiczkę i nasunął ją na dłoń.

- Ktoś musiał przechowywać te księgi w wilgotnym miejscu przez długi czas. Niestety, wdziera się na nie czarna pleśń i niektóre oprawy zaczynają się rozpadać. Pomyśl - setki lat przechowywane były jak najcenniejsze skarby, a przez ostatnie dziesięć jakiś tępy bandyta trzymał je na poddaszu czy w zatechłej piwnicy. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Popatrz tu, tylko niczego nie dotykaj!

Starszy pan uniósł nieco brzeg księgi. Kilka lat wilgoci musiało naruszyć starodawne klejenie i otworzyło ramę oprawy, ukazując jej wnętrze. Horst przykląkł i przez chwilę w skupieniu zaglądał do środka.

- Tam coś jest! - wyszeptał zaskoczony.

- A jest, jest! Nawet jedną kartę udało mi się wyciągnąć.

- W głosie ojca brzmiała nuta tryumfu. - Popatrz.

Wyciągnął spod otwartej strony spory kawałek pergaminu zapisany gęstym ręcznym pismem. Syn ponownie się pochylił. Jego wzrok sprawnie wychwycił łacińskie słowa. Po woli zaczął tłumaczyć na niemiecki:

Cała nadzieja w Opatrzności, że przyniesie opamiętanie na naszych panów, bo przecież, nie godzi się, krześcijański panosza tak z nowo okrzyczanymi postępował i zamiast braterskiego wsparcia na zatracenie ich skazywał.

- Przeczytałeś to, ojczy?

Starszy pan pokiwał głową i sięgnął po gruby brulion. Horst prawie wyrwał mu go z ręki i opadł na krzesło. Edmund z ukontentowaniem przyglądał się synowi, który wręcz pożerał tekst. Jego twarz co chwila zmieniała wyraz, ukazując coraz to nowe emocje. Horst po chwili odłożył brulion na stół.

- Panie Boże, to niesamowite. To zaprzecza temu, co wiemy, całej tej propagandzie. Jeżeli jest prawdą...

- Podejrzewam synu, że jak najbardziej prawdziwe. Ten archiwista odkrył tylko drobniutki fragmencik i zapewne dlatego zginął. Ta księga to dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeżeli ten, który to wiozł, zorientuje się, że czytaliśmy pergamin z otwartej oprawy, to wyda na nas wyrok śmierci. Dlatego też musimy wyjąć te wszystkie arkusze pergaminu, a następnie zakleić skórę i ukryć księgi. I to nie w naszej piwnicy, a gdzieś indziej, bo tu mogą ich szukać. Ze względu na stan zdrowia tego partyjniaka wnoszę, że mamy kilka dni. Jest jeszcze trochę czasu do otwarcia apteki, więc najpierw pomożesz mi wyjąć resztę arkuszy z oprawy, a potem pomyślisz, jak to zakleić, aby wyglądało, jak powinno. Zawsze

byłeś świetny z chemii, więc wymyślisz jakiś klej, który mógł być wtedy używany - chyba to był trzynasty wiek? A ja postaram się dowiedzieć, gdzie jest ten partyjniak i dam znać Scheppkemu, aby go przepytał. Może nasz stary przyjaciel postraszy tak tego grubasa, że odechce mu się szukać tych ksiąg.

- Dzień 2 -

Horst przez cały dzień dwoił się i troił w aptece, nie mogąc się opędzić od ludzi, którzy pragnęli zrobić zapasy. Ojciec od czasu do czasu schodził na dół i pomagał mu, co jednak tylko nieznacznie skracало kolejkę. Za oknami planowo przejeżdżały tramwaje, samochody trąbiły, starając się przebić przez tłumy mieszkańców i uciekinierów z zagrożonych terenów. Ci, którzy postanowili przeczekać wrogą ofensywę i teraz przychodzili po środki opatrunkowe lub leki na swoje schorzenia, coraz częściej odchodzili z kwitkiem. Boehmerowie, choć posiadali najstarszą i najsłynniejszą aptekę w mieście i mieli dobre układy z dostawcami, niewiele mogli zrobić w sytuacji, gdy armia i szpitale rekwirowały wszelkie dostępne medykamenty. Wkrótce też poza środkami na kurzajki, lewatywami i szpatułkami niewiele więcej znajdowało się w aptece „Rats”. W końcu za namową ojca Horst wywiesił na szybie wielką kartkę z napisem informującym o brakach. Jeszcze przez jakiś czas drzwi otwierały się, ale widok pustych półek nawet znajomych i przyjaciół zniechęcał do wchodzenia do środka. Horst z obowiązku siedział w aptece, robiąc zestawienie braków, choć wiedział, że ma minimalne szanse na załatwienie czegokolwiek. Jedynym jaśniejszym punktem pochmurnego i męczącego dnia było to, że dziś doszła poczta i pomiędzy licznymi rachunkami do zapłacenia znalazły się listy od żony i szwagra. Otto Witt, który, a jakże, był aptekarzem w szpitalu frontowym, a prywatnie współwłaścicielem „Rats Apotheke”, opisywał, jak wygląda sytuacja w pobliżu Königsbergu i dopytywał się, jak im idzie. Edmund miał mieszane uczucia w stosunku do szwagra, zwłaszcza za jego polityczne zaangażowanie, ale doceniał jego

fachowość i to, że pomógł im w ciężkich czasach, kiedy na skutek szeregu zbiegów okoliczności o mało nie stracili całego majątku. Wtedy finansowo i organizacyjnie pomógł rodzinie Boehmerów wyjść na prostą. Ojciec z Horstem, wówczas jeszcze początkującym farmaceutą, rozwinęli praktykę w „Königliche Apotheke” przy Schmeidestraße 1, zostawiając Ottonowi ich ukochaną „Rats”. Potem, gdy Otton przeniósł się do Königsbergu, a stan budynku „Königliche” znacznie się pogorszył, wrócili do swojej pierwotnej siedziby. Wjazd w Schmeidestraße przebudowano, pozostawiając Boehmerów z jedną apteką. Następnie Horst przez jakiś czas pracował w Insterburgu i zabrał tam ojca. Razem ze szwagrem zdecydowali sprzedać „Rats” konkurentowi. Jednak tuż przed wybuchem wojny, w czasie wizyty w Elbingu zobaczyli swoją dumę w opłakanym stanie i zdecydowali się na odkupienie apteki oraz leżących nad nią mieszkań. I tak wspólnie dwa pokolenia aptekarzy zajmowały się najstarszą apteką w mieście. W czterdziestym czwartym zbliżający się front i straszliwi bolszewicy zmusili Boehmerów do podjęcia kolejnych stanowczych działań.

Żona Horsta z dziećmi oraz jego siostra wyjechały jeszcze jesienią do południowej Bawarii, do rodziny Ottona, by bezpiecznie przeczekać wojnę. Z listu, który czytał, płynęła tęsknota i niepokój o męża oraz teścia, ale też nadzieja na rychłe spotkanie. Złożywszy listy, Horst zapadł się w krzesło, smętnie patrząc na puste wnętrze apteki. Pani Frank, która mu dotychczas pomagała w jej prowadzeniu, od kilku dni nie pojawiała się w pracy, więc nawet nie miał do kogo otworzyć ust. Już chciał wstawać, by zaparzyć sobie kubek herbaty, gdy przed witryną apteki zatrzymał się z piskiem hamulców samochód terenowy. Opatulony w wojskowy płaszcz mężczyzna coś tłumaczył kierowcy, po czym trzasnął drzwiami i otworzył

drzwi do środka. Chwilę trwało, nim Horst rozpoznał w zakutym i przemarzniętym na kość człowieku kapitana Scheppke. Aptekarz poderwał się z krzesła i uniósł drewniany blat pośrodku lady, zapraszając gestem mężczyznę do wnętrza. Weszli na zaplecze, do gabinetu, gdzie Horst wyjął z szafki karafkę wódki i nalał mężczyźnie, a potem, po raz pierwszy w życiu w godzinach pracy, też nalał sobie kieliszek i wychylił go. Ze zmarzniętej twarzy ekspolicjanta wyczytał, że dzisiejszy dzień szybko się nie skończy. Mężczyzna powoli rozgrzewał się, więc zostawił go, a sam ruszył na piętro po ojca. Tym razem nie musiał staruszka prosić, bo ten, usłyszawszy, kto przyszedł, natychmiast odłożył papiery. Na twarzach obydwu mężczyzn Horst widział wyraźne ożywienie graniczące niemal z ekscytacją.

- Niech pan... - głosy gościa i Edmunda Boehmera zderżyły się nad stołem. Obaj nagle umilkli, a potem uśmiechnęli się do siebie. Starszy pan skinął głową, dając gościowi pierwszeństwo.

- Wiecie, panowie, mimo potwornego zmęczenia, zimna i nalotu, który przeżyliśmy ostatnio, wciąż jestem pełen energii. Mam już blisko sześćdziesiąt lat, ale wraca pamięć i chęć walki. Wpadłem na chwilę do swojego domu i odszukałem stary notes z zapiskami. Gerhard Bergmann - tak nazywał się ten mój pomocnik z SS, o którym wspominałem. A tu wycinek z gazety ze zdjęciem. Poznajecie go? - Wyciągnął karteluszek lekko już pożółkłego papieru. Obaj aptekarze przez chwilę przyglądali się niewyraźnej fotografii, po czym pokręcili głowami. Scheppke przygryzł wargę.

- Tak też myślałem, ale udało mi się dodzwonić do starego znajomego z Königsbergu, który potwierdził, że on jest teraz ważną szyczą u gauleitera Kocha. Niewysoki, łysiejący, mocno utył, z blizną pod brodą. Bardzo zarozumiały i pewny siebie...

Starszy Boehmer aż podskoczył na krześle.

- To on, pamiętasz synu tę czerwoną bliznę? Jakby siedział czy stał, to nie byłoby jej widać, ale on u nas leżał, na tej kozetce, na której teraz pan siedzisz. Wyglądał na strasznie niebezpiecznego typu.

- Pewnie tak. Muszę go dorwać i przesłuchać, nieważne, kim teraz jest. Nawet na wojnie sprawiedliwość działa. Pracuje jeszcze u nas w Elbingu kilku starych policjantów i prokuratorów, którzy sprawę będą pamiętali. Damy radę, panowie!

- Powiem panu jeszcze, że wczoraj tego Bergmanna zawieziono do małego szpitala Diakonissen przy ulicy Zahlera⁵. Jeżeli pojedzie pan tam, to jest szansa, że uda się go zastać. Jest też inna sprawa. Księgi były źle przechowywane i są fragmentami uszkodzone. Dzięki temu odkryłem, że w tym starym mszale, a dokładniej w środku oprawy, znajdują się karty pergaminowe zapisane łaciną. Opisano na nich początki krucjaty w okolicach Marienwerder⁶, Elbinga i wzdłuż Frische Haff⁷. Postanowiliśmy z Horstem, że skopiuję ten łaciński tekst i przetłumaczę go. Jak widać, apteka jest praktycznie pusta, więc mam na to czas. Zakleimy oprawy, aby Bergmann lub jego poplecznicy niczego się nie domyślili. Jednak trzeba byłoby te księgi jakoś „aresztować” czy co, żeby do nas nie mieli pretensji. Mam na ulicy Brückstraße⁸ znajomego, który obiecał zamurować nasze rzeczy w piwnicy swojej kamienicy. Jej mury mają prawie metr grubości, więc wytrzymają każde niebezpieczeństwo. Co pan o tym sądzi?

Scheppe przez chwilę tarł brodę ręką.

- Dobrze, zrobimy tak. Jutro przyjadę ciężarówką przeprowadzić rekwizycję w aptece, a przy okazji zabierzemy tę skrzynię - oczywiście pustą. A teraz jadę do szpitala poszukać Bergmanna. Dzięki za poczęstunek, będziemy w kontakcie.

* * *

Tego popołudnia wydobyli wreszcie ostatni kawałek pergaminu i powkładali wszystkie pomiędzy arkusze celofanu. Część z nich zachowała się w zaskakująco dobrym stanie, część, do której dobrała się wilgoć i grzyb, musiała być oczyszczona i zabezpieczona. Po szybkim posiłku Horst udał się do wojskowego lazaretu w centrum, gdzie jako aptekarz otrzymał przydział mobilizacyjny, a jego ojciec wziął się do przepisywania i tłumaczenia kart. Stosunkowo szybko udało mu się posegregować zdania w logiczny ciąg. Przez chwilę przyglądał się już przeczytanemu ustępowi, po czym z wahaniem odłożył go na miejsce. Trzeba jednak zacząć od początku. Zapalił dodatkowe światło i zaczął przepisywać fragment, jednocześnie półgłosem mrucząc tłumaczenie i dopisując swoje uwagi w nawiasach:

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

W Wigilię Świętego Jana Anno 1236 rozpoczną spisywać relację, jako świadectwo wielkości mego dobrodzieja, potężnego Xięcia Świętopelka, który jako dobry pan i krzyżowiec wojska swe śle przeciw bogi sławiącym Pomezanom, i moim pobratymcom Lanzanom.. Pan mój nakazał mi, bym towarzyszył rycerzom jego i tym ze Szwabii od Najświętszej Maryi Panny jako przewodnik i kronikarz, co pilnował będzie, aby krześcijański pokój na pogaństwie wymóc. Ludom, co światła od krzyża pragnąć będą, a co na potępienie wieczne (skazać?) A za zasługi nada mi Jasny Pan ziemię, którą to mnie bracia moi rodzeni zdradą odebrali, a mnie jak psa pchnęli, choć jestem z vitingów⁹.

Mieszkamy teraz w Marienwerder, czekając, aż pogoda się uspokoi i nowi knechci przybędą, by braci zakonnych i Xięcia wspomóc. Pan mój, ogromny wojownik, w boju każdego pobić

potrafi a i z... słyńie już rok temu rycerzowi Balkowi wierzył choć przecież drużbę sobie przyrzekali. Rycerz ów między krzyżowcami za dzielność chwalony wielce jest, ale..., że jeno na pokaz, bo... Zapomniał, iż rok temu zimą tylko dzięki Xięciu Świętopełkowi wyprawa na Reysen udała się, gdzie Xiążę męstwem własnym Balka od śmierci uchronił. Latem zaś, gdy do Pogezańii Xiążę ruszył, rycerz nie wysłał wiarołomnie posiłków i (musieliśmy się cofnąć?) Więcej, rozgłosił, że Ba...

Starszy człowiek przerwał czytanie - w pergaminie była spora dziura Przez chwilę wpatrywał się w okno, patrząc na namalowane na szybie mrozem kwiaty. Niezbyt mile wyrażał się o mistrzu krajowym Balku ów kronikarz. Zapewne jakiś miejscowy, wykształcony w piśmie, więc może mnich? Świętopełk był z Gdańska, miał tam mnichów, więc jakiś młody Prus mógł zostać ochrzczony i nauczony języków. W łacińskim tekście aptekarz dostrzegł liczne błędy i dość ubogie słownictwo, co świadczyłoby o niezbyt dużej wprawie. Świecki? Jakiś pomocnik księcia? Oprócz łaciny musiał znać też i język pruski, pewnie polski, no i niemiecki, skoro miał rycerzom niemieckim towarzyszyć. Ciekawe. Edmund poruszał zgrabiałymi palcami. Pomimo nagrzanego pieca w pokoju nie było najcieplej. Zrobi sobie przerwę na filiżankę herbaty, a potem wróci do pisania.

* * *

Else Preuß wysiadła z tramwaju na Alter Markt i ruszyła w stronę rzeki. Obijając się w wagonie o ludzi, zwłaszcza o cuchnących potem i piwskim robotników, podjęła ostateczną decyzję. Zawiodła tyle osób. Zwłaszcza córkę i matkę, które przez nią zostały w Elbingu - miasto to zaczęła szczerze

nienawidzić. Ledwie weszła na Hermann Balk Ufer¹⁰, gdy jakiś woźnica o mało jej nie rozjechał. Nawet nie mogła się bez problemu utopić! Utykając, dotarła wreszcie do wiaty, przy której latem zatrzymywały się statki odpływające do Kahlbergu¹¹, i rozryczała się na amen. To zdarzenie z woźnicą przypomniało jej Karla, którego z takim trudem pokochała, wciąż w pamięci mając poległego męża, Georga. Wytarła łzy chustą i podeszła, by wykonać skok. Poniżej barierek, na lodzie ślizgały się dzieci. Panie Boże, czy ty mnie nienawidzisz, czy wskazujesz drogę? - zapytała półgłosem. Z katolickiego kościoła Świętego Mikołaja dobiegł ją przytłumiony przez gwar ulicy dźwięk chóralnego śpiewu.

Kogoś pewnie będą chować - przyszło jej na myśl.

Nagle otrzeźwiała. Zostawiła córkę pod opieką mamy, przecież wyszła po leki dla niej, a tak naprawdę, żeby odetchnąć po wczorajszej awanturze i może z kimś porozmawiać. Z kimś mądrym, kto pomoże jej poskładać to zagmatwane, młode życie. Unikając samochodów i furmanek zmierzających w kierunku Lege Brücke¹², przedostała się na drugą stronę ulicy i weszła na Wasserstraße¹³. Minęła kawiarenkę, w której spotykała się z swoją pierwszą miłością, Alfredem Brosowskim, zabitym jeszcze w trzydziestym dziewiątym gdzieś w Warszawie. Gdyby żył, Rita miałaby biologicznego ojca, a ona byłaby pewnie panią majorową lub może nawet pułkownikową? Następnie ta szarpanina, zaloty Breitfeldów - Ericha, a potem Georga i krótkie, kilkumiesięczne małżeństwo, zakończone kondolencyjnym listem od dowódcy Dywizji SS „Wiking”. I wreszcie on, Karl. Szarmancki, jeszcze taki dziecinny, ale zorganizowany jak prawdziwy Niemiec. Chciał ją zabrać w głąb bezpiecznej Rzeszy, a ona go tak odprawiła!¹⁴

Nacisnęła na klamkę i poprzedzona brzękiem dzwonka weszła do apteki. Zaskoczona widokiem pustych półek, zatrzymała się w pół kroku. Wokół roztaczał się silny zapach środków dezynfekujących, ale nie wyczuła woni ziół, które nadawały aptece „Rats” niepowtarzalny klimat.

- Nie mamy żadnych lekarstw! - Usłyszała podniesiony głos dobiegający z zaplecza. Mimo to podeszła do lady. Z zaplecza słychać było stukanie i wreszcie wyłoniła się głowa Horsta Boehmera.

- Mówilem... - Głos mężczyzny zawisł w powietrzu. Przez aptekę przebiegło drzenie, które wywołał przejeżdżający obok ciągnik gąsienicowy. Oboje popatrzyli w kierunku ulicy, po czym ich twarze rozjaśniły się uśmiechami.

- O, przepraszam, pani Else. Jak widać, nie mamy już czym handlować, a ludzie wciąż wchodzą i pytają. Pomimo tego! - Wskazał na puste półki.

- Przepraszam, że pana nachodzę, ale może przynajmniej będzie mi mógł pan udzielić rady. Moja córeczka się rozchorowała, miała gorączkę i wymioty, bo najadła się suszonych śliwek. Teraz jest już lepiej, tylko jest silnie osłabiona.

- Hm, nie mam nic gotowego, lecz mogę coś przygotować. Podjechałaby pani jutro rano...

- Nie wiem, co będzie jutro... - Przerwała, a jej oczy się zaszklily.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni fartucha chusteczkę i podał jej. Skinęła z wdzięcznością głową i wytarła oczy. Spojrzała na lustrzany panel na filarze i z przerażeniem ujrzała rozmazaną jak u clowna twarz.

- O Jezu, jak ja wyglądam! - wyjęczała. Ręce natychmiast zanurzyły się w torebce w poszukiwaniu własnej chustki.

- Pani Else, może wejdzie pani na zaplecze i umyje się. Pani Henrietta zaparzy nam herbaty z prawdziwym miodem, a ja zrobię lekarstwo dla małej. - Horst uniósł drewniany blat, pozwalając kobiecie wejść do środka. Jej przyście wzbudziło w nim szybsze bicie serca. Och, jak chętnie rozwiódłby się, a potem zaopiekował tą blond pięknoscią. Sumienie dawało znać o sobie, ale postanowił poddać się instynktowi. Może coś z tego wyjdzie?

* * *

Edmund Boehmer oderwał wzrok od pergaminu, wstał z krzesła i podreptał w stronę drzwi. Zniecierpliwionym ruchem otworzył je i znieruchomiał. Z aptecznego zaplecza dochodził głos rozmowy. Jego syn coś klarował przez dłuższą chwilę. Po zaimkach Edmund odgadł, że jego rozmówcą była kobieta. Henrietta? Dziwna miękkość w głosie Horsta wyraźnie przeczyła tej tezie. Syn proponował kobiecie pracę w lazarecie wojskowym, gdzie przyda się jej wykształcenie gastronomiczne.

Starszy pan zamknął drzwi i wrócił na miejsce przy stole. Przepisywanie pergaminu było bardzo nużące, więc zamknął kajet i przysunął dokument pod krąg światła lampy „Komes Thomas” - aptekarz pochylił się nad tekstem. Sięgnął po szkło powiększające i zaczął badać dziwny zawijas. Czy książęcy namiestnik mógł mieć niemieckie imię Thomas? Nie, to chyba Tamasz.

Komes Tamasz, który ledwie głowę wyniósł z najazdu na Honedę, wykupion został zimą z lochu. A przecie przestrzegał, by na tak wielkie grodziszcze najazdu nie czynić, bo sił brat Balk miał miałko. Plaga wtedy spadła na naszą ziemię i ludzi zmoęła, jak i żywinę rogatą wszelką. I sam Xiążę Pan zległ i z ludźmi

swoimi przeciw Prusom iść nie mógł. Jednak usłyszawszy o wielkim skarbie jantarowym, łodzie trzy małe przysposobiwszy, nocą Balk ruszył. Posłyszawszy o warcholstwie owym, posłał Xiążę Tamasza z garścią zbrojnych, coby ruchy Warmów śledzić i odpór dać im daleko od granic naszych, a i wspomóc krnąbrnych rycerzy. I wylądowali oni wedle Honedy¹⁵, lecz grodu srogiego wziąć się bali, więc jako łotrzykowie na wieś śpiącą rzucili się. Tam też pobiwszy śpiących, piwa a miodu opili się, i nie stali w walce przeciw lutym wojom, których vitingo Alsutte i Aginmari powiedli. Tako część nordlandzkich panków gardła dało wraz z knechturą pomniejszą, a innych, ze Szwabii pochodzących, na męki wzięły w Honedzie i w święta ich spalili. Tamasz z łodzią wpłynął do Honedy, coby okup za Szwabów dać, ale onie lute okrutnie były i same go w lochu zamkły, co ledwie z niego Xiążę Pan wykupić ich zdołał. Tak to się brat Balk ku Xięciu udał i majestaty nie zważywszy, bydlic zaczął, że Xiążę krwi krześcijańskiej winien. W ten czas owi Prusi na ziemi naszej wylądowali i grabić zaczęli, to i Pan mój, mimo boleści ruszyć w pole musiał, a Szwabi ku swoim poszli, wsparcia nie dając. Tak to Xiążę Świętopełk rok w krucjacie zmarnował i podejrzenie słuszne co do szwabskich rycerzy nabrał.

Aptekarz przerwał czytanie. Tekst przeczył wszystkiemu, co wiedział o krucjacie bohaterskich rycerzy Zakonu Domu Niemieckiego¹⁶. Nie, to nie może być prawda. Przekaz był ewidentnie stronniczy, podważał historię opisaną przez Piotra z Dusburga¹⁷. Nie mógł tego wszystkiego pojąć, a wielu wyrazów mógł się tylko domyślać. Co to za Honeda, o której wspominał kronikarz? Zdenerwowany wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

* * *

Otto Scheppke nie mógł niestety od razu pojechać do szpitala, gdyż natknął się po drodze na jednego z wyższych dowódców Volkssturmu w mieście, który kazał mu wykonać kurs do koszar saperów, by pobrać dodatkowe wyposażenie dla jego batalionu. Dopiero gdy zaczynało się ściemniać, jego ciężarówka dotarła na plac przed szpitalem, a zmęczony kierowca dostał godzinę na odsapnięcie. Kompanieführer sprawdził jeszcze swój pistolet i wszedł do budynku. Przez chwilę oddechem rozgrzewał pokryte mgłą okulary, po czym zaczepił siostrę w zakonnym czepcu. Ta jedynie pokręciła głową i skierowała go na piętro, gdzie wojskowy lekarz w randze kapitana skończył przed chwilą operować i odpoczywa, więc może udzieli mu informacji.

Przeciskając się między stojącymi na korytarzu łózkami i noszami z ludźmi, trafił wreszcie do przesyconego zapachem środków odkażających pokoju. Łysiejący mężczyzna, na oko czterdziestoletni, przeglądał stertę papierów, ze złością kręcąc głową.

- Czego? Mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzać - wycedził w stronę drzwi, nie podnosząc oczu.

Zaskoczony Scheppke zatrzymał się i chrząknął. Lekarz podniósł oczy, po czym nieco łagodniej zapytał:

- Po środki opatrunkowe? To do siostry Klary.

- Nie, panie doktorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym dowiedzieć się o rannego o nazwisku Bergmann. Był w uniformie partyjnym, chyba miał połamane żebra.

Błysk zrozumienia pojawił się w oczach lekarza.

- A, tego. To jesteś pan kolejny, który się o niego dopytuje. No cóż, faktycznie miał potłuczone i pęknięte żebra, wstrząśnienie mózgu i parę drobniejszych rzeczy, ale dziś, jakieś dwie godziny temu, wypisał się! Pan rozumie? W takim stanie? I jeszcze jaką awanturę zrobił!

- Jak to? Nie ma go?

- A nie ma! Przyjechał po niego samochód i trzech cywilów, którzy mu pomogli zapakować się i wyjechali. - Mężczyzna spojrział na zegarek. - Siostra mówiła, że jakąś godzinę temu pojechali, kiedy operowałem. A to ktoś ważny?

- Tak. To znaczy, nie. Nieważne, dziękuję panu, doktorze, za informację. - Scheppke wyraźnie zdenerwowany wyszedł. Jasna cholera! Ptaszek mu wyfrunął, a teraz Boehmerowie z księgami są w niebezpieczeństwie. Ci cywile to pewno gestapo albo ktoś z biura kreisleitera. Zatrzymał się na schodach, po czym ruszył na dół do kuchni, gdzie powinien być jego kierowca. Volkssturmista nie był zadowolony z widoku swojego dowódcy, który pojawił się znacznie wcześniej, niż powinien.

- Słuchaj, Hermann, sprawa jest niecierpiąca zwłoki. Pojedziesz do szkoły, gdzie kwateruje nasz batalion i weźmiesz w trybie alarmowym gruppenführera¹⁸ Puckerta i czterech ludzi. Mają być miejscowi, dobrze znający teren. Natychmiast zapakujesz ich i przyjedziesz z nimi na Schmeidestraße, do apteki „Rats”. Zrobicie to tak, żeby wszyscy wokoło widzieli, że przyszliście po rekwizycję, oczywiście z bronią gotową do strzału. Ja tam będę już na was czekał i zadzwonię do dowódcy batalionu, uprzedzając go o waszym zadaniu. No, nie patrz się na mnie tak, odwdzięczę ci się. A teraz ruszaj!

Scheppke dopiął płaszcz i śpiesznie wyszedł. Do apteki miał szybkim marszem niecałe dziesięć minut drogi, więc powinien zdążyć uprzedzić potencjalnych napastników. Bo że tacy pojawią się w aptece, nie miał wątpliwości.

* * *

Praca policjanta, a zwłaszcza utajnionego funkcjonariusza policji politycznej, nigdy nie cieszyła się wysokim uznaniem

społecznym ani zaufaniem obywateli, nawet niemieckich. Dlatego też Heinz Cohn podawał się za komiwojażera, przedstawiciela administracji lub pracownika którejś z firm miejskich. Od kilku dni, od sowieckiej ofensywy, pomału szykował się do opuszczenia miasta, w którym zdążył zapuścić korzenie. Miał już oczywiście cały komplet dokumentów potwierdzających jego nowe zadanie w głębi Rzeszy i usprawiedliwiający ucieczkę. Problemem był tylko transport precjozów i innych cennych przedmiotów, które w ciągu siedmiu lat pobytu w Elbingu otrzymał od „wdzięcznych” obywateli za ułatwianie wyjazdów, dyskrecję czy też opieszałość w aresztowaniu. Za dwa dni z Gdańska wypływać będzie transportowiec z uszkodzonym sprzętem, na który udało mu się wcisnąć swoją „cytrynkę”. Odpowiednio zapakowana wywiezie na zachód rodzinę i skarby. Statek przechodził drobny remont po ataku sowieckich samolotów i samochód mógłby podstawić do załadunku już dzisiaj, ale nadarzyła się jeszcze jedna szansa na uszczknięcie czegoś ze skarbów ginącej III Rzeszy.

Cohn popijał herbatę w cukierni położonej niedaleko od apteki „Rats”. Przez ulicę przewijały się tłumy ludzi starających się przedostać na drugą stronę rzeki, normalnie jeździły tramwaje, zatrzymując się na przystanku położonym tuż przy aptece. Do środka wchodziło już niewiele osób, które dodatkowo zniechęcała wisząca na drzwiach kartka informująca o braku środków opatrunkowych i większości leków. Heinz zresztą się nie śpieszył. Niedługo zaczną zmychać i właściciele apteki będą ją zamykać, a wtedy on, jako ostatni klient, wejdzie do środka i przesłucha aptekarzy na okoliczność zagarnięcia mienia. Tajniak sięgnął po leżący na stole ilustrowany tygodnik, lecz ręka nagle zamarła. Czarny Horch 830, z charakterystycznym wgnieceniem na błotniku

powoli przesunął się wzdłuż ulicy i zatrzymał między pryzmami śniegu. W środku zauważył trzech ludzi. Jeden z mężczyzn po chwili wysiadł, a wtedy Heinz bez trudu rozpoznał twarz kriminalkommissara Petersa.

- To aż tak się przejęliście tą sprawą? - mruknął do siebie niezadowolony. W jego planie pojawiła się nowa, nieoczekiwana przeszkoda. Dobrze znał dawnego funkcjonariusza Kripo. Peters będzie przez jakiś czas obserwował teren, zanim wejdzie do środka. Poza tym właściciele apteki byli szanowanymi w mieście postaciami, więc otwarte wtargnięcie policji czy aresztowanie mogłoby wzbudzić w mieście szykującym się do walki poruszenie wśród licznych, ustosunkowanych znajomych Boehmera. A to oznaczało, że Heinz ma trochę czasu na przemyślenie zmian w swoim planie. Musi też szybciej wynieść się z miasta.

Rano w ich biurze zadzwonił telefon, a on przez przypadek go odebrał. Jakiś facet słabym głosem, jakby w malignie, żądał przysłania funkcjonariuszy do szpitalika, mówiąc o skarbach ewakuowanych na bezpośrednie polecenie Kocha do Berlina. Heinz, kończąc służbę oficera dyżurnego, wyciągnął potrzebne informacje, po czym oddał słuchawkę nadchodzącemu Petersowi. Szybko wysłali auto i zabrali mężczyznę, którego umieścili w jednym ze swoich mieszkań na Fischerstraße¹⁹. Okazało się, że skarbem były jakieś niezwykle cenne księgi, ważne dla całej Niemczech, a zwłaszcza dla samego ministra Alfreda Rosenberga.

Stare księgi miały w sobie coś, co przyciągało Heinza i jednocześnie onieśmiało go. A w dodatku wiele z nich było bardziej wartościowych od złota, więc jego kolekcja domowa dość szybko rosła... A skoro pojawiły się dzieła ze zbiorów Kocha, to musiały mieć niezwykłą wartość. Cohn nie miał

żadnych wątpliwości, że III Rzesza wkrótce upadnie, a jego jedynym zmartwieniem teraz było przedostanie się na tereny zajmowane przez Amerykanów i przeczekanie kilku lat. Ze swoim bogactwem będzie mógł stać się naprawdę nowym człowiekiem.

* * *

Chwilę trwało, zanim pani Henrietta wreszcie doczłapała do tylnych drzwi i otworzyła je. Rozpoznawszy w intruzie kapitana Scheppkego, tylko coś mruknęła o niewycieraniu butów i braku szacunku dla czyjejs ciężkiej pracy, po czym usunęła się, dając mężczyźnie wolną drogę. Scheppke zerknął do apteki - Horst zakrapiał jakiemuś dziecku oczy, więc wypowiedziawszy powitanie, skierował się na piętro, do gabinetu, który zajmował Edmund Boehmer.

Główne wejście do kamienicy znajdowało się od strony Schmeidestraße. Jeszcze na początku wieku na parterze zamurowano drzwi prowadzące do apteki, w zamian za to wybito je w jednym z okien wystawowych. Na pierwszym i drugim piętrze mieściły się lokale aptekarzy. Nad mieszkaniami Horsta i Edmunda znajdowało się jeszcze jedno, w którym zameldowany był Karl Bauer. Z klatki można było też zejść do piwnic budynku. Intuicja podpowiedziała byłemu policjantowi, że wejście do mieszkania starszego z aptekarzy może być słabym punktem obrony przed spodziewanym najściem ludzi nasłanych przez popleczników Bergmanna. Bez pukania wszedł do pokoju, w którym spodziewał się zastać Edmunda. Ten tylko uniósł głowę znad zeszytu i nie zwracając uwagi na całkowity brak manier swojego gościa, kontynuował pisanie.

- Panie Edmundzie! Przerwij pan wreszcie! - krzyknął zniecierpliwiony oficer.

- Jedną chwileczkę, dojdę do akapitu. Niech pan zejdzie do Henrietty i poprosi, by zrobiła nam herbaty. Mówię panu, to, co znaleźliśmy, jest niesamowite. To przewraca wszystko, co wiemy o historii tych...

- Człowieku, nie ma czasu. Trzeba pakować te skrzynie, zaraz może tu być gestapo!

Na dźwięk ostatniego słowa Boehmer uniósł głowę. Na jego twarzy zaczął pojawiać się wyraz zdumienia pomieszany ze strachem.

- Ale dlaczego gestapo? Przecież ja nic...

- A czy to ważne? Ptaszek, ten cały Bergmann, wyfrunął ze szpitala i najprawdopodobniej trafił w łapy gestapo. Nie udało mi się go dopaść, ale mogę się domyślać, że jeśli wasza apteka nie jest jeszcze pod obserwacją, to za chwilę będzie. Oni do końca nie odpuszczą, a wasze zasługi dla miasta i Niemiec dla nich nic nie znaczą. Zaalarmowałem już swoich ludzi, niedługo przyjedzie ciężarówka i zrobimy przedstawienie z rekwizycją. Trzeba przygotować skrzynię.

Włożył pan do niej najmniej cenne książki, a resztę natychmiast ukryje. Najlepiej, żeby nawet pan Horst nie wiedział gdzie - dla jego bezpieczeństwa. Ale najpierw niech mi pan pokaże drzwi na klatkę schodową.

Starszy mężczyzna pośpiesznie zamknął swój notes i poprowadził Scheppkego do sąsiedniego pomieszczenia. Razem dosunęli ciężką drewnianą szafę do drzwi, skutecznie je blokując. Nawet gdyby napastnicy przestrelili zamek, to dopiero za pomocą siekier i łomów mogliby się przebić do środka mieszkania. Zmęczeni wrócili do gabinetu, gdy nadszedł Horst.

- Trzeba zapakować książki do skrzyni, synu. Możemy mieć niespodziewanych gości, więc pan Otto przyśpieszył „najazd” swoich ludzi. Przynies skrzynię z dołu.

Horst bez słowa ruszył na dół, a starszy Boehmer pośpiesznie wybrał cztery inkunabuły i włożył je do kredensu. Gdy Horst wrócił zdyszany, starszy pan niecierpliwie wyrzucił z siebie:

- Zostaw skrzynię i idź do apteki. Pamiętaj, aby narobić lamentu! Muszą cię słyszeć sąsiedzi i ludzie na ulicy. Nawet jakiś posterunkowy się przyda, o ile jeszcze wszyscy nie zdążyli uciec, a ja z panem Otto wszystko spakuję. No ruszaj!

Przez chwilę detektyw przyglądał się, jak Edmund smaruje brzegi inkunabułu jakimś cuchnącym mazidłem, po czym mocno je ściska.

- Panie Otto, potrzymaj to parę minut, aż klej chwyci! - wymruczał niecierpliwie. Przekazawszy księgę, sam zaczął kolejne wkładać do skrzyni, po czym zamknął ją i ruszył na dół. Wrócił z mosięzną kłódką i przekręcił zamek.

- Jeden klucz zabieram, drugi daję panu. Gdzie będzie je chciał pan ukryć?

- Na razie w moim domu na Lessingstraße²⁰. Jest tam solidna piwnica i skrzynia powinna przetrwać. A co z tymi księgami, które zostają u was?

- Muszę je szczelnie opakować papierem woskowym i wstawić do drewnianej skrzyni, którą Horst uszczelni. Mój syn ma piękną żaglówkę, którą się zajmuje w wolnych chwilach. W domu mamy pakuły i pokost i nimi ją zaizoluję. Potem przeniesiemy ją do piwnicy mojego znajomego. Najważniejsze jednak są te pergaminy. - Wskazał na leżące na stole karty. - Zapakuję je starannie i schowam. Ich treść jest naprawdę wywrotowa. Panie Otto, niech pan poprosi Henriettę o herbatę dla nas, a ja tymczasem schowam te szpargały. Pańscy ludzie nie powinni nic takiego zobaczyć, co mogłoby podważyć naszą wersję wydarzeń.

* * *

Zajmujący przednie siedzenia samochodu mężczyźni co chwila zerkali to na siebie, to na siedzącego za nimi oficera, ale ten udawał, że nie widzi ich błagalnych spojrzeń. Na próżno rozcierali ręce czy przytupywali nogami - Peters był nieubłagany. Para z ich ust osadzała się na szybach, ograniczając widok do minimum i zmuszając do ciągłego przecierania ich rękawicami i jedyną brudną szmatą. A przecież tuż obok była cukiernia, z której rozciągał się nawet lepszy widok na ich obiekt, nie mówiąc o szansie wypicia gorącej herbaty czy czegoś mocniejszego.

Nagle Peters ożywił się i spojrzał na zegarek. Na oświetlonej elektrycznym światłem ulicy tłum pracy w kierunku mostów zaczął rzednąć, a w aptece od dłuższego czasu nikt się nie pojawił. Na chwilę przy jej oknie przystanął ubrany na biało mężczyzna, który przez moment przyglądał się ludziom, po czym zniknął za zatrzymującym się tramwajem. Gdy pojazd ruszył, mężczyzny już nie było, podobnie jak i ludzi na przystanku przed apteką.

- Dobra, ruszamy. Tylko spokojnie, tak jak ustalaliśmy. Nie można dopuścić do jakichś gwałtownych działań lub strzelaniny, bo spowodujemy panikę na ulicy. Powinni być w środku sami, bo gosposia już wyszła.

Z trudem prostując skostniałe kończyny, wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku kawiarni. Przez szybę w drzwiach widać było tego samego mężczyznę sprzed okna, który, korzystając z drabiny, układał coś na półkach. Peters miał już wejść na jezdnię, gdy zatrzymał go warkot zdezelowanej ciężarówki. Funkcjonariusze cierpliwie przyglądali się pojazdowi, który zaczął zwalniać i zatrzymał się tuż przed ich nosami. Z tyłu wyskoczyli niekompletnie umundurowani

mężczyźni z opaskami Volkssturmu na rękawach, a z szoferki wysiadł solidnie zbudowany podoficer.

- Zawróć i stań jak najbliżej! - rzucił do środka kabiny i wkroczył na jezdnię za swoimi ludźmi. Żołnierze, przytupując nogami, ustawili się przed apteką w szeregu. Dwóch z nich na gest podoficera ruszyło biegiem wzdłuż ulicy, a reszta weszła do środka.

- Co robimy? - Peters usłyszał za sobą pytanie.

- A co do cholery możemy zrobić? Czekamy i patrzymy. Jorg, ty idź od zaplecza, a my wejdziemy do kawiarni i będziemy obserwować.

Wyznaczony funkcjonariusz cicho zaklął i ruszył śladami dwóch volkssturmistów. Peters, otrzepując buty ze śniegu, wszedł do lokalu. Zaklął pod nosem, gdy para wodna natychmiast zamgliła mu okulary i wpadł na wychodzącego mężczyznę w płaszczu z postawionym kołnierzem. Tamten mruknął coś przepaszająco, choć to Peters wszedł mu na nogę. Wyciągniętą chusteczką przetarł wreszcie szkła i zamówił herbatę. We dwóch wpatrywali się w częściowo zasłoniętą przez ciężarówkę witrynę apteki „Rats”, nerwowo postukując o blat stolika i co jakiś czas rzucając spojrzenia na ponętą kobietę, która siedziała przy sąsiednim stoliku.

* * *

Heinz Cohn uznał, że może wreszcie wejść do apteki. Peters ze swoimi ludźmi wystarczająco długo marzli w samochodzie i zapewne wkrótce zauważą, że ruch się zmniejszył i sami podejmą akcję. Zawołał kelnerkę i zapłacił za wszystkie wypite herbaty, gdy poczuł uderzenie w ramię. Błyskawicznie odwrócił się i zobaczył wbite w siebie oczy Minny.

- O, jak miło cię widzieć Mi...

- Zamknij się, ty kanalio, bo zaraz ci zęby wybiję! - wycedziła złowieszczo, wyciągając ku niemu udekorowaną pierścionkami, jak kastetami, pięść. Kobieta przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim gwałtownie, przyciągając spojrzenia nielicznych klientów. Przez chwilę wpatrywała się w twarz Heinza, wywołując w nim dreszcz przerażenia. Minna miała już trzech mężów, o których mówiono, że po pierwszym okresie namiętności woleli jechać na front wschodni, gdzie szanse przeżycia były jednak większe. Jej obfity biust i silny zapach perfum działały na Heinza jak narkotyk i prawie zapomniał, dlaczego spędził w kawiarni tyle czasu. Twarz Minny nagle złagodniała.

- To ja za tobą oczy wypłakuję, z kolacjami czekam, a ty co? Żle ci u Minniusi, malutki?

- Wiesz przecież, że cię kocham, ale mam teraz całą masę obowiązków. Czekałem właśnie na klienta, który się nie stawił i miałem iść do firmy - powiedział spokojnie, lecz nagle poderwał się, gdy tuż przed kawiarnią zatrzymała się ciężarówka, z której zaczęli zeskakiwać wojskowi.

- Postaram się później do ciebie, kocico, wpaść, ale teraz muszę wyjść. - Puścił jej dłoń i narzucił na siebie płaszcz. W tym momencie drzwi kawiarni otworzyły się i stanął w nich kриминалkommissar Peters wraz z jednym ze swoich ludzi. Heinz podniósł kołnierz i ruszył w stronę wyjścia zatarasowanego przez gestapowców. Jedyłą jego szansą były zamglone okulary Petersa i zaskoczenie. Jęknął, gdy jego ciężki but zgniótł mu nogę, po czym wymruczał przeprosiny i przecisnął się do wyjścia. Trzasnął drzwiami i znalazł się na mroźnym powietrzu. Musiał zorientować się w sytuacji, nie będąc jednocześnie zauważonym przez Petersa i jego ludzi. Przeszedł na stronę apteki i stanął za ciężarówką, udając pasażera czekającego na tramwaj. Przez szybę widział

gestykulującego mężczyznę w białym kitlu, który wyraźnie kłócił się z podoficerem i jego żołnierzami. Jakiś zapóźniony klient otworzył na chwilę drzwi apteki i zanim został wypchnięty przez jednego z volkssturmistów, Heinz usłyszał, jak mężczyzna rozpaczliwie wzywa pomocy, krzycząc o bezprawiu i telefonie na policję. Po chwili pojawił się też starszy z Boehmerów, ale został pchnięty na ziemię, a wojskowi rozpoczęli regularne przeszukiwanie apteki. Cohn z coraz większym zaskoczeniem obserwował zachowanie żołnierzy. Musieli być naprawdę zdesperowani, jeśli poszukując środków medycznych, zdecydowali się na tak bezprawne działanie! Wprawdzie sam wielokrotnie naginał, a w zasadzie łamał prawo, ale on był przecież z tajnej policji. Wewnątrz mężczyźni wyciągnęli z zaplecza skrzynie i zaczęli pakować ukryte zapewne przez aptekarzy środki opatrunkowe i medykamenty. Starszy stał z pochyloną głową przy ladzie, a młodszy, z bronią za plecami, pokazywał na półki, po czym zachęcony jednoznacznym ruchem karabinu wyszedł na zaplecze. Przed oknem zaczął gromadzić się mały tłumek zaciekawionych mieszkańców. Nagle Heinz nad głowami gapiów zauważył wysoki kaszkiet zbliżającego się policjanta. To była dla niego szansa.

- Panie oficerze - zagadnął funkcjonariusza - coś dziwnego dzieje się w aptece. Volkssturm robi rekwizycję, czy to legalne?

Zaskoczony policjant zatrzymał się i popatrzył przez szybę. Widok tyłu mężczyzny z bronią wyraźnie go zaniepokoił, ale też spowodował wahanie.

- Panie posterunkowy, to przecież niezwykle przyzwoici ludzie ci Boehmerowie! - odezwał się jakiś kobiecy głos za plecami. - Wejdz pan chociaż do środka i dowiedz się, o co chodzi!

Pomruk poparcia zmienił wyraz twarzy policjanta. Śmiało nacisnął klamkę i wszedł do środka. Jego widok wyraźnie zaskoczył wojskowych. Przez niedomknięte drzwi stojący przed apteką usłyszeli wyraźnie agresywny ton podoficera i coraz bardziej zdenerwowanego policjanta. Drzwi otworzyły się i żołnierze zaczęli wynosić skrzynie z medykamentami, które lądowały na pace ciężarówki. Nagle starszy z aptekarzy głośno krzyknął i rzucił się do przodu. Jeden z ludzi podoficera niósł obitą metalem skrzynię, tę, którą mu opisywano. Któryś z żołnierzy pchnął staruszkę na ladę i przeładował karabin. Kolejne paki i worki lądowały na ciężarówce wraz z kocami i butelkami alkoholu. Wreszcie podoficer coś wrzasnął na swoich ludzi, którzy zaczęli wychodzić na zewnątrz, przepychając się pomiędzy widzami tego spektaklu. Na koniec wulgarnie sklął policjanta, który blady jak ściana tylko przewracał oczami. Mężczyźni załadowali się na ciężarówkę i odjechali w kierunku centrum miasta. Cohn zdążył zarejestrować jeszcze, że policjant, który z zaciętą twarzą szybkim krokiem wyszedł z apteki, kieruje się w stronę pobliskiej komendy policji. Z dzwonieniem podjechał tramwaj, więc wskoczył doń - w kawiarni siedział przecież Peters, który nie mógł go widzieć. Trzeba się dowiedzieć, która jednostka dokonała rekwizycji, a przede wszystkim, gdzie umieszczą skrzynię i co faktycznie zawierała.

* * *

Obolały Edmund wolnym krokiem ruszył ku otwartym drzwiom apteki. Przez chwilę patrzył na współczujące twarze ludzi, po czym drżącym głosem oznajmił:

- Dziś apteka już nieczynna. I jutro też nie. Sami widzieliście, że bezprawnie ograbiono nas nie tylko z leków, ale i osobistych

rzeczy. Po co wojsku stare księgi? Idźcie ludzie już i nie róbcie zbiegowiska.

Powoli zamknął drzwi na zamek i poczłapał do środka. Wnętrze apteki zaśmiecone było potłuczonym szkłem, papierami i różnokolorowymi proszkami, ale ten widok nie budził złości w starszym, pedantycznym mężczyźnie. Wiedział, że ludzie za oknem wciąż patrzą na niego, więc musiał ukrywać uśmiech na twarzy. Niebezpieczeństwo się oddaliło. Dzięki Scheppkemu i jego ludziom powinni być bezpieczni. Dopiero gdy znikł w drzwiach, wyprostował się i uśmiechnął. Jak młodzieniaszek wspiał się po schodach do swojego mieszkania, gdzie siedzieli już jego syn i kapitan Volkssturmu. Bez słowa wyciągnął rękę do oficera i mocno ją uścisnął. Horst nalał do przygotowanych kieliszków koniaku i razem wzniesli toast.

* * *

Kriminalkommissar Peters z kamienną twarzą wysłuchiwał raportu policjanta, który godzinę wcześniej złożył obszerny meldunek swojemu porucznikowi. Młody człowiek w policyjnym mundurze był mocny zaskoczony, że musiał się stawić w siedzibie gestapo i ponownie raportować. Niestety, agresywny kapral Volkssturmu nie pokazał mu żadnego dokumentu uprawniającego do rekwizycji. Co więcej, groził mu bronią, zmuszając policjanta do powstrzymania się od interwencji. Samochód pochodził z 561. Dywizji Volksgrenadierów, a z rozmowy wynikało, że jednostka stacjonowała gdzieś przy autostradzie. Policjanta zaskoczyło jeszcze to, że starszy aptekarz najmocniej walczył nie o rekwirowane medykamenty, tylko o skrzynię, w której były jakieś stare księgi. Po co volkssturmistom księgi?

Peters pogratulował postawy przestraszonemu funkcjonariuszowi i obiecał pochwałę przed przełożonymi. Po wyjściu policjanta ubrał się i ruszył korytarzami siedziby tajnej policji. Otworzył jedne z drzwi na czwartym piętrze. Na ich skrzygnięcie w jego stronę odwróciło się znad biurka kilka par oczu. Z zaufanych siedział tylko Jorg i Helmut. Cohnowi i Brandtowi od jakiegoś czasu mniej wierzył. Skinął w ich kierunku i ruszył do samochodu. Trzeba ponownie pogadać z Bergmannem.

* * *

Wieczór był bardzo pracowity. Horstowi udało się wysprzątać zdemolowaną i ograbioną aptekę, a jego ojcu przepisać większość pergaminowych kartek. Stary łaciński tekst miał wiele luk, ale dawało się uchwycić sens. Jednak im bardziej zagłębiał się w tekst, tym więcej miał problemów z jego zrozumieniem. Tajemniczy autor był ewidentnie poddanym księcia pomorskiego, ale był też najprawdopodobniej brańcem czy zakładnikiem pochodzącym z zamożnej pruskiej rodziny. Zapewne łaciny uczył się u cystersów, ale zamieszczał także w tekście słowa niemieckie, pruskie i polskie, w archaicznej formie, której, co gorsza, Edmund nie mógł zrozumieć. Wiele fragmentów pisanych było pod wpływem silnego wzburzenia emocjonalnego, co objawiało się niekształtymi literami, kleksami czy wstawkami obcych słów. Około jedenastej w nocy zaszedł do niego Horst i markotnie zameldował, że idzie spać. Ze względu na potworne zimno na dworze i braki w opale w dzień palili w piecach na parterze, na poziomie apteki, a wieczorem rozpalali na pierwszym piętrze. Wyższe mieszkanie, które zajmował Edmund Boehmer, praktycznie nie było użytkowane i tylko raz w tygodniu Henrietta przepalała piec,

by nie dopuścić do gromadzenia się wilgoci w szafach i na ścianach.

Starszy pan odłożył pergamin na stolik i oparł się plecami o fotel. Przez chwilę siedział tak, z kolanami przykrytymi kocem, z oczyma zamkniętymi, starając się uspokoić myśli. To co udało mu się do tej pory zrozumieć z pergaminów, wywracało całą wiedzę, jaką współcześni posiadali na temat powstania jego kochanego Elbinga i okolic. Otworzył oczy i założył na nos okulary. *Dobrze, te pergaminy są skopiowane, więc mogę je schować do sekretarzyka.* Podniósł się energicznie i przeciągnął. Skupienie na pracy pozwalało zapomnieć o bolących plecach, lecz chwila marzeń boleśnie przypominała o starości. Otworzył intarsjowane drzwiczki i popatrzył na trzy inne inkunabuły. Nagle pochylił się i wsunął rękę pod sekretarzyk. Palce odszukały blokadę, którą przesunął.

Spod pulpitu wysunął się centymetrowej szerokości fragment drewna. Edmund pociągnął go, odsłaniając płaską szufladę. Starannie rozłożył na niej pergaminy, po czym zasunął szufladkę. Mechanizm zaskoczył z cichym trzaskiem. Teraz nawet w dziennym świetle wprawne oko nie wypatrzy skrytki. Zaczął przechadzać się po pokoju, rozmyślając nad treścią pergaminów. Wcześniej opublikował w miejscowych periodykach naukowych kilka artykułów poświęconych historii medycyny w Prusach. Gdyby mógł wydrukować artykuły na temat pergaminów... Nie! Od razu napisałby książkę. Pewnie potrzeba byłoby jakichś dodatkowych badań, spisanie tego zajęłoby z rok, ale potem! Cały świat naukowy oszalałoby! Nazwisko Boehmer wymieniano by w Berlinie, Paryżu, Nowym Jorku.

Cichy trzask przykuł jego uwagę. Przystanął, chwilę słuchając, po czym ruszył dalej. No tak, ale nawet gdyby to napisał, żadne wydawnictwo mu tego nie wyda. Obóz

koncentracyjny to chyba najłżejsza kara, która spotkałaby go za to. Zresztą również Horsta, synową i całą ich rodzinę. A pewnie gestapo zakatowałoby go natychmiast. Westchnął rozczarowany i ponownie usiadł za stołem. W żółtym świetle żarówki karty książki zdawały się otwierać przed nim tajemniczy świat. Wczoraj dla odpoczynku próbował na papierze, a potem na pergaminie przekopiować fragment tekstu. Pergamin dostał parę lat temu od znajomego archiwisty i teraz karty okazały się przydatne.

Aptekarz pochylił się nad tekstem i przyglądał się mu uważnie, po czym namoczył pióro w kałamarzu i rozpoczął kopiowanie. Z zaciętym wyrazem twarzy przenosił kolejne litery, starając się wiernie odtworzyć każdy zawijas. Jak pracownicy i cierpliwi musieli być ci mnisi...

Drzwi do pokoju skrzypnęły.

- Nie śpisz, Horście? - rzucił pochłonięty pracą.

- Jeden nieostrożny ruch lub słowo i zginiesz! - usłyszał gardłowe polecenie i podniósł głowę. W mroczniejszej części pokoju stał solidnie zbudowany mężczyzna w ciemnym płaszczu, kapeluszu i z osłoniętą dolną częścią twarzy. W wyciągniętej w stronę aptekarza ręce trzymał pistolet. Drugą ręką napastnik zamknął drzwi i podszedł parę kroków. Boehmer z trudem przełknął ślinę.

- Kim pan jest i czego chce?

- Chcę tego, nad czym tak ślęczysz. Oddasz mi wszystkie książki, które ukradłeś grubasowi, ale najpierw powiesz mi, co jest w nich takiego ważnego. Jeżeli twoja odpowiedź mnie zadowoli, to może i ty, i twój syn przeżyjecie tę noc. I pamiętaj, żadnych głupstw! - Głos mężczyzny zdradzał napięcie i... stan zapalny dróg oddechowych. Aptekarzowi nawet przemknęła myśl o miksturze na gardło. Przez chwilę wpatrywał się w

zamaskowaną postać: wojskowe buty - oficerki, lecz jakieś takie inne, a kształt stopy...

- Więc? - Głos mężczyzny zawisł w powietrzu. Edmund poczuł nagle uderzenia serca i rosnące ciśnienie krwi w czaszce. Z trudem zaczerpnął powietrza.

- To, to jest księga z naszej miejskiej biblioteki, panie... - Nie otrzymawszy odpowiedzi, kontynuował: - Należała do księgozbioru najcenniejszych dzieł, które zostały w tajemniczy sposób wykradzione w połowie lat trzydziestych. Ja zawsze interesowałem się takimi zabytkami i wiem, że mimo poszukiwań w całej Rzeszy nie odnaleziono ani śladu po nich. O! - przewrócił kilka kart - proszę, oto stempel biblioteki. A teraz księgi odnalazły się w bagażu człowieka, który przypadkowo wczoraj tu trafił. Niestety, są bardzo zniszczone, więc zanim zostaną zwrócone, postanowiłem skorzystać ze swojej wiedzy chemicznej i historycznej i zabezpieczyć je.

Edmund zamilkł i popatrzył na lufę pistoletu. Napastnik zerkał to na niego, to na księgę.

- Nie wiem, kim pan jest i nie chcę wiedzieć, ale błagam, nie pozwól pan na zniszczenie tego dzieła. To skarb naszej narodowej historii, to nasza niemiecka tożsamość! - Podniósł głos.

Mężczyzna gniewnie syknął, a aptekarz skulił się i opadł głębiej na fotel. Napastnik przez chwilę wpatrywał się w drzwi. Syn zmęczony po dzisiejszych przeżyciach musiał mocno spać. Boże, żeby tylko się nie zbudził! - pomyślał Boehmer.

- A teraz, dziadku, grzecznie zdejmiesz ze stołu tę paterę i cukiernicę i odstawisz na kredens. Teraz rękopis i te papierzyska położysz na stół. Dobrze. Gdzie są pozostałe księgi?

Przerażony Boehmer powoli wstał, zdjął ze stołu naczynia i wolno przeniósł je na kredens. Zawsze był dumny ze swojej bystrości, ale jak na złość teraz nic nie potrafił wymyślić.

- Nie wie pan, że dzisiaj mieliśmy w domu rekwizycję? Wojsko przyjechało samochodem, zabrali wszystkie leki i środki opatrunkowe, nawet puder dla niemowlaków - wyszeptał żałośnie. - Pobili mojego syna i mnie. Potem ograbili nas z jedzenia, ręczników, mydła i wszystkich butelek z alkoholem. Nawet skażony spirytus wzięli! A na koniec znaleźli skrzynię z książkami i też wrzucili na samochód. Tylko tę przegapili, wandalę jedni!

- Nie kłam, dziadku. Jeżeli chcecie obaj przeżyć, to gadaj prawdę. Tych książek było więcej! - Mężczyzna podniósł głos.

- Wiem, co wynosili volkssturmiści!

Nagle, w trzech skokach znalazł się przy aptekarzu i dotknął lufą ust Edmunda. Ten zadygotał i wskazał ręką na sekretarzyk. Ruch pistoletu zmusił go do podejścia i otwarcia mebla. Trzęsąc się ze strachu, ułożył trzy kolejne książki na stole.

- Co to za papiery? - Zamaskowany wskazał na kartki leżące obok książek.

- Moje notatki. Staralem się też poznać krój liter i...

- Dobra, dobra! - Bandyta schwycił papiery, zwinął je i wsunął do kieszeni płaszcza. Następnie sprawnie zarzucił rogi obrusa na książki i zawiązał supeł.

- Siadaj na krześle, muszę cię zakneblować i związać - rozkazał. Edmund odetchnął z ulgą i odwrócił się. Usłyszał skrzypienie podłogi i poczuł ból z tyłu głowy, po czym zapadła ciemność.

- Dzień 3 -

- Dochodzi do siebie.

Plama światła, którą zarejestrowały jego źrenice, zaczęła przyjmować coraz bardziej regularny kształt. Wraz z powrotem świadomości pojawił się narastający ból głowy. Przytłoczony nim Edmund zacisnął powieki i jęknął. Nagle poczuł na głowie zimno, a ból zaczął z wolna ustępować. Odważył się ponownie rozchylić powieki i rozpoznał pochyloną nad sobą twarz syna, otoczonego aureolą żółtego światła żarówki. Zamrugał powiekami na znak, że żyje i spróbował zebrać myśli, które biegały bezładnie po wszystkich zakamarkach jego mózgu. Zimne krople spłynęły mu na kark i plecy, nieprzyjemnie je chłodząc, więc ściągnął z głowy worek z lodem, wyczuwając jednocześnie guza. Twarz syna oddaliła się, a Edmund uniósł się nieco z kozetki, na której go położono. W pokoju oprócz syna zobaczył swojego sąsiada z góry, Bauera, oraz barczystego mężczyznę w wojskowej maskującej kurtce. Przez chwilę usiłował przypomnieć sobie, z kim ma do czynienia. W końcu słabo się uśmiechnął. Jego wzrok padł na leżący koło drzwi zmięty obrus przykrywający księgi. *Herr Got!* Są.

- Czy ktoś mi powie, co się stało po tym jak...

- To może pan kapral Puckert, bo to dzięki niemu pozbyliśmy się tego... kogoś - odezwał się syn.

Aptekarz przeniósł wzrok na wojskowego. Mógł mieć dwadzieścia bądź czterdzieści lat, wyglądał na rolnika lub rzemieślnika. Mężczyzna zachnął się, ale zachęcony uśmiechem Horsta, kiwnął głową.

- No cóż, drzemałem sobie na dole, kiedy usłyszałem głos pana starszego. To znaczy pana Boehmera - poprawił się. -

Pomyślałem, że mi się śniło, ale potem usłyszałem inny głos i wtedy zupełnie się obudziłem. To nie był głos pana Horsta, więc postanowiłem zobaczyć, co się dzieje. Na palcach wszedłem na piętro i usłyszałem, jak pan starszy coś mówi, więc podszedłem do drzwi i przez dziurkę od klucza zobaczyłem kawałek ręki z pistoletem celującym w pana aptekarza. Zastanawiałem się, czy wskoczyć do środka, ale ten gość mógł nas obu kropnąć, więc postanowiłem zaczaić się, aż będzie wychodził. Jak zaczął zawiązywać ten tobołek, cofnąłem się na schody, w najgłębszy cień. Myślałem, że będzie szedł na dół, do wyjścia i tam się ukryłem, czekając z bagnetem na łobuza. Tak to bym mu na gardle nóż położył i od razu by wyśpiewał, co on za gagatek! Jednak on ruszył na piętro i prawie się mi wymknął, więc skoczyłem za nim i dziabnąłem go bagnetem, chyba w rękę. Poszamotaliśmy się, silny był skurczybyk, lecz książki puścił. Pognał na drugie piętro, a ja za nim i strzeliłem do niego. Nie jestem pewien, czy go trafiłem, choć jakiś jęk słyszałem. Pewnikiem dzisiaj już tu nie wróci, ale chyba sam nie działał. Cieszę się, że panu aptekarzowi nic nie zrobił, znaczy się głowy nie rozbił.

- Ja wiem, kto to był. To znaczy, domyślam się.

Początkowo nie zareagowali na cichy głos sąsiada z góry.

Horst uniósł się z krzesła i podszedł do stojącego przy drzwiach Bauera.

- Jak to, zna go pan?

- To jest historia sprzed trzech lat. Wtedy, w jednym miesiącu pochowałem całą rodzinę. Najpierw Willi - służył w Afryce. Ponoć zmarł w szpitalu od ran. Potem Richard, mój najstarszy, który nie wrócił z patrolu na Atlantyku. A po kilku dniach dostaliśmy informację, że Gerhard został zestrzelony gdzieś nad Rosją. Moja żona, pamiętacie ją - głos mężczyzny na chwilę się załamał - z dnia na dzień zapadła na jakąś chorobę.

Przestała jeść, dostała gorączki i po tygodniu ją też pochowałem. To i ja nie wytrzymałem, w pracy za dużo powiedziałem i zaraz znalazłem się na gestapo. Przesłuchiwał mnie właśnie ten, którego wczoraj na naszej ulicy widziałem, jak się kręcił. Cohn! Z okna zobaczyłem tego bandytę. Palce mi wyłamywał, bykowcem kazał bić!

Bauer pochylił głowę i zaczął szlochać. Słuchający go zamarli niepewni, co mają zrobić. W końcu sąsiad przełknął łyżę i uspokoił się trochę.

- Wypuścili mnie, bo w stoczni praktycznie całym działem druku planów kierowałem i zastępstwa nie było. Od czasu do czasu tylko wzywali do siebie i straszili. Ten bydlak wczoraj kręcił się przy aptece, zwłaszcza jak panowie wojskowi podjechali. Pan mi wtedy pomógł, panie Boehmer; żona pana Horsta ręce mi opatrywała. Chciałem nawet wczoraj zajść do was, ale co bym powiedział? Że jakiś gestapowiec obserwuje waszą aptekę? Pomyślałem, że potraktowalibyście mnie jak wariata... Wczoraj w nocy z klatki schodowej wybiegło dwóch ludzi, jeden chyba był ranny. Nie widziałem, czy ciężko. Pobiegli w stronę rzeki. Panowie, musicie być przygotowani na to, że oni wrócą. Ja wam pomogę, bo jestem uczciwy człowiek, choć tchórz - mnie już i tak wszystko jedno... A zresztą Ruscy pewnie za kilka dni do miasta wejdą, więc te mendy gestapowskie uciekną...

Trzej zaskoczeni mężczyźni patrzyli na Karla Bauera, który uniósł głowę i głośno odetchnął. Wdepnęli w niezłe łajno.

* * *

Zanim poszli spać, zabarykadowali wejście na drugim piętrze i sprawdzili to od apteki. Teraz bez wyłamania drzwi lub wybicia witryn od ulicy nikt nie mógł wejść. Przedtem

jeszcze ponad godzinę rozmawiali, rozgrzewając się sznapsem. Na dworze było jakieś dwadzieścia stopni mrozu, co także powinno osłabić zapędy włamywaczy.

Edmund Boehmer solidnie zmarzł i nie mógł długo rozgrzać się pod pierzyną. Nocne ciemności i cisza w domu pozwoliły mu się uspokoić, przynosząc jednocześnie z głębin podświadomości nowo nabyte lęki. Faktycznie, wdepnęli w nieliche łajno. W trakcie rozmowy z sąsiadem z góry i kapralem Puckertem zaczęli gorączkowo analizować sytuację i poszukiwać jakiegoś rozsądnego wyjścia. Edmund początkowo miał obiekcje przed wyjawianiem sekretów podoficerowi i sąsiadowi - obcym bądź co bądź, ale gdy Horst racjonalnie przedstawił zaangażowanie obydwu w sprawę, ustąpił. Kapral obronił ich i księgi oraz zranił jednego czy dwóch napastników; Bauer zaś rozpoznał Cohna.

Gdy minęły pierwsze emocje związane z wyjaśnianiem sobie okoliczności napadu, zaczęli zastanawiać się, kogo reprezentowali napastnicy. Działali na własną rękę, a może ktoś im zlecił akcję? Obecność gestapowca Cohna mogła sugerować zaangażowanie tajnej policji. Dlaczego jednak oficjalnie nie weszli? Czyżby podejrzewali jakiś spisek albo antyniemiecką konspirację? Sowieckich albo angielskich szpiegów? A jeżeli obecność gestapo na Schmeidestraße była przypadkowa, niezwiązana z „Rats”? Ich myśli naturalnie wróciły do partyjniaka Bergmanna i jego popleczników. Skoro w ciężkim stanie zabrano go ze szpitala, to znaczy, że mógł za tym stać ktoś z aparatu partyjnego. Może i sam kreisleiter Emil Preuß, o którego zamięłowaniu do bogactwa i władzy krążyły liczne plotki. Coś go zaczęło uwierać i starszy pan przez chwilę wiercił się pod pierzyną. W pokoju było chyba z kilka stopni powyżej zera, a on czuł, jak marznie mu nos. Zwinął się w pozycji embrionalnej, wracając do wydarzeń nocy

W czasie dyskusji delikatnie napomknął, że zamierza przenieść księgi w bezpieczne miejsce. Pierwszy odezwał się kapral Puckert:

- Trzeba się liczyć z tym, że będziecie obserwowani. Może pan Bauer wyniesie je niepostrzeżenie, a w tym czasie któryś z panów aptekarzy wyjdzie na miasto, niosąc coś, co będzie wyglądało jak księga?

Przysłany wczoraj przez Scheppkego podoficer wyglądał początkowo na zwykłego osiłka, ale teraz okazał się też łebskim gościem. Tak, to był dobry pomysł, a Bauer po chwili wahania zgodził się. Pozostawał jeszcze jeden problem: kapitan Scheppke nie mógł wечно trzymać swojego podwładnego w aptece. Placówka i tak była pusta, więc może przenieść się do jakichś znajomych w mieście lub w którejś z podmiejskich miejscowości? Robiło się naprawdę późno, więc nie doszli w tej sprawie do żadnych wniosków i postanowili się pożegnać.

Zegar uderzył czterokrotnie, gdy Edmund wreszcie zasnął.

* * *

Mimo zmęczenia Karl Bauer nie mógł zasnąć. W jego głowie rozum toczył pojedynek z sumieniem:

- Ty głupcze, na starość zachciało się konspiracji. Mało ci było piwnic gestapo, tego smrodu, bólu i ciągłego strachu? Siedzenia w zasikanych spodniach na drewnianej, nieheblowanej ławie obok innych podobnie umazanych? Nie mogłeś trzymać ozora za zębami? Po co lazałeś do tych Boehmerów? I skończ wreszcie z tą bohaterstwą, bo zdechniesz jak pies i nikt nad tobą nie zapłacze!

Poduszka była mokra od łez i śliny, bo Karl gryzł ją w gniewie i rozpacz, starając się zapanować nad strachem. Kiedy

jednak udało mu się uspokoić te myśli, natychmiast nachodziły go następne:

- Przecież nie można całego życia przejść jak mysz, która boi się wszystkiego i wszystkich. Ruscy zbliżają się do miasta, a z nimi śmierć. A jak przyjdzie mu stanąć przed Bogiem, to co powie? Że się bał? Że nie stać go było na ludzki odruch? Że ani razu nie przeciwstawił się złu? Że nikomu nie pomógł?

Świtało, gdy zmordowany wstał z łóżka i wciągnawszy kalesony, zaczął się gimnastykować. Jego pięćdziesięcioletnie ciało powoli się rozgrzewało. Wyginał się i machał rękami pomimo nasilającej się duszności i drżenia mięśni. Czuł fizyczny ból, który dał mu satysfakcję i wlał w serce odrobinę optymizmu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ćwiczył; dawno nie był też w kawiarni ani na spacerze. Cicho podreptał do łazienki. Dobrze, że swego czasu zdecydował się wraz z sąsiadami z dołu na przebudowę i umieszczenie toalety z wanną wewnątrz mieszkania. W większości starszych domów był to nieosiągalny luksus. Piecyk gazowy huknął płomieniem, gdy rozkręcił nad wanną kran. Spłukiwał pot zimną wodą, parskając. Odkręcił drugi kran - temperatura umożliwiała mycie zębów i golenie. Na chwilę zamarł, wpatrując się w twarz w lustrze. Od wielu już lat jego skóra miała bladoszary, trupi kolor. Odchylił wargi i popatrzył na ciemną obwódkę na dziąsłach.

Karl Bauer był najlepszym specjalistą w mieście od technik drukarskich i dopadła go typowa dla tego fachu choroba - ołowica. Ile lat mu zostało? Czy ma szansę na lepszy koniec żywota? Odrzucił te myśli i energicznie zaczął namydlać twarz. Goląc się, nawet zaczął cicho pogwizdywać. Nagle odłożył na półkę brzytwę i otworzył drzwi łazienki.

- Ale mnie ksiądz wystraszył! - wyszeptał po chwili ciszy

* * *

Od rana w budynku prezydium policji wrzało jak w ulu. Okazało się, że wczoraj bolszewicy przedarli się przez linię obrony, a ich zagony pancerne i kawaleryjskie ciągną nie tylko na Allenstein²¹, lecz i na Elbing. Wieczorem dostali telefon, że Allenstein jest już w większości zajęty przez Rosjan, którzy niepowstrzymaną falą prą ku Bałtykowi. Potem nastąpiła wymiana telefonów z Königsbergiem i Danzigiem oraz biurem kreisleitera. Podjęto decyzję o ewakuacji lub zniszczeniu archiwów oraz wyjeździe części personelu. Kriminalkommissar, hauptsturmführer Peters, początkowo zaskoczony, szybko podporządkował się decyzji przełożonych i rzucił w wir pracy. Jego podwładni natychmiast rozpoczęli selekcję teczek, wydzielając te ważniejsze, które należało wywieźć, oraz te, które w koszach były znoszone na podwórko, gdzie kilku ludzi paliło je. Gdy wszyscy zasuwali na najwyższych obrotach, miał wreszcie chwilkę, by usiąść w skórzanym fotelu we własnym gabinecie i pomyśleć. Jego wydział w ostatnim okresie był bardzo przeciążony, bo dowalono im jeszcze nadzór nad więźniami i robotnikami przymusowymi oraz ochronę obiektów przemysłowych. Masa rozgrzebanych spraw, które trzeba będzie zakończyć. Na kartce papieru starannym pismem wynotowywał je i po chwili zastanowienia wypisywał obok - „zakończyć”. Trudno, upiecze się winowajcom. Peters był doświadczonym policjantem i intuicyjnie wyczuwał, które oskarżenie związane było z faktyczną przewiną, a które spowodowane ludzką zawiścią i podłością. Dlatego też tylko w dwóch wypadkach obok nazwy sprawy pojawiła się adnotacja: „rozstrzelać”.

Pozostawał jeszcze Bergmann. *Jasna cholera, że też ten typ nie zdechł!* Podobnie jak inni oficerowie średniego szczebla Peters musiał lawirować pomiędzy zasadami prawa a prawem

stanowionym przez lokalnych kacyków. Partyjniak, któremu nadepnęło się na odcisk, mógł narobić niezłych kłopotów. Z drugiej strony, sprawy, które zazwyczaj zgłaszał pion partyjny, związane były albo z trwającą w danej chwili propagandową akcją, albo z osobistą chęcią wykazania się czujnością. Policyjne sumienie Petersa, choć stłamszone latami pracy w gestapo, odzywało się wtedy nieprzyjemnie, bo wiedział, że najczęściej wina oskarżonych była symboliczna bądź żadna.

Że też nie zdechł. Trudno, ta kanalia może mu na koniec narobić brudu, więc trzeba będzie jeszcze dziś, przed ewakuacją sprawę zamknąć. Dzwonek telefonu przerwał ponure myśli.

- Dzień dobry, Herr Kreisleiter, w czym mogę pomóc?

Głos w słuchawce wyrzucał słowa z prędkością karabinu maszynowego, a Peters nie miał nawet szansy wtrącić czegokolwiek. Na chwilę odsunął słuchawkę od ucha i zaczął poruszać szczęką, naśladując bezgłośnie kreisleitera.

- Dobrze, Herr Kreisleiter, jak pan wie, przygotowujemy dokumentację do ewakuacji, ale obiecuję, że osobiście dzisiaj wyjaśnię całą sprawę i odzyskam ukradzione księgi. Wezmę jednego, nie, dwóch oficerów i zaraz wyślę w teren.

- Tak, Herr Bergmann jest bezpieczny w naszym mieszkaniu pod opieką sanitariusza. Lekarz? No dobrze, koło południa wyślę jakiegoś. I oczywiście zamelduję o rezultatach.

- *Heil Hitler!*

No cóż, trzeba się tym zająć. Wstał z fotela i otworzył drzwi do sekretariatu. Siedzący za biurkiem podoficer poderwał się.

- Daj mi tu Cohna i Jorga. Albo nie, poczekaj. Jorga wezwiesz, jak Cohn wyjdzie.

Zamknął drzwi i podszedł do otwartej szafy, z której zaczął wyrzucać na podłogę szare teczki.

* * *

Zaopatrzenie zaczęło szwankować od początku wojny, czyli od trzydziestego dziewiątego. Najpierw pojawiły się problemy z delikatesami, skończyły się dobre papierosy, coraz trudniej było zdobyć kawę czy orzeszki pistacjowe, za którymi Karl Bauer tak przepadał. Potem pojawiły się kartki i kolejki. A teraz to nawet po chleb i warzywa trzeba było kornie czekać w kostniejących na mrozie ogonkach. Wczoraj udało mu się dostać trochę sera do margaryny, toteż dzisiaj śniadanie będzie obfite. Zapach parzonej mięty rozszedł się po całym mieszkaniu, więc pośpiesznie dopiął guziki koszuli, wszedł do saloniku i stanął przy swoim miejscu.

- *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.*

Przez chwilę cicho trwali na modlitwie, po czym usiedli za stołem. Karl podał gościowi chleb i w ciszy zaczęli jeść.

- Sytuacja się skomplikowała, dom może być pod obserwacją gestapo - cicho powiedział Bauer. Mężczyzna siedzący naprzeciw podniósł oczy i znieruchomiał z pajdą chleba przy otwartych ustach.

- Nie, to nie chodzi o księdza. To moi sąsiedzi z dołu, ci aptekarze, mają kłopoty. Przez przypadek trafiły w ich ręce bezcenne księgi, które były w rękach jakichś dygnitarzy z NSDAP z Königsbergu. W nocy mieli próbę włamania i była nawet strzelanina. Jak pan, znaczy się ksiądz wie, wczoraj widziałem tego Cohna, który gapił się na nasz dom, a to może oznaczać kolejną zmianę adresu.

Mężczyzna siedzący naprzeciw niego smutno pokiwał głową. Wizja kolejnych przenosin i tułaczki napełniła go lękiem.

Nagle przerwał żucie kromki chleba.

- A o jakie książki chodzi?

Karl wyczuł w drżącym głosie ciekawość. Od trzech dni ukrywał w swoim mieszkaniu uciekiniera z obozu pracy, który, co gorsza, był katolickim księdzem i Polakiem. Duchowny mówił wprawdzie nienaganną niemczyzną, gdyż od kilkunastu lat pracował w parafii położonej nad dawną granicą prusko-polską. Ten kapłan również był zielarzem oraz pięknie malował, co było chyba głównym argumentem, dla którego Karl zdecydował się na takie ryzyko.

- Słyszał ksiądz o Heinrichu Nitschmannie?

- Tak, oczywiście. Mam, to znaczy miałem, nawet zbiorek jego poezji...

- No właśnie. Otóż ten Nitschmann był także znanym bibliofilem, który dzięki swoim znajomościom miał dostęp do bardzo unikalnych ksiąg, w tym inkunabułów. Przed śmiercią, bodajże w tysiąc dziewięćset piątym roku, zapisał w testamencie księgi naszemu muzeum. Potem, w latach trzydziestych, dokonano zuchwałej kradzieży tych woluminów. Ponoć okazało się, że niektóre z nich zawierają treści - jak to się teraz mówi - wywrotowe. Śledztwo w tej sprawie prowadził Otto Scheppke, który obecnie jest oficerem Volkssturmu. Tak czy inaczej, okazało się, że osoba podejrzewana o kradzież rozbiła się na autostradzie pod miastem, a księgi teraz trafiły do Boehmerów, czyli moich sąsiadów. Cztery egzemplarze są jeszcze u nich w domu. Udało mi się na nie zerknąć - przepiękna robota! Jak ksiądz wie, sam jestem drukarzem, ale nie potrafiłem wyjść z podziwu nad precyzją linii i liter w inkunabułach.

Bauer na chwilę zamyślił się. Nie dziwił się Edmundowi Boehmerowi, który z taką energią bronił tych ksiąg. On, drukarz, świetnie go rozumiał.

- Te księgi, jak rozumiem, są pisane po łacinie? - pytanie gościa wyrwało go z zadumy.

- Tak, łaciną, lecz pan Edmund coś wspominał, że są takie fragmenty, gdzie pojawiają się inne języki. Dziwne, bo najstarsza księga pochodzi chyba z dwunastego wieku. Muszę teraz wyjść i pokazać się w drukarni. Wprawdzie od kilku dni pracy nie mam, ale nie chcę, aby zaczęto się interesować moją nieobecnością. Przy okazji załatwię parę spraw i może coś uda się kupić. Niech ksiądz trzyma się z daleka od okien i drzwi i stara się być cicho. Boehmerowie to, jak mówiłem, przyzwoici ludzie, ale lepiej nie kusić licha. Och, przepraszam! - poprawił się zakłopotany.

- Dobrze, niech pan idzie. Pozwolę sobie tylko zajrzeć do pańskiej biblioteczki i wziąć coś do czytania, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Karl Bauer zdobył się na uśmiech. Na chwilę zajrzy jeszcze do aptekarzy, a potem pójdzie do drukarni.

* * *

Gerhard Bergmann obudził się z przeświadczeniem, że mimo wszystko wraca do formy. Przez chwilę leżał, co rusz napinając i luzując mięśnie, i sprawdzając, w której części poczuje ból. Za drzwiami pokoju usłyszał skrzypienie desek podłogi, co oznaczało, że któryś z pilnujących go gestapowców też nie śpi. Pod bandażem na klatce piersiowej pojawiło się swędzenie, na którym skupił całą swoją uwagę, powstrzymując się od drapania. Powoli zsunął nogi z łóżka w chłód pokoju. W Königsbergu zburzonym przez barbarzyńskie anglo-amerykańskie i sowieckie naloty występowały oczywiste problemy z ogrzewaniem, ale tu? Elbing przecież zasłużenie cieszył się opinią najbezpieczniejszego miasta w całych Prusach. Zimne piece mogły dotyczyć jakichś biedaków, ale nie lokalu tajnej policji. Nie może być, żeby gestapo musiało

oszczędzać. Zrzucił z siebie pierzynę i stanął chwiejnie na nogach. Jego ciało okryte nocną koszulą zatrzęsło się z zimna. Chybotliwie ruszył w stronę zwalistej szafy i otworzył ją. Uff. Mundur wisiał na miejscu odczyszczony i odprasowany, obok znalazł kozuch, który przywiózł sobie kiedyś z Generalnego Gubernatorstwa. Sięgnął po buty i stękając z bólu, wciągnął je na gołe nogi. Tak jak gauleiter Koch dbał o swój wygląd, więc myśl, że wyda się śmieszny funkcjonariuszowi w tym stroju, jeszcze pogłębiła jego zły nastrój. Otworzył drzwi i skierował się do łazienki. Skrzypnięcie spowodowało natychmiastową reakcję gestapowca.

- O, pan sam wstał! Może panu pomóc? - Dwudziestoparoletni niewysoki mężczyzna miał klasyczne aryjskie rysy. Na jego twarzy rysowało się szczere zainteresowanie losem dygnitarza z Königsbergu.

- Jeśli pan tak miły, to poproszę o zrobienie czegoś do jedzenia i może pomoc w ubraniu się. Chciałbym w mieszkaniu samodzielnie się poruszać, bo wkrótce muszę dalej ruszyć do Berlina. - Gerhard zdobył się na uśmiech.

Mężczyzna odwzajemnił go i przeszedł do kuchni. Bergmann powoli wsunął się do łazienki. Siedząc na sedesie, zaczął obmyślać plan działania. Będzie robił wszystko wolno, aby nie urazić pękniętych żeber. Na szczęście prześwietlenie wykazało, że nie ma przemieszczenia, więc nie powinny uszkodzić mu płuc. Sprawdzi pistolet, potem skontaktuje się z miejscowym kreisleiterem. W końcu w stolicy regionu sporo wódy razem wychlali, więc Emil będzie milczał. Pozostaje pytanie, czy telefon jest na podsłuchu. Będzie musiał delikatnie rozpytać tego młodego i działać w zależności, co mu powie. Ładny ten chłopak, schrupałby go do śniadania, ale nie. *Gerhard, musisz być twardy. Masz zadanie do wypełnienia, a także własną dupę do uratowania z tego bagna. Takiego młodego*

przygruchasz sobie gdzieś w Reichu. Zadowolony z siebie powlókł się do kuchni, gdzie już czekało na niego śniadanie i parująca kawa.

* * *

Pukanie zmusiło go od odwrócenia oczu od okna, za którym nadal palono akta. Komisarz Peters podszedł do drzwi i otworzył je.

- A, Jorg, wejdz - zaprosił. Gestem wskazał podwładnemu krzesło i ruszył w stronę biurka, gdy odezwał się telefon. Podniósł słuchawkę i wycedził:

- Mówiłem, sierżancie, żeby...

- Proszę nie odkładać telefonu, tu Gerhard Bergmann. Poznaje mnie pan, panie komisarzu, nieprawdaż? - Peters nie znosił takiego protekcyjnego tonu.

- O co chodzi, Herr Bergmann? Tylko szybko. Jestem bardzo zajęty.

- Dobrze, do rzeczy. Chciałem się dowiedzieć, jak wyglądają postępy śledztwa w sprawie skradzionych ksiąg?

- To nie jest rozmowa na telefon, chyba zdaje sobie pan z tego sprawę?

- Wiem, ale okoliczności są takie, a nie inne. Zapewne nie może się pan pofatygować osobiście, żeby przedstawić mi sprawę, więc słucham. Jutro mój stan zdrowia będzie na tyle dobry, jak sądzę, że będę mógł ruszać do Berlina. A więc?

Peters przez chwilę patrzył wymownie na Jorga, który znacząco pokiwał głową. On także chciał się jak najszybciej wynieść z miasta i miał dość marudnego partyjniaka.

- No cóż, przyślę do pana swojego inspektora, Cohna, tego, z którym pan rozmawiał poprzednio. Dzisiaj obserwujemy okolice apteki i planujemy pod wieczór wejście do środka i

przeszukanie. Wstępnie ustaliliśmy też, która jednostka Volksturm dokonała wczoraj rekwizycji i postaramy się do niej dotrzeć poprzez kanały wojskowe.

- To dobrze, proszę mnie natychmiast zawiadomić, co uda się wam ustalić i czy odzyskaliście księgi. Proszę pamiętać, panie komisarzu, o wadze sprawy i kto za nią stoi. Dziękuję i czekam na pańskiego podwładnego.

Nastąpił trzask i w słuchawce zapadła cisza. Peters odłożył ją na widełki.

- Jorg, przewiduję pana w pierwszej turze ewakuacji, czyli jeszcze dzisiaj. Pan wie, że mam do pana pełne zaufanie.

Policjant uniósł się z krzesła i strzelił obcasami. Hauptsturmführer Peters mówił do swoich podwładnych per „ty” bądź po nazwisku. Taka forma rozmowy oznaczała naprawdę ważną sprawę. Ponaglony gestem dłoni SS-obersturmführer Jorg ponownie usiadł na krześle, wpatrując się w swojego przełożonego. To, co przed chwilą usłyszał, odsuwało od niego narastający lęk przed bolszewikami. Trzy lata temu był żołnierzem specjalnego komanda SS, które ostro dało się Sowietom we znaki. Potem dostał od nich wyrok śmierci i prawie udało im się go zabić. Na rekonwalescencję trafił tu, do Elbinga, gdzie załatwił sobie przydział służbowy. Jednak lęk przed wpadnięciem w bolszewickie pazury pozostał. Do dziś miał pewność, że to Cohn będzie ewakuowany z kartotekami i cennymi więźniami. A jednak.

- Pański kolega, Cohn, obecnie dziwnie się zachowuje, dlatego też będzie ewakuowany z ostatnią grupą albo i wcale. Sądzę, że Cohn chce prysnąć wcześniej. Dlatego też, jak tylko skończysz - Peters znów przeszedł na „ty” - ze swoimi aktami, weźmiesz ludzi i rozpoczniecie obserwację apteki. Dyskretnie trzeba też rozpoznać, co planuje Cohn. Z tego co wiem, wysłał rodzinę z miasta, gdzieś pod Danzig.

- Jeśli mogę, Herr Kommissar - Jorg wszedł w słowo przełożonemu - w kamienicy, gdzie mieszka Cohn, mam swojego informatora. Uruchomię go i każę sprawdzić mieszkanie Heinza.

- Tylko ostrożnie. Może jestem przewrażliwiony, ale mój policyjny nos mówi mi, że coś jest nie tak. Dobrze, ruszaj, Jorg, do roboty i pamiętaj, że od sukcesu akcji „książka” zależy twoja ewakuacja.

Jorg poderwał się z krzesła i ponownie strzelił obcasami. Peters poczekał, aż wyjdzie, położył nogi na biurku, i zadumał się.

* * *

Edmund zaraz po śniadaniu przeniósł się do gabinetu na pierwszym piętrze kamienicy. Zatrzasnął za sobą drzwi, by uciec przed potokami narzekań pani Henrietty, która po podaniu śniadania starała się doprowadzić do ładu pomieszczenia. Podszedł do sekretarzyka i wsunął pod blat dłoń, natrafiając na ledwo wystający przycisk. Sprężyna trzasnęła, a w blacie ukazała się szczelina. Pociągnął za jego wystającą część i wysunął na światło dzienne pergaminy. Dłonią w rękawiczce przerzucił je i wyselekcjonował kilka, których jeszcze nie kopiował. Jego własne pergaminy się skończyły, więc zaczął przenosić treść zapisu do grubego brulionu. Wyćwiczona dłoń oddawała wiernie kształt starodawnych liter. Co jakiś czas zatrzymywał się, gdy zapis stawał się niewyraźny lub pergamin był uszkodzony. Cierpliwie badał poprzez szkło powiększające ów fragment, starając się dociec, cóż może przedstawiać. Gdy nie mógł rozwiązać zagadki, z westchnieniem rezygnacji jak najdokładniej przenosił kolejne kształty liter i znaków do brulionu. Jeden z

arkuszy zawierał szkic, niestety częściowo uszkodzony przez nalot pleśni. Zatrzymał rękę nad tym fragmentem. Z trudem powstrzymał przemożną chęć usunięcia rękawiczką ciemnego nalotu, by odsłonić resztę obrazu. Już raz, wczoraj, przez niecierpliwość zniszczył kawałek tekstu. Odsunął krzesło i otworzył drzwi na korytarz.

Z kuchni dolatywało trzaskanie garnków i gwarzenie Henrietty. Starając się być jak najciszej, przedostał się na schody i zszedł na poziom apteki. Horst siedział w pustej izbie i zajmował się rachunkami. Ojciec cicho stanął za plecami syna i klepnął go w ramię. Mężczyzna aż poderwał się przestraszony, po czym z sapnięciem przysiadł z powrotem na krześle.

- Aleś mnie wystraszył!

- Zamknij aptekę na chwilę i chodź ze mną do gabinetu. Tylko na palcach, żeby Henrietta nie słyszała.

Udało im się przemknąć, nie wzbudzając kolejnej fali narzekań ich gospodyni.

- Popatrz, synu, na tę pleśń. Muszę ją usunąć, ale boję się, że zniszczę zapis. Jak widzisz, jest tu coś, co wygląda na mapę albo jakąś postać.

Horst przez chwilę uważnie przyglądał się pergaminowi.

- Hm, jest sposób, ale nie mam już odczynników. No i trwałoby to przynajmniej kilka dni bez gwarancji sukcesu. Ale wiesz co, tato? Pójdę do naszego sąsiada z góry. W końcu jest mistrzem drukarskim, więc może coś poradzi?

- Zrobimy inaczej. Pomożesz mi odsunąć komodę w moim mieszkaniu, a ja pójdę do pana Karla. Ty wracaj na dół. Musimy udawać, że funkcjonujemy normalnie.

Zmęczeni się, odblokowując drzwi na piętrze. Edmund chwilę posapał przed wejściem do sąsiada. Z dołu klatki schodowej dobiegał go gwar wypełnionej ludźmi ulicy, potem zgrzyt hamującego tramwaju. Przez chwilę wydawało mu się

też, że słyszy poskrzypywanie podłogi w mieszkaniu za drzwiami. Zastukał, a skrzypienie nagle zamarło. Zastukał drugi raz i kolejny. Nic. Pewnie jego sąsiad wyszedł, a skrzypienie było przecież charakterystyczne dla starych domów. Wrócił na dół. Miał właśnie otworzyć swoje drzwi, gdy dobiegł go odgłos ciężkich kroków. Znieruchomiał. Po chwili, w dole, ujrzał siną twarz swojego sąsiada, który z trudnością wspinał się na schody. Ich oczy spotkały się.

- Właśnie do pana pukałem, panie Karl. Mam ważną sprawę i potrzebuję pana opinii jako fachowca.

Mężczyzna wszedł na drugie piętro, ciężko dysząc.

- To może od razu wejdźmy do pana? - wysapał.

Boehmer otworzył drzwi i wpuścił gościa do środka. Pomógł mu zdjąć płaszcz, po czym przekręcił klucz w zamku.

- Po nocnych przygodach musimy pamiętać o bezpieczeństwie - wyjaśnił.

Zeszli na dół do gabinetu, ignorując pytające spojrzenie Henrietty.

- Może herbaty? - zapytał Bauera.

Ten przecząco kiwnął głową.

- Niech pan zerknie. To jeden z tych pergaminów. Staram się je skopiować, ale nie we wszystkich miejscach jest to możliwe. O! - wskazał palcem - tu jest bardzo ciekawy fragment, ale, jak pan widzi, pokryty pleśnią. Boję się, że jeżeli go przetrę, to usunę znaki. Czy może pan coś na to pomóc?

Jego gość przez chwilę przyglądał się karcie, po czym wziął ją do ręki i podszedł do okna. Tak jak się obawiał, grzybnia przerosła pergamin.

- Cóż, chyba dam radę to usunąć. Mam u siebie specjalną lampę. Do tego potrzebne mi będą odczynniki, które mam w drukarni. Nie czuję się dziś najlepiej, ale napiszę panu kartkę

do mojego pomocnika, który da panu dwie butelki, a pan je mi przyniesie. Dobrze?

Edmund Boehmer z racji swojego wieku i statusu zazwyczaj sam posyłał ludzi, by załatwiali różne jego sprawy, jednak widząc kondycję, w jakiej znajdował się jego sąsiad, bez sprzeciwu kiwnął głową. Bauer zapisał kilka zdań na kartce i wręczył ją aptekarzowi.

- Wezmę teraz ten pergamin i zacznę go naświetlać. Jak będzie miał pan te odczynniki, proszę mi je przynieść. Nie daję gwarancji, że wszystko uda się odczytać, bo skóra jest mocno zniszczona, ale zrobię, co się da.

Z bólem serca aptekarz patrzył, jak jego sąsiad wynosi z ich mieszkania bezcenny dokument. Przez ten czas pergaminy stały się jakby częścią jego samego. Trudno, wkrótce je odzyska.

* * *

Kompanieführer Otto Scheppke wraz ze swoją kompanią volkssgrenadierów uważnie przyglądał się instruktorom pokazującym uzbrajanie, zakładanie i maskowanie min przeciwpiechotnych. Batalion dopiero wczoraj dostał kilka skrzyń tych „cacuszek” i kompania po kompanii przechodzili instruktarz. Scheppke bacznie śledził mniej więcej osiemnastoletniego gefreitra z naszywkami niszczyciela czołgów na rękawie. Jego, emeryta, uczył smarkacz, mówiący niemiecką okraszoną nadgranicznym akcentem - Alzacyjny? Policyjna i detektywistyczna natura znowu zaczęła brać górę, odrywając go od rzeczywistości, więc kolejny raz spróbował się skupić na tym, co słyszał.

- Kto z was spróbuje? - saper ze szkolnej kompanii beznamiętnym głosem rzucił pytanie w stronę otaczających go wianuszkami ludzi. Większość mogła być jego ojcami lub nawet

dziadkami. Ludzie zmieszali się. Poczuli się jak we wczesnej młodości, gdy pobierali nauki w szkołach ludowych czy wyznaniowych. Ubrani w mieszaninę łachów wojskowych i cywilnych, z niedogolonymi twarzami popatrywali na siebie. Podobnie jak ich kapitan, sami byli przyzwyczajeni do nauczania i pouczania młodszych - synów i wnuków.

- Ja spróbuję. - Scheppke nie tylko chciał sprawdzić swoją wiedzę, lecz i zachęcić podwładnych do doskonalenia umiejętności. Przez chwilę majstrował przy atrapie miny i z niewielką pomocą młokosa-instruktora uzbroił ją i zamaskował. Zadowolony z siebie oddał minę stojącemu obok żołnierzowi i nieco się cofnął. Zerknął na zegarek, po czym przekazał dowodzenie grupą instruktorowi, a sam ruszył w stronę sekcji gruppenführera Puckerta. Ten miejscowy osiłek, rekonwalescent z jednostki rozpoznawczej trafił przed kilkoma tygodniami do formowanego batalionu, w którym Scheppke dostał dowództwo kompanii. Kapral miał kilka słabości, które były policjant szybko odkrył i puścił płazem, a ten odwzajemnił się wdzięcznością, która zmieniła się w wojskową przyjaźń.

Puckert nadzorował swoich ludzi, którzy w mniej lub bardziej sprawny sposób rozbrajali i uzbrajali miny.

- Bacność! - Dostrzegł zbliżającego się przełożonego.

- Spocznij i kontynuujcie. Kapralu, na chwilkę.

Odeszli kilka kroków od ćwiczących.

- Dziś trzeba będzie znów pójść do apteki - rzucił, ścisząc głos.

- Rozkaz, Herr Hauptmann!

- To nie rozkaz, kapralu. To jest coś więcej, wy to przecież doskonale rozumiecie.

Zaróżowiona od mrozu twarz Puckerta przybrała chytry wyraz.

- To się rozumie, ale boję się, że dziś w nocy znowu mogą przyjść. My tak robiliśmy na froncie, kiedy trzeba było zdobyć języka. Więc przydałby się jeszcze ktoś.

Scheppeke popatrzył na kaprała. Facet miał rację. Dopóki księgi i aptekarze będą na miejscu, groziła im wizyta nieproszonych i uzbrojonych gości. Gestapowcy (jak podejrzewali) działali niezbyt legalnie, nawet jak na ich standardy. Starszy mężczyzna przez chwilę pocierał w zamyśleniu twarz.

- Dobrze. Dam wam jeszcze dwóch ludzi. To moi starzy znajomi, z policyjnych czasów. Złodzieje, ale jeszcze tego starego sortu, którzy postępowali według swego kodeksu honorowego. Trochę byłem dla nich za miękki, co nadal na szczęście pamiętają. Przyślę ich pod pierwszym lepszym pozorem. Jak skończycie, kaprału, zajęcia, to udacie się do kancelarii batalionowej i odbierzecie rozkaz i przepustkę, po czym pójdziecie do apteki. Oczywiście dyskretnie. Ludzi doślę wam później.

* * *

- ...Dobrze. Kiedy mąż wreszcie wróci, proszę mu przekazać, że pan Hildebrandt pilnie chce się z nim spotkać. Nie zapomni pani?

Kobieta skinęła głową i zamknęła drzwi. Kryminalsekretar Jorg użył jednego ze swoich „służbowych” nazwisk. Wyszedł z oficyny w której mieszkała rodzina Schneiderów, i skierował się do klatki schodowej. Schneider od wielu lat był jego tajnym kontaktem, którego od czasu do czasu używał do rozpoznawania lokalnego środowiska. Szkoda, że go nie było. Jako cieć miał zapewne zapasowe klucze do mieszkania Cohna. Klatka schodowa cuchnęła stęchlizną.

- Idziemy - rozkazał stojącym przy bramie dwóm wyższym od niego o głowę mężczyznom. Starając się zrobić jak najmniej hałasu, wspięli się po brudnych schodach. Jeden z podwładnych wszedł na wyższe półpiętro, a drugi przygotowanym wytrychem zaczął majstrować przy zamkach. Dolny poddał się prawie bez oporu, ale z górnym miał początkowo problem. Jednak wprawne ręce funkcjonariusza szybko rozpoznały system i po chwili trzaskowi zamka towarzyszyło skrzypnięcie otwieranych drzwi. Jorg skinął głową mężczyźnie, który ruszył na dół, a on sam wszedł do środka. Przez chwilę nasłuchiwał, przyzwyczajając oczy do półmroku. Wyciągnął drobne dłonie i delikatnymi ruchami zaczął badać meble. Dyskretnie przeglądał zawartość szuflad i półek. W mieszkaniu unosił się zapach kurzu i wyraźnie widać było brak kobiecej ręki. Po chwili cicho wycofał się na klatkę schodową. Wysoki policjant zamknął oba zamki i cała trójka ruszyła w kierunku centrum, do prezydium policji.

* * *

Edmund Boehmer ostrożnie dreptał po nieodśnieżonych chodnikach, dźwigając sporą drewnianą skrzynkę z odczynnikami dla Karla Bauera. Drukarnia mieściła się na jednej z mniejszych uliczek starego miasta, do której nie docierał tłum uciekających przed wojną Prusaków i gdzie można było wejść do funkcjonującego jeszcze sklepu lub firmy usługowej. Drukarnia, w której pracował Karl Bauer, nadal była czynna, choć największe zlecenia z ratusza, partii czy te kulturalne przechwyciły wielkie firmy z centrum. Gdy Boehmer wszedł do wnętrza, starszy mężczyzna właśnie pakował pachnące farbą ulotki, na które czekał zaparkowany przed kamienicą wóz. Trochę to trwało, zanim wreszcie znalazł czas

dla aptekarza i odebrał kartkę. Znikł na zapleczu na ładne parę minut, ale Edmund Boehmer nie narzekał - z przyjemnością przeglądał leżące na półkach druki, podziwiając kunszt drukarski. Jeżeli to wszystko wokół jakoś minie, a jemu uda się opisać te rewelacje, to zleci druk właśnie Bauerowi. Jego książka stanie się cymesem wydawniczym!

Rozmyślenia przerwał powrót pracownika, który przyniósł mu sporą skrzynkę. Wyjaśnił, że nie mieli mniejszych butli, aby przelać odczynniki, stąd ta skrzynia zabezpieczająca przed stłuczeniem. Po chwili zza drzwi zaplecza pojawiła się głowa innego drukarza, który zapytał, czy mistrz Karl coś mówił na temat ewakuacji. Aptekarz zaprzeczył i podziękował. Dziwna ta drukarnia, jakby żywcem przeniesiona z prozy Poego, którego Edmund Boehmer tak cenił. Wychodząc na Alter Markt, wmieszał się w tłum. Z niechęcią przyglądał się ludziom pracującym w stronę mostów na rzece Elbing, co rozbudziło w nim poczucie zagrożenia. Ewakuacja. Drepcząc w kierunku swojej apteki, zastanawiał się, czy zostawić wszystko i nie wyjechać? W aptece i tak prawie niczego już nie było, ale Horst wyjechać nie może, bo ma dyżury w lazarecie w dawnej szkole Heinricha von Plauena²². On sam jest za stary na walkę z bronią w rękę, jednak i ucieczka w tych warunkach i przy jego zdrowiu była bardzo niebezpieczna. Mówi się przecież, że starych drzew się nie przesadza. W bezpiecznym miejscu, poza Elbingiem, mógłby przecież spokojnie kontynuować swoje pisanie książki życia, ale nie skończył jeszcze kopiować pergaminów, czego namacalnym dowodem była ciężąca mu skrzynka. Księgi trzeba jeszcze zabezpieczyć i zamurować. Otto Scheppke mówił jednak, że dopóki nie opuszczą miasta, dopóty grozić im będą te typy, które napadły ich w nocy. I do tego jeszcze Rosjanie... Może jednak bolszewicy nie wejdą do miasta? Ten łysy pułkownik,

który jest komendantem, to ponoć świetny strateg. I wojska tyle tu zgromadzili. Zawsze mogą ukryć się w piwnicach i przeczekać najgorsze. Wchodząc do „Rats”, czuł się już pewniejszy.

* * *

Karl wpuścił swojego sąsiada z dołu tylko do przedpokoju, tłumacząc się bałaganem i nie najlepszym samopoczuciem. Edmund zdołał zobaczyć jedynie intensywne światło bijące zza półprzymkniętych drzwi do pokoju, co oznaczało, że drukarz rozpoczął już naświetlanie pergaminu. Lekko podenerwowany Boehmer podreptał do siebie, by skończyć kopiowanie pozostałych arkuszy pergaminu i zastanowić się nad przenosinami ksiąg.

- Może ksiądz wyjść, już sobie poszedł.

Z drugiego pokoju wysunął się starszy mężczyzna i podszedł do stołu, na którym rozłożony był pergamin. Karl uważniej popatrzył na kapłana. Tak jak i on był człowiekiem schorowanym, na którym przeżycia ostatnich lat odbiły swoje piętno. Z drugiej strony, w odróżnieniu od Bauera i wielu innych, nie zgorzkniał i nie czuło się u niego wszechobecnej goryczy czy nienawiści. Mężczyzna pochylił się nad pergaminem i zastygł nad nim na chwilę.

- Niezwykłe, tyle stuleci to przetrwało.

Usta księdza poruszały się, gdy śledził łaciński tekst.

- Przepraszam, zacznę teraz czyścić ten pergamin. Niech ksiądz się odsunie, bo będzie bardzo cuchnąć. O, i może otworzy okno.

Duchowny posłusznie wykonał polecenia. Bauer nałożył na dłonie stare skórzane rękawice i otworzył skrzynię. Dwie spore butle stanęły przy lampie, obok delikatnych pędzelków i kilku

flanelowych szmatek. Silny, ostry zapach wypełnił pokój, gdy drukarz delikatnymi, wprawnymi ruchami zaczął nakładać pędzelkiem płyn na zaatakowane przez pleśń fragmenty skóry. Bauer kilkakrotnie przerywał swoją czynność, dając odczynnikowi czas na reakcję i jednocześnie sobie na odetchnięcie. Z oczu zaczęły mu cieknąć łzy, a oddech stał się krótki i świszczący. Wreszcie wstał z krzesła i podszedł do otwartego okna. Zerknął na księdza i pokiwał głową.

- Niech pan może się położyć...

Przeczącym gestem odrzucił sugestię i wrócił do stołu. Najgorsze było za nimi, teraz należało tylko zabezpieczyć delikatny inkaust przed odbarwieniem. Oddychając już spokojniej, nakładał płyn z drugiej butli, dmuchając na pergamin. Zmęczony odłożył pędzle i popatrzył na swojego gościa.

- Kiedy to wyschnie, proszę wyłączyć lampę. Ja muszę się położyć na chwilę. Gdyby Boehmer się dobijał, niech mnie ksiądz zerwie z łóżka.

Ocknął się po godzinie. Za oknem posypywał lekki śnieg, wkrótce zacznie się ściemniać. Gardło go drapało, musiał zrobić sobie coś do picia. Zsunął nogi z łóżka i wyszedł ze swojej sypialni do saloniku. Ksiądz siedział w dziwnej pozie przy stole pochylony nad pergaminem. Zaskoczony drukarz przez chwilę przyglądał się mu w milczeniu, po czym podszedł do siedzącego i położył mu rękę na ramieniu.

- Źle się ksiądz czuje?

Mężczyzna dopiero teraz zareagował. Jego twarz zmieniała się: na policzkach pojawiły się rumieńce, a oczy błyszczały.

- Jak pan spał, usiadłem, tak ze zwykłej ciekawości, i spróbowałem przeczytać, co tu jest napisane. Mówił pan, że pański sąsiad z dołu, aptekarz, jest tymi pergaminami

zafascynowany. Teraz wiem dlaczego... - Pełen ekscytacji głos był coraz donośniejszy.

Bauer położył palec na ustach, a ksiądz zmitygował się.

- Przepraszam pana, to stare przyzwyczajenia. Zapewne jak pański sąsiad nie mogę się powstrzymać, gdy widzę coś takiego.

Mój sąsiad dobrał się z moim lokatorem - uśmiech po raz pierwszy od dłuższego czasu zagościł na twarzy Bauera.

- Pozwoli ksiądz, że przeczy...

Energiczne stukanie do drzwi zakończyło rozmowę. Jeden z mężczyzn zniknął w sąsiednim pokoju, a drugi otworzył drzwi na klatkę schodową, wpuszczając do środka tryskającego energią siwowłosego sąsiada.

* * *

Kreisleiter Emil Preuß nerwowym krokiem przemierzał trasę od swojego fotela, nad którym wisiał portret Führera, do obitych brązową skórą solidnych drzwi. Nerwowo drapał przy tym brodę, na której zaczął pojawiać się siwiejący zarost. Co jakiś czas zatrzymywał się, by znacząco spojrzeć na wpiętego na klubowym fotelu tęgiego mężczyznę, który mówił do niego z wyraźnym wysiłkiem. Na dźwięk kolejnych słów Preuß zatrzymał się przed fotelem i pochylił się nad nim. Na jego skroniach zaczęły występować żyły, nadając purpurowej twarzy grymas najwyższej wściekłości. Mężczyzna, jakby nie widząc podenerwowania dostojnika, spokojnie kontynuował.

- Naprawdę zdurniałeś, Bergmann! - krzyknął wreszcie, przerywając monolog. - Zadarłeś, kretynie, z gestapo! Z gestapo! Nie wiem, jak w Königsbergu, ale tu musimy się z nimi liczyć! - wycedził.

Gerhard Bergmann spojrział zaskoczony na kreisleitera. Przez chwilę mrugał, jakby chciał przypomnieć sobie, o czym poprzednio mówił.

- Nie pieprz, Preuß! - odpowiedział mu równie ostro.

- Wiesz, z kim masz do czynienia i nie słuchałeś mnie uważnie. Pewnie sam chcesz jak najszybciej stąd zwać, co?

- Pamiętasz mojego poprzednika, Kurta Bietau? Zadarł z nimi i musiał uciekać na front, do SS! Nawet Forster nie mógł mu pomóc! Ruscy są niedaleko, a oni nie będą się ani ze mną, ani z tobą patyczkować. Ze względu na naszą znajomość załatwię ci transport do Dirschau²³, a dalej radź sobie sam.

- Dawaj telefon! Zaraz zadzwonię do gauleitera Kocha, a on ci przypomni parę spraw. Nie myśl, że jak formalnie nie podlegacie nam, tylko Forsterowi, to nie sięgną tu nasze ręce. Mamy na ciebie tyle papierów, że nawet Bormann by ci nie pomógł... A tym komisarzem z gestapo nie przejmuj się. To wyjątkowa dupa i dekownik. Żeby przez dwa dni nie odzyskać moich ksiąg? Dali mi przecież jakieś narkotyki i całkiem możliwe, że wydobyli prawdę o nich. Może już je mają, tylko udają, że coś robią? I zwieją z nimi na zachód, a potem sprzedadzą za wolność Amerykanom. Dlatego sam, mimo ran, muszę działać, a ty, Emil, bez gadania mi pomożesz. Będę potrzebował dwóch ludzi, ale takich, którym ufasz bardziej niż swojej matce. Oddanych towarzyszy, niebojących się mokrej roboty dla partii. I dobrego samochodu - może być nawet twój służbowy mercedes.

- Chyba nadal jesteś naćpany? Jaki samochód, jakich ludzi? Teraz możesz ze swoim Kochem mi... - no wiesz co! - wycedził przez zęby kreisleiter, starając się przybrać pewny siebie wyraz twarzy.

- Twoja kochanka z synkiem zdaje się są w Königsbergu? - Na tłustej twarzy Bergmanna rozlał się tryumfalny uśmiech. Preuß zatrzymał się skamieniały. Bergmann z wysiłkiem podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Proszę połączyć mnie z Königsbergiem i gabinetem gauleitera, tylko natychmiast.

Przez chwilę z uśmiechem patrzył na zmieszanego kreisleitera.

- Herr Gauleiter, tu Bergmann. Jestem nadal w Elbingu, mam pewne problemy. Oddaję słuchawkę kreisleiterowi Preußowi z prośbą o zmotywowanie go. - Wyciągnął słuchawkę w kierunku kreisleitera, który na sztywnych nogach podszedł do biurka.

* * *

Myślenie wprawdzie nie rozgrzewało, ale pozwalało zapomnieć o lodowatym wnętrzu służbowego horcha. Trudno było mu skupić się na jednym temacie. Najważniejsza była oczywiście ewakuacja placówki z Elbinga razem z podległym mu oddziałem więziennym. Udało się to połowicznie rozwiązać, eliminując część więźniów jadących ciężarówkami do Danziga w otaczających Frische Haff trzcinowiskach. Dokumentacja była w większości zniszczona, a on sam spakowany i gotowy do wyjazdu. Nagle z niepokojem przypomniał sobie o raporcie Jorga dotyczącym sekretarza Cohna. Wcześniejsze podejrzenia w stosunku do podwładnego, niejasne i nieistotne, stały się nagle zrozumiałe. Ten człowiek nie grał już w policyjnej drużynie, a wyraźnie starał się nie tylko zwiać, ale i oszukać go w sprawie ksiąg. Musiały być faktycznie niezwykle, skoro kontakt z nimi, ba, nawet wiadomość o nich ujawniała w ludziach najniższe instynkty. Cohn dopuszczał się zdrady i to nie socjalizmu czy wodza, ale ich pracy i najważniejszego -

zaufania komisarza Petersa. Tego nie mógł darować. Peters nie wiedział tylko, czy Cohn robi to na własną rękę, czy może skumał się z Bergmannem? A jeśli z nim, to czy w sprawę wszedł ich kreisleiter? Wydzwaniał przecież i naciskał go, by energiczniej zająć się śledztwem. Na odprawie Cohn siedział jakby nigdy nic, zapytał tylko, czy ma brać ludzi z własnej sekcji, po czym znudzonym wzrokiem spoglądał to na Petersa, to na widoczne za szybami płatki śniegu. Dobrze się maskuje albo to Jorg kręci - przemknęło komisarzowi przez myśl.

Ponownie przetaił zamarzającą szybę w horchu i wbił wzrok w nieodległy budynek ozdobiony szyldem „Rats”.

* * *

Edmund Boehmer powoli przeżuwał niewielki kawałek wołowiny, który stanowił podstawę dzisiejszego późnego obiadu. Walcząc z włóknistymi pozostałościami po najstarszej krowie w Prusach, myślał o dzisiejszym dniu. Po odebraniu od sąsiada oczyszczonego z pleśni pergaminu zasiadł przy biurku, by odcyfrować brakujący fragment. To, co początkowo wyglądało na mapę, było tak naprawdę fragmentem postaci ludzkiej, narysowanym niewprawną ręką. Twarz najprawdopodobniej młodego człowieka, z szeroko rozstawionymi oczami i prostym, niedużym nosem. Kilka kresek układało się w linię brwi łamiących się prawie pod kątem prostym, a inne imitowały wiechowate wąsy nad wąskimi ustami. Spod żebrowego hełmu wzmocnianego nitami wysypywały się niesforne, proste włosy przykrywające częściowo kolczy czepiec. Postać kończyła się na wysokości piersi, gdzie jednolita plama przecięta była pionowym, ciemnym elementem, który sugerował pionowe ramię krzyża. Czyżby to był on? Hermann Balk? Rysunek obwiedziony był

szczelnie pismem. Nawet pobieżna analiza wskazywała, że autor tekstu napisał najpierw jego część, a potem, zapewne w pośpiechu, bez zachowania swojej zwykłej staranności dopisywał spore fragmenty.

Aptekarz wypluł resztki mięsa na talerz. Tego nie dało się jeść. Henrietta była niezłą kucharką, ale nawet ona nie mogła zrobić z czegoś takiego jadalnego dania. Mrucząc podziękowanie, wyszedł do swojego gabinetu. Został mu do przepisania ostatni fragment pergaminu - ten uratowany przez Bauera. Horst ponaglał go, że chce ostatecznie schować dokument w oprawie księgi i wraz z pozostałymi zamknąć je w skrzyni. Ukrył ją prowizorycznie w przewodzie kominowym, po bardzo dokładnym zabezpieczeniu pozostających w niej woluminów. W tym roku nie używali kominka, a taka skrytka była stosunkowo trudna do wytropienia. Edmund zapalił lampę i zasiadł do pracy.

* * *

Mercedes kreisleitera z trudnością pokonał wysoki krawężnik i przez wąski wjazd wtoczył się do wnętrza kwartału domów. Kierujący nim szofer pod nosem przeklinał siedzącego z tyłu pasażera, który wymyślił cały ten wyjazd i precyzyjne parkowanie. Jako kierowca najważniejszego lokalnego dygnitarza nieczęsto wykonywał skomplikowane manewry wielgachnym i ciężkim wozem. Natomiast jako zaufany przywódcy nie zadawał pytań i nie zwykł dziwić się wydawanym poleceniom - nawet wożeniu cegieł w bagażniku z cegielni Dambitzen²⁴. Dziś jednak było inaczej, bo pasażerem był grubas we wsiowym kożuchu, którego chyba i sam kreisleiter musiał darzyć respektem. Obok kierowcy siedział zaufany towarzysz Emila Preuße, pewnie jeszcze z lat

trzydziestych, który nazywał się Claaßen, a za plecami mówiono o nim „Blady”. Kreisleiter też go tak nazywał, a on nigdy nie ujawnił swojego imienia. Zresztą szofer, August Neumann, nie okazywał większej chęci zawierania bliższej znajomości z Claaßenem. Razem pracowali, i tyle.

„Blady” wyskoczył z wozu i usłużnie otworzył grubasowi drzwi, po czym pomógł sapiącemu mężczyźnie wydostać się na zewnątrz. Obaj ruszyli w stronę środka kwartału, uważnie spoglądając na wychodzące na placyk okna. Zimno i zbliżający się zmięch wygoniły zarówno dorosłych, jak i bawiące się tu dzieci. Na sąsiedniej Schmeidestraße ruch też wyraźnie zmalął. Fala uciekinierów zmniejszyła się, pewnie też za sprawą kreisleitera, który wymusił na podległych mu instytucjach wzmożenie działań ograniczających defetyzm i panikę. Neumann przypominał sobie, że jutro przez cały dzień będzie woził Preuša na spotkania z pracownikami firm. Nuda, lecz do wytrzymania.

Grubas z „Bladym” stanęli przed jednym z wejść, a w ręku Claaßena błysnął srebrny pistolet. Kierowca sięgnął za pasek i wyciągnął parabelkę. Sprawnym ruchem przeładował ją, po czym odkręcił częściowo szybę drzwi, aby zamarzająca na niej para nie zasłaniała mu widoku.

* * *

Edmund z uwagą przyglądał się, jak jego syn precyzyjnie zawijał ciężką, grubą księgę w szary woskowy papier, którego sporymi zapasami każda apteka musiała dysponować. Kapral Puckert przyciskał arkusze papieru, które Horst sprawnie zalewał roztopioną stearyną, tworząc niedostępne dla wody powierzchnie. Wewnątrz paczki znalazła się także mała szmatka nasączona formaldehydem, która miała powstrzymać

rozwój pleśni lub bakterii mogących zniszczyć księgi. Gwałtowny łomot do tylnych drzwi powstrzymał mężczyzn. Spojrzeli po sobie, po czym obaj zwrócili wzrok na Edmunda. Starszy pan pokiwał przecząco głową.

- To pewnie ci dwaj ludzie od pana kapitana Scheppke. Mieli przyjść wieczorem, ale po prawdzie to już robi się ciemno. Mam pójść otworzyć? - Puckert przeniósł wzrok z ojca na syna.

- Dobrze, ale niech się pan pośpieszy, bo stearyna stygnie i znowu trzeba będzie czekać.

Puckert wytarł ręce w leżącą na stole szmatkę i ruszył ku wyjściu. Usłyszeli jego głos, po czym trzask przekręcanego klucza i odsuwanych sztab. Nagle rozległ się wrzask i głuchy odgłos uderzenia, następnie łomot podzielowanych butów i do pokoju wdarł się postawny mężczyzna w kapeluszu ze srebrnym pistoletem w dłoni. Za nim, ciężko sapiąc, wtoczył się... Bergmann.

- Co z tamtym?

- Dostał w łeb, nieprędko się podniesie. Zamknął pan drzwi?

- Tak. No co, Boehmer, nie spodziewałeś się mnie, co! Myślałeś staruchu jeden, że już gryzę ziemię? A tu taka niespodzianka! - Gerhard Bergmann wyciągnął pistolet i wycelował go w zastygłego w bezruchu aptekarza. Przez chwilę rozkoszował się poczuciem własnej mocy.

- Mogłeś wyprowadzić w pole tych głupców z gestapo, ale nie mnie. Dobra, jeżeli chcesz żyć, gadaj, gdzie są księgi?

Edmund ciężko przełknął ślinę. Przerażony starał się zebrać myśli, ale żaden fortel, żadna wymówka nie przychodziła mu do głowy.

- Gadaj, staruchu, bo zostaniesz ostatnią żywą odnogą swojej rodziny. - Bergmann zwrócił pistolet w stronę Horsta.

- Jest tu - wyszeptał i wskazał wzrokiem na stół i opakowaną w papier paczkę.

- Sprawdź! - dygnitarz rozkazał „Blademu”, który nie opuszczając broni, zbliżył się do stołu i uniósł paczkę wolną ręką. Zaskoczony jej ciężarem szarpnął papier, rozrywając go. Spod połyskliwej warstwy szarości ukazał się kawałek brunatnej skóry i metalu.

- Jest. - Głos Bergmanna przeszedł prawie w nabożny szept. Przez chwilę wpatrywał się intensywnie w widoczną część woluminu. Najcenniejsza z ksiąg wreszcie się znalazła.

- Gdzie pozostałe?

Starszy z aptekarzy popatrzył na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Nie gadaj, że nie wiesz, o czym mówię. Te ze skrzyni. Przecież ją tu przywieźli do was.

Edmund Boehmer nabrał głębiej powietrza. Strach, który odczuwał, nagle stopniał. Życie jest krótkie, wojna za progiem, więc najwyżej wraz z Horstem zginą o kilka dni wcześniej. Synowa z wnukami są przecież bezpieczni.

- Te, których nam nie zarekwirowało wczoraj wojsko, w nocy zabrało gestapo. Nie powiedzieli o tym panu...

- Co ty, dziadku, pieprzysz? Jakie wojsko, jakie gestapo?

Edmund uniósł się z fotela, ale ruch srebrnego pistoletu posadził go z powrotem. Widział wyraźnie, że grubas był zaskoczony tym, co usłyszał. W ostatniej chwili powstrzymał się, aby nie wymienić nazwiska Bergmann. Ten błąd oznaczałby egzekucję całej trójki.

- Wie pan tyle o nas, a tego panu nie powiedzieli? Wczoraj zajechała pod aptekę ciężarówka, pobili nas, zabrali wszystkie lekarstwa, jedzenie i skrzynię z książkami. Po co im ta skrzynia? Nie wiedziałem, ale teraz już chyba rozumiem, W nocy napadło na nas dwóch ludzi. Jeden na pewno był z gestapo. Pewnie doszli do wniosku, że możemy się wygadać o księgach i postanowili nas sprzątnąć. Na szczęście nocował u

nas krewniak, ten wojskowy, którego zabiliście w holu - Edmund ponownie nabrał powietrza - i on łobuzów przepłoszył. Tylko tej księgi nie zauważyli...

Bergmann z rosnącym zniecierpliwieniem słuchał starszego aptekarza. W końcu przerwał mu:

- To gdzie według ciebie mogą być te księgi?

- To jasne. Gestapo nie chciało oficjalnie wchodzić do „Rats”, więc poprzebierali się za Volkssturm i pod pozorem rekwizycji zabrali woluminy. Oni dobrze wiedzieli, czego szukają. My, Boehmerowie, jesteśmy szanowanymi mieszkańcami Elbinga, z którymi liczy się nadprezydent i rada miejska, ale taka przebieranka to co innego.

- Dobra, już starczy gadania. Zwiąż ich - Bergmann zwrócił się do Claaßena. - Trzeba przeszukać tę chałupę, mamy mało czasu.

- Zawołać kierowcę? - zapytał „Błady”.

- Nie, sami damy radę. Zaczynaj od starego. - Pistolet grubasa powędrował w stronę Edmunda. Wyciągniętym z kieszeni sznurem Claaßen sprawnie docisnął szczupłe ciało aptekarza do krzesła.

Dźwięk dzwonka unieruchomił na chwilę trzech stojących mężczyzn. Ktoś otworzył drzwi do apteki i wszedł do środka. Przez chwilę na zaplecze wdarł się hałas ulicy, po czym przycichł wraz z zamykanymi drzwiami.

- Wyjdź i dowiedz się, o co chodzi. Spław bez gadania. On będzie cię obserwował, a ja mam na oku starego. Zrobisz coś głupiego, to obaj zginiecie. No, ruszaj! - wycedził przez zęby Bergmann.

Roztrzęsiony Horst wyszedł z „Bładym” za plecami.

- Dzień dobry! - dobiegło z apteki. Bergmann zmarszczył brwi. Gdzieś już ten głos słyszał, ale nie mógł go skojarzyć. Najbliżej jak było można, przesunął się do wejścia do apteki,

starając się jednocześnie nie tracić z oczu związanego Edmunda.

Horst zdenerwowanym głosem tłumaczył coś mężczyźnie, wyglądało, jakby udzielał mu jakiejś porady medycznej. Dzwonek ponownie zabrzączał, a młodszy aptekarz wrócił na zaplecze.

- Czego chciał?

- Jego córka rozchorowała się, a on nie mógł znaleźć swojego lekarza, więc przyszedł po poradę.- Zamknij aptekę, Boehmer, i tak jest pusta.

- Nie możemy, mamy obowiązek sprzedawać, bo jesteśmy punktem dyżurującym. Jak zamkniemy, to zaraz ludzie doniosą.

Dygnitarz zamilkł. Na zmianę będą szukali tych ksiąg. Są wielkie, więc łatwo się ich nie uda ukryć. Słowa starszego z aptekarzy wzbudziły w nim cień podejrzenia w prawdomówność gestapowców. Było całkiem możliwe, że zorientowali się, co wpadło im w łapy i postanowili to zatrzymać dla siebie. Kraj był w rozsypce, a funkcjonariusze zaczęli na gwałt troszczyć się o swoje własne bezpieczeństwo i przyszłość. Nagle przypomniał sobie głos z apteki. To był ten, który z nim rozmawiał w tajnym mieszkaniu. Czyli stary miał rację.

- Zaczynij tu szukać - wiesz, jak to wygląda.

„Błady” ruszył w głąb mieszkania, gdy ponownie zabrzączał dzwonek.

- Dobry wieczór - rozległ się męski głos.

Claaßen wykonał ostry zwrot i w kilku krokach znalazł się przy drzwiach do apteki.

- Ani mru-mru - Bergmann wycedził do Boehmerów. Z apteki dobiegło szuranie kolejnych kroków oraz grzmot odległych eksplozji.

Pistolet „Bładego” nagle wypalił. Usłyszeli jęk i ostrzegawczy okrzyk, zagłuszony przez zgrzyt tramwaju przejeżdżającego przed kamienicą. Trzech mężczyzn na zapleczu z napięciem wpatrywało się w ciemny korytarzyk prowadzący do drzwi lokalu. Padł kolejny strzał i zgasło światło, pogrążając nie tylko kamienicę, ale i całe miasto w mroku.

- Zapal świecę, bo zabiję starego! - wrzasnął Bergmann. Błysnął płomień zapalki i rozległy się kolejne strzały. Zapalka zgasła, po czym zapłonęła nowa, przysłonięta przez dłoń Horsta zapalającego dyżurną lampę naftową. Podłoga i ściany apteki zaczęły trząść się, jakby w pobliżu przejeżdżała lokomotywa.

- Wiejemy! - W pomieszczeniu pojawił się „Błady” z wykrzywioną bólem twarzą, trzymając się za rękę pokrytą czymś ciemnym. Bergmann zaskakująco szybkim ruchem znalazł się za Horstem i grzotną ręką pistoletu. Mężczyzna zwałił się na podłogę, a Gerhard chwycił wolną ręką owiniętą w papier księgę. Ogłuszający zgrzyt salwy karabinowej uderzył w aptekę, mieszając się z brzękiem pękających szyb i tłuczonych butli. Potworny łomot połączony z dygotaniem ścian zmusił przerażonego Edmunda do zamknięcia oczu. Nie słyszał więc ani nie widział przebiegającego przez zaplecze wysokiego mężczyzny z pistoletem w dłoni.

* * *

- Zrozumieliście instrukcje? - Kompanieführer Scheppke opierał się ręką o ciepłą maskę terenowego steyra. Dwaj mężczyźni w znoszonych, wojskowych płaszczach z opaskami Volkssturmu na rękawach i przerzuconymi przez ramiona karabinami kiwnęli potakująco głowami. Starszy, około czterdziestoletni, kilkakrotnie spotykał się wcześniej z

kapitanem, jeszcze w czasach jego służby w policji. Młodszy też był notowany, choć to właśnie Scheppke wybronił go od wieloletniego wyroku. Potem los zetknął ich w jednej jednostce pospolitego ruszenia. Otto odebrał od nich słowo honoru, że w mieszkaniu Boehmerów nie będą próbowali czegoś zwędzić, a wręcz przeciwnie, wykorzystają swój złodziejski spryt, pomogą zabezpieczyć cenne przedmioty.

Nagły huk dobiegł ich od strony pobliskiego placu Wilhelma.

- Co, do cholery? Artyleria przeciwlotnicza? Przecież nie słyszeć syren?

Miasto było wyposażone w dobrze rozwinięty system nasłuchowy i posterunków obrony przeciwlotniczej i praktycznie nie zdarzało się, aby jakieś samoloty wroga mogły nadlecieć bez alarmu. Ich samochód stał na Mauerstraße²⁵, prostopadłej do Schmeidestraße i równoległej do Friedrich-Wilhelm-Platz²⁶. Za nimi rozległ się łoskot gąsienic tłukących o bruk starej ulicy. W mdłym świetle ulicznych latarni dostrzegli pokryte ludzkimi sylwetkami czołgi, które toczyły się Heilig-Geist-straße²⁷ - o kilkadziesiąt metrów od nich.

- Zgaś światła i do bramy! - krzyknął Otto do kierowcy.

- Nie wyłączaj silnika i czekaj na nas.

Wokół rozpoczęła się strzelanina. Gdy ostatni pojazd zniknął im z pola widzenia, ruszyli w stronę Schmeidestraße. Przed oczyma przemknął im jadący w stronę placu tramwaj, a po chwili z tamtej strony dobiegł ich potworny trzask i seria z karabinu maszynowego.

- Jasna cholera, Ruskie w mieście! - krzyknął młodszy mężczyzna.

- Tędy, panie kapitanie! Przejdziemy przez kamienicę! - starszy volkssturzysta przejął inicjatywę. Po omacku przeszli

cuchnącym moczem korytarzem, potykając się i uderzając o wystające przedmioty.

Skrzypienie otwieranych na podwórze drzwi zagłuszył huk wystrzałów i ryk silnika samochodowego. Mężczyźni przywarli do ściany. Otto przesunął się do przodu i wychylił głowę; parę metrów od nich osobowy mercedes próbował wyrwać się ze śnieżnej zasy, a w jego kierunku, oświetlony reflektorami auta, biegł z wysiłkiem mężczyzna z pistoletem w dłoni. Na sekundę zatrzymał się i wystrzelił do samochodu, który wydobywszy się z zasy, z rykiem silnika wyjeżdżał z bramy. Gdy pojazd i biegnący znikli za murem kamienicy, Scheppke wyskoczył ze śmierdzącego korytarza i wyciągnął z kabury pistolet.

- Za nimi!

Obaj podwładni natychmiast go wyprzedzili, w biegu przeładowując karabiny

- Bergmann, ty Świnio! - Wysoki z wyciągniętym pistoletem stał nad grubasem, który wpełzł z rozbitego samochodu. Kule musiały trafić kierowcę. Jeden z żołnierzy Scheppkego długim skokiem pokonał odległość dzielącą ich od człowieka z bronią i nim ten zdążył zareagować, uderzył go kolbą karabinu w głowę.

* * *

Gdy kierowca jego mercedesa wykonał nagle ostry skręt kierownicą, Gerhard zdążył jedynie rzucić górną połowę ciała na obite skórą siedzenie. Uderzenie w mur kamienicy nie było silne, ale głowa siedzącego przed nim „Bładego” solidnie grzmotnęła w deskę rozdzielczą. Instynkt zmusił Bergmanna do otwarcia drzwi i wyczołgania się na pokryty śniegiem bruk ulicy. Do oszołomionego umysłu docierał jedynie hałas strzelaniny, dlatego też nie usłyszał głosu mrocznej postaci stojącej na tle jeszcze ciemniejszego szeregu kamienic, na który

nie padało światło jedyne ocalałego reflektora jego samochodu. Z wysiłkiem uniósł głowę i dopiero wtedy dostrzegł błysk światła na lufie pistoletu. Zamknął oczy, a kiedy uchylił powieki, dostrzegł nad sobą dwa pochylające się cienie.

- Spasłeś się, Bergmann, złodzieju. - Głos należał do starszego z mężczyzn. - Po tylu latach wreszcie cię dopadłem.

Gerhard przełknął ślinę zmieszana z krwią z rozbitych ust. Wyczuł, że to nie ten, który do niego strzelał, i że ma jakąś szansę.

- Jestem urzędnikiem gauleitera Kocha. Pomóżcie mi, odwdzięczę się - wysapał z trudnością. Pęknięte żebra i potłuczone w dwóch wypadkach kończyny sprawiały niemiłosierny ból. Od Schmeidestraße dobiegł ich dźwięk serii z broni maszynowej i wystrzały pistoletowe. Pochyleni nad nim mężczyźni odwrócili głowy, dając Bergmannowi szansę rozejrzenia się. Za nim stał jego samochód z palącym się światłem i otwartymi drzwiami. Jeżeli go zostawią, to da radę dopełznąć do środka i ruszyć, o ile zapali. To przecież jest mercedes, więc musi zapalić.

- Podnieś go - padła komenda.

Drugi z mężczyzn chwycił dygnitarza za rękaw i pociągnął w górę. Przeszywający ból prawie pozbawił go świadomości.

- Jezu, jaki ciężki - wyjęczał mężczyzna i podprowadził go do maski samochodu. Bergmann ciężko oparł się o pojazd, z trudem łapiąc powietrze.

Od strony Schmeidestraße ponownie odezwała się palba karabinowa, tym razem znacznie głośniej. Stojący obok grubasa żołnierz uniósł broń do policzka i wycelował w stronę ulicy. Coś się na niej paliło, bo jej wylot rozjaśnił się nieco migotliwym poblaskiem ognia. Mroczna, niewysoka sylwetka wpadła w Mauerstraße i przemknęła koło samochodu, wbiegając na podwórze za apteką.

- Widziałeś? - zapytał starszy.

- Jakiś dzieciak pewnie - odezwał się z wahaniem młodszy żołnierz.

- Fritz, zobacz, co się tam dzieje - starszy wydał rozkaz.

Bergmann dostrzegł w słabym świetle reflektora kolejną sylwetkę żołnierza z karabinem przesuwającą się w stronę skrzyżowania ze Schmeidestraße. Nagle mężczyzna przyklęknął i błyskawicznie wystrzelił do kilku ludzi, którzy pojawili się u wylotu ulicy. W ścianę kamienicy nad samochodem uderzyła seria z broni maszynowej, zmuszając żołnierzy do skulenia się. Kolejna ze zgrzytem trafiła w bruk, a pociski, rykoszetując, pomknęły w głąb ulicy.

Volkssturmiści odpowiedzieli ogniem, uskakując jednocześnie do tyłu. Struchlały Bergmann przycisnął się do karoserii mercedesa. Napastnicy, z których dwóch było w jasnych, zimowych strojach, mieli wyraźną przewagę ognia - ich pistolety maszynowe skutecznie przygważdżały mausera Niemców. Jeden z nich krzyknął: „Saszka, gdzie Saszka!”. Drugi coś odpowiedział niezrozumiale i skoczył w stronę podwórka za apteką. Kilka kul przeleciało tuż nad nim, otrzeźwiając go. Zaciskając zęby, przesunął się wzdłuż karoserii i otworzył drzwi kierowcy. Szofer leżał nieprzytomny na kierownicy - Bergmann powolnym ruchem, by nie nadwerężyć obolałego ciała, wyciągnął go na bruk ulicy. Na sąsiednim siedzeniu leżał nieprzytomny „Blady”, lecz nie stanowił problemu. Z trudnością wcisnął się za kierownicę, po czym zamknął oczy, starając się opanować ból. Walka przeniosła się w głąb ulicy, a jej odgłosy z wolna przycichały. Ręka powędrowała do kluczyka. Przez chwilę trzymał go, starając się obmyślić plan ucieczki. Trzeba skrócić w prawo, do mostów, a potem wyjechać z miasta i kierować się na Marienburg²⁸. Przekręcił kluczyk; silnik jakby z

wahaniem zaskoczył. Z trudnością przełożył bieg i wcisnął gaz. Auto ze zgrzytem oderwało się od ściany kamienicy i zsunęło się z wysokiego krawężnika, trąc go blachą. Tylne koła najechały na coś, ale Bergmann nie przejmował się rannym Neumannem, tylko przełożył bieg i ruszył w stronę płomieni u wylotu ulicy. Był wolny.

* * *

Zrezygnowany Edmund opadł na krzesło. Przez chwilę po ucieczce napastników starał się wyzwolić z krępujących go więzów, ale tylko zmęczył się i dostał zadyszki. Przez otwarte drzwi od podwórza i z rozbitej witryny apteki wpływała fala zimnego powietrza, dając nadzieję, że prędzej czy później albo Horst, albo kapral ockną się. Nie poradziwszy sobie z więzami, aptekarz próbował odtworzyć niezwykle ciąg ostatnich wydarzeń. Najpierw Bergmann z tym przerażającym bladopskim typem. Potem strzelanina i okropny łoskot na ich ulicy, jakby pociąg tamtędy przejeżdżał. Co to mogło być? W końcu najbardziej prawdopodobny wydał mu się półgąsienicowy wojskowy ciągnik, jakich używała ciężka artyleria kwaterująca na Königsberger StraÙe. Ten typ, który przemknął przez ich mieszkanie? Znow strzelanina na ulicy, ale bardziej od podwórza. Ile czasu to trwało? Co dzieje się z Horstem? Jako ojciec nigdy nie był zbyt wylewny, zresztą taki też był i jego ojciec, a Horst zachowywał się podobnie w stosunku do swoich dzieci. Ale przecież był dumny z syna, który pomimo ciężkiej choroby z dzieciństwa ukończył studia i objął po nim schedę. Fakt, że nie miał wielkiego talentu handlowego, więc firmy pewnie by nie rozwinął, ale był świetnym farmaceutą i oddanym dzieckiem.

- Horst, Horst! - zawołał w kierunku znajdującego się na granicy światła naftówki syna. Wydało mu się, że ciało jakby ruszyło się, ale mogło to być również złudzenie wywołane zmęczonym wzrokiem. Przestał wołać, bo usłyszał stukot butów i głosy na ulicy, warkot samochodu. Może ktoś pędzi mu na ratunek? Skrzypnęły drzwi od podwórza, ktoś wszedł w korytarzyk.

- Tutaj! - krzyknął. - Pomocy!

W korytarzu zapadła cisza, za to koło wejścia do apteki rozległy się nawoływania, zgrzyt metalu i skrzypienie trących o siebie kawałków rozbitego szkła. Zdezorientowany zamilkł, starając się zrozumieć sytuację. Usłyszał, jakby ktoś delikatnie wchodził po schodach na piętro. Miał krzyknąć, ale nagle uzmysłowił sobie, że to może znowu być Bergmann albo ktoś z jego bandy. Opuścił głowę na piersi, udając nieprzytomnego, wytężając jednocześnie słuch. Na ulicy trwała krzątanina, lecz nikt się nimi nie interesował. Co jest? Czuł rosnące ciśnienie krwi i przyspieszone tętno. Organizm domagał się powietrza, a on z całych sił starał się uspokoić oddech. Teraz dotarło do niego skrzypnięcie i trzaśnięcie drzwi od podwórza. W krąg światła lampy naftowej ciężkim krokiem wszedł ubrany w brudny, niegdyś biały ubiór wojskowy. Edmund kątem oka widział dolną część ciała człowieka. Jego filcowe buty i automat z bębnowym magazynkiem, jaki oglądał w gazetach i w kronikach filmowych, zmroziły krew w żyłach aptekarza. Bolszewik! *Herr Gott!* Komuniści są w mieście!

Mężczyzna pochylił się nad leżącym Horstem i wtedy Edmund dostrzegł zarys nieogolonej twarzy i czapkę uszanke. Jego syn nagle jęknął, a automat Rosjanina błyskawicznie skierował się w stronę głowy nieprzytomnego. Skamieniały ze strachu starszy pan wpatrywał się w broń. Po chwili żołnierz przestąpił przez ciało leżącego i ruszył w kierunku pomieszczeń

apteki. Znikł mu z oczu, ale podłoga przestała skrzypieć - musiał więc obserwować, co dzieje się na ulicy. Po chwili pojawił się znowu w kręgu światła, coś mówiąc w swojej szeleszczącej mowie.

- *Saszka, nie bojties. Eto ja, diadia Rykow!*

Głos męczyzny był mocny, ale nie donośny. Po chwili powtórzył wezwanie, po czym chyba zaklął i ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi i wyszedł.

Horst podniósł głowę i spojrzał na ojca.

- Żyję, ale łeb mi pęka. Zaraz cię rozwiążę, tato.

Nagle huknęły dwa strzały, po nich seria z broni maszynowej i drzwi ponownie otworzyły się. Ruski żołnierz w trzech skokach był na zapleczu.

- *Hände Hoch!* - krzyknął na podnoszącego się Horsta. Chwycił go za ramię, po czym wypchnął na schody prowadzące do mieszkania na piętrze. Krzyknął coś jeszcze i puścił serię ze swojego automatu w stronę drzwi. Na schodach rozległ się łomot i zapadła cisza.

* * *

Leżeli jak szczury za stertą śmieci i gruzu, które jakiś leniwy mieszkaniec zapomniał usunąć. Serie z sowieckich automatów przycisnęły ich do ziemi, nie dając szansy, by nawet odetchnąć. Jeden z jego ludzi stękał, może był ranny? W końcu Scheppke zdecydował się unieść lekko głowę. Na tle płomieni oświetlających Schmeidestraße zauważył uciekających z „ich” uliczki Rosjan i poderwał się na nogi.

- Cali?

- Ja tak, panie kapitanie, ale Friedrich mnie przygniótł...

Nagły zgrzyt przykuł ich uwagę. Mercedes zjeżdżał właśnie z krawężnika, szorując po nim dartymi blachami. To musiał być

grubas wiejący z księgą.

- Biegnijcie do apteki, a ja ruszam za nim! - krzyknął Scheppke i skoczył w mrok, ku miejscu, gdzie powinien stać steyr. Kompanieführer prawie po omacku znalazł tył samochodu i dotarł do drzwi.

- Küßner! Gdzie do diaska jesteście?

Z mroku oderwała się skulona sylwetka i stanęła przed Ottonem.

- Jezu, panie kapitanie, myślałem...

- Zapalaj, jedziemy za tym mercedesem!

- Ale... - Uderzenie dłonią w głowę zakończyło dyskusję. Trzasnęły zamykane drzwiczki, a ciepły silnik steyra 1500 natychmiast zaskoczył.

- W lewo, jedź na mosty, tam pewnie wieje!

Ciężki pojazd wolno wydostał się na Schmeidestraße. Przed apteką stał rozbity samochód osobowy, naprzeciwko paliła się witryna. Ulica zasłana była potłuczonym szkłem, które teraz rozgniatały ciężkie koła. Przejeżdżając przez Alter Markt, dostrzegli palący się czołg; skręcili w Wasserstraße, po czym znaleźli się na przed mostem. Samochód z piskiem zatrzymał się przed posterunkiem żandarmerii.

- Mercedes, czarny mercedes! Jechał tędy?

- Tak, ale... - Dopiero teraz wystraszony żandarm dostrzegł w świetle latarki dystynkcje na płaszczu Scheppkego.

- Gadaj, gdzie pojechał. To bolszewicki szpieg! - Zaskoczony żandarm aż cofnął się przed krzykiem oficera.

- W lewo, pewnie na Marienburg.

- Dzwoncie na posterunki w Marienburgu, aby go zatrzymali. Ruszaj!

Eugen Küßner był doświadczonym kierowcą. Bez poślizgu wjechał na most, po czym skręcił w mroczną Berliner

Chaussee²⁹. Pod wpływem dochodzących z centrum wystrzałów zarówno mieszkańcy, jak i uciekinierzy ukryli się w bramach i podwórkach, i nie blokowali przejazdu. Ciężka maszyna powoli rozpędzała się, wyjeżdżając z ostatnich zabudowań, a Otto zaczął tracić nadzieję, że dopadną Bergmanna.

- Nie dasz rady szybciej? - zapytał bez wiary.

- Tym sprzętem - nie. - Eugen leżał prawie na szybie, starając się dostrzec drogę w nędznym świetle wojskowych reflektorów.

- Ale zaraz zaczynają się serpentyny przy rzece Fishau³⁰, a i droga jest strasznie zniszczona, więc mamy jakąś szansę.

Kierowca zatrąbił raz i drugi, spychając z jezdni furmanki i ludzi, którzy wściekle wygrażali im pięściami. Przed chwilą inny samochód mało ich nie pozabijał, a teraz ten. Zarzuciło ich, lecz wiele lat praktyki taksówkarskiej umożliwiło utrzymanie steyra na drodze. Scheppeke uchwycił się z całych sił metalowego uchwytu, starając się przebić wzrokiem mrok. Minęli jakieś zabudowania, kiedy coś słabo błysnęło przed nimi.

- To chyba on, panie kapitanie - uprzedził pytanie. Szosa ostro skręcała i teraz mogli zobaczyć promień światła i błyskające co chwilę iskry.

- To on! Ma uszkodzony samochód. Zbliżaj się, ale ostrożnie!

Otto wyciągnął z kabury pistolet. Znów zapomniał go zabezpieczyć. To była oznaka jego wieku. Kierowca mercedesa musiał zorientować się, że jest ścigany, bo spod karoserii sypnęła długa smuga iskier. Grubas wyjeżdżał na prostą i mógł przyśpieszyć. Gdyby uszkodzona część karoserii oderwała się, miałby szansę na ucieczkę.

- Szybciej!

Mercedes gwałtownie skoczył do przodu, strzeliwszy iskrami. Nagle auto skręciło w lewo, po czym skontrowane

wykręciło młynka na szosie i runęło w prawo w zalodzone trzciniowisko. Po kilkunastu sekundach steyr zatrzymał się tuż za nim. Obaj jego pasażerowie wyskoczyli na zewnątrz, zapadając się w śnieg. Otto wyszarpnął pistolet. Eugen z tyłu wyciągał swojego mausera i latarkę. Jej promień oświetlił uszkodzony pojazd. Jedno z kół było mocno skrzywione, więc mercedes definitywnie zakończył swoją szaleńczą jazdę. Scheppke szarpnął drzwi kierowcy. O zakrwawioną kierownicę opierał się Bergmann, z trudem oddychając.

- Pomocy - wycharczał.

Światło latarki padło na siedzącego obok mężczyznę. Był nieprzytomny lub martwy.

- Wyciągnij księgę z tyłu i zanieś do steyra. Podjedź i stań za mercedesem.

Żołnierz wykonał polecenie. Masywny steyr zaczął zjeżdżać z niewielkiej skarpy w stronę mercedesa.

- Zepchnij go na lód. Powinien się pod nim zapaść! - Otto wsadził głowę do kabiny. Wydało mu się, że dojrzał strach na twarzy volkssturmisty, ale w ciemnościach mógł się mylić. Silnik ryknął mocniej i masywny zderzak ze zgrzytem wbił się w mercedesa, który powoli zaczął wsuwać się na lód. Eugen przyhamował na chwilę, po czym przyśpieszył i z rykiem silnika uderzył osobówkę, która wykręcając piruet, wtoczyła się na środek rzeczki. Otto gestem kazał wycofać się swojemu kierowcy. Jego latarka oświetliła rosnącą na tafli ryse. Nagle rozległ się trzask, lód pękł i lewe przednie koło zagłębiło się w czarnej czeluści rzeki. Kolejna seria trzasków przebiła się przez gdakanie silnika steyra i Scheppke ujrzał, jak maska mercedesa zanurzyła się w topieli. Kompanieführer wsiadł do terenówki.

- Wracamy do Elbinga, Eugen. Pamiętaj, jakby kto pytał, nie udało się go nam dopaść. Tyle ci powiem, że był to zdrajca i

skończony łajdak, Ale jego protektorzy mają długie łapy, więc śmierć musi wyglądać na naturalną, w wypadku...

* * *

Edmund Boehmer zeszywniał, słysząc kolejne kroki w korytarzu wiodącym od podwórza. Nagły strach przed śmiercią ponownie owładnął nim, pozbawiając ciało i umysł wszelkich sił. Ręce i nogi zaczęły dygotać w niekontrolowany sposób, co było efektem nadmiaru emocji, które spadły na niego tego wieczoru. W kręgu światła lampy pojawiły się dwie kolejne sylwetki ludzi z karabinami; jeden z nich stanął, nasłuchując, a drugi wyciągnął długi wojskowy nóż. Edmund poczuł ciepło w nogawkach i strumień łez, które pociekły po policzkach.

- Niech się pan nie boi, jesteśmy od pana Scheppkego - szepnął mu do ucha wojskowy i zaczął przecinać krępujące go węzły.

* * *

Ocknął się, czując ból twarzy. Rozpoznał w półmroku twarz kaprała Puckerta, który skrzywiony pochylał się nad nim.

- Miałeś go, idioto, tylko klepnąć, a nie walić po głębie - rzucił za siebie do jednego z żołnierzy.

- Przepraszam, kolega chciał pana tylko ocucić. Jak się pan czuje?

Edmund Boehmer starał się skupić myśli. Po chwili z trudem zapytał:

- Gdzie jest Horst? Co z tym Ruskiem?

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Edmund poczuł rosnące napięcie.

- Sprawdzaliście aptekę i górę?

Na pytanie kaprała odpowiedzieli, kręcąc głowami. Puckert, krzywiąc się z bólu, wyprostował się, wyjmując jednocześnie pistolet z kabury.

- Przetrząśnijcie aptekę i mieszkanie na dole. Panie Edmundzie, o czym pan mówi?

Aptekarz z trudem poruszył zeszywniałymi, przemarzniętymi kończynami.

- Byłem związany, kiedy po strzelaninie i wybuchach wpadł tu sowiecki żołnierz z karabinem maszynowym. Coś krzyczał, jakby kogoś szukał. Potem wybiegł, ale zaraz wrócił i porwał Horsta, który, jak pan, kaprału, był ogłuszony. Potem wyciągnął go na piętro. Nie wiem, czy uciekł i co się stało z moim synem... Po... potrzebuję zmienić spodnie -- wyjęczał żałośnie na koniec.

Puckert starał się myśleć intensywnie. Obolała głowa z trudem tworzyła jakiś plan działania. Tak, to chyba będzie najlepsze wyjście. Wszedł do apteki i stanął jak wryty. Całe wnętrze było zdemolowane. Resztki potłuczonych szyb odbijały poblask płomieni z palącego się naprzeciw budynku. Wszędzie leżały porozbijane naczynia, połupane seriami z broni kawałki mebli, jakieś papierzyska. Skinął na Wagnera, który przyglądał się zdemolowanej ulicy.

- Co tu się stało?

- A, pan kapral był nieprzytomny. Ruskie czołgi wdarły się do miasta, akurat jak przyjechaliśmy tu z panem kapitanem. Potem strzelaliśmy się z bolszewikami, ale mieli automaty, więc musieliśmy się kryć. A pan Scheppke wskoczył do samochodu i pogonił za mercedesem z jakimś grubasem, który ukradł książkę, a nam kazał lecieć do apteki. No i tu pana starszego i pana kaprała znaleźlim.

- Dobra, wołaj Kleina. Musimy sprawdzić mieszkania na górze.

* * *

Przykucnęli wokół krzesła, na którym siedział aptekarz. Boehmer rozmasowywał zdrętwiałe nogi, nie zwracając już uwagi na płamę na spodniach.

- Niech pan powie, czy drzwi z klatki schodowej do mieszkania na drugim piętrze są zabarykadowane?

- Nie, przepraszam, zapomniałem o tym. Wychodziłem do swojego sąsiada tamtędy, a potem wracałem z pergaminem taki podekscytowany. *Herr Gott!* Nie pamiętam nawet, czy je zamknąłem.

Puckert uspokajająco położył dłoń na ramieniu starszego człowieka.

- Dobrze. Zrobimy tak. Klein i Wagner wyjdą przez aptekę wraz z panem i wejdziecie na klatkę schodową. Pokaże im pan wejście do górnego mieszkania, po czym pójdzie pan do sąsiada z góry i przeczeka, aż damy znać. Wy dwaj - popatrzyl znacząco na swoich podwładnych - znacie się na dyskretnym wchodzeniu, prawda? Będziecie powoli, ubezpieczając się, przeszukiwali pomieszczenie po pomieszczeniu. Pamiętajcie, że jeżeli jest tam ten Iwan, to może chronić się za panem Horstem. Po przeszukaniu górnego mieszkania zejdzicie na niższe. Ja będę blokował te schody na parter. Jeżeli usłyszycie odgłosy walki, biegniecie na pomoc. Ja zrobię podobnie. Jasne?

Mężczyźni skinęli głowami. Jako złodzieje nieraz penetrowali uśpione mieszkania, ale teraz po raz pierwszy będą mieli uzbrojonego po zęby i czujnego przeciwnika.

* * *

Wraz z księdzem dopiero po dłuższej chwili zdecydowali się podejść do okna. Duchowny był bardziej odważny, więc Karl

chwycił jego dłoń opartą na okiennej klamce i przytrzymał ją. W słabym płomieniu palącej się świecy przez chwilę na siebie patrzyli, po czym Bauer puścił rękę i pozwolił na otwarcie okna. Ciekawość wzięła górę, wzmagana dobiegającym z dołu hałasem, i dwie głowy jednocześnie wychyliły się z okna na trzecim piętrze. Pod nimi stał rozbity samochód, obsypany szkłem z potłuczonych witryn i koronkowymi serwetami z pobliskiego sklepu. Naprzeciwko szalał pożar, ludzie biegali we wszystkich kierunkach, krzycząc w przerażeniu. Obaj mężczyźni zamarli ze strachu. Z sąsiedniej uliczki wyjechał z piskiem opon samochód i pomknął w stronę rzeki, o mało nie zabijając jakiejś kobieciny. Kolejny, większy pojazd pomalowany w barwy ochronne ruszył za nim, wzbudzając przekleństwa ludzi. Z daleka doleciało echo wystrzałów i dźwięk nadjeżdżającego samochodu strażackiego.

- Zamknijmy okno. Mam dość.

Bauer usiadł zmęczony na krześle. Przerażenie i zimno zdusiły jego oddech i przez chwilę ciężko dyszał, starając się wrócić do równowagi.

- Apteka pod nami chyba jest zniszczona - zauważył duchowny. - Boję się, czy pańskim sąsiadom nic się nie stało.

Drukarz patrzył na starszego mężczyznę lekko nieprzytomnym wzrokiem.

- A tak, rozumiem. Uspokoję tylko oddech i zejść zobaczyc. Pewnie potrzebna będzie im pomoc.

Powoli włożył palto i zszedł na ulicę. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była plama krwi połyskująca w świetle pożaru. Witryna apteki została zniszczona, ale jednocześnie zabezpieczona fragmentami szklanych tafli, które jak wielkie zęby broniły dostępu do środka. Podniósł z ośnieżonego chodnika koronkową serwetę i wrzucił do wnętrza sąsiedniego sklepu. Cóż on tu mógł pomóc? Przez chwilę jakby słyszał

niewyraźne głosy dochodzące z apteki, ale nikt się w niej nie pojawił, więc musiało to być złudzenie. Zwrócił oczy do góry i zobaczył zarys głowy księdza. To mało prawdopodobne, ale ktoś mógł go zobaczyć. Ze złością mruknął przekleństwo i rozgniatając kawałki szkła, wszedł do klatki schodowej.

* * *

Tak jak mówił starszy pan, drzwi były zamknięte tylko na klamkę. Fritz Klein wciągnął w płuca zapach starzyzny, który uderzył ich, gdy w mroku korytarza ukazała się czarna szczelina prowadząca do mieszkania na drugim piętrze. Zgasili latarkę i przez chwilę stali nieruchomo, nasłuchując i przyzwyczajając wzrok do ciemności. Oczy zaczęły wyłuskiwać zarysy kształtów, a złodziejskie doświadczenie pozwoliło na ciche poruszanie się. Wyostrzony słuch wyłapał skrzypienie desek nad głową, jakieś głosy pochodzące zapewne z ulicy, lekki przeciąg idący od dołu. Posuwali się krok za krokiem, słyhać było tylko ich ciche posapywanie. Fritz stanął na środku korytarza i gestem zatrzymał Wagnera. Schwycił jego rękę i dotknął nią drzwi, a sam postąpił krok dalej w kierunku następnych. Od tego miejsca zaczęła sprawdzanie. Namacał dłonią klamkę i nacisnął ją. Odniósł wrażenie, że powietrze w pomieszczeniu niosło zapach ludzkiego potu. Powoli sięgnął dłonią po bagnet i znieruchomiał. Z dołu dobiegł wyraźny stukot, jakby ktoś coś zrzucił. Obaj zawrócili i ruszyli w kierunku schodów. Jeżeli bolszewik był w kamienicy, to musiał znajdować się w mieszkaniu poniżej. Z dołu doleciał ich dźwięk syreny wozu strażackiego. Kroki głużył miękki dywan, który zaprowadził ich na krawędź schodów. Klein przełknął ślinę, po czym sunąc z ręką opartą o ścianę, zaczął schodzić.

Narastający hałas, dobiegający z dołu, zagłuszył skrzypnięcie drewnianego stopnia. Trudno, komunista mógł go usłyszeć, nie ma wyjścia. Jak zwykle, gdy znajdował się nocą w cudzym mieszkaniu, czuł potężne napięcie i z nerwów pot spływał mu po karku i twarzy. Przetarł mankietem oczy - był prawie na pierwszym piętrze. Wagner zatrzymał się tuż za nim, równie spocony. Miał dać krok naprzód, gdy uszy wyłowiły jeszcze jeden dźwięk, a w nos uderzył smród niemytego od dłuższego czasu ciała. Przeraziła go myśl, że będzie musiał go dotknąć. Powoli wysunął głowę poza schody. Na korytarzu było jaśniej, gdyż przez otwarte drzwi któregoś z pokojów wpadał poblask płonącej naprzeciw kamienicy. Jest! Bolszewik odziany był w maskujący biały strój i charakterystyczną czapkę, której końce odstawały jak klapnięte uszy królika.

Klein ścisnął w dłoni rękojeść bagnetu. Wróg zwracał głowę raz w stronę schodów, raz w stronę okna. Musiał zdawać sobie sprawę, że znalazł się w pułapce, co zapewne wywołało w nim strach. A przerażony człowiek może bez zastanowienia nacisnąć na spust automatu. Klein musiał czekać na jego ruch. Gdyby coś na dworze odwróciło jego uwagę, to w trzech skokach dopadłby go i wbiłby bagnet w plecy Iwana... Głośny syk gaszonych płomieni i przygasający blask to było to, na co czekał żołnierz. Powoli zaczął schodzić. Klein ukryty w mroku stuknął porozumiewawczo Wagnera i napiął mięśnie. Sylwetka w uszance schowała się już w połowie za barierką, gdy jego stopy stanęły na deskach korytarza pierwszego piętra. Automat Rosjanina błysnął nagle oślepiającą serią. Klein skulił się przestraszony i ogłuszony wystrzałami. Coś na dole brzęknęło i Niemcy usłyszeli w odpowiedzi podwójny wystrzał pistoletowy. Iwan krzyknął i ponownie nacisnął na spust. Stojący za Kleinem Wagner pchnął go i unióśł do strzału swojego długą Mausera.

- Nie!

Klein wyskoczył jak z procy i przesadził barierkę, zwalając się na bolszewika, który przygnieciony stracił równowagę i runął na schody. Fritz jęknął, gdy ramię boleśnie grzmotnęło o drewno, a usta wciągnęły duszący smród. Prawą ręką udało mu się zablokować bark przeciwnika, gdy ten, jakby nieczuły na osiemdziesiąt kilogramów wagi, zaczął wstawać, strząsając z siebie Niemca. Z wrzaskiem i wyciągniętym przed siebie karabinem Wagner rzucił się w dół schodów, o centymetry mijając twarz kamrata. Rosjanin stęknął trafiony lufą w klatkę piersiową i obaj upadli na podłogę zaplecza apteki. Klein uniósł głowę znad desek i przerażony ujrzał, jak Iwan znów się podnosi i przesuwając zawieszony na brzuchu automat do pozycji strzeleckiej. Czas zwolnił; blask naftówki zaśnił na bębnowym magazynku pepeszy i jej perforowanej lufie. Niespodziewanie głowa Rosjanina wykonała nagły ruch do przodu trafiona drewnianym stołkiem; jego sylwetka złamała się wpół. Grzmotnął na podłogę, miażdżąc sobą krzesło.

Kapral Puckert stał nad leżącym z wyciągniętym pistoletem, starając się rozeznać, czy żyje.

- *Herr Gott!*- Wagner z trudem wstał na nogi. - Ale silny bydlak. Jeszcze takiego nie spotkałem...

- Silniejszy właśnie go rozłożył na podłodze. Klein, jesteś cały?

Mamrotanie oszołomionego Fritza potwierdziło jego gotowość do dalszej walki. Przewyciężając obrzydzenie, obszukali i związali przeciwnika.

- Co z nim zrobimy?

Puckert chwilę się zastanawiał.

- Wywalimy go na zewnątrz i oddamy żandarmom albo policji. Gdyby się pytali, to wracaliśmy z patrolu, gdy pojawiły się czołgi i rozdzieliły nas. Potem go zobaczyliśmy i

pochwyciliśmy w walce.- A gdzie jest pan Horst? Widzieliście go?

Wagner i Klein popatrzyli po sobie. Zapomnieli o nim w ferworze walki. Fritz zapalił latarkę i ruszył po schodach. Młody aptekarz leżał w jednym z pokoi, przerażony, ale przytomny.

- Nic mi nie jest - wystękał.

- Pomogę panu. Złapaliśmy tego Ruska i związaliśmy go.

- To dobrze. Jeszcze się w życiu tak nie bałem. - Wyznanie Horsta nie zrobiło dobrego wrażenia na zawodowym złodzieju. Pomógł wstać mężczyźnie i razem zeszli na dół.

Horst Boehmer z obrzydzeniem przyglądał się zwiazanemu bolszewikowi, który co prawda teraz leżał nieprzytomny, lecz za nic nie chciałby być przy nim, kiedy się ocknie. Pewnie zaraz się uwolni i zaatakuje.

- Panie kapralu, gdzie jest mój ojciec? To on tak hałasował w górnym mieszkaniu?

* * *

Ponaglony komendą kaprala Puckerta Edmund Boehmer wbiegł do apteki i zatrzymał się tuż przed stertą oświetlonego płomieniem szkła. Jego serce nie wytrzymałoby długo tak przerażającego widoku zniszczeń ukochanej apteki, toteż cofnął się i ruszył za dwójką strzelców w stronę podwórka. W myślach szacował potencjalne koszty naprawy i czas konieczny na ich dokonanie. Pieniądze się znajdą oczywiście, a zresztą byli ubezpieczeni. Chociaż czy kasa ubezpieczeń wypłaci im odszkodowanie za atak czołgu na ich kamienicę? Pewnie będą się wykręcać jak piskorze.

Wydostał się na Schmeidestraße i stanął zdumiony. Po prawej, na Friedrich-Wilhelm-Platz leżał na boku tramwaj

oświetlony światłami jakiejś ciężarówki. Ludzie krzyczeli na siebie, starając się wyciągnąć z wnętrza poszkodowanych. Powoli ruszył w kierunku apteki. Witryny sklepów Olgi Loth i koronczarni były potłuczone, a zimny wiatr poruszał koronkami, tak że przywodziły na myśl białe flagi. Przed apteką stał rozbity czarny samochód, w którym leżały zwłoki. W płonącym naprzeciwko sklepie coś wybuchło, wyrzucając na zewnątrz falę gorąca. Ulica była zbyt szeroka, aby ogień przeskoczył, lecz...

W pobliżu rozległy się strzały, wywołując panikę na ulicy. Wraz z innymi rzucił się w stronę Maurizia³¹ i ukrył w wejściu. Stąd słyszał dźwięk nadjeżdżającej straży pożarnej i rozpoznał niewysoką sylwetkę swojego sąsiada, Bauera, który wybiegł na ulicę. Miał na niego krzyknąć, ale ten porozglądał się tylko i spojrzał do góry, na dach ich kamienicy. W kolejnym rozbłysku ognia Edmund zobaczył w oknie trzeciego piętra głowę. Zdumiony zamknął oczy, a gdy je otworzył, głowy nie było. Miał problemy ze wzrokiem, a napięte w ostatnich godzinach nerwy powodowały zwidy. Potrząsnął głową i zaczął przyglądać się swojej kamienicy. Jak kapral Puckert daje sobie radę? Nagle zauważył błysk światła na pierwszym piętrze. Wszystko skończone, mógł wracać. Ruszył szybkim krokiem, odskakując na chodnik przed hamującym wozem strażackim. Ciekawe, co mu powiedzą wojskowi?

* * *

Słowa Horsta Boehmera zaskoczyły ich. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym jednocześnie ruszyli na schody.

- Sprawdźcie dokładnie każdy zakamarek, najmniejszą dziurę! A pan niech zorganizuje więcej światła!

Światła latarek zaczęły omiatać poszczególne pokoje, wnikając do szaf, pod łóżka, za kotary. Po chwili pojawił się Horst z naręczem świec, które rozstawił na meblach. Sam wycofał się na schody, pamiętając o niedźwiedziej sile bolszewika. Mężczyźni wyszli na korytarz, kręcąc głowami, po czym ruszyli na drugie piętro. Procedura powtórzyła się ponownie, nie przynosząc rezultatu.

- Może się pan pomylił, panie Horście? - Puckert nie krył sceptycyzmu. Przeżyli dzisiaj tyle, że dla normalnego człowieka starczyłoby na kilka lat. Usłyszeli kroki. Po schodach wchodził starszy Boehmer.

- Jesteś, ojcie. Myślałem, że coś ci się stało.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Horst wyjaśnił:

- Przeszukujemy mieszkania. Jeden Iwan leży nieprzytomny i związany na dole. Wydawało mi się, że słyszałem głosy z twojego mieszkania, ale chyba się myliłem. To pewnie u Bauera było tak głośno.

- Musimy iść sprawdzić co u niego! - Głos Edmunda był stanowczy. - Jego samego widziałem na ulicy przed chwilą, a z okien ktoś wyglądał. Może drugi Rosjanin przedostał się przez nasze mieszkania do niego? Panie kapralu, niech pan idzie ze mną, Bauer pana zna. W razie czego się nie przestraszy.

Puckert skinął głową i gestem odesłał swoich ludzi na dół. Wielki bolszewik mógł się w każdej chwili ocknąć i rozerwać więzy, a wtedy nie będą mieli z takim zabijaką szans.

* * *

Karl stał nieruchomo, wpatrując się w błyski światła na kuchennym nożu przytkniętym do gardła księdza. Gdy wrócił na górę, zobaczył chudą istotę odzianą w za duży płaszcz terroryzującą nożem jego gościa. Dzieciak może miał z

dwanaście lat, światło świec wyłuskiwało jasne, błyszczące oczy otoczone sińcami i zadrapaniami.

- Czego chcesz? Jedzenia? Dam ci, ale puść go - odezwał się najspokojniej, jak mógł.

- Nie ruszaj się, bo go ubiję! - W głosie dzieciaka słycać było przerażenie. Jego niemiecki był zrozumiały, ale wypowiedany jakoś miękko. Więzień? Uciekinier z robót przymusowych? Nieważne, trzeba coś zrobić, ale co?

- To dobry człowiek, nie zrób mu krzywdy - poprosił.

Smarkacz przestąpił z nogi na nogę. Dobry znak.

- Dam ci chleba. Mam też marmoladę z buraków. Podam ci! - Pokazał otwarte dłonie i powoli ruszył do kuchni. Mieli właśnie z księdzem przygotować sobie posiłek, gdy zaczęło się to szaleństwo. Bochenek był pokrojony, więc szybko uporał się z zadaniem. Wszedł do pokoju, niosąc na talerzu posmarowane pajdy.

- Widzisz, stawiam to na stole. Zjesz, a my damy ci odejść. Nikogo nie będziemy zawiadamiać.

Ksiądz nagle odezwał się w swojej słowiańskiej mowie. Nóż przy jego gardle drgnął, a ręka opadła. Kapłan coś dodał, po czym pogłaskał dzieciaka po głowie. Napięcie zaczęło powoli opadać. Chłopak wyraźnie zerkał na kromki chleba, zaczął się powoli przesuwać w kierunku stołu. Wyciągnął rękę w stronę talerza, bacznie przyglądając się starszym ludziom. Dłoń namacała kromkę i błyskawicznie ją chwyciła. Jadł łapczywie, jakby głodował od dłuższego czasu.

- Smakuje? Jedz spokojnie, to dla ciebie. A ksiądz niech naleje mu mleka. Mamy chyba w spizarni z kwaterkę.

Z uśmiechem na pomarszczonej twarzy kapłan wstał i wyszedł do kuchni. Każde z mieszkań miało sporą spizarnię, zaopatrzoną w małe okienko i dobrą wentylację, co pozwalało nawet latem przez dłuższy czas przechowywać żywność. Musiał

wziąć świecę, aby zobaczyć, gdzie Karl schował dzbanek z mlekiem.

- Jest! - Krzyk od strony korytarza wyzwolił w księdzu dobrze znane uczucie ściganego zwierzęcia. Natychmiast wcisnął się do wnętrza spiżarni, za jakieś suszące się zioła i badyle kopru, zamierając z walącym wściekle sercem.

Wagner z Kleinem jak dwa wilki zbliżali się do Saszki, który zeszywniał na ich widok, rozgniatając drobną dłonią kromkę z marmoladą. Nim sięgnął do kieszeni po nóż, niższy z mężczyzn był już przy nim i wprawnym ruchem wykręcił mu rękę. Obaj sprawnie przeszukali go, wyłuskując z kieszeni nóż i piękny zegarek w srebrnej kopercie.

- Ależ panowie... - Bauer był zaszokowany błyskawiczną akcją wojskowych.

- Niech się pan nie boi, sąsiedzie, to już ostatni z tych Rusków. Nie wyobraża sobie pan, co obaj z Horstem przeżyliśmy! Na szczęście ludzie kaprała Puckerta - starszy z aptekarzy wyłonił się z mroku korytarza i wskazał ręką na żołnierzy - wraz oczywiście z samym kapralem obezwładnili tego wielkiego z automatem. Widzę, że żyje pan, to dobrze, sąsiedzie. O Jezu, nadal się nie mogę uspokoić. - Boehmer opadł na krzesło. Dopiero teraz zobaczył chleb i zaskoczony spojrzał na Bauera.

- Karmił go pan?

- Wiem, nie powinienem, ale wpadł tu jak zaszczute zwierzę, a ja właśnie... więc dałem mu. On mówi po niemiecku, myślałem, że to jakieś dziecko uciekinierów - bronił się słabo. Wojskowi schwycili chłopaka i brutalnie wyprowadzili z mieszkania.

- Widziałem pańską aptekę. Strasznie zniszczona...

Boehmer smętnie pokiwał głową.

- Tyle lat. Tyle lat! Ja już nie dam rady, ale Horst tak. W końcu ta wojna musi się skończyć, więc i zięć, Otto, wróci i wszystko będzie jak dawniej. W sumie to szkło i meble. W piwnicy mamy jeszcze trochę desek, więc zabije się okna na razie. Mam nadzieję, że nasze wojska tych bandytów pognały precz. I tych parszywych gestapowców razem z tym Bergmannem, niech go piekło pochłonie. Czy wie pan, że... - Głos aptekarza zamarł. Wyciągnął rękę w kierunku grubej książki, spod której wystawał kawałek papieru z jakimś gryzmołem. Aptekarz przysunął papier do świecy i ze zdumieniem przyglądał się mu.

- *Hen Gott!* Bauer, skąd to pan ma? - Po koszmarach wieczoru na jego twarzy pojawił się rumieniec ekscytacji. - To przecież dosłowne tłumaczenie tej strony! Siedziałem tyle czasu i tylko trochę, a pan...? Nie mówił pan, że tak świetnie zna łacinę. Ale i polski?

- Niech pan weźmie, sąsiedzie, tę kartkę, po tych przeżyciach strasznie boli mnie głowa, muszę się natychmiast położyć - wyrzucił z siebie jednym tchem Bauer.

Zaskoczony aptekarz dał się wypchnąć na klatkę schodową i usłyszał przekręcany w zamku klucz.

Karl Bauer na miękkich nogach poczłapał do kuchni, gdzie powinien być jego gość.

- Niech ksiądz wyjdzie, już sobie poszli - powiedział, czując, że zaraz zemdleje.

* * *

Wojskowi wyprowadzili sowieckiego bojca i dzieciaka na ulicę i od razu musieli ich bronić przed rozwścieczonymi mieszkańcami, którzy widząc sprawców swoich nieszczęść, chcieli ich na miejscu zlinczować. Gruppenführer kilkakrotnie

wystrzelił w powietrze, co natychmiast ściągnęło patrol z regularnej jednostki wojska i wspólnymi siłami przedarli się do budynku prezydium policji na Sturm StraÙe³², gdzie zostawiono jeñców. Był tam jeden z prezydentów miasta, który mocno wyściskał kaprała i jego żołnierzy, obiecując nagrodę. Gdy wrócili, aptekarze wykorzystali ich do kolejnej pracy. Po przeżyciach nocy byli wciąż tak naładowani energią, że nie mogliby zasnąć. Zresztą możliwość pozostania w mieście z dala od lodowatych okopów była zdecydowanie najważniejszym argumentem.

Horst wraz z żołnierzami jeszcze przez dwie godziny pracował, zabezpieczając deskami witrynę apteki. Widok strat wywołał u niego, podobnie jak u ojca, silne przygnębienie. Ich pracę przerwał przyjazd kapitana Otto Scheppkego. Na naradzie „wojennej” w gabinecie na piętrze, przy butelce koniaku, Otto zrelacjonował przebieg wydarzeń, zmieniając jedynie nieco jego zakończenie. Obaj farmaceuci wyraźnie odetchnęli, słysząc, że Bergmann utonął w swoim samochodzie, a gestapowiec, który ich naszedł, został ranny lub zabity. Pozostawało im już tylko zabezpieczenie ksiąg. Horst nalegał, żeby ojciec wyjechał, starszy pan jednak zaczął się wzbraniać.

* * *

Został obudzony przez najbardziej piegowatego człowieka, jaki tylko mógł stąpać po ziemi. Niemłody mężczyzna szarpnął nim i kazał się budzić. Cohn, walcząc z potwornym bólem głowy, otworzył oczy, by je zaraz zamknąć, chroniąc się przed wpadającym światłem poranka. Kolejne szarpnięcie zmusiło go do otwarcia ust, w których wylądował termometr. Znajdował się w wysokim pomieszczeniu, na którego ścianach wisiały plansze z matematycznymi wzorami. Próbował unieść głowę,

ale przegrał z bólem i opadł na wypełnioną jakimś zielskiem poduszkę. Mimo termometru udało mu się zakłąć. Piegowaty zbliżył się z poobijanym, niegdyś białym czajnikiem, który włożył mu pod koc.

- Wsadzić ptaka i lać! - zakomenderował, po czym wykonał podobną czynność przy sąsiednim łóżku.

- Cholera jasna, delikatniej! - dobiegł go znajomy głos z sąsiedniego łóżka, więc powoli odwrócił w tamtą stronę głowę.

- Jorg, to ty?

Mężczyzna przerwał kolejną wiązanekę w pół słowa i uniósł się. Był odziany w szarą koszulę, spod której wystawał kawał bandaża.

- Cohn! Przeżyłeś, skurwielu! Myśleliśmy, że cię Ruscy rozwalili.

- Jacy Ruscy? Nic nie pamiętam - wyjęczał żałośnie. Wolna ręka powędrowała do źródła bólu i trafiła na obwiązaną głowę.

- Nie drzyj się. Obaj oberwaliśmy, a kriminalkommissar został rozwalony przez bolszewicki panzer. Wynika z tego, że tylko my dwaj przeżyliśmy. Ja mam złamany obojczyk i jakieś obrażenia wewnętrzne, a ty...

- Zamknąć się, oddać termometry, wyciągnąć baseny, no już!

- Ton głosu wyraźnie wskazywał, kto tu dowodzi. Obaj gestapowcy potulnie wykonali polecenia. Byli w nowym, obcym miejscu i musieli się dostosować.

- Dostanę coś do picia? - grzecznie zapytał Jorg.

Piegus nie zareagował, wylewając kolejne szczyny do wiadra. Wyciągnął rękę po termometr i wpisał coś do notesu.

- Pić, kurwa! - wrzasnął Jorg. - Nie wiesz, gnojku, z kim masz do czynienia!

Piegus zatrzymał się i spojrzał przez ramię. Kilka par oczu wpatrywało się w napięciu w jego twarz.

- Słuchaj, gnojku - wycedził - tu ja rządę. W dupie mam twoje oficerskie pagony, jasne?! Jak chcesz przeżyć do następnego rana, to zamknij ryja i bądź grzeczny. Zaraz będzie obchód lekarski, a potem dostaniesz żreć. - Ręka piegusa wykonała znaczący gest. - Radzę to zapamiętać, bo więksi kozacy kitowali na sraczkę albo dusili się w nocy. A burknij coś lekarzowi, to masz wyrok.

Ślina strzyknęła, przelatując nad łóżkiem Cohna i trafiając w koc Jorga. Zaskoczony oficer zamilkł, a piegus wymaszerował, niosąc dwa wiadra odchodów.

- Do Stutthofu go, kurwa, wyśle! - warknął w końcu Jorg.

- Daj spokój gnojkuwi. Nie wiadomo, ile będziemy tu leżeli, a on może mieć kamratów, którzy wyślą nas obu na tamten świat. Musimy wyjść z tego parszywego lazaretu albo skontaktować się z kimś od nas.

- No przecież od wczoraj trwa ewakuacja. Już nikogo nie ma.

Jorg zamilkł, rzucając wściekle spojrzenia. Drzwi sali ponownie otworzyły się i stanął w nich piegus.

- *Achtung!* Podnieść się! - ryknął, robiąc miejsce kilku mężczyznom odzianym w białe kitle.

Cohn spróbował się unieść, podpierając się ramionami. Starszy lekarz w szylkretowych okularach spojrzał znacząco na piegusa.

- Przywieziony wczoraj w nocy. Rana głowy! Temperatura lekko podwyższona - zameldował piegus.

- Pańskie nazwisko? - zainteresował się lekarz.

- Cohn. Kriminalobersekretar Heinz Cohn. Czy mogę zapytać...

- Na razie to ja pytam, panie... hm, starszy sekretarzu Cohn. No więc, jak się pan czuje?

- Głowa mnie napie..., to jest potwornie boli, mam zawroty i nudności. I nic nie pamiętam.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się do innego lekarza.

- Czaszka cała, ale mózg zapewne jest stłuczony, no i wstrząśnięty. - Popatrzył na Cohna. - To, co pan czuje, to zupełnie normalne. Ma pan szczęście, że nie rozbili panu czaszki. Albo wyjątkowo twardy łeb, jak to mówią. Dostanie pan środki przeciwbólowe. Jeszcze dzisiaj wieczorem albo jutro rano będziemy ewakuować was do Danzig lub Gotenhafen³³. A teraz odpoczywajcie.

- Dzień 4 -

Edmunda obudziło walenie do drzwi od podwórka i gderanie Horsta, który zmordowany podreptał na dół. Starszy pan uniósł głowę, starając się dosłyszeć, o co chodzi, ale hałas ze Schmeidestraße skutecznie zagłuszył gwałtowną rozmowę syna z kimś obcym. Drzwi trzasnęły, po czym z dołu dobiegł głos kaprała, który chyba coś klarował synowi. Edmund szybko wyszedł spod pierzyny i zaczął wbijać się w chłodne ubranie. Nie mieli głowy do palenia tej nocy, a przez rozbite szyby apteki ziąb rozlaźł się po całym mieszkaniu. Zanedbując zwykłą toaletę, w bamboszach popędził na dół, przewracając prawie jednego z żołnierzy.

- Co się stało?

Horst popatrzył gniewnie na ojca.

- Dobrze, że wstałeś. Całe Stare Miasto ma być ewakuowane. Do godziny dwunastej masz mieć jedną walizkę z dokumentami, jedzeniem i ciepłą odzieżą oraz prowiant na trzy dni. Jeżeli starczy miejsca, to zabiorą cię koleją, a jak nie, to będziesz maszerował.

- Jak to? Po tym jak obroniliśmy aptekę?

- To rozkaz komendanta obrony miasta i nadburmistrza, panie Edmundzie - do rozmowy wtrącił się Puckert. - Teraz jak nie ma tamtych, to można wszystko zostawić. My tu będziemy zachodzić i sprawdzać, czy wszystko w porządku, oczywiście, jeżeli naszego batalionu nie wyślą gdzieś za miasto. Zaraz będziemy się zbierać. No, powiem, że u panów to nie była spokojna służba... - Uśmiechnął się.

- Horst, no rusz się! Wyciągnij z zapasiku po flaszecze dla naszych dzielnych panów żołnierzy. Toć musimy jakoś

podziękować, a jak się uspokoi, to zapraszamy do nas. Wyprawimy wielkie przyjęcie.

Mężczyźni przez chwilę ściskali sobie dłonie, po czym trójka wojskowych wymaszerowała z apteki, biorąc kurs na autostradę. Edmund zamknął za nimi drzwi.

- A ty nie ewakuujesz się?

- Ja mam przecież przydział do lazaretu w szkole Heinricha von Plauena. Za dwie godziny zaczynam dwunastogodzinny dyżur w aptece szpitalnej. Pomogę ci się spakować. Pewno zawiozą was do Gdańska lub Gdyni i z stamtąd popłyniecie jakimś statkiem. Nie będzie źle. Słyszałem, że takie olbrzymy jak „Goya” czy „Wilhelm Gustloff” kursują z rannymi i ewakuowanymi, więc droga minie ci szybko i wygodnie. Jednak może najpierw zjedzmy śniadanie.

* * *

Przeżuwali chleb z cebulą, popijając ziołową herbatą. Rozmowa nie kleiła się. Za oknem widać było smugi dymu, a pod nimi przewalające się tłumy, które jak najprędzej starały się przedostać za rzekę, na drogi wiodące do Marienburga bądź Danziga. Dlaczego dopiero teraz zezwolono mieszkańcom Elbinga na ucieczkę przed bezwzględnym wrogiem?

- Czy naprawdę nie było szansy na uratowanie go? - Długo oczekiwane pytanie zawisło w powietrzu. Karl popatrzył na obsypaną siwą szczeciną twarz księdza. Ich oczy spotkały się, ale w spojrzeniu kapłana nie było złości, jedynie ból.

- Prosiłem ich - niezdarnie skłamał. - Nie, byłem sam przerażony. Jestem tylko słabym, schorowanym człowiekiem, który nie ma siły na życie, a jest zbyt tchórzliwy, by umrzeć. Boję się bólu. Bólu życia i bólu śmierci. - Łzy pojawiły się w

oczach Bauera, który zakrył twarz dłońmi. Przez chwilę panowała ciężka cisza.

- Ja przecież pana nie oskarżam. Sam jak ostatni tchórz schowałem się w spiżarce. Tak długo mnie ścigają, że instynkt uciekiniera przeważa nad rozumem. Teraz uświadomiłem sobie, że postąpiłem jak Piotr, który wyparł się Jezusa. Obaj, panie Karl, jesteśmy słabi i tylko cała nadzieja w Bożym miłosierdziu. Co oni zrobią temu dziecku?

Bauer pokiwał głową. Los chłopaka zapewne będzie tragiczny. Kolejna bezsensowna ofiara tej wojny.

- Czy będzie się pan ewakuował? - ksiądz zmienił temat.

- Ja? A po co? - wybuchnął drukarz. - Nie mam siły na ucieczkę. Pewno padłbym gdzieś na śniegu i zostawiliby mnie, a psy i kruki pożarłyby truchło. Poza tym ksiądz tu jest. Albo obaj przeżyjemy, albo będzie nam różniej umierać.

Zapadło milczenie. Pomimo zamkniętego okna słyhać było to rosnący, to słabnący hałas ulicy. Ledwo usłyszeli pukanie do drzwi. Duchowny poderwał się, ale Bauer powstrzymał go gestem ręki.

- Co ma być, to będzie. Zawsze może ksiądz być moim znajomym lub dalekim kuzynem.

Począł do drzwi. Po chwili wrócił do saloniku poprzedzany przez siwowłosego jegomościa w okularach.

- Oj, widzę, że nie w porę zachodzę... - Mężczyzna stanął zaskoczony, patrząc na nieznanego.

- Panowie się nie znają. - Głos Bauera był spokojny, choć można w nim było wyczuć nutę napięcia.

- To jest mój sąsiad z dołu, pan Edmund Boehmer, właściciel tego pergaminu.

Twarz aptekarza gwałtownie pobladła. Sąsiad mówił przecież o jego największej tajemnicy.

- A to ksiądz Josef Pszepfe³⁴ ... - Bauer bezskutecznie próbował wymówić nazwisko. - W każdym razie, panie Edmundzie, ma pan przed sobą autora tego tłumaczenia.

Twarz Boehmera rozjaśniła się nagłym uśmiechem. Nie czekając na zaproszenie, usiadł przy stole.

- Przyszedłem zapytać, czy sąsiad będzie się ewakuował. Ja sam nie mam najmniejszej na to ochoty, ale rozkaz to rozkaz.

- My zostajemy, panie Edmundzie. Obaj nie mamy sił, a poza tym ksiądz... no cóż, jest poszukiwany przez gestapo. Będziemy starali się przeżyć, aż front się przewali.

Boehmer drgnął na ostatnie słowa. Nie znosił nazistów, ale lata wszechobecnej propagandy wpłynęły i na jego osąd ludzi oraz zdarzeń.

- Wiem, co pan pomyślał. Za kilka dni Rosjanie wtargną do miasta. Niemcy nie mają już ich jak zatrzymać. Niech więc to trwa jak najkrócej. Potem podpisze się jakiś pokój, jak po pierwszej wojnie, i sobie pójdą.

- Chyba nie do końca zgadzam się z panem, panie Bauer, ale to nieważne. Jeżeli pan i ksiądz Josef zostajecie, to i ja dołączę. Ksiądz widział ten pergamin, prawda? - W głosie starszego pana zabrzmiała ekscytacja. Dojrzał błysk w oku siedzącego naprzeciw człowieka i zrozumiał, że stanął przed szansą rozwikłania wielkiej zagadki. Przemknęło mu przez myśl, że po wojnie w nowych Niemczech może nie być już cenzury i będzie mógł opublikować to dzieło. Może też dopuścić tego księdza jako współautora komentarza. Tak, trzeba tylko zabezpieczyć księgę i znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie można by pracować.

* * *

Pod pretekstem załatwienia jeszcze kilku niecierpiących zwłoki spraw Edmund Boehmer ruszył w kierunku

Spieringstraße³⁵. Zazwyczaj droga zajmowała mu spacerkiem minutę, ale dzisiaj musiał przebijać się przez potężną falę uciekinierów, którzy płynęli w stronę mostów na rzece Elbing. Widok ludzkiej niedoli znowu obudził w nim lęk o własne życie i w pewnej chwili zaczął wątpić w słuszność podjętej decyzji. Policjant, który kierował ewakuacją na ich podwórzu, obiecywał transport autobusem aż do przeprawy przez Wisłę dla wszystkich starszych ludzi. Rozzłościł się, kiedy Edmund zakomunikował mu, że wychodzi i że będzie pakował się później. Aptekarz nie dziwił mu się. Pewnie też chciałby skończyć swoją pracę i zwać w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Na Alter Markt tłum o mało go nie stratował, gdy zatrzymał się jak wryty, patrząc na ogromną bryłę sowieckiego czołgu stojącego na ulicznym bruku. Złorzecząc ludziom, przepchał się do wraku, dołączając do sporej grupki ciekawskich. Na pancerzu kręcili się niemieccy czołgiści w maskujących kurtkach, starając się dociec, czy pojazd da się jeszcze uruchomić. Hm, jeżeli trzeba naprawiać wraki wrogich czołgów, to oznacza, że nasza obrona nie jest najlepsza. Do licha, może jednak ewakuować się?

Spieringstraße także była zapchana ludźmi pręciami do Lege Brücke. O mało nie został stratowany przez konie, kiedy przebiegał na drugą stronę, do masywnej kamienicy, w której mieszkał jego przyjaciel Paul Erdmann. Dopiero po długim stukaniu do drzwi ktoś go usłyszał. Gertruda, żona Paula, pochlipując, wpuściła go do środka, nie proponując nawet zwyczajowego koniaczku. Jej synowa pakowała się, a wnuki biegały po mieszkaniu, krzycząc niemiłosiernie podekscytowane całą tą sytuacją. Paul siedział w swoim gabinecie, starając się puszczaniem kółek z fajki zamaskować podenerwowanie.

- I co, ewakuujesz się? - Edmund ściszył głos.

- Nie, przecież rozmawialiśmy na ten temat. Kobiety i dzieci mają płynąć statkami z przystani, jak tylko lodołamacze rozkują rzekę, a ja zostaję. Muszę pilnować interesu i mieszkania. Bóg wie, jak to wszystko będzie wyglądać, jeżeli wejdą tu złodzieje lub wojsko... A potem, do czego wrócimy?

Paul zapadł się głębiej w fotel i pyknął kilkakrotnie.

- To dobrze, ja też zostaję. Mam prośbę do ciebie. Kiedyś rozmawialiśmy na temat ewentualnego ukrycia cennych przedmiotów w twojej piwnicy. Mówiłeś coś o specjalnej skrytce na niższym poziomie...

Erdmann spojrzał z zaciekawioną miną na Boehmera, po czym podniósł się z fotela i zamknął drzwi pokoju.

- Dużo tego jest?

- Skrzynia, taka średnia. - Edmund rękoma pokazał rozmiar.

- A jak z wilgocią?

- Nie bój się, wszystko jest fachowo przygotowane. Mam tam też schowek dla kilku osób. Jak kobiety wyjadą, zostanę sam. Jakiś czas temu zgłosiłem się do ochotniczej obrony przeciwpożarowej i tylko dzięki temu Gertruda nie zagadała mnie na śmierć. A jak z Horstem?

- On też zostaje, bo ma przydział jako aptekarz w lazarecie. Nasza apteka została dość mocno zniszczona wczoraj w nocy przez bolszewików. Widziałeś ten czołg na Alter Markt? I te zniszczenia?

- Nie, o niczym nie wiem. Mam kamienny sen, a zresztą wczoraj wieczór spędziłem właśnie w piwnicy, gdzie prawie żadne dźwięki z ulicy nie docierają. Teraz rozumiem, skąd ta ewakuacja.

Za drzwiami wzrósł hałas, przeradzając się w regularny lament. Paul przeprosił i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił zasępio.

- Gertruda dowiedziała się właśnie, że jej przyjaciółka z sąsiedztwa została wieczorem ranna, a dzisiaj zmarła. Ponoć potrafił ją jakiś mercedes. Słuchaj, Edmundzie, teraz muszę wyprawić kobiety, ale przyjdź z tą skrzynią wieczorem, tylko w miarę dyskretnie - kiedy ich już tu nie będzie. Przeniesiesz się do nas?

- Na razie jeszcze nie, ale gdyby była taka konieczność, to z synem i moim sąsiadem z góry moglibyśmy u ciebie przeczekać?

- Jasne. To do wieczora.

* * *

- Panie kreisleiterze, telefon z Königsbergu. Dzwoni jego ekscelencja. - Sekretarka uśmiechnęła się zawodowo i wycofała za drzwi. Emil Preuß nabrał głębiej powietrza i uniósł słuchawkę.

- I jak sytuacja? Proszę mówić i nie owijać w bawełnę! - Krzyk gauleitera Kocha zmusił go do odsunięcia ebonitowej słuchawki od ucha.

- Cóż, Herr Gauleiter, panujemy nad...

- Konkrety, Preuß, konkrety! Dowódca garnizonu, jak mu tam, Schoepffer, nie musi być zdjęty?

- To stary Prusak, więc zawsze z rezerwą podchodził do naszych socjalistycznych przemian, ale ma tu poważanie wśród wojskowych i u Lesera. Wczoraj faktycznie kilka bolszewickich czołgów przebiło się przez miasto, ale w nocy odparliśmy ich natarcie, a teraz chyba też trwają walki na północnym skraju miasta.

- A jak wygląda sytuacja ludności? Morale wysokie? Prowadzicie pracę uświadamiającą?

- Jak pan wie, ogłoszono ewakuację. Ja sam jestem temu przeciwny, ale gauleiter Forster z Danziga ma tu decydujące zdanie. Niestety, nawet z okna widzę przelewające się tłumy. Ludzie są w większości przerażeni. Nasza propaganda przecież pokazywała zbrodnie Sowietów, mamy „syndrom Nemmersdorf”³⁶, który obraca się przeciw nam. - W słuchawce zapadła cisza. Emil Preuß chciał już ją odłożyć, gdy rozległ się w niej trzask.

- Jeszcze jedna sprawa. Co dzieje się z Bergmannem?

Kreisleiter poczuł zimny pot na karku.

- Wczoraj dałem mu dwóch zaufanych ludzi i swojego mercedesa. Do tej pory nie ma od nich żadnych sprawdzonych informacji poza... hm. Patrol żandarmerii znalazł tablicę rejestracyjną samochodu na drodze do Marienburga, koło rzeczki Fischau. Ponoć był tam jakiś wypadek w nocy, ale nie ma możliwości sprawdzenia. Gestapo się prawie ewakuowało, podobnie jak moje biuro...

- Słuchaj, Preuß. Ty zostajesz oczywiście w Elbingu! - To nie było pytanie. - Rusz głową lub dupą i sprawdź, co z Bergmannem. Czekam jutro na telefon.

Trzask zakończył rozmowę. Emil ze złością rzucił się na wielki skórzany fotel, który aż jęknął pod jego ciężarem. Co robić? Jasna cholera, co robić?

* * *

Cekaem ponownie zaniósł się metalicznym stukotem, blokując sowieckich strzelców, którzy próbowali podejść bokiem stanowisko kompanii. Schepke wysunął z rowu głowę, by sprawdzić skutki ognia. Szeregowy Winkler, amunicyjny „antycznego” Schwarzlose, także z pochodzenia Austriak, poklepał ciepłą chłodnicę.

- Jak się umie nim posługiwać, to maszynka jak złoto! - krzyknął w stronę hauptmanna. Ten pokiwał głową. Jego batalion wyposażono w kilka typów przestarzałych karabinów ręcznych i maszynowych w różnym stanie, z których strzelanie było często bardziej niebezpieczne dla operatora broni niż dla jego potencjalnej ofiary.

- Pilnujcie ich, żeby nie podeszli - rzucił rozkaz obsłudze karabinu maszynowego. Jego kompania zaległa na lewym skraju szyku batalionu, z zadaniem obrony przejścia przez pole i niewielki zagajnik. Od nocy, kiedy wrócił na pozycje, docierały do nich odgłosy niedalekiej walki, jednak batalion nie był bezpośrednio niepokojony. Dowódca na szczęście nie wnikał, gdzie pół nocy bawił jeden z dowódców jego kompanii. Przed południem anemicznie uderzyła na nich sowiecka piechota, która była chyba jakimś zwiadem szukającym podejścia do miasta. Z łatwością ich odparli, choć wielu volkssturmistów miało na początku solidnego pietra. To był trzeci z kolei atak i jego chłopcy zaczęli się czuć wyraźnie pewniej. Scheppke przypomniał sobie słowa dowódcy Volkssturmu w mieście, komandora Hartmanna, który przestrzegał przed żywiołowymi i nieprzemyślanymi działaniami. Wielu jego ludzi chętnie rzuciłoby się za Rosjanami, aby zdobyć trochę dobrej broni i wykazać się męstwem przed kamratami. Za plecami usłyszał stukanie podkutych butów o zmarzniętą ziemię. Zdyszany łącznik zatrzymał się przed nim.

- Panie kapitanie, pan bataillonsführer³⁷ kazał przekazać, że słyhać czołgi. Macie przygotować się do odparcia ataku albo wsparcia innych kompanii.

- A działa przeciwpancerne? Dostaniemy wsparcie?

- Nic nie wiem o działach. Lecę dalej! - Chłopak odwrócił się i ruszył wzdłuż rowu.

Schepke starał się coś dosłyszeć, ale poza odległym echem wystrzałów i pogwarkami własnych ludzi nic niepokojącego nie docierało do niego. Naciągnął mocniej kominiarkę na twarz. Wprawdzie mróz zelżał, ale zerwał się lekki wiatr, który nieprzyjemnie wyciskał łzy z oczu.

- Przygotować panzerfausty i pancerzownice! Trzymać w pogotowiu granaty przeciwpancerne! Pogotowie dla niszczycieli czołgów! Podać po linii! - wykrzykiwał komendy. Jego ludzie przycichli i zamarli. Pojawił się strach przed sowieckimi czołgami. Schepke ruszył wzdłuż okopu, co chwilę zagadując tych, którzy wyraźnie wyglądali na przestraszonych.- Jak twoi chłopcy, Puckert?

- Mają pełne spodnie strachu, panie kapitanie. - Weteran wielu bitew wyszczerzył zęby. - Ale to dobrze, bo z gównem w gaciach będą szybciej biegać. Mniejsze tarcie - wyjaśnił.

Schepke nie zdążył odpowiedzieć, gdy przed czołową pozycją batalionu rozerwał się pocisk, a za nim seria kolejnych. Mężczyźni odruchowo wcisnęli głowy w ramiona i przyklękli. Ktoś jęknął przerażony, do ich uszu doleciała także szybko odmawiana modlitwa. Zza leżącej przed nimi kępy drzew wysunęło się długolufowe działo szturmowe, na którego grzbiecie siedziały skulone sylwetki. Po chwili pojawiły się dwie następne maszyny, kierując się ukośnie do ich pozycji. Rosjanie jakby nie wiedzieli o nich, skupili się na linii pierwszej kompanii. Maszyny toczyły się nieśpiesznie, bez strzału, wyczekując na rozwój wypadków. Schepke z Puckertem wpatrywali się we wroga, onieśmieleni jego potęgą.

Pierwsza kompania otworzyła ogień do kilku czołgów, które pojawiły się przed ich frontem. Schepke miał wydać komendę do otwarcia ognia, ale Puckert chwycił go za rękaw, zatrzymując ruch ręki.

- Jeszcze nie, panie kapitanie. Ja znam tę sowiecką taktykę. Oni - wskazał na zbliżające się wozy bojowe - chcą obejść pierwszą kompanię. Pewnie zaraz będą jechali równolegle do nas i znajdą się w zasięgu pancernic.

- Dobrze, poczekamy. Czekać na rozkaz otwarcia ognia! - krzyknął do żołnierzy. Jego komenda podawana wzdłuż okopu zmniejszyła nieco napięcie. Ludzie widzieli opanowanie swojego dowódcy.

- Weź swoich ludzi i przygotuj się do zniszczenia tych wozów. Jak odpalicie ładunki, my damy ognia z karabinów maszynowych.

Puckert skinął głową i ruszył wzdłuż rowu, dłonią wskazując na poszczególnych mężczyzn. Korzystając z niewielkiego zagłębienia terenu i wysokiej, zamarznętej trawy, kilkanaście sylwetek zaczęło posuwać się w kierunku zbliżającego się przeciwnika. Sowieckie pojazdy pancerne były już o jakieś sto metrów od nich. Scheppke uniósł rękę, a jego volkssturmiści wycelowali broń. Ich pozycje były doskonale zamaskowane, więc nie obawiał się, że któryś z siedzących na pancerniku Rosjan może ich zauważyć i zepsuć plan. Rakiety pocisk z sykiem opuścił długą rurę wyrzutni i przeleciał nad czołową maszyną wroga. Kilka kolejnych świetlistych kul panzerfaustów oderwało się od wyrzutni i ze świstem poszybowało ku wrogowi. Ostatnia z maszyn rozbłysła eksplozją, rozrzucając wokół ciała siedzących na niej ludzi.

- Ognia! - Głos Scheppkego utonął w huku salwy karabinów. Tych z Rosjan, którzy spadli z dział samobieżnych i próbowali się podnieść, siekły strugi gorącego ołowiu. Sowieckie działa zawróciły w stronę zagajnika i gwałtownie przyśpieszyły, wychodząc poza zasięg panzerfaustów i panzerschrecków. Kompanieführer uniósł się nieco, a jego oczy przykuła

sylwetka, która oderwała się od własnych pozycji i pędziła w stronę manewrujących pojazdów.

- Przerwać ogień! Przerwać ogień! - krzyknął z całych sił. Karabinowa palba zamierała, a żołnierze z napięciem zaczęli wpatrywać się w dziwaczny wyścig.

- To Klein! - ktoś rozpoznał ludzką sylwetkę. Mężczyzna był już o kilkanaście metrów od pancernego pojazdu, oddzielony od niego kępą krzaków. Maszyna musiała mieć problemy z wydostaniem się z trudnego terenu, dając szansę Fritzowi, który wskoczył w zarośla, niknąc z oczu. Do ich uszu dobiegł terkot pepeszy, a następnie huk eksplozji. Zza krzaków wyłoniły się sylwetki sowieckich żołnierzy, którzy zmykali do swoich.

- Zugführer³⁸ Bilski, weźcie swój pluton i przeprowadźcie Kleina i jeńców!

Kilkudziesięciu ludzi w wojskowych płaszczach i cywilnych kapotach z opaskami, w hełmach i czapkach ruszyło ciężkim biegiem w stronę krzaków, za którymi dymił pancerny kolos. Po dłuższej chwili, ciężko dysząc, przytargali Kleina na rozpiętej pelerynie.

- Klein, słyszysz mnie? Słyszysz? - Scheppke potrząsnął rannego za ramię. Ten powoli otworzył oczy.

- Dałem radę, panie kapitanie. - Oddychał z trudem, a na jego brzuchu rozlewała się coraz większa plama krwi.

- Już nie wrócę do złodziejstwa. Dzięki panu. - Westchnął ciężko i zamknął oczy.

- Do samochodu i natychmiast na punkt opatrunkowy. I wołajcie Puckerta. Aha, zadzwonię do dowódcy batalionu z wnioskiem o Krzyż Żelazny dla Kleina za męstwo. Przekazać po linii.

* * *

Prawie dwie godziny Else i jej matce zajęło przejście czterech kilometrów z domku przy Lothringweg na Hermann Balk Ufer³⁹, gdzie zgodnie z informacją przekazaną przez samochodową szczekaczkę miały czekać na nich statki ewakuacyjne. Załadowały dwie spore walizki oraz Ritę na sanki i z trudem pociągnęły je wypełnionymi przestraszonymi ludźmi ulicami. W kilku miejscach zobaczyły zniszczone pojazdy i uszkodzone budynki - widoczny znak ataku sowieckich czołgów. Im bliżej miejsca załadunku, tym bardziej gęstniał tłum i tym wolniej się posuwały. Else z chęcią wyrzuciłaby większą walizkę w diabły, ale mama zdecydowanie sprzeciwiła się jej nierozwadze. Co chwila zatrzymywały się, dając przejście silniejszym i odzyskując oddech. Na Altstadische Wallstraße⁴⁰ utknęły w tłumie ludzi, którzy próbowali się przedostać na nabrzeże. W harmidrze krzyków, płaczu i pisku dzieci starały się dojrzeć i dosłyszeć, czy jakiś statek zabiera pasażerów. W pewnej chwili tłum zafalował i wolno ruszył w stronę rzeki, od której odezwały się basowo syreny okrętowe. Trzymając przed sobą walizki i Ritę w środku, popłynęły wraz z ludzką falą w stronę szansy ratunku przed nadchodzącą wojną. Po chwili utknęły, z trudem łapiąc oddech i walcząc przynajmniej o odrobinę przestrzeni i powietrza dla małej. Od rzeki huknęły strzały, a ludzie zatrzymali się. Jakaś grupka zaczęła cofać się, niosąc na ramionach nieprzytomne dzieci, więc wykorzystwały ten moment i przesunęły się ładnie parę metrów do przodu. Na wprost nich, przysłonięty częściowo dworcem parowców, stał pomalowany na szaro okręt wojenny, na którego pokładzie kłębili się cywile i marynarze.

- Else, to są okręty wojenne, nie pasażerskie! - Mamie udało się odwrócić głowę i dać wyraz swemu przerażeniu.

- Idziemy, mamó, oni przecież ludzi ewakuują! - odkrzyknęła córka, zdając sobie sprawę, że niższa od niej matka niewiele widzi.

Znowu utknęły i zaczęły się dusić. Od strony okrętów ponownie huknęły strzały, ale tłum nie przestawał napierać. Else wyteęzała wszystkie siły, starając się blokować walizą innych, chronić małą i przeć do przodu. Do potwornego rwetesu dołączył nagle dźwięk silników i pobekiwania klaksonów. Ulicą zaczęły wtaczać się wojskowe ciężarówki z uzbrojonymi żołnierzami, którzy bezpardonowo rozpychali tłum, bijąc opornych i rzucając ich toboły pod koła pojazdów. Przerażeni brutalnością ludzie starali się cofnąć, robiąc miejsce ciężkim wozom. Klapy opadły, a ubrani na biało sanitariusze zaczęli wyciągać spod plandek nosze z rannymi. Wokół nich zrobiło się nagle luźniej. Else schyliła się i szarpnęła matkę za rękaw. Skulone wcisnęły się między sznur noszy, przebiegając dystans do trapu. Ktoś nagle chwycił ją za głowę i szarpnął za włosy. Z jękiem upadła na obsypany brudnym śniegiem bruk wprost pod nogi kolejnej pary z noszami. Jakiś marynarz uniósł ją i pchnął w tłum cywilów, który natychmiast ją wchłonął. Oszołomionej udało jej się wyprostować jakieś dziesięć metrów od trapu. Ktoś ją wołał. Mruganiem usunęła łzy z oczu i zwróciła głowę w stronę głosu. Matka, trzymając Ritę, szła po pokładzie okrętu, usuwając się przed noszowymi. Else udało się wyzwolić rękę i pomachać. Zauważyły jej jasny płaszcz i zaczęły także machać. Ostatnia ciężarówka podjechała pod trap, a tłum ponownie wściekle zafalował i ruszył w kierunku zbawczego okrętu. Razem z innymi zaczęła się pchać, wykorzystując swą szczupłość do przeciskania się coraz bliżej. Z okrętu padła seria z broni maszynowej, trafiając w pierwsze szeregi i zatrzymując ludzi na chwilę. Nagle, z dziesiątek gardeł rozległ się ryk rozpaczy, gdy trap uniósł się i jakby w zwolnionym tempie

został wciągnięty na pokład. Łzy trysnęły Else z oczu i nie od razu zauważyła, że odległość do zbawczego pokładu powiększa się. Zrozpaczeni ludzie ruszyli w stronę rzeki, miażdżąc najpierw tych, którzy stali przy barierkach, a potem same barierki oddzielające ich od wody. Do jej uszu dobiegły przeraźliwe krzyki ludzi wpadających do lodowatej wody i wołania o pomoc. Nacisk nagle zmniejszył się, a nad głowami przeleciała wiadomość, że wojsko zaraz podstawia kolejne okręty i statki.

Else uświadomiła sobie, że znalazła się tuż nad brzegiem rzeki. Mama z Ritką były na razie bezpieczne, a ona musi je potem odnaleźć gdzieś w Niemczech. Poszuka Karla i ubłaga go o pomoc, a on zorganizuje jej transport. Nagle poczuła się ogromnie zmęczona. Musi gdzieś odpocząć. Apteka! Pójdzie do apteki i trochę odsapnie. Poczuła stłuczone kolano, więc powoli zaczęła przepychać się w stronę Wasserstraße. Straciła walizkę, ale trudno. Kulejąc, pomału oddalała się od niebezpiecznej rzeki. Ból nogi stał się nagle tak silny, że weszła do otwartej klatki schodowej i usiadła na schodach. Zamknęła oczy. Przez chwilę jakby zapadła się w ciszę. Nagle budynek zadrżał, a na głowę posypał się tynk. W powietrzu rozległ się przeraźliwy zgrzyt i ulica przed nią wypełniła się pomarańczowo-krwistym błyskiem eksplozji. Huk prawie odebrał jej zmysły, skuliła się przerażona, wpatrując się w wyrwane podmuchem drzwi, za którymi zmierzch rozjaśniał się coraz nowymi wybuchami. Jacyś ludzie wpadli do bramy, wołając coś o organach Stalina. Coraz to nowe gwizdy przeszywały jej uszy, a światło oślepiało. Jej krzyk zlał się z hałasem dochodzącym z brzegu rzeki.

* * *

Horst bardzo się zdziwił, widząc ojca w domu.

- Dlaczego się nie ewakuowałeś, tato? - syn pierwszy raz od dłuższego czasu wybuchnął gniewem. Nie znosił starczego uporu swego ojca, choć po prawdzie czuł, że w całości odziedziczył tę cechę po nim. Zamierzał kolejny raz wyrzucić z siebie masę logicznych i słusznych argumentów, ale na widok beztróskiego wyrazu twarzy Edmunda tylko machnął ręką.

- Co będziesz robił? - zapytał, godząc się ze swoją porażką.

- O, mam dużo rzeczy do nadrobienia. Wreszcie sobie poczytam i pomedytuję. Wiesz, poczułem się, jakbym miał wakacje. Zaraz przyjdą też goście i siądziemy do pracy nad tłumaczeniem manuskryptów. Ciebie poproszę, abyś zaniósł skrzynię do Paula Erdmanna na Spieringstraße, ale najpierw pomóż mi posprzątać ten cały bałagan.

Pani Henrietta nie pojawiła się u nich, więc wewnątrz ich domu odsoniło nieco bałaganiarski charakter obu Boehmerów. Sprzątaniem i układaniem zajmowały się zawsze kobiety, pod warunkiem, że robiły to ściśle według ich wskazówek. Jedynie biurka obu panów stanowiły absolutnie prywatną strefę i nikt poza nimi samymi nie śmiał tam czegokolwiek ruszyć. Porozrzucone rzeczy upchnęli do szaf, filiżanki wróciły do kuchni, a Horst zajął się nawet wyniesieniem popiołu i rozpaleniem pieca. Zmordowany przyglądał się ognikom, które wreszcie objęły kawałki drewna ułożone we wnętrzu kaflowego pieca, gdy rozległo się pukanie do drzwi górnego mieszkania. Edmund poderwał się z krzesła i jak młodzian popędził na piętro, by otworzyć. Młodszy farmaceuta rozpoznał świszczący głos sąsiada z góry oraz usłyszał jeszcze jeden, o ciepłym brzmieniu. Staruszek był naprawdę niesamowity. Wokół toczyła się wojna, a on zapraszał gości na pogawędki. Skrzypienie schodów poprzedziło pojawienie się dwóch starszych mężczyzn. Horst uściśnął dłoń Bauerowi i stanął przed chudym, siwowłosym człowiekiem.

- Ksiądz Józef Przepierski. - Mężczyzna uściskał dłoń aptekarza i uśmiechnął się.

- Katolicki ksiądz? - zaskoczony zdobył się jedynie na takie pytanie.

- Oj tak, synu. I doskonały znawca łaciny, języka polskiego i pruskiego. Wiesz, ksiądz Josef świetnie przetłumaczył fragment, nad którym tyle czasu ślęczałem. - W głosie ojca było pełno entuzjazmu.

- No tak, teraz rozumiem twoją decyzję, tato. - Horst zdobył się nawet na uśmiech. Ksiądz! Gdzie go Bauer wynalazł? Facet wyglądał tak, jakby uciekł z jakiegoś więzienia. Z widzenia znał księży z pobliskiego kościoła Świętego Mikołaja, choć nigdy na nich nie zwracał specjalnej uwagi.

- Dobrze, wezmę skrzynkę i zaniosę ją. Erdmann jest uprzedzony?

- Tak, oczywiście. Wiesz, włóż ją może do jakiejś walizy, będziesz wyglądał, jakbyś się ewakuował. I zamknij za sobą drzwi na dole. - Ojciec stracił resztkę zainteresowania synem i rozsiadł się za stołem. Podkreślił naftówkę i otworzył swój kajet.

- A te trzy ukryte w kominku?

Edmund skrzywił się. Zapomniał o pozostałych inkunabułach.

- Weź je też, zmieszczą się przecież do walizy. Idź już, synu, idź.

Horst wygiął ciało i wsunął się do wnętrza kominka. Po chwili wyciągnął trzy opakowane w pergaminowy papier paczki i nie wycierając nawet pyłu z twarzy, podreptał z nimi na dół. Pod nosem mamrotał na ojca, który kiedy czymś się zainteresował, tracił uwagę dla reszty świata, a zwłaszcza dla swoich najbliższych. Wyciągnął z szafy starą, wielką walizę i wepchnął do niej skrzynkę oraz trzy księgi. Faktycznie, mimo znacznej grubości, wszystkie dobrze się w niej mieściły. Ubrał

się ciepło i wyszedł na podwórze. Zimny wiatr przyniósł swąd spalenizny i hałas. Poprzez jedną z bocznych bram wyszedł na ulicę, zapełnioną prącem w stronę mostów i przystani uciekinierów. Ponoć przy przystani czekały na nich statki mające ich wywieźć do bezpiecznej Rzeszy. Głębiej naciągnął czapkę na głowę i skulił się przed wiatrem. Doszedł do skrzyżowania z Alter Markt, gdy rozległ się przeraźliwy świst i pierwsze sowieckie rakiety uderzyły w starówkę. Jeden z pocisków trafił w sklep Maltenforta, zasypując tłum odłamkami szkła i gruzem. Kolejny uderzył obok, a fala wybuchu rzuciła Horsta w pryzmę brudnego śniegu, wyrywając mu z rąk walizkę. Brązowa skorupa rozerwała się, ukazując zielone papierowe wnętrza i pożółkłe stronice jednej z ksiąg. Poderwał się na nogi i nie zważając na chaos wokół, rzucił się ratować skarb. Kolejny podmuch miotnął walizą aż pod chodnik po przeciwnej stronie, tuż koło leżącej grupy ludzi.

- Boehmer, pomóż mi! - usłyszał znany głos. Schroebter, handlowiec spod dwunastego, leżał tuż koło walizy, krwawiąc z uszu i nosa. Niezdecydowany zawahał się na ułamek sekundy, po czym jednym skokiem znalazł się przy sąsiedzie. Wciągnął go do klatki schodowej i ponownie wybiegł na ulicę. Musiał odepchnąć matkę z krzyczącym dzieckiem, by wyrwać walizę i wcisnąć do niej księgi. Wyczerpany usiadł na schodach koło handlowca. Zgrzyt i eksplozje przenosiły się dalej, w stronę Speicherinsel⁴¹.

- *Herr Gott!* Co to za księgi, że ratujesz je jak ludzi?
Popatrzył w oczy sąsiadowi, ale nic nie odrzekł.

* * *

Uderzenia rakiet całkowicie ich zaskoczyły. Przerażeni zsunęli się z krzeseł na podłogę, starając się okryć głowy

rękoma.

- Do piwnicy! - Edmund pierwszy odzyskał jasność myśli. Razem odsunęli ciężki kredens i zbiegli po chyboczących schodach. Ściskając kajet i lampę, wcisnęli się do cuchnącego wilgocią miejsca.

- Co się dzieje? - Bauer nie mógł opanować drżenia głosu. Budynek raz jeszcze mocniej się zatrzęsł i do ich schronienia dobiegł trzask drewna i brzęk szyb. Wpatrywali się w swoje twarze, nie wiedząc, jak się zachować, czekając w nieskończoność, aż huk eksplozji oddali się i ucichnie.

- Trzeba przygotować tu jakieś schronienie - ksiądz Józef pierwszy przerwał milczenie. Pozostali kiwnęli głowami. Bombardowanie lub ostrzał - cokolwiek to było - właśnie się skończyło. Niepewnie wyszli na dwór, wprost w rozświetlany płomieniami mrok, Położona prawie naprzeciw kamienica, w której mieścił się sklep jubilerski, musiała zostać bezpośrednio trafiona. Jej najwyższa kondygnacja zapadła się, a fragmenty dachu zaczęły płonąć.

- Ludzie, ratujcie, tam ktoś jest! - rozległ się krzyk.

- Trzeba gasić! Zepchnąć śnieg z sąsiednich dachów! - młody policjant przejął kierowanie akcją. Mieszkańcy i gapie, którzy znaleźli się na ulicy, rozsunęli się, robiąc przejście ochotnikom.

Starszy mężczyzna z opaską obrony przeciwpożarowej znalazł się z kluczami i pobiegł otwierać strychy. Trzej mieszkańcy Schmeidestraße 3, trzęsąc się z zimna, obserwowali działania ludzi, kiedy od strony Alter Markt dobiegły ich kolejne dramatyczne krzyki. Na drzwiach niesiono rannych, inni wspierali się na przypadkowych ratownikach, część samodzielnie szła w stronę wyjścia ze Starego Miasta.

- Do mnie ich, do mnie! - rozległ się głos właściciela kawiarni, Hermanna Hefiego.

- Nic tu po was, wracajcie! - Boehmer kiwnął na sąsiadów. -
Ja pójdę zająć się tymi biedakami. Coś tam jeszcze z medycyny
pamiętam.

- Dzień 5 -

Edmund wrócił przed północą. Nalał sobie tylko dubeltową porcję koniaku i zrzuciwszy jedynie buty, położył się na kozetce. Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą zaniepokojoną twarz syna, który baczenie mu się przyglądał.

- No co? - mruknął. Próbował się przeciągnąć, ale uderzył stopami w ramę ciasnego mebla. Czuł się, jakby ktoś go pobił, a potem zostawił na mrozie.

- Dobrze się czujesz?

- Będę żyć, nie martw się. - Wysunął nogi spod islandzkiego koca i ze zdumieniem odkrył, że spał w ubraniu. Potarł rękami zarośniętą twarz.

- Włącz piecyk, umyję się i przebiorę. - Wspomnienia strasznego wieczoru zaczęły powracać. Przez kilka godzin pomagał segregować rannych i opatrywał tych z kontuzjami i lżejszymi urazami. Wiele osób było poranionych spadającymi kawałkami szkła. Życie ratowała gruba, zimowa odzież i to, że już od nalotów na Königsdorf⁴² kazano mieszkańcom wzmocnić szyby papierowymi taśmami, które chroniły przed rozpadaniem się tafli na drobne kawałki.

- Nie ma gazu. Dobrze, że przywrócili prąd, ale na niektórych ulicach nie ma elektryczności, bo Sowieci zniszczyli słupy energetyczne. Wstawię gar z wodą na kuchnię. Sam muszę się umyć i przespać. Słyszałem, że opatrywałeś rannych u Maurizia. Ja po ataku pobiegłem do lazaretu i dopiero teraz wróciłem.

Edmund wstał, rozglądając się bezradnie za kapciami. Ich dom coraz bardziej przypominał kwaterę kloszardów,

bezradnych wobec konieczności sprzątnięcia. Schylił się pod stół i nagle znieruchomiał.

- Horst! - krzyknął w stronę kuchni.

Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i gwałtowne kroki syna.

- Co się stało?!

- Co zrobiłeś z książkami? Zaniósłeś je? - Starszy pan wyprostował się powoli.

- Jezu, myślałem, że dostałeś ataku - powiedział z ulgą.

- Nie, byłem na Alter Markt, kiedy się to zaczęło. Podmuch wyrwał mi walizkę z rąk i rozbił ją. Udało mi się wszystko pozbierać i ukryć, ale i tak oberwałem kawałkiem cegły. - Podniósł nogawkę spodni, ukazując bandaż.

- No, ale co z nimi zrobiłeś?

- Po wszystkim wróciłem do nas. Bauer i ksiądz byli w piwnicy, coś tam robili, więc zostawiłem im skrzynię i pobiegłem na Moltke Straße⁴³.

- Koniecznie idź i sprawdź, co ze skrzynią!

Horst chwycił ojca za ramiona i potrząsnął nim.

- Opanuj się! Teraz obaj umyjemy się i zjemy śniadanie. Mam gdzieś te książki, chcę się przespać. Za kilka godzin muszę być znowu w lazarecie, jasne? Jak będziesz chciał, to pójdziesz sobie na górę i sam te książki zanieziesz. Czy nie zauważyłeś, że przez nie mamy same kłopoty? Kilka razy o mało nas nie zabito! Tato, otrząśnij się! Jest wojna i musimy się ratować!

Edmund szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w twarz syna. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz ten mu się sprzeciwił. A teraz wręcz krzyczał na niego. Zaskoczony wymruczał:

- Masz chyba rację, synu. Muszę się umyć i zjeść. Potem się pogimnastykuję, żeby porozciągać stare kości. I pójde przejść się po mieście, zobaczę, jak wygląda sytuacja i może kupię coś

do jedzenia. Nasza spiżarnia robi się pusta. Ty się w tym czasie prześpij.

Horst pokiwał głową i puścił ojca. Staruszek zbyt łatwo zgodził się z jego słowami. Wyraźnie coś knuł, lecz on był zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

* * *

Emil Preuß już wcześniej postanowił, że wytrwa na posterunku i nie będzie się ewakuował. Tyle lat walczył przecież o swoje stanowisko, z pokorą przyjmując awanse ludzi, którzy naprawdę na nie nie zasługiwali. Był oddany partii, co wielokrotnie udowadniał swoim bezkompromisowym działaniem, nawet wobec najbliższej rodziny. Jednak wczorajsza masakra i fala złych wiadomości podkopały jego niezłomną wiarę w ideę narodowego socjalizmu. Późnym wieczorem nadprezydent Leser wyciągnął go z bezpiecznego schronu i razem ruszyli nad rzekę, by oglądać skutki ostrzału raketowego. Żołądek kilkakrotnie podchodził mu do gardła na widok ludzkich szczątków porozrywanych i rozrzuconych na wysokość drugiego piętra. Jakie siły mógł przeciwstawić pułkownik Schoepffer bolszewickim bandom? Agonia miasta to kwestia dwóch-trzech dni. Wtedy on wpadnie w łapy komunistów, którzy natychmiast go rozwalą, a zwłoki rzucają na pohańbienie. Śmierć to śmierć, ale wyobrażenie ciała, na które szczają brudni żołdacy, które jedzą psy i szczury - to było dla niego za wiele. A i tak był to wariant optymistyczny. Istniała jeszcze szansa, że dostanie się w łapy NKWD i będzie przesłuchiwany w jakimś lochu. Drepcząc po swoim mieszkaniu, przypomniał sobie rozmowę z jednym z wyższych oficerów gestapo, chyba w czterdziestym roku. Obie służby bezpieczeństwa ściśle ze sobą współpracowały i oficer ów gościł

w Mińsku na zaproszenie sowieckich czekistów. Opowiadał, że był pod ogromnym wrażeniem skuteczności przesłuchań i niesamowitych metod zadawania bólu. Po samej demonstracji przesłuchiwanym trzęśli się ze strachu i od razu przypominali sobie wszystkie ważne i mniej ważne „grzeszki”. Wpaść w ręce sowieckiego gestapo? Nigdy. Preuß wyjął z kabury pistolet. Mauser 1914 błysnęła oksydowaną stalą w świetle naftowej lampy. Strzelić sobie w łeb? A może bohatercko zginąć na linii frontu wraz z żołnierzami? Będą wspominali, jak poderwał ich do walki, a potem padł, przeszyty serią. Hm, pośmiertne odznaczenie, notatki w prasie...

No, ale jeżeli zostanie ranny albo ogłuszony i dostanie się w bolszewickie łapy? Trzeba wiać z Elbinga, tylko musi się jakoś zabezpieczyć przed gniewem Ericha Kocha, czyli wyrokiem śmierci.

Dzwonił wczoraj do komendanta policji kilkakrotnie, ale ten ignorował jego telefony bądź faktycznie był zajęty. Wreszcie zdobył terenowy samochód i wysłał swojego sekretarza z ochroniarzem na miejsce, jednak ci wrócili przerażeni, bo w okolicy pojawiły się sowieckie czołgi, które przerwały się przez naszą obronę i przecięły linię kolejową wiodącą do Marienburga. Cóż, trzeba zadzwonić do sekretariatu Kocha, póki jeszcze działają telefony i przekazać, że teren zajęli komuniści i nie ma możliwości zbadania sprawy na miejscu, a on dostał polecenie - nie, lepiej poprosił go nadprezydent - będzie nadzorował ewakuację ludności w bezpieczniejsze rejony. Odsapnął i wyjął z barku butelkę. Nalał sobie spory kieliszek i podniósł słuchawkę.

- Centrala? Niech mnie pani połączy z sekretariatem gauleitera Kocha. Tak, pilne.

Odłożył słuchawkę i zaczął saczyć zawartość. Zaraz skończy pakowanie i jazda do Danziga!

* * *

Pomysł spaceru okazał się chybiony. Ledwie doszedł do pomnika cesarza Wilhelma naprzeciw wejścia do ratusza, kiedy odezwały się syreny alarmu przeciwlotniczego, a okopane w zieleńcach potężne armaty ryknęły ogniem. Przestraszony Edmund wbiegł do schronu w podziemiach ratusza. Pomieszczenia luksusowej restauracji Ratskeller ogołoco z ozdób i wszystkiego, co byłoby pożywką dla ognia. Ktoś go zawołał po imieniu - ku swojemu zdumieniu rozpoznał doktora Kumma, który siedział obok przysadzistego mężczyzny o znajomej twarzy. Ukłonił się, a widząc zachęcający gest ręką, zaczął się przeciskać między krzesłami i ławkami.

- Witaj, Edmundzie. Znasz pana nadprezydenta Lesera?

Boehmer pokręcił przecząco głową. Mężczyzna, którego oblana potem łysina błyszczała w świetle żarówki (skąd oni mieli prąd?), podniósł się i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Nich pan się przysiądzie. - Jego głos miał przyjemną barwę i brzmiał szczerze. - I tak nie mamy nic do roboty, póki trwa bombardowanie.

Grube mury lekko drżały pod wpływem bliskich eksplozji, ale dobrze tłumili ich dźwięk.

- Właśnie omawiamy z doktorem sprawę zabezpieczenia medycznego. Z tego co mi wiadomo, to ma pan aptekę na Starym Mieście?

Edmund skinął potakująco głową. Leser, jako zajadły nazista, nie był lubiany wśród przedsiębiorców i kupców ze względu na ciągle nakładane lokalne podatki i kontrybucje, których większość miała charakter nieformalny. Tętno aptekarza skoczyło w oczekiwaniu na niemiłą niespodziankę.

- Myślę, że ponad połowa mieszkańców już się ewakuowała, ale bolszewicy odcięli drogę na Marienburg i został nam

jedynie kierunek na Danzig. Jak tak dalej pójdzie - ściszył głos i rozejrzał się wokoło - siedzący i stojący wokół ludzie spoglądali po sobie lub zerkali w stronę wyjścia, nie zwracając specjalnej uwagi na rozmawiających mężczyzn - to najdalej jutro zupełnie nas odetną. Zastanawiamy się, jak sprawnie objąć pomocą medyczną cywilów, którzy tu pozostali, i wojskowych. Mamy już sieć lazaretów w szkołach, ale to chyba za mało. Brakuje nam lekarzy i farmaceutów, pielęgniarek i noszowych. Doktor Kumm wspomniał przed chwilą, że jest pan najbardziej uznanym specjalistą farmacji w Elbingu...

Aptekarz spojrział zaskoczony na swojego znajomego. Dobrze się znali, ale często też spierali nie tylko na tematy historyczne. Także podejście do leczenia i zdrowia znacznie ich różniło.

- No nie wiem, jak mógłbym pomóc. Ja już jestem stary, ale mój syn Horst ma przydział do lazaretu w...

- Nie bądź taki skromny, Edmundzie. Ludzie cię dobrze znają i cenią. Na przykład wczoraj wieczorem zorganizowałeś punkt opatrunkowy i segregowałeś rannych po ataku. - Kumm podniósł głos. - Panie nadprezydencie, temu tu Edmundowi Boehmerowi należą się wielkie podziękowania za wczorajsze poświęcenie.

Spojrzenia siedzących wokół skierowały się na aptekarza, który skonfundowany spuścił oczy. Ściany piwnicy zatrzęsły się nieco mocniej, a z kilku miejsc w stropie sypnął wapienny pył, odwracając uwagę od Edmunda.

- Proszę przyjąć moje podziękowania. - Twarz Lesera rozjaśniła się urzędowym uśmiechem. - To jest pomysł, panowie. Przy aptekach zorganizujemy prowizoryczne punkty opatrunkowe i punkty zbiórki rannych. Oznaczymy je flagami z czerwonym krzyżem i stosownymi napisami. Z porzuconych wozów zrobi się prowizoryczne ambulanse, które lżej ranni

będą obsługiwali. Co wy, panowie, na to? - Wbił spojrzenie w twarz swoich słuchaczy.

- Pomysł dobry, panie nadprezydencie, ale... - Edmund przypomniał sobie swoje księgi. Musi wybić z głowy urzędnikowi takie szaleństwo.

- Ale, panie Edmundzie? - Oczy Lesera zwięzły się do maleńkich szparek. Seria bomb łupnęła w pobliżu, powodując, że ludzie pochowali głowy w ramiona.

- ...ale apteki są za małe. Trzeba tu chyba dać albo sklepy, albo restauracje, zaopatrzyć je w stoły i łóżka, i jakieś podstawowe opatrunki. Nie wiem, jak w innych, lecz zarówno „Rats”, jak i staromiejskie apteki zostały wcześniej oczyszczone z wszelkich medykamentów. Podejrzewam, że nie lepsza sytuacja jest w innych placówkach. Wiem, że Riebenschach z „Polnische Apotheke”⁴⁴ miał wyjechać. Czyli nie będzie kim obsadzić tych punktów. Ja, jak już mówiłem, jestem za stary, a pewnie i tak każą mi wyjechać. O, właśnie otwierają drzwi, pewnie alarm się skończył.

Edmund poderwał się z krzesła i kiwnąwszy na pożegnanie głową, zaczął przepychać się w stronę wyjścia. Nadprezydent i doktor Kumm, zaskoczeni jego zachowaniem, popatrzyli na siebie.

- No cóż, z niego zawsze był dziwak. Ma złote serce, ale...

Leser podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku wewnętrznych drzwi, które prowadziły do pomieszczeń magistratu. Wprowadzi w życie ten pomysł, bez względu na obiekcje jakiegoś tam staruszka.

* * *

Zapasy pomału kończyły się, więc po chwili wahania odłożył puszkę z prawdziwą herbatą do skrzynki i sięgnął po rumianek.

Jego sąsiedzi z dołu sami skupowali susz ziołowy od zbieraczy z okolicy i robili napary, herbatki, nie zapominając trochę odstąpić sąsiadom. Bauer wciągnął w nozdrza aromatyczny zapach i rozejrzał się po kuchni. Razem z księdzem do późna zabezpieczali szkło i kamionkę, zawijając je pieczołowicie w papiery i wstawiając do skrzyń. Początkowo chciał to wszystko znieść do piwnicy, którą skończyli adaptować do roli schronu-mieszkania, ale okazało się, że zajmie to zbyt dużo miejsca potrzebnego na odzież, jedzenie i inne zapasy niezbędne do przeżycia. Podniósł się i wyjrzał przez okno. Dom jubilera po przeciwnej stronie wyglądał tak nierealnie... jak niedopalony stos ofiarny. Poczerniałe legary wznosiły się ku niebu, obsypane świeżą porcją śniegu.

Byłby z tego niezły szkic do jakiejś książki - odezwała się w nim dusza artysty grafika.

Z przedpokoju dobiegł go odgłos ciężkich kroków. Ksiądz w pobrudzonym sadzą swetrze zajrzał do środka.

- Ziółka?

- Tak, poproszę. Jest woda w kranie?

- Przed chwilą jeszcze była. Niech się ksiądz umyje, bo wygląda bardziej na dia... - Zdążył ugryźć się w język.

- W tych okolicznościach każdy ma trochę diabła w sobie. - W oczach duchownego nie było urazy. - Czy zostało jeszcze troszkę wrzątku? Ogoliłbym się. Nie wypada stawać przed Panem Bogiem w takim stanie.

Karl wskazał wzrokiem na czajnik. Dziwny ten ksiądz. Przecież to dusza idzie do nieba, więc po co zawracać sobie głowę wyglądem?

- Ale chyba ksiądz nie wybiera się na śmierć? Poza tym bolszewicy to Słowianie, jakby krajanie...

- Bolszewik to antychryst, aczkolwiek muszą między nimi być porządni ludzie. To tak jak tu, w Prusach. Sam pan zresztą

opowiadał o spotkaniu z gestapo. A co do śmierci, pozostając tu, zdecydowanie zwiększa pan jej prawdopodobieństwo. Przed chwilą przecież skończył się nalot, a huk dział słychać cały czas.
- Pokiwał smutno głową.

- A co ksiądz sądzi o naszym nocnym gościu? - Karl szybko zmienił temat.

- Biedna, doświadczona przez los istota. I jeszcze to rozdzielenie z córką i matką. Trudno jest się otrząsnąć po tylu przejściach.

- A gdzie ksiądz nauczył się tak opatrywać rany?

- Zanim zająłem się duszami, byłem sanitariuszem w wojsku. Asystowałem chirurgom, a gdy byli zmęczeni, to wykonywałem proste zabiegi. Sam byłem zaskoczony, że tyle z tego pamiętam. Szkoda, że nie chciała odpocząć dłużej i wyszła tuż przed nalotem. Mam nadzieję, że pani Breitfeld nic się nie stało. - Kapłan wstał i przeszedł do drugiego pokoju. Karl usłyszał nagle głuchy odgłos jakby padającego ciała. Masz ci los! Jeszcze brakowało mu zemdlonego zbiega. Stanął w drzwiach i oparł się o framugę, zaskoczony widokiem. Jego gość klęczał przed ścianą, na której wisiał krucyfiks, i półgłosem modlił się. Bauer, sam niezbyt religijny, poczuł onieśmienie. Tak, jakby niespodziewanie odkrył czyjaś intymność. W czasie pobytu księdza Józefa kilkakrotnie widział go modlącego się, raz nawet przyłączył się, lecz nigdy nie czuł się tak jak teraz. Zmieszany chciał już odejść, ale ksiądz nagle odwrócił się ku niemu. Widok łez toczących się po policzkach i brodzie poruszył nim i odgrzebał dawno zapomniane uczucia. Sam, nie wiedząc dlaczego, opadł na kolana, a usta bezwiednie zaczęły szeptać modlitwę.

* * *

- Szukam pana Boehmera! - krzyknęła do pochylonego nad noszami człowieka w białym kitlu. Ten uniósł głowę i popatrzył na nią zaskoczony, po czym mruknąwszy coś, ponownie zajął się rannym.

Else Preuß ruszyła w stronę wejścia do budynku szkolnego, pełniącego teraz funkcję lazaretu. Wszędzie leżały nosze, drzwi, deski oraz stały podwozy, na których leżeli ranni i umierający. Wokół nich biegali sanitariusze, kręcili się lekarze i siostry zakonne. Białe śniegi pokrywały czerwone plamy, szmaty, papiery, latające wokół spalone szczątki z płonącego opodal domu. W powietrzu panował intensywny smród rozkładu zmieszany z wonią środków dezynfekcyjnych i... śmierci. Nagle zatrzymała się przed noszowymi niosącymi na noszach dwie połówki ludzkiego ciała, z których nadal ciekła krew. Odwróciła się, gwałtownie oddychając.

Po co tu leżysz, idiotko!

Zakrywając rękawiczką usta, ruszyła dalej, starając się unikać patrzenia na ciała. Przed wejściem paliły się koksowniki, przy których układano rannych przed końcową segregacją.

- Siostro, szukam pana Boehmera, aptekarza!

Zaczepona zakonnica popatrzyła na nią zmęczonym wzrokiem.

- Kogo pani szuka?

- Pana Horsta Boehmera. Chciałabym pomóc, jakoś...

- Jak chce panienka pomóc, to proszę się zwrócić do siostry Klary, jest na najwyższym piętrze. - Siostra odwróciła się i trzymanym w delikatnych dłoniach bandażem zaczęła owijać głowę jakiegoś nieszczęśnika.

Else musiała pokonać szerokie schody, wspinając się na piętro. Przez wielkie, częściowo rozbite okna wpadał mroźny powiew, odsłaniając przerażającą panoramę płonącego miasta. Zacisnęła z całej siły dłonie na poręczy, jak zahipnotyzowana

wpatrując się w dymy pożarów spowijających centrum. Nagle drgnęła, czując dotyk.

- Czego szukasz, dziecko?

Zarumieniła się. Ten miękki głos, zupełnie niepasujący do otoczenia sprawił, że poczuła się jak dziewczynka. Zakonnica patrzyła na nią łagodnymi, szarymi oczami, które otaczała drobna pajęczyna zmarszczek.

- Ja, proszę pani, siostry... ja chcę pomóc. Szukam pana Boehmera, może przy lekach. Tylko że... ja boję się krwi i bólu.

- Jak się nazywasz? Masz jakichś bliskich?

- Else Breitfeld. Moja mama i córka zostały wczoraj ewakuowane. - Jej głos się załamał, a łzy zaczęły płynąć po policzkach.

- Dobrze, nie ma czasu. Pomożesz przy bandażach. Chodź, dam ci fartuch na przebranie i pokażę, co robić. A w przerwie, jeśli taka będzie, porozmawiamy.

* * *

Kolejny atak artyleryjski zapędził ich do piwnicy. Solidne, grube mury kamienicy oraz starożytne sklepienie dobrze chroniły ich przed skutkami ostrzału. Sowieci bombardowali dzielnicę za rzeką - Speicherinsel - i wschodnie peryferie miasta. Kilka zabłąkanych pocisków uderzyło w gęstą zabudowę Starego Miasta, wyganiając pozostałych mieszkańców do piwnic.

Edmund Boehmer zaprosił sąsiadów z góry do swojej części, gdzie znajdowały się stare skórzane meble, które planował odrestaurować. Trzech mężczyzn rozsiadło się przy skrzyni, pełniącej funkcję stołu, na którym leżała księga i kajet z notatkami Edmunda.

- Czyli nie udało się panu zanieść tej książki w bezpieczne miejsce? - Ksiądz wydawał się zaniepokojony tym faktem. Z ciekawością wpatrywał się w oprawiony w skórę i okuty grzbiet woluminu, który sprowadził na to miejsce tyle nieszczęścia. W blasku naftówki okucia połyskiwały złotem.

- Wygląda, jakby była zdobiona złotem. - Zamyślił się. Edmund i Karl zerkali to na niego, to na stół, nie przerywając księdzu Józefowi.

- Każde złoto może dać albo radość, albo nieszczęście. Gdy narzeczeni stają się małżonkami, złoto daje im szczęście i poczucie pewności. Ale ona - wskazał na inkunabuł - spowodowała cierpienie tylu ludzi. A nie wiadomo, co nas jeszcze przez nią czeka. Może ciąży nad nią jakieś przekleństwo? Krew pomordowanych przez Krzyżaków?

- No, niech ksiądz Josef tak nie mówi! - zirytował się Edmund. Przez chwilę nerwowo wyginał palce. - To tylko księga, a że źli ludzie się nią interesują? Wiecie, co mówił Scheppke. Oni najprawdopodobniej nie żyją. A jeśli nawet wisi nad nią jakaś klątwa, to chyba ksiądz, jako katolik, nie wierzy w takie brednie? A zresztą, gdyby nawet coś takiego było, to właśnie osoba duchowna ma możliwość zatrzymania zła, nieprawdaż? - Edmund zapadł się w fotel, wywołując pojękiwanie starych sprężyn. Po jaką cholere zapraszał tych dwóch? Sam w końcu dałby radę rozszyfrować zapiski z pergaminów, nigdzie się stąd przecież nie wybiera. Nadąsany zaciął usta.

- A co stało się z pozostałymi trzema księgami? - Bauer przerwał niezręczną ciszę.

- Kiedy trwał jeszcze poprzedni nalot, zaniósłem je do mojego znajomego na Spieringstraße. Tam będą bardziej bezpieczne niż tutaj.

- No, a ta? Chyba jest najcenniejsza?

Boehmer otworzył usta, lecz pobliskie uderzenie ciężkiego pocisku wyraźnie zakołysało domem, przerywając mu. Światło lampy zaczęło drżeć, rzucając niepokojące cienie wokół. Trzej mężczyźni popatrzyli na łukowaty strop nad głowami. Mistrz murarski, który wznosił go kilkadziesiąt lat temu, musiał być dumny z jego piękna. Czy byłby też dumny z wytrzymałości na eksplozję materiałów wybuchowych?

- Postanowiłem przejrzeć ją raz jeszcze. Ta księga chyba jest niewiele młodsza od pergaminów. Myślę, że może dać nam jakieś wskazówki dopełniające relację tego, który je pisał.

Edmund pochylił się i otworzył swój kajet.

- Niech ksiądz spojrzy. Po lewej stronie jest tekst oryginalny, który skopiowałem, a po prawej moja translacja. I tak nie mamy co robić, póki trwa bombardowanie, więc może razem spróbujemy sprawdzić to tłumaczenie?

Ksiądz Józef skinął głową i pochylił się nad kajetem. Stary aptekarz faktycznie natrudził się, starając się wiernie oddać kształt liter trzynastowiecznego kronikarza. Oczy duchownego przebiegały stroną, porównując ją z tłumaczeniem na niemiecki.

- Panie Bauer, niech pan tu zerknie. Cóż to za litera według pana?

Bauer przyglądał się uważnie, przywołując różnorodne kształty zawijasów, z jakimi jako drukarz miał styczność, przekładając rękopisy na drukowane strony. Pytanie padało jeszcze kilkakrotnie, a odpowiedź była kwitowana mruknięciem. Boehmer wpatrywał się z przejęciem w twarze sąsiadów, całkowicie pochłoniętych pracą. Ksiądz Józef zagryzał wargę, mrużąc, wypowiadał jakieś zdania, krzywiąc się, gdy tłumaczenie było niezadowolające, i lekko rozjaśniając twarz, kiedy fragment go satysfakcjonował. Jego wzrok co chwila odrywał się od tekstu i błędził po mrokach piwnicy, sprawiając

wrażenie, że i tam gdzieś znajdują się wypisane frazy. W pewnym momencie wstał i zaczął przechadzać się, gestykułując rękami, jakby z kimś rozmawiał. Edmund z Karlem wstrzymali oddech. Poza mrużeniem i odgłosem kroków do piwnicy nie dochodził żaden dźwięk. Ostrzał skończył się, ale oni nawet tego nie zauważyli.

- Czy możliwe jest obejrzenie oryginału? - Ksiądz Józef nagle zatrzymał się obok Edmunda.

- Byłoby to trudne. Mój syn, Horst, bardzo dobrze to skleił. Obawiam się, że gdybyśmy teraz próbowali otworzyć okładki, to potem nie udałoby się nam idealnie tego zamknąć.

- Szkoda.

Ksiądz przez chwilę wpatrywał się w księgę, po czym z westchnieniem opadł na kanapę.

- Ma pan gdzieś wolne kartki? Pana tłumaczenie jest niezłe, ale wprowadziłbym parę poprawek, które zmienią nieco sens. - Ksiądz Józef wziął do ręki notes Boehmera.

- Gotowy? To proszę pisać.

* * *

- *In Nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.* - Duchowny zerknął w notatki Boehmera i lekko uśmiechnął się.

W Wigilię Świętego Jana Anno 1236 rozpoczynam spisywać kronikę, jako świadectwo pobożności mego dobrodzieja, wielkiego Xięcia Świętopelka, który będąc dobrym panem i krzyżowcem, wojska śle przeciw bożki sławiącym Pomezanom, Natangom i moim pobratymcom Lanzasom. Pan mój rozkazał mi, bym towarzyszył jego rycerzom szwabskim od Najświętszej Maryi Panny jako przewodnik, który w ziemiach tych znakomy, a i kronikarz, co baczył będzie, aby krześcijański mir między pogany wprowadzać, co światłości krzyża pragnąc będą, a

zaprzaińców na potępienie wieczne. Za zasługi nada mi Jaśnie Xiążę ziemię, co to mnie pobratymcy zdradą mi odebrali, a mnie na psi los i poniewierkę pchnęli, choć przeciemy z vitingów.

Siedzimy teraz w Marienwerder, czekając, aż pogoda się nam poprawi i nowi zbrojni przybędą, by braci zakonnych i Xięcia mego wspomóc. Pan mój, wielki wojownik, co to w boju każdego usieć potrafi, a i z konceptu słynie, już rok temu z okładem bratu Balkowi wierzyć przestał, choć przecież druźbę sobie przyrzekali. Brat ów między krześcijany za męstwo, a spryt chwalony wielce jest, ale widzi się, że jeno na pokaz, bo to jako lisieć jeno ku swemu prze. Zapomniał, iż rok temu zimą tylko dzięki Xięciu Świętopełkowi wyprawa na ziemię Reysen udać się mogła i Xiążę męstwem własnym Balka od śmierci uchronił. Potem zaś, latem, gdy do Pogeżanii Xiążę ruszył, obiecanych posiłków rycerz nie posłał i straty srogie ponieśli. Więcej, brat Balk rozgłosił...

W notatkach znajdowała się namalowana atramentem plama. Ksiądz Józef spojrział pytająco na Edmunda. Ten zniecierpliwiony przerwą burknął:

- W tekście była tu spora dziura. Nie wiem, co mogło się tu znajdować. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

Palec duchownego pojechał dalej i zatrzymał się na chwilę. Ksiądz zaczął mruzczyć coś do siebie, zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Edmund i Karl wymienili spojrzenia, gdy ksiądz Józef ponownie zaczął.

- Spróbujmy tak. W razie czego wrócimy do tej części, gdy zrozumiemy dalszy ciąg. - Zaczepnął tchu.

- ...a biskupa Krystyjana, co to od lata roku poprzedniego w niewoli jęczy uwolnić nie pragną, choć ten biskup jest najbliższym Ojca Świętego następcą. Wczora, do obozu naszego przybył Legla, młodszy brat Spicengala, któryż ongiś porwać się

Xięcia najął, ale wraz z Samborem, liścem obmierzłym, przeżan był i biegać musiał. Legła dziesięciu konnych i czterdziestu pieszych zbrojnych i ciurów przywiódł na wyprawę. Przez noc całą z bratem Balkiem i bratem Kuno naradzali się. I chyba pomysł jakiś mają, bo koło północy śpiewać i ucztować zaczęli. I sprośne dziewczki, co to je Legła przywiódł, pewno obłapiać poczęli, bo od pisków a chichotów spać gród nie mógł. Pismo do Jaśnie Xięcia sporządzać będę, ino dowiedzieć się muszę, co te szwabskie pany z Sambora zausznikiem powzięły.

Ksiądz przerwał i popatrzył uważnie na obu Niemców. Przez wiele lat pracował na terenach, o których pisał nieznany kronikarz i wielokrotnie stykał się z różnymi wersjami legendy o powstaniu Marienwerder i innych miast nad Wisłą. Wszędzie oficjalnie mówiono o bohaterskich krzyżowcach bez skazy i podstępnych Prusach, którzy na ziemi niewdzięcznych Polaków zagony czynili. Jednak między mieszkańcami małych miasteczek i wiosek krążyły opowieści o dobrym księciu, którego Krzyżacy okrutnie oszukali. Ksiądz Józef brał to za bajania, choć wiedział, że w każdej legendzie powinno być jakieś ziarno prawdy. To co odcyfrował i przetłumaczył, przeczyło też zapisom w kronice Dusburga. Dlaczego ten Boehmer tak bardzo chciał poznać coś, co podważało jądro wiary w niemiecką uczciwość? Bauer pierwszy przerwał kłopotliwe milczenie.

- Ksiądz już dalej nie tłumaczy?

- Po prostu staram się pojąć to, co czytam. I zaczynam rozumieć, dlaczego tylu ludzi chce zdobyć tę księgę.

- Pewnie ksiądz chce usłyszeć, że podważa to naszą historię? Jeżeli wierzyć temu tekstowi, to takie można odnieść wrażenie.

- Edmund naburmuszył się, wbrew temu, o czym niedawno sam jeszcze myślał. On chciał być odkrywcą wielkiej prawdy. On

miał ją opisać i opatrzyć komentarzem, który Niemcy przyjmą i zaakceptują. A teraz ten ksiądz podważa to, co było dla niego oczywiste. Może sam chce Polakom ogłosić, że te ziemie są ich, bo Niemcy zdradą je zdobyli? Jeżeli ON wczyta się dalej w tekst, to znajdzie potwierdzenie podejrzeń, które zapewne powziął. Edmund poderwał się z miejsca i sięgnął po kajet. Jego ręka uderzyła o deski skrzyni, a on sam zawisł nad nią z szeroko otwartymi ustami. Bauer pochwycił jego notatki i patrząc w oczy Boehmerowi, podał je duchownemu.

- Co to, zmowa? - wydusił z siebie aptekarz.

- Nie, panie Edmundzie. My też ryzykowaliśmy dla tych pergaminów i teraz chciałbym poznać prawdę. Jakakolwiek ona jest. Tym bardziej że możemy ją wkrótce zabrać do grobu.

Edmund dopiero teraz poczuł, że ściany jego kamienicy potężnie drżą.

* * *

Else Breinfeld z trudnością brnęła pomiędzy stertami śniegu, świeżo wyrzuconą przez pociski artyleryjskie i bomby ziemią oraz gruzem z budynków. Dochodziła do miejsca, w którym tory tramwajowe biegnące wzdłuż koszar na Königsbergerstraße skręcały w kierunku do Vogelsang, gdy pojawił się przed nią wojskowy patrol. W świetle płonącego obok budynku dostrzegła wycelowane w jej kierunku lufy karabinów.

- Stój! Kim jesteś? Dokumenty! - wykrzyknął w jej kierunku jeden z odzianych w wojskowe kurtki ludzi. Zadrżała i rozejrzała się wokół. Otepiające zmęczenie odeszło, w pobliżu dostrzegła okopy, połamane drzewa i stojące armaty, wycelowane w kierunku Gross Wesseln. Jeden z żołnierzy zerwał jej z głowy kaptur i odsłonił brudne blond loki.

- Dziewczyna, panie kapralu! - krzyknął zaskoczony, odsuwając się na krok.

- Dokumenty proszę! - przemówił ten z dzikim zarostem i papierosem w kąciku warg. Else wyczuła wyraźny zapach alkoholu. Bez słowa rozpięła kurtkę i wyciągnęła torebkę. Błysnęła latarka, której światło przeniosło się z jej twarzy na kartonik ze zdjęciem.

- Gdzie pani idzie, pani Breitfeld? Pani wie, że w Gross Bieland są bolszewicy?

Zaskoczona popatrzyła wokół bezradnie.

- Nie, nie wiedziałam - z trudem wydobyła z siebie głos. Co ona tu robi? Jak się tu znalazła? - Wracam z dyżuru w lazarecie w szkole von Plauena. Idę do domu, tu niedaleko.

- A nie boi się pani sama o czwartej nad ranem wędrować przez miasto? Gdzieś tu mogli dostać się Sowieci, są jeszcze cudzoziemscy robotnicy, którzy mogą panią okraść albo...

- Kapral zawiesił głos.

- Chce pan powiedzieć, że mogą mnie zgwałcić? Panie oficerze, jestem wdową po sierżancie SS, a w lazarecie na takie okropności się napatrzyłam, że już niczego się nie boję - prychnęła gniewnie.

- A skąd ten strój? Mogliśmy panią wziąć za jakiegoś dezentera!

Else popatrzyła na maskujące wojskowe spodnie i kurtkę.

- Moje rzeczy się zniszczyły, a na ten mróz musiałam się w coś odziać. Jak pan widzi, mam jeszcze na sobie fartuch. - Rozpięła kurtkę. Światło latarki omiotło brudną biel upstrzoną plamami zastygłej krwi. Mężczyzna kiwnął głową.

- Daleko pani mieszka? Jeżeli w pobliżu, to dam pani eskortę. Nie powinna pani sama...

- Dam sobie radę, dziękuję za troskę. Czy mogę iść?

Żołnierz odsunął się, robiąc jej przejście. Dopinając skostniałymi palcami guziki, ruszyła w stronę domu. Tętno skoczyło, gdy usłyszała za sobą sprośny okrzyk któregoś z wojaków i rubaszny śmiech. Odruchowo przyspieszyła kroku, schodząc w prawo, pomiędzy topole wyznaczające ścieżkę. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zbliża się do gospodarstwa swoich znajomych, Klimów⁴⁵. Stała niezdecydowana przy wyłamanej furtce. Budynki wyglądały na opuszczone. Nagle ogarnął ją strach, więc zawróciła i przez pola pobiegła w stronę swojego osiedla. Jeden z domków w pobliżu dopalał się, ale jej część ulicy pogrążona była w zimowym mroku. Z tego kierunku dobiegł ją cichy pomruk. Zwolniła i pochyłona podeszła do sągu drewna. Przed ich domem stał samochód z włączonym silnikiem, z którego rury wydechowej wydobywał się idący pionowo dym. Przestraszona zamarła, nie wiedząc, co robić. Drzwi domku otworzyły się i błysnęła w nich latarka.

- Na pewno dobrze wszystko zamaskowałeś? - usłyszała głos, który wydał się jej znajomy.- Tak jak pan kazał. W końcu jestem facho... - Niespokojną ciszę nocy przerwał głuchy łoskot. Else skuliła się. Pomimo kaptura na głowie wyraźnie słyszała ciężkie uderzenia i sapanie, jakby jedna z osób czymś się męczyła. Sapanie nagle ustało, więc uniosła nieco głowę. Światło latarki oświetlało fragment czarnego samochodu i coś, co leżało obok. Nagle promień zatoczył wokół krąg, jakby badając, czy ktoś nie poznał tajemnicy właściciela latarki. Światło uderzyło w domek, przy którym się ukryła, więc struchlała przywarła do drewnianych szczap. Ponownie dobiegło ją sapanie, po czym światło uciekło. Skrzypnęły zawiasy furtki sąsiadów, wpuszczając na podwórko ciemną pochyłoną sylwetkę, która z mazołem coś ciągnęła. Poprzez szczelinę między szczapami

widziała migające bezładnie światełko, które oświetlało to mur domku, to ciało ciągniętego człowieka, to potężną, sapiącą sylwetkę. Wstrzymała oddech. Jeżeli ten, który ogłuszył lub zabił, rozejrzy się, z łatwością ją znajdzie. Człowiek zaciągnął bezładne ciało w głąb ogródka i wyprostował się. Przysypał ciało śniegiem i otrzepawszy się, ruszył z powrotem. Skamieniała Else patrzyła przez szczelinę na zbliżające się światełko latarki, które nagle uderzyło o okno domku. Rozpaczliwie gryząc wargę, stłumiła okrzyk przerażenia. Na ułamek sekundy szkło zadziało jak lustro, odbijając twarz człowieka. Jej stryja, Emila Preuša.

- Dzień 6 -

Edmund starał się rozmasować podudzie, które złapał skurcz. Ból pomału mijał, za to odezwało się pragnienie. Wolną ręką zaczął obmacywać krawędź skrzyni, gdzie powinny były leżeć zapalki. Palce dotknęły pudełka, które z chrzęstem spadło na ziemię. Uniósł głowę, a mrok piwnicy rozświetliły kołyszące się płomienie. Zmrużył oczy, dusząc ból, po czym wymacał zapalki. Na szczęście spadły niedaleko.

- Boże, jak zimno! - mruknął do siebie. Z trudnością wydobył i potarł zapalkę. Na szczęście ogarek znajdował się tuż, więc gwizdnął zadowolony na widok płomyka rozpraszającego mrok. Przez chwilę rozgrzewał palce, po czym odrzucił koce i zaczął wymachiwać rękami. Kręgosłup go bolał, ale nie zważał na to. W kiwającym się od jego wymachów świetle świecy błyskały białe kartki notesu i szkło butelki. Zasapany, ale czujący żwawiej płynącą krew, aptekarz stanął przed zawieszonym na ścianie starym lustrem. Siwa szczecina porastała mu policzki otoczone aureolą rzadkich białych włosów. Pośpiesznie przylizął je i wcisnąwszy kapcie na nogi, podreptał do sąsiedniej komórki, służącej mu za toaletę i składzik. Z obrzydzeniem popatrzył na wiadro z uryną. Będzie je musiał opróżnić. W dzbanku za to była woda, wprawdzie lodowata, ale tak przyjemnie ochłodziła drapiące gardło. Wrócił do swojego „lochu” i zapalił naftówkę. Wokół panowała cisza, więc zdecydował, że może wyjść z piwnicy. Narzuciwszy płaszcz i wciągnąwszy buty, podreptał na klatkę schodową. Drzwi były zamknięte, ale klucz miał w kieszeni. Mrużąc oczy przed ostrym światłem, zatrzymał się zaskoczony. W miejscu, gdzie powinny być drzwi prowadzące na ulicę, ziała ogromna

dziura, przez którą przebijały się promienie porannego styczniowego słońca. Poczłł gwałtowne łomotanie serca i uderzenie krwi, gdy ruszył ku wyjściu. Pod nogami zatrzeszczały rozbite cegły i kawałki szkła, a do nosa dostał się ostry zapach spalenizny. Miejsce domu naprzeciwko zajmowało gruzowisko, z którego snuła się struga gryzącego dymu. Odwrócił się i spojrział na swoją kamienicę. Deski chroniące potłuczone okna apteki wytrzymały, choć kilka było obłuzowanych. Sztyd apteki spadł, a z wytłuczonych okien na piętrze wiatr wydmuchiwał smutne resztki firany. Podniósł wyżej głowę. Jedno z okien Bauera zabite było czymś, co wyglądało na drzwiczki kredensu. Z drugiego wyłoniła się ręka trzymająca młotek, po czym rozległo się stukanie.

- Karl, żyjecie? - krzyknął.

Ręka z młotkiem zamarła, a potem wykonała pozdrawiający ruch. Z daleka dobiegły go odgłosy wybuchów i serii z broni maszynowej. Przynaglony strachem popędził do środka i po schodach wdrapał się do mieszkania sąsiada.

* * *

Else cieszyła się, że nie dały rady zabrać wszystkiego z sobą. W spiżarce znalazła miód i suszone owoce, które nadały się na śniadanie. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy rozpalić ogień, ale przypomniała sobie, że Georg zostawił kiedyś w domu maszynkę spirytusową, więc mogła zaparzyć ziółka. Już wcześniej postanowiła, że musi opuścić domek na Lothringweg i przenieść się do lazaretu. Kilkakrotnie przez zasłony słyszała głosy przechodzących żołnierzy, a potem łoskot ciężkich pojazdów. Dochodziła jedenasta, więc czas było się zbierać. Przed tym postanowiła jeszcze raz wejść do piwnicy, by sprawdzić, co takiego stryj Emil zostawił w ich domu.

Jej myśli powróciły do nocnego powrotu przez miasto i tego, co widziała pod domkiem. Stryj szybko odjechał, a ona trzęsa się z zimna za sągiem drewna przez jakiś czas, dopóki ziąb nie zmusił jej do przejścia na drugą stronę ulicy, do domku. Zamek drzwi był wyłamany, a naniesiony śnieg wiódł do piwnicy. Nim zapaliła świeczkę, dopilnowała, aby przez okna nie wydostał się jej blask. Szybko sprawdziła piwnicę, ale poza drobnymi plamami wapna nic nie znalazła.

Napięcie nerwowe zaczęło ustępować miejsca potwornemu zmęczeniu, więc wdrapała się na piętro do swojego pokoju i wzięwszy dodatkową pierzynę mamy, okryła się i natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Obudził ją ryk silników przelatujących nad osiedlem samolotów, a następnie głuchoe odgłosy eksplozji. Przez chwilę leżała skulona, nasłuchując, lecz poza przytłumionymi odgłosami walki, do których się już przyzwyczaiła, nic niepokojącego się nie działo. Postanowiła zabrać resztkę swoich rzeczy i jedzenia i wracać do centrum. Pakując się, natrafiła na dokumenty i zdjęcia. Zaproszenie na ślub, jej zdjęcie z Ritą, życzenia świąteczne od dowódcy Dywizji „Wiking”, w której służył Georg, i jego nekrolog. Wdrapała się na stryszek i ukryła znalezisko zawinięte w starą gazetę pod krokwiami dachu. Teraz pozostało jej sprawdzić, czego szukał jej stryj nocą. Z lampą naftową w dłoni weszła do piwnicy. Z uwagą przyglądała się ścianom, ale nie znalazła w nich niczego niezwykłego. Miała już wyjść, gdy jej uwagę zwrócił kawałek szkła z rozbitego słoika. Ani ona, ani mama nic takiego na pewno nie zrobiły, więc to musiał być stryj albo ten drugi mężczyzna. Regał, na którym składowały weki, był przesunięty! Podniosła wyżej lampę i teraz wyraźnie dostrzegła, że na wysokości jej kolan kilka cegieł było jaśniejszych, a zaprawa wyglądała na świeżą. Sięgnęła po jeden ze śrubokrętów ojca i zaczęła wydłubywać

spoinę, luzując cegły. Po kilku minutach zaciętej pracy, wciśnięta między półki, które robił Georg, wyciągnęła pierwszą cegłę. Dłoń powędrowała do otworu i natrafiła na kawałek parafinowego papieru. Z zaciekłością, po kilku uderzeniach śrubokrętem, wysunęła drugą cegłę i zawartość pakietu. Zasapana wysunęła się spomiędzy półek i w świetle naftówki obejrzała pakiet. Nie było na nim żadnych napisów, ale musiał być niezwykle ważny, skoro kosztował życie człowieka. Wsunęła go do kieszeni swojego szpitalnego fartucha. Teraz tylko musi ubrać się w te wojskowe łachy i wrócić do lazaretu. Ponownie weszła na piętro, by zabrać tobolek i w tym momencie zaczęło się. Potężny podmuch otworzył z trzaskiem okna, wyrzucając w jej stronę odłamki potrząskanych szyb. Grube zasłony, które powiesiła po uporczywych naleganiach mamy, przyjęły na siebie śmiertcionośne kawałki szkła, ratując jej życie. Przypomniała sobie słowa Karla, oficera broni przeciwlotniczej z Eichwalde, że w czasie bombardowania powinna trzymać się jak najbliżej drogi ewakuacji. Na kolanach przysunęła się do okna i ostrożnie wyjrzała.

Wzdłuż ulicy biegli żołnierze, strzelając w stronę niewidocznego wroga. Co chwila jeden z nich odrywał się od płotu, domu, drzewa i odbiegał kilka metrów do tyłu, znajdując następną kryjówkę. Skuliła się, gdy w pobliżu rozległa się seria wybuchów. Z ulicy dobiegły ją przeraźliwe okrzyki bólu, które zaraz zagłuszył szcęk gąsienic. Żółtobiały pancerny żółw cofał się, osłaniając kryjących się za nim ludzi. Nagle przystanął i lekko skręcił. Jego przód okrył się błyskiem wybuchu, a przerażona Else wcisnęła się pod ścianę. Musi uciekać, natychmiast. Na czworakach ruszyła w stronę schodów, gdy usłyszała łomot otwieranych gwałtownie drzwi i stukot podkutych wojskowych butów. Odruchowo cofnęła się na miejsce przy oknie. Szarpnęła za drzwi szafy, z której wysypały

się jej i córki rzeczy. Nagarnęła je na siebie i zablokowała sukienkami drzwi szafy, tworząc prowizoryczną kryjówkę. Jeżeli ktoś nie podejdzie do okna, to jej nie zauważy, lecz jeżeli to zrobi... Przez chwilę uspokajała oddech, gdy rozległ się stukot butów na schodach. Skuliła się i zamarła w bezruchu. Ciężka, pocięta odłamkami szkła zasłona lekko uchyliła się, odsłaniając jednocześnie fragment męskiej sylwetki w wojskowej kurtce i hełmie. Mężczyzna ostrożnie spoglądał na ulicę, nie zdając sobie sprawy, że od Else dzieli go kawałek drewna i materiału.

- Wagner, jesteś gotów? - odwrócił głowę i krzyknął do wnętrza domku.

- Gotów, panie kapralu. Niech tylko skurwysyn podjedzie bliżej. - Usłyszała silny, spokojny głos. Nagle stojący obok niej kucnął gwałtownie. Else poczuła, jak w mur uderzają serie pocisków. Kilka z nich wpadło do środka pokoju, wytłukując resztkę szkła z okna i siekąc po zawartości szafy. Żołnierz szpetnie zaklął i ponownie odchylił zasłonę. Domek zaczął drżeć pod wpływem zbliżającego się wielkiego ciężaru, a do uszu Else dotarły zagłuszone przez wystrzały słowa wykrzykiwane w dziwnej mowie. Przez chwilę zdawało jej się, że nawet niektóre z nich poznaje. Czyż nie podobnym językiem mówili Klimowie?

Żołnierz obok niej skulił się i sięgnął za cholewę wysokiego buta. Wraz ze smrodem tygodniami niemytych nóg w jego dłoni pojawił się przypominający tłuczek na kartofle granat. Lewą dłonią powoli wykręcił nakrętkę i chwycił za porcelanową kuleczkę. Łoskot za oknem stawał się niemożliwy do zniesienia, dziewczyna zacisnęła oczy i zakryła dłońmi uszy. Poczuła tylko ruch zasłony, gdy mężczyzna rzucił granat między kryjących się za czołgami piechociarzy w szarozielonych szynelach. Z dołu domku rozległ się jazgot broni, a od ulicy okrzyki bólu. Coś potwornie huknęło, zmuszając ją do otwarcia oczu. Żołnierza

nie było, ale z dołu słyszała podniecone okrzyki i huk wystrzałów. Sama nie widząc dlaczego, uniosła się nieco i spojrzała. Na ulicy płonął wielki czołg, wokół niego leżeli ludzie. Niektórzy z nich w bezruchu, inni starali się odczołgać od płonącego pojazdu. Z dołu dobiegł ją okrzyk o radosnej tonacji, a z ulicy uderzyła kolejna fala wystrzałów. Widziała, jak otwiera się brama jej posesji i czterech żołnierzy wybiega na ulicę, mieszając się z innymi Niemcami, którzy nadbiegali z głębi. Z szeroko otwartymi ustami patrzyła, jak ci, którzy nosili podobne do niej mundury, dobijają rannych bolszewików, szukawszy wcześniej ciała. W pole jej obserwacji wjechał półgąsienicowy transporter z zamontowaną wielką armatą. Żołnierze podprowadzili do niego ubranych w zielone kombinezony i czarne czapki wrogów. Wysoki, siwy mężczyzna coś pokazywał tym w pojeździe, po czym zaczął krzyczeć na swoich ludzi i wygrażać pistoletem. W końcu bolszewicy w obstawie zniknęli z pola widzenia, a wojskowi ruszyli w stronę skraju osiedla. Na ulicy, oprócz dopalającego się pancernego wraku i ludzkich trupów, nie było nikogo. Z trudem wyprostowała zdrętwiałe ciało i wstała. Jej ukochany pokój był zdemolowany! Sama nie wiedząc dlaczego, zamknęła okno bez szyb i dysząc z wysiłku, dosunęła do niego szafę. Chwyciła swój tobołek i przez ogródek ruszyła tam, gdzie dawno powinna być.

* * *

Świadomość wracała w krótkich chwilach, po czym ponownie pogrążał się w kotłowaniu sennych koszmarów. Ktoś coś mówił, widział światło, chyba gdzieś go wieziono. Najgorszy był lodowaty mrok, który wwiercał się w resztki świadomości i napełniał go niewyobrażalnym przerażeniem.

Wreszcie zdołał się wybudzić, odkrywając, że znajduje się w wysokiej izbie, a wokół słychać sapanie i jęki ludzi.

Zaczął sprawdzać swoje ciało. Czuł ciepło, obie dłonie posłusznie poruszyły się, po czym przesunął je wzdłuż tułowia. Znieruchomiał, gdy namacał grubą warstwę opatrunku przykrywającą część brzucha i klatki piersiowej. Zaczął się zastanawiać, skąd to ma. Zmęczony koszmarami umysł po dłuższej chwili przyniósł obraz ulic dużego miasta, a woń, którą poczuł, była zapachem szpitala albo apteki. Co go wiąże z apteką? Woń odkaźników i medykamentów pobudzała komórki pamięci wyławiające coraz to nowe obrazy. Mignął jakiś szyld, który przyciągnął uwagę. „Rats Apotheke”. Co go wiązało z tym miejscem?

Do pomieszczenia weszła ubrana na biało osoba i podeszła do sąsiedniego łóżka, gdzie ktoś pojękiwał. W ręku miała księgę, w której coś zaczęła zapisywać.

Księga. Niespodziewanie poderwał się, po czym opadł na materac, wywołując zgrzyt sprężyn. Stojąca obok osoba gwałtownie odwróciła się, najwyraźniej przestraszona niespodziewanym hałasem. Widząc szeroko otwarte oczy leżącego, twarz kobiety rozjaśniła się uśmiechem, a jej ręka dotknęła głowy chorego.

- O, widzę, że temperatura panu opadła. Lepiej się pan czuje, prawda?

Zamrugał oczami i starał się powiedzieć, że tak, ale z odzwyczajonych od mówienia ust wydobyło się tylko charknięcie.

- Niech pan odpoczywa, zaraz przyniosę wilgotną szmatkę i przetrzemy wysuszone usta, i dam panu wody. Potem przyjdzie do pana felczer, jak tylko trochę odeśpi. Biedaczek aż do rana opatrywał tych nieszczęśników.

Kobieta odwróciła się do leżącego obok i zajęła się nim. Jej przyjazne słowa pomogły mu uspokoić skołatane nerwy. Po chwili, wsłuchując się w jej łagodny, niski głos, zaczął ponownie sprawdzać swoje ciało. Lewa noga sprawiła silny ból; prawa chyba była w porządku. Uspokojony odwrócił głowę w stronę pochylonej kobiety. Była ubrana w jakieś strasznie ponure rzeczy, które jednak nie były w stanie zakryć jej ponętnych bioder. Wpatrywał się w nie, aż wyprostowała się i ruszyła do wyjścia z pomieszczenia. Księga! Ponownie zeszywniał. Przed oczyma stanął mu stół w aptece i jego bezcenna księga. Aptekarz. Stary człowiek, który tak jak on jej pożył. Strzały, bieg, samochód. Zdenerwowany nie mógł uspokoić myśli, gdy poczuł na sobie dotyk dłoni. Wilgotna szmatka dotknęła mu ust, po czym przejechała po twarzy. Matko! Ale ulga!

Kobieta wsunęła swoje ramię pod jego plecy i uniosła je. Błaznany kubek dotknął ust, a pierwszy łyżeczek wody przyniósł życie językowi i gardłu. Kolejne porcje wody niosły z sobą niewypowiedzianą rozkosz. Ramię opuściło go na poduszkę.

- Niech mi pan teraz powie, kim jest?

Zadane pytanie oszołomiło go. Przez chwilę patrzył na kobietę, po czym odetchnął z ulgą.

- Bergmann. Gerhard Bergmann.

* * *

Szczęka bolała jak cholera, a aspiryna, którą dostał od pielęgniarki, nie mogła mu przecież pomóc. Spróbował dotknąć językiem żuchwy i aż jęknął. Wyczuwał rozpulchnioną tkankę i ślinę zmieszaną z krwią, która wypełniała puste miejsca po jego przedtrzonowcach. Kompanieführer Scheppke podniósł wzrok i spostrzegł Boehmera rozmawiającego z dwoma kobietami. Ostrożnie podniósł się i poczłapał w kierunku znajomego.

Nadal kręciło mu się w głowie, jak wtedy, gdy z dziećmi kręcił się na karuzeli. Stanął za Horstem, ciężko dysząc, starając się uspokoić podchodzący pod gardło żołądek. Aptekarz odwrócił się ku niemu, a jego twarz wydłużyła się.

- Potem porozmawiamy, siostrzo Klaro. - Spojrzał na zakonnicę, po czym chwycił Ottona za ramię.

- Co się stało, panie Scheppke? - W jego głosie brzmiał strach.

- Ne mohe mofic. Wypuch mnie oguszył - zdołał wydusić przez poharatane usta.

- Mogli pana choć trochę umyć. Wygląda pan, jakby świnie szlachtował. - Aptekarz chwycił go pod ramię i podprowadził kilka kroków do lustra. Faktycznie, cała prawa strona twarzy zalana była zakrzepłą krwią, od której odcinał się biały opatrunek.

- Boli jak cholela. - Kapitan Volkssturmu wydobył z siebie głos i błagalnie spojrział na aptekarza.

Ten pociągnął go dalej i posadził na schodach.

- Zaraz pošlę do pana kogoś - ściszył głos - kto umyje pana i da coś przeciwbólowego. Nie mogę podać morfiny, bo jest pod kontrolą naczelnego lekarza, ale na dwie-trzy godziny środek powinien wystarczyć. A potem to chyba jakąś flaszkę sznapsa trzeba będzie wypić. Musi pan stawić się do jednostki?

Scheppke wzruszył ramionami. Gdy jego ludzie znaleźli go w ogródku, leżał ogłuszony i krwawiący. Sterta drewna przyjęła na siebie podmuch sowieckiego pocisku, ale spora szczapa wbiła się mu w policzek, wybijając zęby, które z takim poświęceniem i za duże pieniądze leczył znajomy dentysta w poprzednim roku. Ponieważ zalewała go krew, wepchnięto go na noszach do ciężarówki, która popędziła do lazaretu von Plauena. Lekarz sklął sanitariuszy, bo rana w sumie była powierzchowna, ale sprawnie wyrwał resztki zębów i zaszył

rozerwany policzek. Wypchnięto go na korytarz, na krzesło, gdzie zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się stało.

- Niech pan tu siedzi. Ja muszę iść, rozumie pan. - Aptekarz potrząsnął nim lekko i wszedł na schody.

Scheppke oparł się o ścianę i starał się nie ruszać. Jego skołowany mózg odnotowywał chodzących i biegających ludzi, jęki i szloch, ostrą woń środków dezynfekujących pomieszana ze smrodem rozkładu.

- To pan jest Scheppke? - Przed jego oczyma pojawiła się miła, delikatna twarz kobiety. Z trudem skoncentrował na niej wzrok. Jej ręka delikatnie schwyciła go za pokryty grubą, siwą szczeciną podbródek i uniosła go. Poczował ciepło na głowie, gdy szmatką zmywała zakrzepłą krew.

- Pan mnie pewnie nie pamięta, ale kiedyś o mało nie zostałam pana klientką. - Uśmiechnęła się, rumieniąc jednocześnie. Zamrugał powiekami. Zimny podmuch z rozbitego okna poruszył blond kosmykiem, który wydostał się spod chustki.

- To było jeszcze przed wojną. Podejrzewałam swojego narzeczonego, że ma inną i chciałam pana wynająć. Bo pan był przecież prywatnym detektywem, prawda?

Otto zdobył się na potwierdzający uśmiech, próbując przypomnieć sobie sprawę.

- A pan mi odparł, że jego firma miała zamówienia dla wojska, co okazało się prawdą. Teraz, jak pan Horst powiedział mi pańskie nazwisko, to sobie przypomniałam. No - odsunęła się od niego - teraz przypomina pan człowieka. A to są te tabletki i woda. - Sięgnęła do emaliowanej tacy. Kapitan namacał pigułki i delikatnie wsunął je do ust. Rana na poszarpanych dziąsłach zaczęła się chyba zamykać, bo breja pod językiem była jakby twardsza. Przechylił głowę i pozwolił

wodzie płynąć po zdrowej części szczęki. Zadowolony skinął głową.

- Och, zapomniałabym. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - Pan Otto proponuje, żeby pan poszedł do nich do mieszkania na Schmeidestrße. Jego ojciec nie ewakuował się. I mówi, że starszy pan ma ukryty zapasik czegoś na uśmierzenie bólu. To ja będę biegła, bo mnie siostra Klara zacznie szukać. Niech pana nie zabiją! - Ścisnęła go za dłoń i pobiegła na górę.

Trzymając się poręczy, zszedł na parter, gdzie właśnie przywieziono kolejną grupę rannych. Z trudem przecisnął się między noszami i uwijającymi się ludźmi i wyszedł na powietrze. Mróz i tabletki uśmierzyły ból, dając możliwość przyspieszenia kroku. Przez chwilę rozważał, czy może skrócić w Georgendamm⁴⁶ i ruszyć do swojego domu, ale słowa dziewczyny o czekającej go butelce przeważały. Powlókł się wzdłuż parku w stronę rzeki. Z trudem rozpoznawał miejsca, po których poruszał się przez lata. Poza wojskowymi samochodami i mundurowymi nikt nie chodził zasypanymi gruzem ulicami. Wzdrygnął się, gdy z parku ryknęły ciężkie działa przeciwlotnicze. Krzywiąc się z bólu, zadarł głowę wprost na nadlatujące dwusilnikowe maszyny. Kolejne lżejsze kalibry dołączały się do kanonady, otaczając czarnymi chmurkami i świetlnymi koralikami rosnące w oczach pomalowane na biało metalowe ptaki. Rosjanie jakby nic nie robili sobie z niemieckiego ognia i spokojnie sypnęli bombami. Otto stał nieruchomo, nie zważając na grad odłamków po pociskach przeciwlotniczych, które gorącym deszczem opadały na Neustadt⁴⁷. Ból, środki znieczulające i niezwykle widowisko unieruchomiły go na środku ulicy. Dopiero widok eksplodującego samolotu otrzeźwił go. Ruszył tak szybko, jak mógł, nie zważając na okrzyki patrolu, który chował się w

gmachu poczty. Wkrótce okrył go ciężki dym z płonących niedaleko domów. Kamienica aptekarzy i kilka sąsiednich stało na miejscu i poza wybitymi szybami chyba nic im nie było. Na klatce schodowej przez chwilę zastanawiał się, po czym ruszył na dół do piwnicy. Starszy aptekarz był dziwakiem, ale nie aż takim, żeby w czasie nalotu siedzieć w mieszkaniu.

Przez mroczny korytarzyk przeprowadziło go światło wydobywające się spod drzwi. Nacisnął klamkę. W gotyckiej piwnicy, rozparci w klubowych fotelach siedzieli trzej mężczyźni, którzy gwałtownie odwrócili się w jego stronę.

- Dzen dopry. Czy dla mnie znajdzie się tu miejsce i kelyszek sznapsa? - wyseplenił i zamknął za sobą drzwi.

* * *

Wizyta Schepkego przeciągnęła się do następnego dnia. Były detektyw pod wpływem alkoholu i próśb słuchaczy rozpoczął opowieść o swoich przeżyciach, ale gdy mimo znieczulenia poczuł, że rany zaczynają się otwierać i sprawiać ból, zniechęcony zamilkł, a potem szybko urznął się i zasnął, potwornie chrapiąc. Z trudem przenieśli go do piwnicy Bauera i okrywszy kocami, zostawili w pijackim śnie.

Było już dobrze po południu, gdy Bauer wrócił z wiadomością, że ich wojska odparły częściowo bolszewików i że spotkał na ulicy policjanta, który powiedział mu o możliwości ewakuacji w stronę Danziga, na wysokości stoczni. Edmund Boehmer zaskoczył swoich znajomych zmianą decyzji. Rano wpadł do domu na chwilę Horst i gorąco przekonywał ojca do ucieczki z płonącego miasta. Aptekarz jak zwykle spierał się, ale coraz słabiej, widocznie groza ostatnich dni zachwiała jego pewność siebie. Cała trójka była praktycznie spakowana, więc pozostało im napisać informacje dla

detektywa i Horsta i opuścić piwnicę przy Schmeidestraße 3. Na widok zniszczeń ogarnęła ich groza. Trzech starszych mężczyzn milczało, przeciskając się powoli pomiędzy szczątkami domów. Ich ulica wyglądała prawie na nienaruszoną w porównaniu z kolejnymi na starówce. Sypał lekki śnieg popychany wiatrem i litościwie zakrywał ciała zwierząt i ludzi, których nie zdołano pochować. Wyszli w końcu na Friedrich-Wilhelm-Platz, na wprost dymiącej jeszcze resursy. Tu trafili na gromadę takich jak oni, którzy w końcu zdecydowali się na ucieczkę z miasta i razem ruszyli w stronę Ziesestraße⁴⁸. Z kierunku, w którym szli, dobiegały ich coraz intensywniejsze odgłosy strzelaniny. W końcu zostali zatrzymani przez patrol marynarzy, którzy kazali im przez dziurę w płocie wejść na teren stoczni i tam ukryć się w którejś z hal. Było ich około setki, mniej więcej w podobnym do nich wieku, kilka kobiet z dziećmi oraz, co zaskoczyło Edmunda, kilkunastu robotników przymusowych. Ksiądz, który znał parę języków, jakiś czas przysłuchiwał się ich konwersacji i nawet podjął próbę rozmowy. Mężczyźni i kilka kobiet przyjęli go nieufnie, zbywając niegrzecznie. Okazało się, że przeważali wśród nich Polacy, którzy początkowo oczekiwali nadejścia Sowietów w nadziei na wyzwolenie i powrót do domu. Kiedy jednak pojawili się w mieście uciekinierzy, w tym także robotnicy z zajętych przez Rosjan terenów, rozeszły się wieści o niebywałym okrucieństwie, nawet wobec współplemieńców, ułatwiając podjęcie decyzji o przyłączeniu się do ewakuacji.

- Trzeba na nich uważać - mruknął aptekarz. - Diabli wiedzą, czy nas nie zamordują i nie ograbią.

- Jeżeli uciekają z nami, to znaczy, że tak samo się boją ich jak my. Was, Niemców, to zapewne nie interesowało, ale moi rodacy nie mniej ucierpieli od bolszewików niż od was.

Zapadła ciężka cisza, na szczęście krótkotrwała, gdyż do hali wszedł człowiek wyglądający na robotnika i zaoferował im pomoc w przejściu. Zapadł już styczniowy wieczór, rozświetlany nieodległymi pożarami na Speicherinsel i bardziej na północ, koło browaru. Po drabinie przedostali się na lód i gęsiego, przestrzegając dwumetrowych odstępów, ruszyli skosem ku następnemu wyjściu. Pokrywa była nierówna, porozbijana przez lodołamacze i eksplozje, Edmund pośliznął się i boleśnie grzmotnął kolaniem o bryłę lodu. Pojękując, doczłapał na drugą stronę, gdzie musiano mu pomóc wdrapać się po metalowych stopniach na wysoki brzeg.

- Idziemy, idziemy! - ponaglące szepty zmuszały wyczerpanych do wydłużenia kroku. Nadal znajdowali się w zasięgu ognia sowieckich dział. Jeszcze w hali słyszeli opowieści, jak to ci, którzy przeszli przez rzekę, stracili czujność i padli ofiarą wroga. Podtrzymując okulałego Edmunda, wlekli się coraz wolniej i w końcu opadli z sił.

- Zostawcie mnie - jęczał aptekarz, mając jednak nadzieję, że żaden z nich tego nie zrobi. Znajdowali się o dwa kilometry od rzeki, w Ellerwald⁴⁹. Bezceremonialnie wparowali do jednego z domów, gdzie w ciemnościach oczekiwało świtu więcej takich jak oni.

* * *

- Jak się czujesz, Else? - Pomimo zmęczenia wyczuła w głosie Horsta ciekawość połączoną z troską.

- Dziękuję panu, daję radę. - Nie odwróciła się, zajęta segregacją opatrunków. Przez rozerwany papier, którym zasłonięto wcześniej okno w składziku, wpadały ostatnie promienie słońca, nadając zakurzonej ścianie ciepły poblask. Else zatrzymała się na chwilę, gdyż głos aptekarza przypominał

brzmieniem głosu Karla, kiedy się jeszcze spotykali. Co robi jej porucznik? Żyje, a może leży w którymś z lazaretów? Poczuli łzy napływające do oczu i sięgnęła do kieszeni fartucha po chusteczkę.

- Płaczesz? Coś się stało? - Horst stał obok, intensywnie wpatrując się w jej profil. Otarła oczy i uśmiechnęła się.

- Nie, myślę o mojej córeczce - skłamała. Matka powinna przecież myśleć o dziecku.

- Moja rodzina też jest ewakuowana. Od dawna nie miałem od nich wiadomości i martwię się, bo słyszałem, że Amerykanie bombardowali tamte regiony. Ale ty się nie martw. Dowiedziałem się od lekarzy, że okręty bezpiecznie dopłynęły do Danziga, więc pewnie się spotkacie, jak tylko odblokują Elbing.

Horst rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Wygodnie ci tutaj? - Chwilę czekał na odpowiedź. - Ciasno przecież. A i brak ogrzewania, więc zwłaszcza nocą musi być paskudnie zimno.

- A nie - przerwała szybko - mam koce i okrywam się, a zresztą zanim porządnie zmarznę, to jest nalot albo siostra Klara mnie potrzebuje.... Jednak gdyby pan - zawahała się - gdybyś tak dał radę skądś zdobyć wodę na kąpiel...

Od kilku dni miasto pozbawione było dostaw wody, prądu i gazu. Tylko kilka obiektów miało własne generatory, ale używane były, jak w szpitalu, do oświetlania sal operacyjnych, aparatury medycznej czy radiostacji. Sanitariusze i żołnierze przynosili lód, który topiono, a wodę filtrowano i gotowano w kotłach opalanych meblami i drewnem ze zniszczonych budynków. Dlatego też myć mogli się tylko lekarze i personel bezpośrednio pracujący przy rannych.

- No tak, też bym chciał... Wiesz, chyba mam pomysł. Zauważyłem, że pocisk uderzył w koryto Hommel⁵⁰ rozbryzgując lód. Niedługo będę wracał do siebie, do apteki. Gdybyś poszła ze mną, to moglibyśmy go pozbierać. Rano piec w kuchni jeszcze działał, więc zagotujemy w garze wodę i ty, i ja przynajmniej moglibyśmy się porządnie umyć. - Chwycił ją delikatnie za rękę. Zarumieniła się, ale nie odepchnęła dłoni.

- Nie wiem, czy siostra Klara... czy to wypada, żebym szła...

Machnął gniewnie ręką, jakby odganiał naprzykrzającą się muchę.

- A co powie pana ojciec?

- Udało mi się go przekonać, żeby się ewakuował. Miał ze swoim sąsiadem ruszyć do Danziga, bo droga częściowo jest odblokowana. Nikt nie będzie nam przeszkadzał, a i ja wezmę sobie jakieś czystsze ubrania. Przy okazji zerknę na „Rats” i dom. - Wyczuła drżenie w jego głosie. Czyżby Horst Boehmer starał się ją uwieść? Odsunęła jego rękę.

- Nie, dziękuję panu, ale muszę jakoś wytrzymać. To nie uchodzi, żeby...

Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Resztki dziennego światła zgasły, a słaby płomień świecy nie mógł rozjaśnić gęstniejącego mroku. Poczula na włosach jego szybki, gorący oddech.

- Else, nie rozumiesz, że jesteśmy skazani na śmierć w tym mieście? Kiedy wejdą bolszewicy, nie będą przejmowali się tym, że tu jest szpital! Ciebie zgwałcą, a mnie od razu zastrzelą. Tak jak robią to w miejscowościach, które już zdobyli. A może zabije nas bomba czy pocisk artyleryjski? Możemy zdechnąć od zakażenia, od ognia lub udusić się przysypani w ruinach. Else! Zrozum to wreszcie!

Przestraszona patrzyła na głębokie cienie na jego twarzy. Przypomniała sobie, jak bardzo Karl chciał ją ewakuować - przecież zdobył dla niej miejsce w samolocie do Berlina. A wczoraj? Bolszewicy byli o parę kroków od niej i cudem nie wpadła w ich łapska. Zadrżała.

Horst objął ją, po czym odchylił włosy zasłaniające twarz. Niezgrabnie pocałował w czoło. Nie zaprotestowała. Z przykrością pomyślała o niemytych od wielu dni zębach, ale jemu to nie przeszkadzało. Podniósł jej brodę i po chwili powoli, z namaszczeniem pocałował w usta. Usłyszała, jak nerwowo przełyka, więc położyła mu ręce na głowie.

- Poczekaj, trzeba przekręcić kluczyk w zamku. -
Zaczerpnęła tchu. Delikatnie, jak najciszej zamknęła drzwi. Jej historia powtarzała się. Ze swoim pierwszym ukochanym, Fredem Brosowskim, po raz pierwszy kochała się w składziku w „Klops Akademii”. Taki był jej początek i taki będzie koniec jej dorosłego życia.

- Dzień 7 -

Mróz wyraźnie zelżał, a wiatr niósł zapowiedź odwilży. Powoli szli szosą na Tiegenhof⁵¹, z przygnębieniem przyglądając się śladom ucieczki rozrzuconym po przydrożnych rowach. Najbardziej przykre wrażenie robiły śnieżne kopce, ukrywające pośpiesznie pochowane ciała. Gdzieś widać było także ciemne plamy na śniegu, świadectwa czyjegoś cierpienia. Edmund szybko przestał zwracać na to uwagę pochłonięty walką z wszami, które oblażyły ich w trakcie noclegu. Cała trójka zasnęła kamiennym snem, pozwalając organizmom pozbyć się emocji, którymi żyli ostatnio. Ani smród, ani uczucie głodu i zimna nie były w stanie wyrwać ich z objęć Morfeusza. Było już jasno, gdy krzątanka wokół obudziła ich. Odstali swoje w kolejce do drewnianej budki z dziurą, zastanawiając się, co dalej ich może czekać. Po ulżeniu sobie Edmund ruszył w pole, gdzie znalazł na tyle czysty śnieg, że mógł posłużyć do przetarcia twarzy i rąk. Próbował też przetrzeć nim zęby, ale zimno i ból szybko przerwały tę namiastkę codziennego rytuału. Ruszyli dalej, po drodze przegryzając zapasy, stawali przy tym co chwila, by zerknąć na zasnutą dymami miasto.

- Wiesz - Edmund zdziwił się, słysząc bezpośrednią formę - strasznie ciężko jest opuszczać swój dom, swoje miasto. Nigdy nie myślałem, że taki ból to może sprawić.

Boehmer kiwnął potakująco głową. Słowa sąsiada w prosty sposób wyraziły to, co budziło w nim niepokój.

- Tylko koty zostały - mruknął po chwili w odpowiedzi.

- Tylko koty zostały! - powtórzył głośnie, widząc zdziwienie na twarzy Karla. - Bo one przywiązują się do miejsc, a nie do nas.

Zamilkł, drapiąc się po głowie. Będzie musiał ogolić głowę na postoj, by pozbyć się tego plugastwa. Och! Jak on się ludziom pokaże? Szli na końcu niewielkiej grupy, której czoło weszło do kolejnej wsi.

- Co będziesz robił, jak dojdziemy do Danziga? - zapytał Bauera.

Ten wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jaki sens ma ta nasza ucieczka? - odezwał się nagle duchowny. Zatrzymali się i spojrzeli na niego w zdumieniu. Edmund polubił tego trochę dziwnego człowieka i przywykł do jego towarzystwa. W tym momencie dostrzegł, że księdzu nagle przybyło lat. Chyba jeszcze bardziej posiwiał i przygarbił się. Wspólna praca nad tekstem uzmysłowiła mu, jak cenny dla niego był nowy znajomy. Był darem losu, niezbędnym do realizacji jego celów. Ale jeśli wpadną w ręce policji lub żandarmów, ksiądz Josef może zostać aresztowany, a nawet rozstrzelany. Wracać? Ale do czego? Czy nasi żołnierze dadzą radę odepchnąć bezwzględnych wrogów?

Od dwóch lat ciągle się przecież cofamy. Czy w jego Elbingu ziści się oczekiwany przez wszystkich Niemców cud?

Krzyk od przodu kolumny przerwał jego rozmyślenia. Odwrócił się, podążając za wzrokiem innych ludzi. Między nisko wiszącymi chmurami coś błysnęło, a do uszu doszedł grzmot. Czyżby burza? Tutaj? W styczniu? Nagle niepokój przeobraził się w histerię. Z chmur wypłynęły drobne punkciki, które skierowały się w ich stronę..

- Uciekajmy! - Ksiądz Józef pierwszy otrząsnął się z przerażenia. - To samoloty, będą strzelać! - Wskoczył do rowu, pociągając za sobą Edmunda i Karla. Przedostali się na drugą stronę i wybiegli z rzadkich trzcina na pole. Jakieś sto metrów od nich znajdował się kolejny rów obsadzony wierzbami. Jeżeli dobiegną, to może lotnicy ich nie zauważą?

Pomimo wieku, zmęczenia i braku powietrza w płucach gnali po nierównym polu, gdy usłyszeli za sobą przeciągły świst. Kilkadziesiąt metrów przed nimi ziemia zakotłowała się i wyleciała w powietrze. Ciężkie grudy zawirowały nad nimi. Bauer padł na kolana. Jego płuca i serce odmawiały posłuszeństwa, zostawiając go na pastwę sowieckich samolotów.

- Chodź, dasz radę - wydyszał resztką sił Edmund, próbując go podnieść.

- Klękniemy tak jak Karl. - Ksiądz dobiegł do nich resztką sił i opadł na kolana obok Bauera.

- Ojczy Nasz, któryś jest... - zaczął mówić rwącym się głosem słowa modlitwy. Zdezorientowany Edmund ukląkł w pewnym oddaleniu, zerkając to na modlących się, to na zbliżające się błyskawicznie samoloty. Linia drzew okalających drogę zachwiała się pod wpływem eksplozji. Samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach z ciężkim rykiem przelatywały nad ich głowami, okładając pociskami tych, którzy znajdowali się na drodze i w okalających ją rowach.

Czyżby nas nie widzieli? - Edmund poczuł promyk nadziei. - Czyżby ci dwaj katolicy mogli i mnie uratować?

Bojąc się poruszyć, z przerażeniem wpatrywał się w to, co działo się na drodze i we wsi. Z tamtego właśnie kierunku nadlatywał jeden z samolotów, wyraźnie celując w nich. Jego przód rozświetlił się błyskami, które zmieniły się w gejzery zbliżające się jak po sznurku. Miał uczucie, że czas zwolnił, że teraz stanie się coś ważnego. Jego śmierć. Ponoć ludziom przelatuje przed oczyma całe życie. Zamknął oczy, by je zobaczyć, ale dostrzegł tylko czerwone plamy pod powiekami. Huk wystrzałów i ryk silnika stały się nie do wytrzymania. Nagle wszystko zamilkło.

- Edmund, ocknij się. Żyjesz? - Powoli odzyskiwał świadomość. Z mgły przed oczyma wyłoniła się pochyłona nad nim twarz Bauera.

- Żyję? - zapytał niepewnie i wyciągnął rękę przed oczy. Karl chwycił go zaskakująco mocno i pociągnął, pomagając wstać. Oszołomiony rozejrzał się. Z drogi unosił się dym, kilka połamanych drzew zważyło się na nią i do rowu. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w zniszczony krajobraz. Nagle poczuł na sobie ciepło słońca i spojrzął w górę. Przez drobną szczelinę w chmurach wpadał promień, prosto na klęczącego księdza, który bez czapki wyglądał jak biblijny prorok.

- Co z nim? - zapytał niepewnym głosem.

- Wszystko dobrze. Wracamy do Elbinga.

* * *

August Brühl był lekarzem, który przez kilka miesięcy praktykował przy Boelke StraÙe⁵² i jednocześnie pracował w prezydium policji. Brühl był dobrym człowiekiem, ale miękkim i nie nadawał się do pracy z więźniami podoboðu KL Stutthof. W chwili słabości zbytnio chciał pomóc jednemu z „pasiaków” i zaprotestował przeciw metodom wartowników. Sprawa trafiła do ich oddziału i Cohn został wyznaczony wraz z Jorgiem do jej prowadzenia. Kriminalinspektorowi zrobiło się szkoda faceta i przekonał Jorga, by ukręcić sprawie łeb. Brühla przenieśli, a oni dali mu spokój. Teraz lekarz rozpoznał go i zaproponował szybką ewakuację dalej, ale Heinz miał przecież w Danzigu żonę i dzieci. Pogadali przez chwilę, po czym po dwóch godzinach siedział w samochodzie jadącym do domu, trzymany za rękę przez swoją Ivonne. Przyjazd ojca był dla dzieci wielkim przeżyciem, zwłaszcza że tutaj w Danzigu mówiono tak różnie

o walkach o Elbing. Ivonne, w zaawansowanej ciąży, przygotowywała już się pomału do życia we wdowieństwie. Heinz, nie zważając na szpitalnego szofera, położył głowę na jej pulchnych kolanach i o mało nie usnął w czasie jazdy.

Żona wynajmowała dwa pokoje u starszego małżeństwa, które zajmowało się dziećmi, kiedy ona szła do pracy. Gdy w końcu zajechali na odległe przedmieście, zaczęło się powitanie z dzieciakami. Niestety, Heinz junior zasłabł, a felczer, który odwiedził wcześniej ich mieszkanie, nie był w stanie ustalić przyczyn choroby. Zapisał wprawdzie leki, lecz kuracja nie dawała widocznych rezultatów. Heinz senior od razu pomyślał o Brühlu i tak szybko jak to możliwe udał się do najbliższego posterunku policji, skąd przez służbową linię rozmówił się z lekarzem. Po kilku godzinach wszystko było wiadome, a doktor obiecał załatwić zlecenie na leki w szpitalnej aptece. Idąc wieczorem do kliniki, Heinz cieszył się spokojem wielkiego miasta, błogostanem, w którym żyli poddani Alberta Forstera. Jakaż różnica w porównaniu z Elbingiem!

W klinice kazano mu czekać, więc usiadł na skraju ławki zajętej przez kolejkę pacjentów. Nie nudził się, bo uwagę ludzi przyciągnął mężczyzna w średnim wieku, który uciekł z terenów objętych walkami. Początkowe zainteresowanie zaczęło przechodzić w irytację z powodu ponurej, defetystycznej opowieści. Miał już wstać i przejść na koniec korytarza, gdy usłyszał nazwę swojego miasta. Wbił wzrok w twarz mężczyzny, starając się nie uronić ani słowa.

- ...i wyobraźcie sobie państwo, cały Alter Markt był pod ogniem, a on, to jest aptekarz, biegał między wybuchami i zbierał do walizy te księgi. - Człowiek zawiesił głos i potoczył wzrokiem po słuchaczach.

- To chyba szczyt ludzkiej głupoty, żeby nie ratować siebie, a jakieś książki - mruknął jeden z siedzących na ławce.

- Pewnie to jakiś stary kolekcjoner ratował swoje skarby - wtrącił Heinz.

- Ależ nie, drogi panie! - mówiący podniósł głos - myli się pan absolutnie! To nasze niemieckie umiłowanie kultury i historii każe nam ratować ich skarby. A Boehmerowie w Elbingu znani są jako miłośnicy i znawcy historii. Choć sam nie przypuszczałem, że mogą posiadać tak cenne rękopisy. No, przynajmniej na takie wyglądały.

Heinz poczuł dotknięcie i gwałtownie odwrócił głowę. Starsza kobieta w pielęgniarskim uniformie skinęła na niego. Odebrał buteleczki z lekami i ruszył szybkim krokiem do domu. A więc ci przekłęci aptekarze wyprowadzili wszystkich na manowce. Księgi przetrwały! Są w aptece na Schmeidestraße. Myśli błyskawicznie przelatowały mu przez głowę. Nasi odepchnęli bolszewików aż do Preußisch Holland⁵³ i przeszli do ofensywy, więc może na dzień-dwa bezpiecznie wrócić do Elbinga. Jeżeli jego „cytrynka” przetrwała, to przywiezie też to, co w niej ukrył. A jeżeli nie, to same księgi zabezpieczą ich przyszłość. Powie Ivonne, że spotkał przełożonego, który kazał mu stawić się i że nie będzie go przez kilka dni. August Brühl załatwi mu transport do Elbinga, choćby w roli sanitariusza. Najtrudniejszą częścią planu będzie przekazanie tej wiadomości żonie. Nie znosił, gdy płakała, miękł, kiedy tak na niego patrzyła. Właśnie to go czeka jeszcze tego wieczora.

* * *

Zdyszana Else dobiegła na Schmeidestraße, gdy z pobliskiego parku zadudniły pierwsze wystrzały. Rosyjskie i niemieckie ciężkie działa obrzucały się nawzajem pociskami, a ich obsługa nie zwracała uwagi na fakt, że efektem była w większości śmierć cywilów i obracanie w perzynę domostw.

Jeden z sowieckich grantów artyleryjskich uderzył w budynek policji, a podmuch wybuchu przewrócił Else. W panice podniosła się szybko i wbiegła do klatki schodowej, prawie po omacku dotarła do piwnicznych drzwi i zamknęła je za sobą starannie, jak gdyby warstwa dębiny mogła zapewnić większe bezpieczeństwo. Gdy budynek zatrzęsł się, zaczęła przeraźliwie krzyczeć i po omacku szukać drogi w dół, do dusznego, przepełnionego unoszącym się pyłem pomieszczenia. Mimo wyciągniętych przed siebie rąk boleśnie uderzyła się o jakiś sprzęt. Dłonie natrafiły w końcu na pudełko zapalek i po chwili migotliwe światło pozwoliło jej rozpoznać kształt izby. Mury ponownie zatrzęsły się, a ona instynktownie rzuciła się w ciemność, do następnego pomieszczenia, które wydało się znacznie solidniejsze i bezpieczniejsze. Opadający z sufitu wapienno-ceglany pył zaczął ją dławić; pod wpływem kaszlu upuściła pudełko z zapalnikami. Opadła na kolana, na czworakach posuwała się przed siebie, aż natrafiła na podłużny, miękki kształt. Stara kanapa? Sofa? Za sobą usłyszała pisk i jednym skokiem znalazła się na meblu. Myszy? Szczury? Często słyszała, co pletli ludzie na ich temat. Że w czasie wojny żywią się ludzkim mięsem, a głodne lub wystraszone nie boją się zaatakować człowieka.

Boże, ratuj! Zaczęła szeptać słowa modlitwy, jednocześnie przeklinając własną głupotę. Że też dała się przekonać na tę kąpiel. Horst oczywiście musiał zostać, ale ją namówił. Obiecywał, że ona już wykąpana będzie na niego czekać, a potem razem wrócą do w miarę bezpiecznego szpitala. Teraz, kiedy wreszcie przyjdzie, znajdzie jej ogryzione do kości ciało. Nagle poczuła wyraźne poruszenie powietrza. Albo powstała gdzieś w stropie dziura, albo... ktoś otworzył drzwi. Irracjonalny atak przerażenia ścisnął jej gardło i powstrzymał od wołania o pomoc. A jeżeli to są bolszewicy? Szybkim ruchem

zsunęła się za kanapę i zamarła. Otwór prowadzący do sąsiedniego pomieszczenia rozjaśnił się nieco, a do niej dobiegł odgłos skrzypienia wojskowych butów.

- Jest tu kto? - usłyszała znany jej męski głos. Skuliła się, jak mogła najbardziej, przywierając do oparcia kanapy. Ciemność rozjaśniała się wraz z odgłosem zbliżających się powolnych kroków. Zupełnie jakby ktoś badał obcy teren. Wstrzymała oddech, kiedy promień światła zaczął omiatać piwnicę, w której się kryła. Mężczyzna ruszył dalej, chrzęszcząc butami na pokrytej pyłem podłodze. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł ją odgłos przewracania mebli i plugawe przekleństwa. Stryj Emil zawsze, od kiedy pamiętała, starał się między ludźmi uchodzić za człowieka wykształconego i kulturalnego, ale przy rodzinie zachowywał się jak pospolity cham. Jej matka bardzo go broniła, zafascynowana widać polityczną karierą i władzą szwagra, ale Else instynktownie czuła cały ten fałsz. Drugi raz w ciągu paru dni kreisleiter odsłaniał swoją prawdziwą twarz. Pisnęła, gdy huknął strzał.

- Kto tu jest?! - Światło omiotło pomieszczenie, a ona w tym momencie poczuła, jak po dłoni przemknęła jej ohydna, miękka istota. Wbiła zęby w zakurzony kawałek materiału, by nie krzyknąć. Piwnicę wypełnił kolejny huk wystrzału i następny stek przekleństw. Stryj Emil także nienawidził szczurów!

Światło skierowało się z powrotem do wnętrza sąsiedniej izby. Słyszała trzask mebli, zgrzyt metalu i kolejne przekleństwa, które brzmiały inaczej, jakby tryumfalnie. Po chwili ponownie wstrzymała oddech. Preuß wychodził z piwnicy, coś taszcząc. Jego ciężkie buty załomotały szybko po schodach i zapadła cisza. Kobieta przez chwilę siedziała nieruchomo, starając się uspokoić nerwy i zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. W końcu na czworakach ruszyła w kierunku wyjścia. Dłonią natrafiła na pudełko z zapalkami i

dzięki nim błyskawicznie opuściła to przerażające miejsce. Ostrzał artyleryjski nie osłabł, ale nie zważając już na niebezpieczeństwo, popędziła do lazaretu.

* * *

Zaczynało robić się ciemno, gdy dotarli do rogu Alter Markt i Schmeidestraße. Narożna, przepiękna kamienica Świętego Jerzego była doszczętnie wypalona, a fragment ściany runął, blokując częściowo wejście na ich ulicę. Edmund z bijącym sercem ruszył przed siebie.

- *Herr Gott!* - wyszeptał skamieniały Sąsiedni budynek pod numerem 4 zapadł się częściowo, odsłaniając przed nimi swoje wnętrze. Część gruzu wyłamała deski chroniące witrynę apteki i wpadła do środka. Drzwi prowadzące do klatki schodowej znikły, ale poza tym kamienica wyglądała na nietkniętą.

- Lepiej nie wchodzić, może się zawalić - usłyszał za sobą kobiecy głos. Trzy starsze panie spoglądały na nich przyjaźnie. Kilka godzin temu sowiecka artyleria przerwała ostrzał, więc ludzie, którzy jeszcze byli w mieście, zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek, a każdy napotkany rodak był przyjmowany z wyraźną radością.

- Dobry wieczór paniom. - Edmund kiwnął głową.

- Nasza kamienica wygląda na całą. My i tak zresztą siedzimy w piwnicy.

Kobiety widocznie zaakceptowały jego wyjaśnienie, gdyż ruszyły w swoją stronę, a oni weszli w mrok korytarza. Karl zapalił zapalniczkę i nacisnął klamkę. Drzwi do piwnicy otworzyły się z delikatnym skrzypnięciem.

- Twój syn zapomniał je zamknąć - mruknął z przyganą. Na razie to schronienie omijali inni mieszkańcy Elbinga, a im też

nie zależało na dodatkowych gościach, choć ksiądz kilkakrotnie wspominał o potrzebie pomocy bliźnim.

- Może śpi w środku? - odburknął Edmund, czując narastającą złość. Nie lubił przyznawać innym racji, zwłaszcza w odniesieniu do swoich najbliższych.

Karl odnalazł przy schodach świeczkę i odważnie weszli do środka.

- Niech to szlag! - Fala wściekłości zalała aptekarza. Rzucił się z kąta w kąt, nerwowo przestawiając sprzęty.

- Karl, zapal naftówkę, prędko! Księgi! - Ruszył w głąb pomieszczenia. Zatrzymał się przy swojej piwnicy, szybko oddychając, czekając na światło naftówki. Widok, jaki wyłonił się w świetle lampy, zmusił go do oparcia się o ścianę. Żelazna skrzynia, którą znalazł tuż przy wyjściu w gruzach, była otwarta, a księgi zginęły. Ksiądz Józef wyminął go i pochylił się. W jego dłoni błysnął kawałek metalu.

- Kłódka jest rozbita, a raczej przestrzelona. To nie był zwykły rabuś. Ten ktoś wiedział, czego szuka.

* * *

Emil Preuß dopił butelkę sznapsa i dzięki temu mógł spać jak dziecko, nie słysząc dźwięku wybuchów pocisków, którymi od rana sowiecka artyleria nękała miasto. Budynek przy Bismarckstraße⁵⁴ był solidnie zbudowany i miał zasobną piwnicę. Na początku oblężenia schronili się w niej jego mieszkańcy - sama śmietanka Elbinga. Większość szybko dała nogę, a kreisleiter postanowił zająć ich piwnice na tymczasowe pomieszczenia swego urzędu. Jego pracownikami byli *alte kameraden* z SA, którzy nie chcieli opuszczać starego towarzysza w potrzebie. Razem przeszli szlak bojowy, walcząc najpierw z komunistami, a potem z całą tą socjaldemokratyczną

bandą. Preuß ich, a oni jego darzyli dużym zaufaniem, wynikającym z dogłębnej znajomości swoich życiorysów i wspólnych przeżyć. Żartowali nawet, że wiązało to ich bardziej niż kościelne więzy małżeńskie. Preuß był z nich najcwańszy i szybko uznali go za swojego przywódcę. Nauczyli się też publicznie oddawać mu należną każdemu partyjnemu bonzie cześć, za co umiał się im odwdziaczyć. I oczywiście trzymali gęby na kłódkę.

Wobec sowieckiego ataku na miasto z wyraźną niechęcią przyjęli jego deklarację o pozostaniu przez kilka dni. Potem, gdy wytłumaczył im, że jako kreisleiter musi przez jakiś czas jeszcze być w Elbingu - wyraźnie odetchnęli. Kiedy jednak zginął ich kompan, „Blady” (jak twierdził Preuß - miał pecha, bo trafił na sowieckich zwiadowców), ich wiara w szefa widocznie podupadła. Kreisleiter wyczuwał, że na boku rozważają sposoby czmychnięcia. I wtedy obiecał, że została im tylko jedna sprawa do załatwienia. Gdy pojęli, że stary, dobry Preuß nie tylko umożliwi im bezpieczną ewakuację z miasta, ale i zapewni dostani byt w każdej przewidywalnej przyszłości, zaufanie powróciło i zgodzili się na kolejną wspólną akcję. Siedzieli teraz razem, grając w karty i czekając, aż „szef” wreszcie zwlecze się z wyra. W końcu, charcząc i kaszląc, dał im sygnał, że obudził się. Zygfryd wszedł do izby ze świecą, pomagając Emilowi odnaleźć rozrzucone łachy.

- Śpią?

- Nie, dawno już nie śpimy. Czekamy na tę całą akcję i chcemy stąd wypierdalać. To są te papierzyska, które zabieramy? - Wskazał ręką na stos książ. Nie dowierzał, że kilka książek może dać im dobrobyt. Zresztą, skoro takie cenne, to powinny być w łapach kogoś z Berlina.

- To nie są papierzyska, Zygfrydzie! To po pierwsze. To inkunabuły. Zapamiętaj - In-ku-na-bu-ły. Starodawne księgi

ręcznie pisane, na wagę złota. No, a teraz daj mi się ubrać. I niech któryś zrobi mi kawy. Aha, dawaj tu Gottlieba, mam coś do niego.

Zygfryd zamknął za sobą drzwi.

- Woła cię - powiedział do niskiego, potężnie umięśnionego typa o twarzy boksera. Kiedyś był nawet reprezentantem Niemiec i sparing partnerem samego Maksa Schmelinga, o czym chętnie opowiadał, zwłaszcza gdy znalazł się fundator napojów lub kobieta, która gustowała w mężczyznach jemu podobnych.

- Wygląda na to, że to te książki są naszą forszą. Kuno, auto jest gotowe? Widzi mi się, że chyba dzisiaj ruszymy. Ponoć jest objazd na Marienburg, więc dojedziemy do mostów i nie trzeba się będzie telepać promami.

Zagadnięty nie zdążył odpowiedzieć, gdy z izby Preuśa wyszedł Gottlieb i przerwał Zygfrydowi:

- Zbieraj się, mamy krótką przejażdżkę.

* * *

- Uspokój się, tato, wreszcie! - okrzyk Horsta otrzeźwił Edmunda i skończył jego jeremiadę. Starszy pan opadł na krzesło i objął głowę rękoma.

- Nic tu sami nie zrobimy! Musicie stąd odejść, bo ten ktoś znowu tu przyjdzie. - Pomimo zimna syn zrobił się czerwony na twarzy.

- Co mnie podkusiło, żeby stąd wyjść? Co za diabeł? - Edmund ze złością spoglądał to na syna, to na księdza Józefa.

- Pomyśl wreszcie. Jesteś stary i głupi! - Wściekłość syna osiągnęła apogeum. Z wykrzywionej grymasem twarzy kapały wielkie krople potu, a powietrze ze świstem wydobywało się z płuc. - Przecież sam widziałeś, że kłódka była przestrelona.

Gdybyście TU byli, to znalazłbym wasze trupy i pustą skrzynię. Chyba że to był tylko przypadkowy złodziej? - powoli zaczął mitygować się. Nigdy wcześniej nie podniósł na ojca głosu. Zmęczony wybuchem usiadł na krześle, uspokajając się. Po chwili przeprasząco spojrział na ojca, ale ten obrażony tylko wyduł usta i odwrócił wzrok.

- Tak, widzę w tym palec Boży - nieoczekiwanie powiedział Karl Bauer. Pozostali popatrzyli na niego zaskoczeni.

- Kolejny raz Pan Bóg ratuje nam życie, panie Edmundzie. Nie inaczej, musi w tym być Boży plan. Przed nami jest coś ważnego - mruknął w zadumie ksiądz Józef. Jego spokojny głos wyraźnie rozładował napięcie.

- A zresztą, mamy pańskie notatki. Trzeba nam poszukać spokojnego miejsca, o ile to jeszcze możliwe.

Przez chwilę trwała cisza. Mężczyźni spoglądali na siebie, ważąc w głowach słowa duchownego. Myśli trzech z nich kierowały się ku temu samemu, choć każdy inaczej wyobrażał sobie zadanie, które przed sobą wcześniej postawili.

- Dowiedziałem się, że batalion kapitana Scheppkego został zluzowany i odpoczywa niedaleko. Posłałem do niego z prośbą, by zaszedł. Pewnie niedługo będzie.

- Już jest. - Usłyszeli stukot butów o schody i chrzęst wojskowego wyposażenia. Błysnęło światło latarki.

- Co tu się stało? - Otto nadal miał problemy z wyraźnym mówieniem, ale powoli wracał już do formy. Za nim, wnosząc zimowy chłód, weszło jeszcze czterech żołnierzy. Twarz Edmunda rozjaśniła się uśmiechem na widok kaprała Puckerta i szeregowego Wagnera. Pozostałą dwójkę tworzyli młodzi chłopcy w przydługich szynelach i zbyt dużych hełmach.

- Ukradli je, panie Otto - powiedział starszy aptekarz z wyraźnym przejęciem w głosie.

- Pszecziesz mówiłem, żeby je dobrze ukryć... albo spalić. Chociaż ogrzać byłoby szę można.

Przestraszony tonem głosu Hauptmanna Scheppkego Edmund zacisnął usta, powstrzymując się od dalszego mówienia.

- Pokażcie co i jak - Scheppke zignorował starszego pana. Gdyby mężczyźni w piwnicy lepiej go znali, wiedzieliby, że odruchowo starał się ukryć rosnące podniecenie, które ogarniało go, kiedy pojawiała się jakaś kryminalna gratka. Pokazali mu skrzynię, której przez dłuższą chwilę się przyglądał. Potem wziął roztrzaskaną kłódkę i skierował na nią snop światła latarki, po czym podał ją Puckertowi wraz z drobnym kawałkiem metalu.

- Kaliber siedem sześćdziesiąt pięć. Jakaś zabawka, widzi się. Stary mauser albo drejse. - Puckert popatrzył na kompanieführera.

- Pewnie nie mylisz szę. Takie ma policja, kolejarze, celnicy...
- Zawiesił głos i popatrzył na twarze oświetlone żaróweczkami i blaskiem płynącym z kilku świec.

- ...urzędnicy, funkcjonariusze i garstka weteranów z poprzedniej wojny. Wygląda na to, że księgi zyskały niejaką sławę i szę poszukiwanym towarem.

- To co teraz zrobimy? - W głosie Edmunda pojawiła się nutka nadziei.

- Zrobimy? - Otto był wyraźnie zaskoczony pytaniem.

- My? Wasza trójka? - Wskazał palcem na starszych panów.

- Zaraz szę stąd wyniesie. Kiedyś coś wspominał pan, panie Edmundzie, o Spieringstraße? Moi chłopcy pomogą wam szę tam przenieść. A zresztą jedna ze ścian tutaj jest nieźle popękana i może zwalić szę wam na głowy. Strop wygląda solidnie, ale bliżej wejścia jest niedobrze i możecie zostać na amen zasypani. À propos, jest tu inne wyjście?

Boehmer i Bauer popatrzyli po sobie zaskoczeni.

- Nie, nie ma - w końcu odezwał się ten drugi.

- No właśnie. Szbijajcie szę, panowie.

- Panie Otto, a co z książkami? Jest jakaś szansa, aby je odzyskać?

Kompanieführer przez chwilę milczał.

- Jest pewien trop, ale trzeba będzie go sprawdzić. Na pewno nie wy, panowie, będziecie szę tym zajmować. Bierzcie wasze rzeczy i ruszamy.

* * *

- Co ty mówisz? Dobry dom znalazłeś? - Emil Preuß czerwony na twarzy jak indyk wrzeszczał na Gottlieba, który z trudem hamował własną wściekłość.

- Przecież do cholery taki, jak opisałeś. Nazwisko Preuß na metalowej tabliczce, tak? I w końcu, kurwa mać, razem tam byliśmy. Wozilem cię! - Gottlieb także zaczął krzyczeć. Echo ich kłótni odbijało się od martwych ścian podwórza.

- Szefie, nie krzyczcie tak! - Z piwnicy wyskoczył Zygfryd i dołączył do swoich towarzyszy. Emil przez chwilę ciężko oddychał, rzucając badawcze spojrzenia na okna kamienic. W końcu zaczął się uspokajać i rozjaśnił nieco twarz.

- Wybacz, Gottlieb, ale nerwy mi puściły. Na pewno znalazłeś dobry dom. Powiedz mi, jak to wszystko wyglądało.

Zagadnięty także zdusił w sobie agresję. Często kłócili się, wyzywając się od najgorszych, ale nauczyli się też hamować wściekłość, by nie przekroczyć niewidzialnej granicy bezpieczeństwa. Gottlieba szanowali ze względu na moc jego ciosów, a nie zdolności umysłowe, a i on zdawał sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Preuß był ich Führerem, a wodzowi należał się posłuch.

- Ulica jest mocno postrzelana. Cała masa krwi na śniegu, jak kiedyś, pamiętacie, kiedy w lutym dorwaliśmy tych prawicowców na ich wiecu. Musieliśmy wyjść z auta, bo środek zatarasowany jest przez spalony sowiecki panzer. Sam przecież mówiłeś - spojrzał na Preuśa, oczekując potwierdzenia - że zaatakowali was jacyś Ruscy...

Kreisleiter niecierpliwie kiwnął głową i zagryzł wargę. Machnięciem ręki dał znać, by kontynuował.

- No i weszliśmy. Domek postrzelany z zewnątrz, w środku widać ślady po butach, naszych, podkutych. Masa łusek, jakby karabin maszynowy tam mieli.

- A piwnica? Całą żeście sprawdzili?

- Najsampierw weszliśmy do piwnicy, tak jak nam mówiłeś. Wywalone były dwie cegły, ale nie rozkruszone, więc to nie był facet z łomem. Znaleźliśmy jeszcze to. - Wyciągnął z kieszeni kawałek maskującej tkaniny splinter. Emil wziął ją i uważnie obejrzał.

- Kamuflaż Wehrmachtu. Takich kurtek i spodni są setki, jeśli nie tysiące w mieście. Pewnie ci żołnierze, co się bronili, byli też w piwnicy.

- To powąchaj. - Gottlieb uśmiechnął się zjadliwie. Uwielbiał te chwile, kiedy mógł zaimponować kompanom nie tylko siłą mięśni, ale i pomysłem.

Preuś aż skrzywił się z obrzydzenia. Taki smród kojarzył się tylko ze szpitalem albo apteką.

- O kurwa. To myśmy im zwędzili księgi, a oni nam listę - szepnął zdumiony własnym odkryciem.

Gottlieb kiwał głową, a na jego bokerskiej twarzy rozlał się uśmiech. Preuś jednak też miewał kłopoty z myśleniem.

- Słuchaj, Emil. - Ściszył głos i rozejrzał się po martwych oknach. - Pierdolić tę listę. Zabierajmy książki i nasze fanty i spieprzajmy z tego miasta, zanim się spali razem z nami albo

komuniści nas dopadną. Gdy się dowiedzą, jaka jest nasza profesja, to się z nami lepiej zabawią niż my z ich miejscowymi koleżkami...

- Dobrze gadasz, ale najpierw musimy ją odzyskać. - Preuß drapał się po głowie, zdradzając zakłopotanie i niepewność.

- Muszę wam coś wyjaśnić. Ta lista to takie nasze zabezpieczenie, taki „żelazny list” na wypadek problemów z naszymi i Sowietami. Jeśli jednak wpadnie w łapy SS albo choćby Schoepffera, to lepiej samemu palnąć sobie w łeb. Nieważne jak, ale musimy ją odzyskać.

- Kto mieszkał w tym domku oprócz twojej szwagierki?

- Głos Zygfrieda był zimny i rzeczowy.

Preuß popatrzył uważnie na swoich kamratów. Kuno jak zwykle milczał, a z twarzy Gottlieba zszedł ten głupawy uśmiech. Stali się czujni.

- Moja szwagierka z córką i wnuczką, ale jak byłem schować listę, to domek był opuszczony. Pozabierały walizki i chyba się ewakuowały.

- Może jednak nie? Ktoś plądrował damskie łaszki. Może ta twoja szwagierka wróciła?

- Ona nigdy nie weszłaby do piwnicy. Bała się gryzoni. Prędeż Else... - przywołał przed oczy obraz bratanicy. - Po śmierci męża poznała jakiegoś oficerka z lotniska i czekała na samolot. Co się potem stało - nie wiem. - Rozłożył bezradnie ręce. Zygfried w takich sytuacjach był niezawodny, zawsze lubił precyzyjny plan działania.

- Dobrze, zaczniemy szukać od lazaretów. Zaraz obok mamy przecież szkołę von Plauena. Jak nazywała się twoja siostrzenica po mężu?

Emil przez chwilę przeszukiwał swoje zasoby pamięci.

- Else Breitfeld chyba. Działajmy więc. Zygrydzie, zorganizuj chłopaków, a ja podejść do szpitala na Pott Cowle⁵⁵. Wizyta kreisleitera na pewno podniesie morale ludzi. - Na jego twarzy pojawił się grymas zadowolenia. Emil Preuß odzyskiwał pewność siebie.

* * *

Zygryd z obrzydzeniem przyglądał się sanitariuszom pchającym drewniany wózek wypełniony ludzkimi szczątkami. W pewnym momencie zawartość podskoczyła na wyboju, a odcięte ludzkie ramię machnęło do niego jak żywe. Zbladł i z trudem przełknął ślinę. Ludzkie trupy były mu nieobce, sam miał przecież na koncie trzech komunistów zatłuczonych jeszcze w pionierskich czasach SA w Elbingu, plus paru innych gości, ale ten smród i to otoczenie... Zacisnął zęby aż do bólu i ruszył do bramy lazaretu. Główne wejście było zatarasowane noszami, więc przecisnął się na podwórze, przechodząc nad leżącymi, i podążył za dwoma pielęgniarzkami, które dźwigały ciężkie kosze w kierunku bocznego wejścia.

- Pomogę! - zawołał i zanim zdążyły zaprotestować, prawie wyrwał kosz z rąk jednej z nich. Przestraszona kobieta najpierw wzdrygnęła się, ale potem grzecznie podziękowała. Dziedziniec zawalony był rozbitymi cegłami i dachówkami, szkłem, kawałkami odzieży, brudnym śniegiem i połamanymi meblami, które najwyraźniej były używane do opalania pomieszczeń.

- Pan tu do pomocy? - zapytała sanitariuszka, odsłaniając nieco wełnianą chustę chroniącą ją przed chłodem.

- Tak, to jest nie - odezwał się zaskoczony - Szukam tu swojego kuzyna, który służy na lotnisku, i narzeczonej przyjaciela. Wysłano mnie w pewnej sprawie do centrum, a przy okazji kolega prosił, więc... - Weszli na schody, a on szybko

stracił oddech i zamilkł. Starsza pielęgniarka chwyciła drugi kosz za ucho i obie zaczęły taskać go na piętro, wskazując mu drogę. Zygfyrd ponownie zacisnął zęby. Głupio mu było przyznać, że ten śmierdzący kosz niemiłosiernie mu ciążył i chętnie rzuciłby go w diabły. Wdrapali się w końcu na drugie piętro i ruszyli korytarzem, na którego ścianach wciąż wisiały portrety wielkich Niemców oraz plakaty wykonane przez uczniów. Parę razy, w lepszych czasach, wizytował szkołę, towarzysząc partyjnym bonzom i sam był dumny z dokonań dyrekcji placówki w dziedzinie wychowania narodowosocjalistycznego. Skręcili do auli, która oprócz pięknie wymalowanych ścian przedstawiających sceny z historii miasta ozdobiona była suszącymi się bandażami i chustami. Siostry wskazały mu miejsce, gdzie z westchnieniem ulgi postawił kosz.

- Zmęczył się pan, prawda? - Starsza kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Fakt. Nie spodziewałem się, że musicie dźwigać takie ciężary. Pomożecie mi panie odszukać te osoby? - Rozejrzał się wokoło, prostując plecy i nagle znieruchomiał.

- A gdzie jest portret Führera? Co z nim zrobiliście? - wybuchnął.

Przestraszone zmieszwały się.

- Od wybuchów część zdjęć i obrazów pospadała, więc i ten pewnie ktoś zdjął, żeby nie uległ zniszczeniu.

- To defetyzm! Na korytarzu sobie wiszą, a tu? Ktoś za to odpowie. - Machając rękami, zrobił sobie miejsce wśród bandaży i wybiegł z auli. Kobiety popatrzyły po sobie. Milcząca dotąd młodsza z nich powiedziała coś cicho i wyszła, kierując się ku schodom. Wdrapała się na trzecie piętro i skierowała do apteki szpitalnej.

- Else, jesteś tu? - odezwała się, wchodząc.

Zza sterty skrzyń i pudeł odpowiedział kobiecy głos. Ruszyła w jego kierunku i kucnęła obok ubranej w gruby męski sweter drobnej blondynki.

- Else, mówiłaś kiedyś, że miałaś narzeczonego na lotnisku? - przeszła od razu do rzeczy.

Zagadnięta znieruchomiała zaskoczona, a na jej twarzy zaczął pojawiać się wyraz przerażenia. Najczarniejsze myśli zaczęły przelatywać jej przez głowę. Powoli, potakująco skinęła głową, patrząc wyczekująco na koleżankę. W krótkich przerwach w pracy, przy posiłkach zaczęły opowiadać o sobie, szukając oparcia w siostrzanych duszach.

- Przyszedł jakiś facet, taki wojskowy typ, ale po cywilnemu. Pomógł mi i Hildzie dźwigać kosze z mokrymi chustami i mówił, że jest znajomym twojego Karla. Ale potem wydarł się na nas o portret Führera, co to je pościągaliśmy i od razu wydał się nam podejrzany. Masz oprócz Karla jakiegoś znajomego z lotniska?

Else poczuła zimny dreszcz. Instynktownie wyczuła zagrożenie.

- Kochana jesteś, że mi o nim powiedziałaś. Zastąp mnie tutaj, albo nie. Pokaż mi tego typu. - Podniosła się z klęczek. Ruszyły w dół, czujnie rozglądając się. Na półpiętrze Inge zatrzymała ją gestem. Mężczyzna odwrócony do nich plecami zaglądał do jednej z izb chorych. Else kucnęła na schodach, chowając się za kamiennym filarkiem. W tej chwili obserwowany ruszył dalej, na chwilę odsłaniając swój profil. Kobieta, nadal pochylona, weszła na schody, zostawiając zaskoczoną koleżankę. Gdy tylko dotarła do korytarza, pobiegła do swojej izdebki. Schwyciła worek i wepchnęła do niego wojskową kurtkę i buty. Przez chwilę grzebała w stercie szmat, po czym wepchnęła do kieszeni fartucha owinięty w woskowy papier pakunek. Ruszyła bocznymi schodami, zatrzymując się

na drugim piętrze. Poczekala chwilke, az mezczyzna zajrzy do kolejnej izby chorych i na palcach zesla w dol. Na razie byla bezpieczna, ale co dalej?

* * *

Z przenosinami musieli poczekać, gdyż pogoda poprawila się, a nad miastem pojawily się sowieckie „jabo”⁵⁶. Boehmer chcial isc od razu, lecz syn go zatrzymal. Choc od SpieringstraÙe dzielilo ich sto kilkadziesiat metrów, to niebezpieczenstwo ataku bylo spore. W szpitalu syn nasluchal się, jak to bezkarne samoloty z gwiazdami na skrzydlach potrafily scigać pojedynczych ludzi na ulicach. Dopiero po dluzszej chwili dwaj mlodzi volkssturmiści wrócili z dobra wiadomością. Objuczeni klamotami ponownie ruszyli przez zmasakrowane ulice. Sklep jubilerski spod siedemnastki znikl, a przed nim dymil wrak samochodu. Żolnierze pomogli im przejść przez gruzowisko i dostac się na Alter Markt. SpieringstraÙe nie wygladala lepiej, na szczescie kamienice od numeru 19 do 25 staly, jakby najezdźcy chcieli je oszczedzić. Poza szybami i zbitym tynkiem niewiele im brakowalo.

- Tutaj, tutaj! - Edmund odzyskal animusz przed domem przyjaciela, Paula Erdmanna. Solidne drzwi byly zamknięte. Volkssturmiści zaczęli łomotać w nie kolbami karabinów, ale przez dluzsza chwile nikt nie pofatygowal się, by je otworzyć. Gdy jeden z żolnierzy podniosl karabin, by przestrzelic zamek, Edmund zaoponowal. Paul przeciez obiecal mu, ze nigdzie nie bedzie się ruszal. Pewnie siedzi w piwnicy i nie sluszy łomotu. Schylinil się po lezacy kawalek papieru i wyciagnal swoje pióro. Szybko nabazgral kilka słów i wsunal przez klapkę do środka.

- Wrócimy pózniej. Na pewno bedziemy mieli gdzie się schowac - zapewnil i ruszyli powrotem.

* * *

Kiedy zostali sami w piwnicy, kapral Puckert zapytał wprost:

- Jest pan pewny, kapitanie, że te księgi są warte dalszego ryzyka? W końcu obaj ryzykowaliśmy życie, a zginąć można tutaj wszędzie i o każdej porze... - Popatrzył prosto w oczy starszemu mężczyźnie i nerwowo przełknął ślinę. - Dość już nadstawialiśmy dupy w okopach za te żałosne blaszki - dotknął kurtki, pod którą znajdował się przypięty przez komandora Hartmanna Krzyż Żelazny - żeby tu jeszcze dostać strzał w plecy od jakichś ciemnych typów z gestapo.

Twarz Scheppkego pociemniała z gniewu.

- A o co walczysz, chłopcze, co? - Stuknął go palcem w pierś. - O to, żeby wynieść stąd swoją dupę i to w całości, prawda?

Przestraszony wybuchem gniewu przełożonego Puckert sztywno kiwnął głową.

- Ja już swoje przeżyłem, ale chcę umrzeć między swoimi, we własnym łóżku, a nie w bolszewickim łagrze. Tych trzech - pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy - jest na tropie wielkiej tajemnicy. Nawet teraz, w czasie oblężenia, nad nią pracują. Jej częścią są te księgi, Puckert. Jesteś Niemcem?

- Oczywiście! - bąknął w odpowiedzi.

- No widzisz. A one są o podstawach naszego narodowego istnienia. Nawet jeśli przegramy tę wojnę - ściszył głos do szeptu - to one pozwolą nam odbudować życie i niemiecką potęgę.

- Mówi pan, kapitanie, jakby były w nich jakieś czarnoksiężskie zaklęcia. - Kapral był zupełnie zdezorientowany.

- Co ty pieprzysz? To są księgi chrześcijańskie. A co jest na tarczy Balka na fontannie?

- No, krzyż - mruknął Puckert.

- Krzyż, to początek pradawnych Niemców, czyli państwa rycerzy, tu, w Prusach. Krzyż to potęga, chociaż teraz większość nań szcza i pluje. Słuchaj - od dwóch tysięcy lat krzyż chrześcijański jest gnębiony i prześladowany, ale ciągle się podnosi, coraz mocniejszy, tak?

- No, tak.

- A widzisz. Dlatego musimy uchronić tych ludzi, a jeżeli nie damy rady, to choćby tylko te księgi, rozumiesz teraz? Poza tym dadzą nam one materialne bezpieczeństwo i chwałę, gdy je odzyskamy i uratujemy.

- A czemu gestapo i ten partyjniak chcą je dostać?

- Ci głupcy chcą zniszczyć Niemcy razem z sobą. Jak tonący okręt. - Scheppke zamilkł i głęboko odetchnął. Sam siebie zaskoczył, że tak zgrabnie ujął to, o czym dużo ostatnio myślał.

- Dobra, jestem z panem, kapitanie. - Puckert poczuł przypływ sił. - To co teraz robimy?

Ruszyli po schodach na zewnątrz.

- Aptekarz i jego dwaj towarzysze będą na razie bezpieczni na Spieringstraße, a my idziemy poszukać złodzieja. Weźmiemy z sobą Wagnera. Nasz ptaszek to bardzo niebezpieczny przeciwnik.

Kapral pytającym wzrokiem wpatrywał się w twarz swojego dowódcy. Nawet ryk przelatujących nad starówką „jabo” nie odciągnął jego napiętej uwagi.

- Emil Preuß. Nasz kochany kreisleiter.

Puckert gwizdnął przez zęby. Stali w smudze dymu z płonącego w sąsiedztwie budynku, która okryła nagłą bladość na twarzy kaprala.

- A skąd pan to wie?

Scheppke skrzywił się. Nie miał w zwyczaju ujawniać swoich źródeł informacji, ale działali przecież w niezwykłych

okolicznościach i wiedział, że nie powinien zataić tego przed swoim człowiekiem.

- Byłem w lazarecie, żeby zmienić opatrunek. Natknąłem się tam na pana Horsta i miłą panienkę, która mnie wcześniej opatrzyła, a która, jak okazuje się, ...no wiesz, co ma z aptekarzem. I ona opowiedziała mi o tym, jak przyszła się tu umyć i jak ukrywała się przed niespodziewaną wizytą. Rozpoznała swojego stryja, Emila.

Puckert ponownie świsnął.

- To panienka wdepnęła w gównno, tak jak my.

- Nie wiadomo, czy Preuß o niej wie. W każdym razie mamy pewną przewagę i musimy go szybko odszukać.

* * *

Ta sama kobieta, która napoiła go, gdy się ocknął, przyniosła bulion w blaszanej misce. Z trudnością przełknął kilka łyków i podziękował, lecz po chwili poczuł taki głód, że spałaszował całość w jednej chwili, i wytarł talerz chlebem. Bergmann musiał uzbroić się w cierpliwość i zdać się na łaskę miejscowych. Wioskę zamieszkiwali w większości potomkowie holenderskich osadników - menonitów, którzy pomimo prześladowań ze strony władzy zachowali chrześcijański, życzliwy stosunek do obcych, nawet takich jak on. Był cały obolały, ale gorączka spadła i mógł wreszcie zacząć składać myśli. Obok niego, w skromnie umeblowanej izbie, leżało pięć innych osób, przy czym trzy z nich poruszały się od czasu do czasu. Leżący naprzeciw chudy, drobny mężczyzna uniósł się nagle na łokciach i spojrzał badawczo na Bergmanna. Choć w izbie nie było zbyt widno, to mógłby przysiąc, że dostrzegł we wzroku „chudego” mieszanię strachu i nienawiści.

Zna mnie? - pomyślał. - Ale skąd? - Odwrócił wzrok od mężczyzny, starając się rozejrzeć dookoła. Nad łóżkiem na gwoździu wisiał jego partyjny mundur. Opaska ze swastyką, pomięta i rozerwana, zwisała smętnie z rękawa. Z wysiłkiem wyciągnął rękę i dotknął materiału. Był nadal wilgotny. Poprawił się na sienniku i starał przypomnieć sobie ciąg zdarzeń. Jakies przerywane obrazy, rozmazane twarze. Jechał z Königsbergu, trafił do Elbinga, lecz co robi tutaj?

- Jak się pan czuje? - usłyszał obok siebie zmęczony głos. Łysiejący mężczyzna z prusackimi bokobrodami stał przy łóżku.

- Całe ciało mnie boli doktorze. A żeber nie mogę dotknąć. I głowa...

- Jest pan zapewne ofiarą nalotu, panie... - Popatrzył na kobietę, która podeszła do łóżka.

- Bergmann. Gerhard Bergmann - pośpieszyła z podpowiedzią. Mężczyzna skinął głową.

- Nie mam możliwości prześwietlić pana tu w naszym szpitaliku, ale jestem przekonany, że kości ma pan całe. Jest pan poobijany i pewnie miał wstrząśnienie mózgu. Najważniejsze, że gorączka ustępuje, bo baliśmy się o pańskie płuca. Trzeba będzie wywieźć pana do Danziga, albo dalej... - Popatrzył wymownie na mundur.

- Nie rozumiem, doktorze, dlaczego?

- Nie jestem doktorem, tylko wiejskim felczerem. Cóż, powiem szczerze, gdyż w tym domu mówi się tylko prawdę. Na razie są tu w pobliżu nasze wojska, ale dwa dni temu Rosjanie byli tuż-tuż. Sam pan wie, jacy oni są brutalni. Jeżeli znajdą tu pana z tym mundurem, to prawdopodobnie nikt z nich - wskazał gestem na innych chorych - nie przeżyje. My też nie.

- Rozumiem. - Bergmann zasepił się. - Niech mi pan powie chociaż, jak się tu dostałem?

- Nie wiem, może siostra? ja zresztą muszę zająć się czymś innym.

Gerhard popatrzył na kobietę w czerni. Chyba nie była pielęgniarką, więc może żoną albo siostrą felczera? Nieważne. Musiał się dowiedzieć. Już miał otworzyć usta, ale kobieta odwróciła się na pięcie i wyszła. Zaskoczony uniósł się z wysiłkiem na łokciach, po czym opadł na łóżko. Dziwne.

* * *

Przez chwilę stali bezradnie przed domem Erdmanna, starając się coś wymyślić. Edmund raz jeszcze spróbował dostać się do środka, ale z takim samym skutkiem jak wcześniej.

- Co robimy? - Ksiądz rozejrzał się trwożliwie po zasypanej gruzami ulicy.

- A skąd mam to wiedzieć? - Edmund poddał się rosnącej agresji. - Może wrócimy do naszej piwnicy i niech nas zasypie, do diabła! A potem odkopią tylko szkielety!

- Nie gadaj głupot! - Bauer przerwał mu nagle. - Chodźmy do mojej drukarni, jest niedaleko. Mam tam małą piwnicę, w której się ukryjemy.

- Trzeba nam było iść do tego Danziga... - aptekarz zaczął się znowu użalać nad sobą, ale złowrogi zgrzyt „organów Stalina” przerwał mu i szybko ruszył za przyjaciółmi przez gruzowisko. Bauer gnany dźwiękiem pierwszych eksplozji wyprzedził ich znacznie, znikając za zakrętem ulicy.

Pocisk uderzył w któryś z domów za nimi, zmuszając ich do ostatecznego wysiłku. Wraz z księdzem znaleźli się nagle w miejscu, którego nie potrafili rozpoznać. Bezradni stanęli pośród księżycowego krajobrazu.- Tutaj, tutaj! - rozległ się przytłumiony głos. Zza ogromnej sterty gruzów przegradzających ulicę wyłoniła się głowa Bauera wraz z

przywołującą ich dłonią. Ledwo chwytając powietrze, pospieszyli w głąb gruzowiska. Kolejny zgrzyt nadlatującej fali rakiet przydusił ich do ziemi. W pobliżu eksplodowało kilka pocisków, a kurz zasłonił widoczność. Krztuszący się ksiądz Józef schwycił za ramię Edmunda, pomagając mu wstać. Za gruzowiskiem widać było świeżo rozszarpaną eksplozją kamieniczkę, którą już lizały płomienie. Popatrzyli na swoje obsypane pyłem głowy i pchnięci nagłym impulsem jednocześnie zaczęli wydrapywać się po ruinach w górę.

- Karl! - krzyknął z trudem zdyszany Edmund, wdzierając się na szczyt. Zatrzymał się na moment, po czym zaczął zsuwać się po ceglach i belkach, nie zważając na ból. Stojący na szczycie ksiądz z przerażeniem wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą był drukarz. Bauer po prostu wyparował.

- Jezus, patrz! - Duchowny próbował przecisnąć się między szczątkami murów. Edmund wzrokiem podążył za nim. Pod drewnianą belką leżała rozerwana eksplozją płócienna, marynarska torba drukarza. Ksiądz Józef przyciągnął ją, po czym rzucił koło Edmunda. Zaczęli rozglądać się wokół, gdy trzask i rozbłysk pożaru zmusił ich do ucieczki. Kamienica rozpalala się na dobre i zaraz mogła runąć. Przerażeni, na wpół zaczadzeni dymem wydostali się na plac przed pocztą.

- Czekaj, niech odsapnę. - Boehmer z trudem oddychał. Obaj, pokryci pyłem, wyglądali jak upiory.

- Idziemy do Horsta, do lazaretu, i tam odpoczniemy. Niech on coś poradzi.

Ruszyli powoli wzdłuż stanowisk artyleryjskich rozlokowanych w parku. Kilku żołnierzy rzuciło na nich okiem, po czym wrócili do swoich dział. Przechodzący mężczyźni wyglądem pasowali do miasta, w którym zamieszkiwali.

* * *

Horst był zdenerwowany a widok ojca doprowadził go do wybuchu wściekłości. Wycedził coś wściekle na powitanie, ale gdy przyjrzał się ich nędzy, ciężko westchnął. Schwycił za mankiet przechodzącego sanitariusza i coś mu powiedział. Ten kiwnął na nich i rozpoczęli wędrówkę po schodach. Obaj szybko stracili oddech, lecz widok, zapachy i odgłosy ludzkiego cierpienia sprawiły, że zapomnieli o własnej słabości. Weszli na ostatnią kondygnację, gdzie poprzez niedbale zabite deskami okna wdzierał się zimny podmuch wiatru. Mężczyzna zaprowadził ich do pomieszczenia przypominającego magazyn i kazał czekać. Zmęczeni opadli na dwa koślawe krzesła i przyglądali się wypchanym zwierzętom, których kształty zacierają się w zapadających ciemnościach. Boehmer wyciągnął spod płaszcza zegarek na srebrnym łańcuszku i przez chwilę wpatrywał się w jego tarczę, po czym zrezygnowany zapadł się w sobie.

- Tracę wzrok - mruknął.

Ksiądz Józef zachnął się i sięgnął do swojego tłumoka. Miał tam kilka zapasowych świec i po chwili jedna z nich rozbłysła nieśmiałym płomieniem, kolebiącym się wraz z podmuchami powietrza wciskającym się przez potłuczone okno.

- Teraz spójrz na zegarek - sam nie wiedząc kiedy, przeszedł na ty z aptekarzem.

- Zaraz będzie siedemnasta. - Edmund był przybity. Śmierć Bauera, tak niespodziewana, sprawiła, że pojął wreszcie ich prawdziwą sytuację. Od wielu lat starał się nie myśleć o problemach tego świata, a te jakby w zamian omijały go i jego aptekę szerokim łukiem. Teraz z całą siłą dotarło do niego, że jest stary, że właśnie stracił dom i to, nad czym tyle lat tak ciężko pracował, że w każdej chwili może zginąć i co najważniejsze - nie pozostawi po sobie żadnego śladu. Do tego

był tak zmęczony i nie potrafił już zapanować nad strumieniem łez, które zaczęły żłobić ścieżki na jego brudnych policzkach.

- Głowa do góry. Pan Bóg nad nami czuwa. - Ksiądz dotknął jego ramienia. Przez chwilę patrzył mu w oczy i w twarz, która raczej przypominała antyczną maskę. Rozkleił się zupełnie. Duchowny trzymał go za ramiona, pozwalając szlochać. Emocje ostatnich dni powoli go opuszczały, szarpiąc znękaną duszę. Ksiądz sięgnął na półkę i podał mu kawałek gazy. Edmund powoli uspokajał się. Głośno wydmuchał nos i przetarł twarz, rozcierając brud.

- Przepraszam - rzekł drżącym głosem - ale nie potrafiłem się powstrzymać. - Popatrzył przekrwionymi, wciąż załzawionymi oczyma na księdza.

- A ty nigdy nie płaczesz?

- Płaczę, lecz modlę się i to daje mi siły, choć moje ciało jest słabe.

- Wcześniej nie przyjaźniłem się z Karlem. Ot tak, jak sąsiedzi - przywitało się, porozmawiało. Raz czy dwa był na herbatce i kieliszeczku nalewki. O, i drukował mi ulotki reklamowe, a ja taniej liczyłem mu za leki. Nawet nie wiedziałem, że miał takie ciężkie życie - po prostu nie dawał po sobie tego poznać. Nie wiedziałem, że był taki chory. Miał ołowicę, a na to nie ma lekarstwa. - Pokiwał smętnie głową.

- Tak, faktycznie był ciężko chory. Przedwczoraj chwyciły go silne bóle. Wtedy mi powiedział, że to rak i lekarze dawali mu parę miesięcy życia.

Zapadło milczenie. Zza okna dobiegały ich odległe odgłosy wybuchów, a zza drzwi krzątania szpitalnego personelu.

- Wiesz, Josef, ja nagle uzmysłowiłem sobie, że mój cały świat runął. Wiem, że jest wojna, że ludzie giną, że cierpią - choćby ty w obozie. Ale mnie to nie dotyczyło. Miałem dom, stabilizację, pozycję w miejscowej socjocie. Tak, Elbing to

zapadła prowincja, ale mnie tu było dobrze. Mogłem się cieszyć wnukami, czytaniem książek, zacząłem także pracę naukową. Chciałem coś po sobie pozostawić, aby nazwisko Boehmer chociaż przez parę lat po mojej śmierci coś znaczyło w ludzkiej pamięci. Kiedy pojawiły się te księgi, poczułem się tak, jakbym schwycił Pana Boga za nogi. A teraz - nic. Jestem starcem, o którego nawet własny syn nie dba. I nie mam już celu w życiu. Zostaje tylko umrzeć albo...

- Albo co, tato?! - Drzwi otworzyły się z trzaskiem, prawie gasząc płomień świecy. Horst klęknął obok ojca, przyglądając mu się uważnie.

- Naprawdę niepotrzebnie wracaliście. A gdzie jest Bauer?

- Zginął, kiedy szliśmy przez gruzowisko. Trafił go sowiecki pocisk i nic z niego nie zostało. Nawet guzik. - Głos Edmunda był cichy i smutny.

- Boże. Dobrze, że chociaż śmierć miał lekką. Wiesz, tato - przepraszam cię za ten wybuch na dole, ale sam ledwo daję sobie radę z tym wszystkim. - Machnął ręką. - A ty, a wy - poprawił się - sprawiacie, że muszę jeszcze o was myśleć, a to już za wiele jak na moje nerwy. Dlatego chciałem, żebyście wyszli z miasta albo ukryli się w jakimś bezpiecznym miejscu... Właśnie, dlaczego nie jesteście z Erdmannem?

- Jego dom był zamknięty, choć cały - wtrącił ksiądz.

- Natomiast na Schmeidestraße nie możemy się już kryć, bo dom grozi zawaleniem, jeżeli do tej pory nie spłonął.

- Taak. Cóż, prześpijcie się tutaj. Poproszę kogoś, żeby wam przyniósł trochę wody do umycia, koce i coś do jedzenia. Jednak rano musicie iść. Naczelný lekarz mówił, że nasze kontruderzenie utknęło, więc będziemy mieli coraz więcej rannych. Poza tym to miejsce jest po prostu umieralnią. Gdybyśmy się rozdzielili, to ruszajcie do wuja Hermanna, do Bawarii. Tam się po wojnie spotkamy. Teraz wychodzę, ale

potem jeszcze wpadnę. - Uśmiechnął się słabo i przycisnął głowę ojca do siebie. Przez chwilę tak trwali, po czym Horst wyciągnął rękę do księdza Józefa.

- Dziękuję księdzu za opiekę nad ojcem. Wiem, że dzięki księdzu Bóg będzie się wami opiekował.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Mam jeszcze prośbę - kapłan zatrzymał wychodzącego. - Wielu z tych ludzi potrzebuje duchowej pociechy. Nie wiem, czy macie tu jakiegoś duchownego, ale gdybym dostał kawałek chleba, to przeszedłbym się po salach...

Horst przez chwilę patrzył na brudną, zmęczoną twarz i jaśniejące dobrocią oczy. Skinął głową.

- Dobrze, ale muszę uprzedzić lekarza, siostrę Klarę i dowódcę ochrony. No i najpierw ksiądz musi się obmyć, bo wygląda raczej na upiora. Na razie muszę was pożegnać.

- Nie taki najgorszy ten twój syn, Edmundzie - stwierdził po chwili ksiądz Józef. - Czyli nie wszystko straciłeś.

- Ale widziałeś jego pożegnanie. Jakbyśmy mieli się więcej nie zobaczyć. - Głos mu się załamał.

- A cóż ty byś zrobił na jego miejscu? Niezbadane są...

- Przestań z tym swoim papieskim gadaniem! - Edmund zakrył twarz rękami.

- Wiesz, Edmundzie, skoro tyle niebezpieczeństw przeżyłeś i wielokrotnie uniknąłeś śmierci, to znaczy, że Pan ma wobec ciebie swój plan. I chyba dlatego pozwolił nam spotkać się, abym ci w tym pomógł.

Edmund spojrział na księdza pytającym wzrokiem. Był tak skołatany, że go nie zrozumiał. Ten uśmiechnął się.

- Musimy poznać historię z tych pergaminów i uratować ją dla przyszłych pokoleń. Ale nie dzisiaj. Musisz wypocząć, a jutro da nam nowe siły.

* * *

Emil Preuß naciągnął na oczy grubą futrzaną czapkę i zasłonił usta szalikiem. Nie żeby było bardzo zimno, ale nie chciał zostać rozpoznany. Wracił ze swojego „obchodu” lazaretów, lecz nie znalazł żadnego śladu po Else lub swojej szwagierce. Podejrzliwie przyglądał się napotkanym przechodniom, którzy przemykali tu i ówdzie. Ku swojemu zaskoczeniu zauważył czynną piekarnię, a obok, z samochodu rozdawano zamrożone na kamień kawały mięsa. Nasze wojska odepchnęły bolszewików na sporą odległość i tylko na południu przy drodze na Preußisch Holland wróg trzymał przyczółek, skąd okładał miasto ciężkimi pociskami i salwami rakiet. Jednak miejscowi przyzwyczaili się już do tego, wykorzystując każdą chwilę względnego spokoju na załatwienie swoich spraw. W szpitalu na Pott Cowle StraÙe doktor Schwarz nie ukrywał zdziwienia na jego widok. Nie powiedział mu tego wprost, ale widać było, że jest zaskoczony, iż kreisleiter nie zwiął z miasta. Słowa Emila, które miały tchnąć optymizmem, doktor przyjął z wyraźną irytacją. Po co mu przeszkadza? Jeżeli Preuß ma dostęp do jakichś zapasów albo możliwość ewakuacji rannych, to proszę bardzo, lecz jeśli nie, to niech... Rozstali się zimno, kiwając do siebie głowami. Podobnie zachował się lekarz w szpitalu diakonis. Był zmordowany i nie chciał nawet słuchać tego, co Preuß miał mu do zakomunikowania. Poprosił jedynie zakonnicę, by sprawdziła listę pacjentów. Kreisleiter musiał powściągnąć swój gniew. Gdyby choć jeden z jego ludzi był z nim, to pokazałby tym doktorkom, że partia nadal trzyma wszystko mocną ręką. Potem przypomniał sobie, że w mieście nie ma już gestapo, a i policjantów nie było widać. Nie ma jak aresztować ludzi, a

rozstrzelać lekarza? Cóż, obecnie nie można sobie na to pozwolić.

Wokół roztaczał się mrok rozświetlany punktami ognisk, które palili żołnierze z pobliskiej baterii dział. Zaraz za rogiem stał ogonek ludzi przy wojskowym samochodzie, z którego wydawano jakieś pakunki. Ktoś trzymał płonące polano, a jeden z żołnierzy oświetlał twarze czekających latarką. Ogonek poruszył się, a Preuß drgnął razem z nim. Przed skrzynią pojazdu stała niewysoka kobieta z charakterystycznymi blond lokami i w wojskowej kurtce. Minęły go dwie kobiety, więc ruszył dyskretnie za nimi, próbując ukryć swoją korpulentną sylwetkę. Stał na końcu kolejki, starając się przyjrzeć bliżej dziewczynie. Żołnierze coś marudzili z wydawaniem pakunków, wzmagając tym samym niezadowolenie w ogonku. Jedna ze stojących przed nim kobiet fuknęła.

- Żałują nam ochłapów, a sami w ratuszu obżerają się!

- Co pani! Komendant, prezydent i ta gnida, kreisleiter, dawno temu zwali. I tylko te nasze chłopcy z Volkssturmu nas bronią! - odpowiedział jej inny głos.

- E, co panie gadają. Pułkownika widziałem, a Leser też jest. Ponoć jutro mają ogłosić powszechną ewakuację. Tylko kreisleiter zwał, pies jeden.

Głosy brzmiały coraz ostrzej. Preuß sięgnął do ukrytej pod kożuchem kabury, ale wtedy kolejka znów drgnęła. Światło padło na twarz młodej kobiety, w której rozpoznał swoją bratanicę. Chwyła pakunek i zniknęła w ciemności ulicy. Preuß zaczął przepychać się do przodu, wywołując wściekłe protesty.

- W kolejkę! - krzyknął na niego żołnierz przy samochodzie, ale on wyminął go szybko. Kreisleiter dostrzegł Else, która szła powoli, omijając w słabym świetle leżące na ulicy przeszkody.

Gdy przeszła przez mostek na Hommel, przyśpieszyła, kierując się w stronę szpitala na Pott Cowle.

- Oszukałeś mnie, doktorku - mruknął do siebie Preuß.

Nagle dziewczyna skręciła w stronę budynku sztabu obrony miasta i przeszła przez Trusostraße⁵⁷. Od strony rozłożonej przy budynku baterii haubic rozległy się nawoływania żołnierzy, ewidentnie skierowane do Else. Kobieta na chwilę przystanęła i odkrzyknęła coś, co wywołało salwę śmiechu i kolejne okrzyki. Preuß musiał zwolnić. Schylił się, udając, że zawiązuje but, a gdy wstał, dziewczyny już nie było. Ruszył szybkim krokiem w kierunku sztabu, starając się coś dostrzec w mroku. Dobiegło go trzaśnięcie drzwi w jednym z budynków przy Lessingstraße, ale w którym? Nie mógł przecież sam tam wejść, bo rozpoznano by go, a Else zostałaby ostrzeżona. Klnąc, skręcił w lewo i wszedł do budynku sztabu.

* * *

Kompanieführer Scheppke wraz ze swoim batalionem zajął pozycję na południowym wschodzie od Danziger Kaserne⁵⁸. Byli tutaj odwodem dowódcy Volkssturmu. Jego ludzie trochę wypoczęli, odkarmili się i od razu zaczęły się kłopoty z dyscypliną. Część z nich pochodziła z Elbinga, więc w każdej wolnej chwili męczyli swoich przełożonych o przepustki, by sprawdzić, co z najbliższymi lub opuszczonymi domostwami. Pułkownik Schoepffer absolutnie nie chciał zgodzić się na żadne obniżenie gotowości bojowej, więc pododdziały Volkssturmu stanęły przed widmem powszechnej dezercji. Dziś po południu żandarmeria przywiozła dwóch schwytanych na samowolnym oddaleniu się, a z dowództwa volkssgrenadierów przyszedł rozkaz o ich rozstrzelaniu. Scheppke z przykrością stał na zbiorce i patrzył na leżące na śniegu ciała.

- I tak to niewiele pomoże, bo będą szli do domów - kapral Puckert wyraził opinię całej kompanii. Jednak później wpadli na pomysł, który Scheppke przedstawił battalionsführerowi⁵⁹. Już wcześniej zgłaszano wypadki rabunków składów wojskowych i prywatnych posesji. Lekarstwem okazała się służba patrolowa.

Elbingerzy ruszyli w miasto z bronią, przy okazji zachodząc do siebie. Po raz pierwszy okazało się, że są chętni do wystawiania nosa z koszar w lodowatej nocy. Scheppke myślał przy tym przez cały czas o sprawie Boehmerów. Wagner wraz z Puckertem dwukrotnie tego dnia ruszyli na patrol we wzmocnionym składzie. Pierwsze przeszukanie rejonu dawnej siedziby NSDAP nie dało rezultatu - budynek był zdewastowany i opuszczony, a wszędzie wałała się propagandowa bibuła. Gdy wrócili na „cienką” zupę, Kompanieführer postanowił wziąć się do sprawy systemowo. Jego łącznościowcy i kanceliści szybko namierzyli kwaterę Preuša i następny patrol wysłał do centrum. Żołnierze wrócili dopiero po zmroku, ciągnąc furmankę z gomółkami niedojrzałego sera.

- Trafiliśmy na szabrowników, Herr Major - zameldował Puckert zaskoczonemu dowódcy batalionu. - Wysłałem człowieka z meldunkiem do komendy miasta, ale oni nie chcieli posłać nikogo na zabezpieczenie. Wobec tego postanowiliśmy zabrać co się da dla nas. Na tym psim żarciu padniemy szybciej niż od bolszewickich kul.

Scheppke poczekał, aż patrol zda broń i zawołał kaprala i Wagnera.

- Co ustaliliście? - zapytał niecierpliwie.

Wagner zerknął na Puckerta i uśmiechnął się chytrze.

- Mamy go, panie kapitanie. - Ściszył głos i rozejrzał się wokoło. Znajdowali się na piętrze budynku bez szyb i ze

spalonym częściowo dachem.

- Poszlim pod ten adres, co nam pan dał. Ale kapral mówi, że mamy się podzielić i sprawdzić piętra i piwnice. To my we dwóch, z Müllerem, weszlim do klatki schodowej i łomoczemy do każdych drzwi, żeby wiedzieli, że niby oficjalnie. Na piętrze mówię Müllerowi, żeby uważał na sąsiadów i łubudu do drzwi, na których pisało Preuß - nic. Więc pizdłem kolbą, aż kawałek deski się wyłamał. Już miałem poprawić, ale słyszym łomot po schodach. Müller wycelował maszynkę, a tu z dołu taki po cywilnemu leci z parabelką w łapie. Müller na niego *Hände Hoch!*, a on wywija spluwą, więc ja odbezpieczam mausera i krzyczę, żeby dawał dokumenty. A on, że jest z ochrony kreisleitera, który wizytuje jednostki i go tera nie ma. - Wagner przerwał, szczerząc zęby.

- Nigdy takich cwaniaczków nie lubiłem, ja to uczciwy złodziej jestem, z honorem, a tamten to jakaś partyjna gnida. Müller dał mu kopa w pistolet i wtedy on zmiękł i mówi, że ma je w piwnicy, no to my za nim. A tam jak w pałacu. - Cmoknął z zachwytem. - Warto by przejrzeć te szafy.

- Ale co z kreisleiterem? - Scheppke nie mógł ukryć zniecierpliwienia.

- No, jego to nie było, ale tamten cały czas gadał, że on powinien wrócić, że nam nie daruje. Chciałem mu pizdnąć kolbą w łeb, ale w końcu my wojsko na patrolu byli. Aha, na podwórku stały dwie gabloty wyglądające na gotowe do drogi. A na koniec powiedziałem mu, że to rozkaz komendanta miasta, że pilnujemy porządku przed rabunkami i złodziejami. - Wagner zachichotał. Złodziej chronił ludzi przed złodziejami.

- Nic się ten typ nie domyślił?

Wagner podrapał się po głowie.

- Chyba nie, bo widział resztę patrolu, jak meldowali się u kaprała, że wszystko w porządku. Więc było na służbowo.

- Świetnie się spisaliście, będę o was pamiętał.

- Oj, to dobrze, panie Scheppke. - Wagner przeszedł na konfidencyjny ton. - Ja bym chciał do siebie, za rzekę wyskoczyć, żeby zobaczyć, co i jak.

- To nie nasz rejon, lecz coś wymyślę, nie martw się. Idźcie odpocząć.

- Dzień 8 -

Obudził ją ostry ból w nodze. Skurcz ściągnął jej podudzie przez niewygodną pozycję, w której leżała. Jęcząc, rozmasowywała mięsień, czując, jak powoli maleje napięcie. Wreszcie odetchnęła z ulgą i spróbowała wygodniej ułożyć się pomiędzy leżącymi ludźmi.

- Niech się pani nie kręci, spać nie można! - usłyszała wrogi kobiecy głos i znieruchomiała. Wokół panowały egipskie ciemności, więc nie mogła zbyt dobrze zorientować się w otoczeniu. Walka z bólem rozbudziła ją zupełnie, a ktoś wcisnął się w miejsce, gdzie poprzednio leżały jej nogi. Else oparła się najwygodniej jak mogła o ścianę; musiała wytrzymać tak do rana. Przypomniła sobie ucieczkę z lazaretu. Potem krążyła po płonącym mieście, kryjąc się po piwnicach i schronach, zastanawiając się, co robić. Zaszła nawet na lotnisko w nadziei, że spotka Karla, ale wtedy bateria ciężkich dział otworzyła ogień, więc uciekła w kierunku centrum. Wieczorem zdobyła trochę chleba i puszkowanej marmolady i pchnięta impulem ruszyła do domu Schepkego. Kiedyś chciała go wynająć⁶⁰, potem widząc go na ulicach miasta wymieniali uśmiechy i grzeczne uwagi. Odgryzła się żołnierzom, wywołując ich gwizdy i pohukiwania. W ciemnościach wydało jej się, że widzi wysoką sylwetkę prywatnego detektywa, więc pobiegła za nim. Mężczyzna wszedł do piwnicy pełnej ludzi i tam okazało się, że to nie Schepke. Postanowiła w niej pozostać, a gnieżdżący się tu ludzie w zamian za chleb zrobili jej miejsce. Samodzielne myślenie ciężko jej przychodziło, bo przecież zawsze był ktoś, kto pomagał jej w podejmowaniu decyzji. Rodzice, Fredi, Georg, Karl. Teraz została sama. Przypomniła sobie słowa porucznika

Karla Bauera, z którym się ostatnio spotykała: „Z każdej sytuacji są przynajmniej dwa wyjścia”. Mogła wrócić do szpitala, do Horsta. Powiedziała mu, że ktoś ją śledzi, a on by ją ukrył. Jednak Horst nie należał do najodważniejszych, a poza tym po lazarecie wszędzie kręcili się ludzie i trudno byłoby jej dobrze się schować. Mogła też ewakuować się z miasta, ponoć były jeszcze jakieś drogi ucieczki, lecz gdyby wpadła w łapy bolszewików albo nawet Niemców... Wizja brudnych rąk dotykających jej ciała i bólu wstrząsnęła nią. Na chwilę zamknęła mocno powieki, aż czerwone plamy rozmyły obraz w umyśle. Ukryć się w mieście było chyba najlepszym wyjściem, ale gdzie? Jej domek stryj przecież znał, bo tam zamelinował ten pakiet. Jej ręka machinalnie dotknęła kurtki, wyczuwając sztywny papier. U Klimów? Przyjęliby ją, jednak tam toczyły się walki. Dom Stumpfów? Zbyt odległy... Nie ma ucieczki. Ostatnią rzeczą, którą poczuła, były łzy napływające do oczu, po czym zapadła w sen.

* * *

Edmund obudził się pierwszy skostniały i spragniony. Z trudem rozprostował kończyny i wstał, starając się nie obudzić pochrapującego obok księdza Józefa. Trzęsąc się z zimna, wyrzwał na korytarz, po którym krzątał się personel. Kilkunastoletni, wyraźnie zmęczony chłopak dźwigał dwa wiadra z wodą i z chęcią odstawił je, pozwalając starszemu panu ugasić pragnienie.

- Poczekaj chwilę. - Uśmiechnął się z wdzięcznością i poszedł po blaszankę. Trzeba się ogolić i umyć - ta myśl wyparła inne. Gdy wrócił do księdza Józefa, ten przecierał oczy ze snu.

- O, masz wodę, Edmundzie, strasznie mi się chce pić.

Aptekarz uśmiechnął się nieszczerze, widząc, jak jego poranna toaleta gulgocze w gardle przyjaciela.

- Trzeba odszukać Horsta, ale najpierw muszę znaleźć jakieś miejsce do... - Wykonał znaczący gest. Ksiądz wygrzebał się spod koców i ruszyli razem. Napotkany sanitariusz wskazał im na gruzowisko za oknem. „Tam chodzą zdrowi” - powiedział. Prosta, fizjologiczna czynność sprawiła mu masę kłopotu. Długo szukał jakiegoś bardziej zakrytego miejsca, potem mróz gryzł go w odsłonięte części ciała, a na koniec musiał zniszczyć fragment znalezionej książki.

Wracając, wpadli na Horsta. Z nutą wahania w głosie Edmund powiedział mu, że wychodzą z miasta, ale ukryją się gdzieś w pobliżu i jak sytuacja się wyjaśni, to wrócą. Syn przycisnął ojca do siebie, po czym wzywany przez sanitariusza zniknął w czeluściach ogromnego gmachu.

Wyszli od strony Grimstraße⁶¹ i ruszyli w stronę kościoła Świętej Anny, a raczej tego, co z niego zostało.

- Ukrywałem się jakiś czas przy Trusostraße, w piwnicy. Może tam przeczekamy ze dwa-trzy dni, aż się to wszystko uspokoi? - zaproponował, widząc niezdecydowanie Edmunda. Stali wśród nagrobków, z których część była rozbita, przemieszana z potrzaskanymi gałęziami i grudami ziemi. Obaj czuli zmęczenie i beznadzieję sytuacji.

- Jesteś księdzem, Josefie. Ty powinieneś mieć siły do działania - mruknął w końcu aptekarz.

Ruszyli w stronę Trusostraße. Dochodzili już do granicy cmentarza, gdy za plecami rozległ się huk potężnej eksplozji.

- To gdzieś koło lazaretu!

- Szybciej, Edmund, ruszaj się!

Kolejne uderzenie było bliższe i drzewa obsypały staruszków resztką śniegu. Sowiecka ciężka artyleria

ostrzeliwała centrum miasta, zmuszając mężczyzn do ucieczki. Byli już koło kościoła Świętego Jerzego, gdy minął ich wojskowy samochód. Edmund dałby sobie rękę uciąć, że w środku siedział Scheppke. Maszyna skręciła gwałtownie koło urzędu skarbowego w Trusostraße i zniknęła im z oczu. Tracąc oddech, przyśpieszyli jeszcze i po chwili, ciężko dysząc, stanęli na skrzyżowaniu. Ciężarówka zatrzymała się przy Lessingstraße, wysypując z wnętrza żołnierzy.

- Tam! - wysapał resztką sił Edmund. - Scheppke.

Ksiądz Józef skinął głową. Łapiąc oddech, ruszyli na spotkanie kapitana.

* * *

Noc minęła w miarę spokojnie, ale rano, kiedy Preuß planował odzyskać listę i wyjechać, zaczęło się piekło. Pierwszy pocisk uderzył niedaleko, jakieś sto metrów od ich kamienicy, a następny trafił w dach stojącej naprzeciw, zdmuchując strych wraz z ostatnim piętrem i zasypując gruzem całą ulicę. Preuß i jego ludzie biegiem wrócili do piwnicy, zatraskując za sobą stalowe drzwi. Sowieckie ciężkie działa wzięły sobie na cel ich kwartał, miażdżąc dom po domu. Gottlieb zapalił naftówkę, która wraz z nimi podskakiwała od potężnych wstrząsów.

- Zawali bramę i ulicę, zostaniemy tu... - Kuno pierwszy przerwał ciężkie milczenie. Kreisleiter poderwał się z fotela i zaczął nerwowym krokiem przemierzać piwnicę.

- Siadaj, szefie, denerwujesz mnie tym swoim łażeniem.

- Zamknij się, Zygfryd! Jak trafi w nasz dom, to zdechniemy tu przysypani, więc trochę ruchu nie zaszkodzi. - Preuß dusił w sobie wściekłość. Nie dość, że ostrzał powstrzymał go, to jeszcze musiał znosić tego zarozumialca. W innych okolicznościach SA-

man nie ośmieliłby się tak odezwać, ale teraz czuł, że jest kreisleiterowi niezbędny i może sobie na wiele pozwolić.

- A co, jeżeli panienka nam zwieje? - Zygfyrd rzucił prowokująco.

- Nawet tak nie myśl! - Preuß zatrzymał się i wycelował w niego paluchem. Tknięty nagłą myślą zaczął wyrzucać z siebie:

- Tam na pewno nie ma ostrzału, więc musimy szybko ruszać. Bo gdzieś pójdzie i znowu trzeba będzie jej szukać, a jak zaszyje się w jakimś schronie, to wcześniej zesramy się, niż ją znajdziemy.

- Jak jesteś taki mądry, szefie, to wyjdź!

- Dobra, lepsze to niż siedzenie w tym grobowcu. A wy ruszcie się, pomożecie oczyścić drogę! - Gottlieb poderwał się z krzesła i wcisnął czapkę na głowę. Dwaj pozostali popatrzyli na niego bykiem. Mężczyzna odblokował drzwi, wpuszczając do środka chmurę kurzu. Kuno zamknął za nim.

- Siedzimy, szefie? - zapytał z wahaniem.

- A co, chcesz ginąć, jak ten... tam? - Preuß wycedził w odpowiedzi. - Przynajmniej żaden patrol nam tu nie wlezie. - Popatrzył ze złośliwym błyskiem w oku na Kuna i rozsiadł się w fotelu.

* * *

Poza bombardowaniem artyleryjskim poranek był raczej spokojny, co pozwoliło na trzymanie ich przerzedzonego batalionu volkssgrenadierów w rezerwie. Scheppeke wykorzystał czas na odespanie, mycie i pranie. Jeden z jego ludzi znalazł w opuszczonym mieszkaniu spory bojler z wodą podgrzewaną w kuchni, więc można było zrobić szybką kąpiel, ogolić się i przeprać kalesony oraz koszulę. Zadowolony kapitan wsiadł do swojego steyra i wraz z kierowcą, Eugenem

Küßnerem, ruszył po zaopatrzenie. Niespodziewany ogień bolszewików wypłoszył ich z centrum, więc rozkazał zawieźć się na swoją ulicę. Poza zbitą szybą jego mieszkanie było nienaruszone - przynajmniej z zewnątrz. Kazał ukryć samochód przy murze komendy Wehrmachtu, a sam ruszył do domu. Otworzył drzwi do wychłodzonego wnętrza. Paprocie, o które tak dbał, zwisały smętnie, jedna z donic leżała rozbita na dywanie. Wyciągnął z szafy czyste rzeczy i wrzucił je do plecaka. Wychodząc, natknął się na swojego sąsiada z dołu.

- A, to pan, panie Otto. Żyje pan. - Mężczyzna otaksował go wzrokiem i uśmiechnął się. - My to cały czas w schronie, to jest w piwnicy siedzimy. Strach tak wychodzić - dodał, jakby usprawiedliwiając się.

- E, nie jest tak źle. Musisz się pan oswoić. A nie powołali pana do Volkssturmu? - Gdy Ottonowi poprawiał się humor, lubił sobie pożartować z ludzi. Mężczyzna zbladł.

- No co też pan. Pan wiesz, że ja chory jestem...

- Karabin w łapach wyleczyłby te pańskie choroby. Nawet nie wiesz pan, panie Darnau, jacy chorzy są w mojej kompanii. Przepraszam, muszę teraz iść, a chcę jeszcze zajrzeć do piwnicy. - Kapitan przecisnął się obok urzędnika magistrackiego i zbiegł na dół. Ciemność w korytarzu zmusiła go do zatrzymania się i w tym momencie poczuł, że z kimś się zderzył.

- Niech pan uważa, panie detektywie - usłyszał młody kobiecy głos, który nie tak dawno słyszał.

Powoli jego wzrok przyzwyczaił się do mroku i zobaczył niewielką postać w wojskowym okryciu.

- Dobrze, że pan jest, szukałam pana. - Usłyszał w głosie wyraźną nutę niepokoju.

- My się znamy? - zapytał, ścisząc głos, ale i tak uwaga siedzących w piwnicy skoncentrowała się na nich. Mógł teraz rozróżnić kształty głów wychylających się z piwnicznych wnęk.

Chwycił kobietę pod ramię i pociągnął za sobą. W tej części korytarza cuchnęło moczem i było zupełnie ciemno.

- Może byście tak sikali u siebie - odwrócił głowę i podniósł głos - świnię jedne!

Syknął z bólu. Poraniona twarz wciąż dawała o sobie znać. Wyciągnął z kieszeni płaszcz kluczyk i po omacku odszukał zamek. Dwukrotny trzask uprzedził skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów. Za sobą usłyszał kroki i głosy

- O Jezusie, jeszcze ten - wyjęczał z rezygnacją. Namacał półkę i leżące na niej zapalniczki.

- Niech pani wejdzie, pani Breitfeld - skojarzył wreszcie nazwisko. - Nie mam wiele czasu, więc proszę szybko mówić.

Zanim otworzyła usta, drzwi skrzypnęły ponownie, wpuszczając Boehmera z jego nowym towarzyszem.

- Dzięki Bogu, jest pan, panie Otto - wysapał staruszek, bezceremonialnie opadając na równie stary taboret.

- Co wy tu wszyscy robicie? - W głosie kompanieführera Scheppkego słychać było wyraźną złość.

- Ja nie mam gdzie iść, mój stryj mnie szuka, musi mnie pan ukryć! - Else uprzedziła słowa starszych panów, którzy spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Pamięta pan, to ja powiedziałam, kto był w aptecznej piwnicy i kto ukradł coś ze skrzyni. A teraz jeden z jego zbirów szukał mnie w lazarecie von Plauena, więc musiałam uciec. Nie mam już dokąd... - Ciężka dłoń zatkała jej usta, a druga przycisnęła do ściany.

- Czego jeszcze chcesz, kobieto?! Żeby i na mnie nieszczęście sprowadzić? - Powoli uspokajała się, więc Otto zdjął dłoń z jej ust.

- A wy co tu robicie? Też goni was kreisleiter?

Obaj mężczyźni byli wyraźnie skonsternowani wybuchem gniewu kapitana.

- Po prawdzie, to i my nie mamy się gdzie ukryć, bo nasz dom grozi zawaleniem - zresztą to sam pan wie. Horst nie mógł nas przechować w lazarecie. Chcieliśmy wyjść z miasta, ale ostrzał bronił drogi do mostów, a potem zobaczyliśmy pański samochód i...

- Chwila, niech pomyślę. - Scheppke pomyszkował w starym kredensie i wyciągnął zakurzoną butelkę.

- Stare wino z głogu. Jeszcze moja świętej pamięci małżonka robiła. Świństwo straszne, ale umysł oczyszcza.

Przetarł kurz starym fartuchem i odbił korek.

- Proszę, niech pani się napije. - Podał dziewczynie butelkę. Posłusznie łyknęła i zakrztusiła się. Butelka powędrowała dwukrotnie wokół.

- Dobrze. Wy - kiwnął na mężczyzn - musicie poszukać sobie innego schronienia, bo jeśli Preuß was tu znajdzie, to i księgi wpadną w jego łapy. - Znacząco spojrział w stronę ściany. W blasku świecy trudno było dostrzec cokolwiek na białym tynku.

- Tam? - zapytał aptekarz.

Scheppke skinął głową.

- To może spróbujemy raz jeszcze u Erdmanna? Tak, na pewno jest u siebie. - Edmund chwycił się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

- Pani poczeka, a wy chodźcie ze mną - powiedział do Boehmera i księdza Józefa. Wyszli na dwór, gdy promienie słońca przebiły się jakimś cudem przez zaciągnięte niebo. Oślepieni przystanęli na chwilę, a ich słuch wyłapał głuchy odgłos toczony kilka kilometrów dalej bitwy. Scheppke zaklął zaniepokojony i pociągnął ich w stronę muru komendy.

- Zawieziesz ich na Stare Miasto i natychmiast wracaj! - krzyknął do Eugena Kűßnera i biegiem ruszył z powrotem.

- Teraz pani. Dlaczego pani sądzi, że mogę jej jakoś pomóc?

- Nie wiem, nie znam się na tym, ale to należy do mojego stryja. - Kobieta wyciągnęła z kieszeni szary pakiet. Otto zaintrygowany obejrzał go przy świetle świecy.

- Mogę? - Popatrzył pytająco na dziewczynę, która kiwnęła głową. Scyzorykiem przeciął sznurki i rozwinął pakiet. Else wpatrywała się w jego twarz, z której natychmiast znikł cierpki uśmiech.

- *Scheiße!* - zaklął i odłożył papier.

* * *

Adler ledwie zmieścił się między zwalami gruzu a oni, nawet sam kreisleiter, musieli oczyszczać drogę ze szkła i wszelkich ostrych przedmiotów mogących poprzecinać opony. Dla cięższego horcha, w którym planowali wywieźć skarby i dokumenty, miejsca już zabrakło.

- Dobrze - Preuß ponaglał ich. - Potem wrócimy i podepchnie się tamtą stertę i drugie auto zmieści się bez problemów.

Artyleryjskie bombardowanie wreszcie się skończyło, a oni wyszli, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Tak czy inaczej trzeba było oczyścić bramę.

- Jest dziewczyna. - Zdyszany Zygfryd wpadł na podwórze i złapał Preußa za rękaw kożucha.

- Na Lessingstraße osiemnaście, tam gdzie było biuro detektywistyczne, w piwnicy - wyrzucił z siebie zmachany.

- Widziałem, jak wojskowy samochód najpierw odwiózł dwóch starszych gości; na starówkę. Potem, gdy auto wróciło, z klatki wyszedł kapitan volkssgrenadierów, a za nim wyskoczyła na chwilę twoja siostrzenica. Rozmawiali, ale było za daleko, żebym coś usłyszał, a zresztą cały czas łupało.

- Odetchnął i rozejrzał się wokoło. W miejscu, gdzie była kiedyś nowoczesna ulica, wśród gruzów stali tylko oni.

- Idziemy po nią. Trzeba wziąć samochód. Jeśli będzie to możliwe, to sprawę załatwimy na miejscu, a jak nie, to przywieziemy ją tu, na przesłuchanie.

- A ludzie? W piwnicy pewnie też są ludzie - wtrącił Zygfryd.

- Chrzanić ludzi. Jedziemy wszyscy, jakoś się pomieścimy. Kuno, zapalaj adlera, a my skończymy oczyszczać drogę.

Przejazd zajął im kwadrans, choć w linii prostej mieli tylko około kilometra drogi. Samochód wjechał na podwórze, by nie zwracać uwagi warty stojącej przed budynkiem sztabu. Weszli do środka we trzech, bo Preuß nie chciał dać się rozpoznać. Światło latarki i krzyk sterroryzowały siedzących w piwnicy.

- Gdzie jest Else? - krzyknął Gottlieb, wymachując pistoletem. Zapadła grobowa cisza. Gottlieb wyciągnął za kołnierz kilkuletniego chłopca, zbyt przestraszonego, by płakać, i przystawił mu pistolet do głowy.

- *HerrGott!* Nie zabijaj mojego dziecka! - rozległ się przerażony okrzyk matki, przzerwany głuchym odgłosem ciosu pięścią.

- U nas nie ma żadnej Else - rozległo się w ciemności.

- Przecież widziałem! Blondynka w wojskowej kurtce! - Pistolet odsunął się od głowy dziecka, a latarka przejechała po przerażonych twarzach. Jedna z kobiet wyciągnęła rękę, wskazując na drugi koniec piwnicy. Zygfryd z Kunem rzucili się we wskazanym kierunku i uderzyli o obite solidną blachą drzwi.

- Siekiera, potrzebna siekiera! - krzyknął Kuno.

- Skąd ci wezmę siekierę? Odsuń się. - Zygfryd wycelował w zamek. Trzy strzały oddane w małej przestrzeni ogłuszyły ich. Kuno szarpnął i otworzył ciężkie drzwi. Latarka rozjaśniła ciemność wypełnioną zapachem dopiero co zgaszonej świecy.

- Chodź tu! - Silna dłoń wyciągnęła z kąta skuloną postać.

- Dawaj pakiet! - krzyknął jej w twarz. Przerazona kobieta pokręciła głową. Zygfried wykręcił jej rękę i chwycił za włosy, a Kuno sprawnie przeszukał.

- Fajna jest - mruknął.

- Zamknij się, idioto. Masz to?

- Nie, jest czysta.

Wepchnęli ją do kąta, a sami zaczęli wyrzucać rzeczy na środek piwnicy, robiąc straszny rumor.

- Czekaj! - Zygfried podniósł z podłogi stary pled i zarzucił dziewczynie na głowę. Przerazona szarpnęła się, a on uderzył ją pięścią.

- Bierzemy ją. Otwieraj drzwi! - krzyknął do Kuna. Pomachali jeszcze pistoletami na postrach i wywlekli nieprzytomną Else na powietrze. Samochód z trudem przebił się przez zmrożony śnieg i wytoczył się na Trusostraße.

* * *

Kierowca wysadził ich przy Friedrich-Wilhelm-Platz i natychmiast odjechał. Kilkudziesięciu ludzi i żołnierzy pracowało przy odgruzowaniu Kettenbrunnenstraße, by odblokować najkrótszą drogę do mostów. Bojąc się, że dyrygujący ludźmi żołnierz też ich zagoni do roboty, szybko skręcili w Schmeidestraße. Edmund zatrzymał się przed swoją kamienicą. Ksiądz Józef patrzył to na budynek, to na twarz towarzysza, po której ciekły łzy. Część frontowej ściany runęła, blokując wejście, a góra była cała wypalona. Cienkie smugi dymu wciąż unosiły się w niebo zasnuwane chmurami, z których padał gęsty śnieg. Temperatura znacznie się podniosła, a opady uniemożliwiły Sowiecom bombardowanie lotnicze i utrudniały ostrzał artyleryjski. Duchowny pociągnął Boehmera za ramię, a ten bezwiednie za nim podreptał. Znów musieli wspinać się na

gruzowisko, by wyjść na Alter Markt. Przeszli główną ulicę, uważnie patrząc pod nogi. Fragment Spieringstraße, przy której stały kamienice Erdmanna, również się zmienił. Część zapadła się w stronę podwórka, pozostawiając bok z grubym kikutem komina. Obie nosiły ślady ognia, które pokrywał teraz śnieg.

- O Jezu! - jęknął Edmund. Jego tobołek opadł na ziemię obok przygarbionego ciała.

- Czekaj, drzwi są uchylone. - Ksiądz minął go i napał na ciężkie drzwi. Coś je blokowało, ale pchnął mocno, tworząc zdatną do przejścia szczelinę.

- Jest tu kto? - krzyknął do środka. Część sufitu zawaliła się, umożliwiając obejrzenie korytarza. Ksiądz Józef ruszył dalej, sprawdzając każde napotkane drzwi.

- Człowieku, co robisz! Zwalisz resztę na głowę! - usłyszał okrzyk i gwałtownie odwrócił się w jego kierunku.

- Herr Erdmann? - zapytał z nadzieją w głosie.

Zaskoczony mężczyzna kiwnął potakująco głową, a duchowny uśmiechnął się z ogromną ulgą.

- Edmund, chodź szybko! - Wychylił się przez drzwi wejściowe na ulicę. Boehmer poderwał się i chwyciwszy tobołek, precyzyjnie się do środka.

- Paul! - rzucił się w stronę przyjaciela - szukaliśmy cię! Gdzie byłeś? - zabrzmiało oskarżycielsko.

Erdmann wyzwolił się z uścisku, przez chwilę przyglądał się przyjacielowi.

- Chodźcie na dół - powiedział, robiąc im przejście. Solidne dębowe drzwi w końcu korytarza zawiodły ich do stromych ceglanych schodów. Zaskoczony ksiądz spoglądał na mocarne filary i potężne ceglane ściany. Aptekarz pochwycił jego spojrzenie.

- Mówiłem ci. Cały dom może się zawalić, a ta piwnica będzie bezpieczna. Zresztą tak się stało... - Zmitygował się i

spojrzał przepaszająco na Paula. - Ja też już nie mam domu.

- Wiem. Jak przerywają ostrzał, to na krótko wychodzę. Ktoś mi mówił, że uciekłeś z miasta, a i miałeś mi coś podesłać do schowania. - Erdmann sięgnął do bogato zdobionej komody i wyciągnął karafkę. Gestem zaprosił mężczyzn, by usiedli na obitej skórą kanapie.

- To za spotkanie. - Popatrzył na Edmunda.

- *Herr Gott*, zapomniałem. - Aptekarz zamachał rękoma.

- To - wskazał na księdza - mój serdeczny przyjaciel, ksiądz Josef Pszepeski.

* * *

Emil Preuß przechadzał się między meblami i skrzynkami zagracającymi piwnicę z założonymi do tyłu rękami i zaciętym wyrazem twarzy. Co chwila przystawał, by spojrzeć na przywiązaną do krzesła nieprzytomną bratanicę. Krew na szpitalnym fartuchu zaczęła zastygać i ciemnieć.

- Głupia gówniara! - wycedził ze złością i kopnął nogę krzesła. Głowa Else podskoczyła, po czym ponownie opadła.

- Ocucić ją? - zapytał mężczyzna stojący przy drzwiach.

- Nie, zostaw. Idź, pomóż chłopakom, ja muszę pomyśleć.

Począł, aż Gottlieb wyjdzie i zaczął krążyć po pomieszczeniu. Gdy w piwnicy na Bismarckstraße zdjęli jej worek z głowy, zaczęła krzyczeć, a potem błagać. Nie wytrzymał i ciężką dłonią trząsnął ją na odlew. To nie pomogło, bo Else okazała się bardzo harda i zaczęła go przeklinać. Potem Zygfryd wyręczył go w biciu, a dziewczyna w końcu poddała się i zaczęła śpiewać. W pewnym momencie Emil nie wytrzymał:

- Co, kurwiłaś się z jakimś aptekarzyną? - Znów trzasnął ją, rozcinając policzek sygnetem. Bratanica chciała chyba coś odszczekać, ale widok pochylającego się nad nią z obleśnym

uśmiechem Zygryda przeraził ją i zacisnęła spuchnięte wargi. Przyznała, że widziała, jak był w ich domu, że znalazła pakiet w piwnicy i wręczyła prywatnemu detektywowi, który teraz był oficerem Volkssturmu. Streściła też przebieg spotkania z dwoma starszymi mężczyznami.

- Kierowca Scheppkego zawiózł ich do Altstadt - szlochała. Wyznała też, że pytali się o coś, co najprawdopodobniej było w piwnicy. Preuß zatrzymał się przed solidną wojskową skrzynią. Z tych dwóch starców jeden był ojcem aptekarza, z którym pracowała w szpitalu, drugiego nie znała. Bergmann wiozł sporo książek, więc przynajmniej część z nich musiała być w tej piwnicy. Volkssturm należał w większości do 561. Dywizji i nie będzie problemu z ustaleniem ich dyslokacji. Pójdzie do pułkownika Schoepffera i go wybada. W tym czasie jego chłopcy zajadą raz jeszcze do piwnicy Scheppkego i ją rozprują. Trzeba by tego eksdetektywa jakoś ściągnąć z frontu i odebrać mu listę. Wspomnienie dokumentu zawiniętego w woskowy papier wywołało nerwowy dreszcz. *Po coś pisał to, ty idioto!* Zgrzytnął zębami ze złości na siebie. Przysiadł na skrzyni i objął rękami głowę. Z drugiej strony przecież musiał mieć jakieś zabezpieczenie. Jeżeli wpadnie na komunistów, to natychmiast musi zażądać widzenia z oficerem bezpieczeństwa albo wywiadu i zaproponować listę jako gwarancję życia, a nawet wolności. Z nazwiskami oficerów SD, Abwehry, wysokimi urzędnikami, informacjami o produkcji stoczni, o raketach na okrętach podwodnych, o tym gdzie dyrekcja stoczni ukryła plany, gdzie inżynierowie mieli przetrwać wojnę. A na deser, kto miał zostać w mieście, by kontynuować walkę. A i to nie wszystko...Wstał i znowu zaczął chodzić po piwnicy. Najpóźniej wieczorem przeszukają tamtą piwnicę. A on przez pułkownika, tego zarozumiałego Prusaka, przekaże, że chce osobiście pogratulować najdzielniejszym volkssturmistom i poprosi o

wezwanie ich do ratusza. Tam wyda kapitana Scheppkego swoim chłopakom... Uśmiechnął się do swoich myśli i podszedł do wielkiej szafy, gdzie trzymał mundury. Szybko przebrał się i narzucił kożuch.

- Kuno, zawieziesz mnie do pułkownika Schoepffera, a wy jej pilnujcie.

* * *

- Co mu jest, księżu Josefie? - Erdmann ściszył głos, patrząc za wychodzącym z piwnicy Edmundem. Duchowny pokiwał głową.

- Dużo by mówić. W każdym razie Edmund kilkakrotnie o mało nie zginął, stracił dom, tuła się i do tego ścigają go, to jest nas, jacyś ludzie - ksiądz poprawił się.

- A ksiądz to zna Edmunda od dawna?

- Nie, zaledwie od kilku dni, ale wspólne przeżycia, no i zainteresowania nas zbliżyły.

- Zainteresowania? - W głosie Paula zabrzmiała ciekawość.

- Historia średniowiecza. Mamy też wspólne zadanie, ale bez Edmunda nie chciałbym nic wyjawiać. Swoją drogą, dziękuję za gościnę. A pan nie boi się tak sam?

Szczęk otwieranych drzwi przerwał rozmowę. Boehmer cały obsypany śniegiem zszedł do piwnicy.

- Boże, jak to wszystko strasznie wygląda. Nie wiem, czy uda się to odbudować. Czy ja będę miał siły, żeby odbudować dom i aptekę? - Łza potoczyła się po zmarzniętym policzku. Ksiądz Józef wstał i położył mu rękę na ramieniu.

- I dla kogo? Tu niedaleko leżą czyjeś szczątki. Leżą też jakieś dzieci. Poproszę cię, Josef, to potem je pochowamy.

Usiadł w fotelu i objął głowę rękoma.

- Edmundzie, pamiętasz, co mówiłeś w szpitalu? - Kapłan potrząsnął nim. - Mamy robotę do wykonania. Daj swój notes, ja wezmę to, co zapisaliśmy. Herr Erdmann, ma pan może jeszcze jedną świecę?

Zaskoczony gospodarz uniósł brwi.

- Tak, spory zapas. Co będzie ksiądz robił?

- Zobacz pan. No, Edmundzie.

Boehmer podszedł do wieszaka i wyjął z wewnętrznej kieszeni swój notes. Przez chwilę czegoś w nim szukał, a potem położył go przy świecach.

- Jestem gotów. - Popatrzył na księdza skupiony.

* * *

Czas uciekał, a oni czekali. Scheppke z kierowcą i Wagnerem w steyrze, a Puckert z dwoma ludźmi w bramie, na tyłach domu kreisleitera. Kompanieführer zawzięcie żuł skórki od chleba, zerkając co chwila na zegarek. Spóźniali się, a oni o dwudziestej mieli wymaszerować na nowe pozycje i zluzować inny batalion. Komuniści zwlekali z otwarciem ognia artyleryjskiego, który miał zagłuszyć ewentualną strzelaninę.

- Pan się nie martwi, Herr Hauptmann, Ruski nauczyli się od nas punktualności i zaraz zaczną - Wagner odezwał się z tylnej ławki i ponownie rozładował swój MP, spojrzął przez lufę, sprawdzając jej czystość. Kilka osób przemknęło chodnikami, dziwiąc się zapewne obecności terenowego samochodu i siedzącym w nim volkssgrenadierom. Odległe łupnięcie zmroziło ich na chwilę. Kolejny głuchy odgłos tym razem rozniósł się bliżej i wywołał poruszenie w samochodzie. Raz jeszcze sprawdzili i przeładowali broń.

- Gotowi? - Küßner i Wagner skinęli głowami z nasuniętymi na twarze kominiarkami.

- Pamiętajcie: bierzemy książki i to, co wartościowe. Piwnicę trzeba zdemolować, a najlepiej podpalić. Zrozumiano? - Scheppke, nie czekając na oczywistą odpowiedź, otworzył drzwi i wysiadł, cały zdrętwiały z zimna. Jego kierowca wskoczył do pobliskiej bramy, a dwójka żołnierzy chyłkiem przebiegła przez ulicę do znanej im klatki schodowej. Scheppke zamarł na chwilę, starając się usłyszeć ludzkie głosy, ale huk eksplozji sowieckich pocisków padających coraz bliżej zmusił nielicznych przechodniów do krycia się w schronach. Wagner pojawił się w korytarzu i machnął przyzywająco ręką. Przy otwartych drzwiach stał już Puckert ze swoimi chłopakami.

- Czysto - szepnął. W jego głosie nie słyhać było zdenerwowania. Scheppke otaksował swoich ludzi. Mocne spojrzenia, zacięte twarze. Trzech z nich to starzy znajomi jeszcze z odległych, policyjnych czasów. Sprytny Puckert i on. Kiwnął głową. Rudzielec w postrzępionym kożuszkę ostrożnie otworzył drzwi i powoli zszedł w dół. Jego ręka opadła na lodowato zimną klamkę stalowych drzwi i zamarła, a gdy gmach lekko zatrzęsł się od wybuchu, wtedy ją nacisnął. Drzwi nie drgnęły. Mężczyzna popatrzył na czekających u góry schodów i przecząco pokręcił głową. Puckert zszedł na dół, odsunął rudego i poświstując cicho przez zęby, przywiązał kawałkiem szpagatu granat do klamki.

- Na górę, kryjcie się - mruknął do rudego, który pospiesznie umknął schodami. Kapral krytycznie spojrział na swoje dzieło i splunął pod nogi. Zza cholewy buta wyciągnął drugi „tłuczek do kartofli” i wcisnął go między klamkę a wiszący granat. Odkręcił zakrętkę i wyciągnął porcelanową kuleczkę. Grubymi palcami udało mu się w końcu zawiązać pętelkę tuż przy kulce. Powinno być dobrze. Powoli, wchodząc tyłem na schody, rozwijał dratwę ze szpulki, aż dotarł na klatkę schodową. Zamknął drzwi do piwnicy, upewniając się, że linka swobodnie porusza się pod

nimi. Rozwinął jeszcze kilka metrów, tak że udało mu się wcisnąć za załom muru.

- Gotowi?

Powoli naciągnął dratwę, po czym pociągnął silniej i zakrył uszy. W pobliżu grzmotnął pocisk artyleryjski, a jego huk zlał się z trzaskiem wylatujących drzwi i pędzącą z dołu chmurą kurzu.

- Naprzód! - krzyknął Scheppke i ruszył, mrużąc oczy. Fruwający biały pył wgryzał się pod powieki, więc prawie po omacku trafił na stalowe drzwi, które wygięły się do środka, otwierając drogę do posiadłości kreisleitera.

- Razem - rozkazał kapitan i uderzając barkami, poszerzyli wejście do środka. Zgrzyt uszkodzonych zawiasów uniemożliwił usłyszenie czegokolwiek. Chmura kurzu wlała się do środka wraz z nimi, światło latarek odbite po tysiącokrotnie bardziej oślepiało, niż pozwalało cokolwiek dojrzeć. Otto zrobił dwa kroki i runął jak długi, a nad jego głową świsnął pocisk. Upadł na coś twardego, ale adrenalina stłumiła dławiący ból, przetoczył się szybko, aż uderzył o ścianę. Przez wpół zatarte kurzem oczy zobaczył błyski wystrzałów dobiegające z ciemnego prostokąta drzwi. Jego latarka leżała na środku pomieszczenia, rzucając światło na sufit i oślepiając ich. Przyciągnął do tułowia rękę z pistoletem i uniósł się nieco. Z tyłu usłyszał nagle szczęk MP, a pogłos odbity od ścian ogłuszył go. Z wnętrza sąsiedniego pomieszczenia padła seria kolejnych strzałów pistoletowych, przytłumiona ponowną serią z MP. Utknęli. Otto zamrugał oczami, starając się wypłukać łzami kurz, i oparł lufę pistoletu na wojskowej skrzyni. Któryś z jego chłopaków zmieniał magazynek, gdy z sąsiedniej izby ponownie w ich kierunku poleciały pociski. Zdążył wycelować i dwukrotnie strzelił w stronę błysku, zanim MP odezwał się ponownie, hucząc krótką serią. Wrzask człowieka i stukot

padającego ciała poderwał jednego z chłopców Puckerta, który, siejąc pociskami, wskoczył w czarny prostokąt sąsiedniego pomieszczenia. Scheppke podniósł się, gdy seria pocisków uderzyła w sufit, a mężczyzna wytoczył się z powrotem do ich wnęki, jego nogi nagle zwiotczały, po czym opadł bezwładnie w przejściu. Otto chwycił latarkę i wycelował jej promień do wnętrza wrogiego pomieszczenia. W jej świetle dostrzegł ruszającą się ludzką sylwetkę i bez zastanowienia wywalił do niej resztę pocisków z magazynka.

- Granatem ich! - Usłyszał za sobą głos Wagnera i odwrócił się gwałtownie. Jego żołnierz, wpołeżąc, trzymał gotowy do rzutu granat. Scheppke gestem przycisnął go do ziemi i popukał się w głowę. Fala ciśnienia zabiłaby nie tylko tych w sąsiednim pomieszczeniu, ale też mogła ciężko ich zranić. Puckert był już przy wejściu. Zdjął futrzaną czapkę i wcisnął ją lekko na lufę swojej broni. Pocisk przeciwnika zdmuchnął ją i uderzył o ścianę.

Cholera. Co najmniej jeszcze jeden człowiek kreisleitera siedział w środku. Ktoś szarpnął go za płaszcz i Otto nerwowo odwrócił się. Odetchnął, rozpoznając w półmroku twarz Wagnera. Mężczyzna gestem pokazał mu pogrążoną w ciemnościach ścianę i na czworakach podpełzł do niej.

- Strzelaj - Scheppke wyszeptał do Puckerta, który wysunął swój MP do prostokąta wejścia i wywalił długą serię do środka. Kapitan odwrócił się w stronę Wagnera, ale dostrzegł tylko czerń kolejnych otwartych drzwi. Skinął na rudego, by pomógł kapralowi, a sam, z wyciągniętą przed siebie ręką, ruszył za Wagnerem. Za plecami rozległy się kolejne strzały, wygłuszone nieco przez ścianę. Otto pełzł, aż głową wjechał w śmierdzący zad Friedricha.

- Co jest? - szepnął, wychyliwszy się. W mroku dostrzegł słabą smugę światła przeciskającą się przy podłodze - były to

drzwi.

- Tu jest szafa, która blokuje drzwi - usłyszał w odpowiedzi. Podczołgał się bliżej i razem, centymetr po centymetrze, przesunęli blokujący mebel. Poza smugą światła, która zrobiła się odrobinę wyraźniejsza, znajdowali się w absolutnej ciemności. Wagner delikatnie napał na drzwi, które ustąpiły.

- Pistolet - usłyszał szept i podał swojego walthera.

- Oświetlcie bardziej tamtą izbę.

Na kolanach wycofał się do pierwszego pomieszczenia.

- Zapal swoją latarkę - polecił Puckertowi. Światło rozproszyło mrok po nieprzyjacielskiej stronie, wywołując salwę pocisków. Mężczyźni skulili się za ścianą, czekając na szansę otwarcia ognia, gdy pojawił się Wagner.

- Gotowe, załatwiłem go - powiedział głośno, wyciągając walthera w stronę dowódcy. Z odbezpieczonym MP wkroczyli do pomieszczenia.

- Rudy, sprawdź, co z nimi. - Otto gestem pokazał leżącego volkssturmistę. W blasku kolejnej latarki przeszli dalej. Otto trzykrotnie pochylił się, stwierdzając śmierć leżących mężczyzn. Sprawnie obszukali ciała, starając się nie pobrudzić krwią, po czym zaczęli przeczesywać piwnicę, wyrzucając zawartość półek i szaf. Na dźwięk wystrzału z sąsiedniej izby Otto chwycił za kaburę.

- Są! - wykrzyknął tryumfalnie Puckert. Pochylili się nad zawartością, którą kapral wykladał na stojący obok fotel.

- Cztery Wyglądają na nieuszkodzone.

Scheppeke nie zdążył otworzyć ust, gdy usłyszeli wołanie rudego. Z latarką w dłoni kapitan przepchnął się do pomieszczenia, w którym poprzednio klęczał. Promień światła padał na leżącą w kącie związaną i zakneblowaną kobietę. Tylko białka przerażonych oczu błyskały w jego kierunku.

- Co z nią? - Rudy pochylił się z wyciągniętym bagnetem. Ciało naprężyło się w spazmie strachu.

- Uwolnij ją. To Else. - Scheppke był wstrząśnięty widokiem kobiety.

- Zabrać ją i fanty do samochodu. Fritz, podpalaj to gówno - zakomenderował zdenerwowany. Skurwiel, kreisleiter dobrał się do jego piwnicy! Musieli porwać dziewczynę. Pytanie, czy wywęszyli też zamurowane księgi? Tutaj nic nie znaleźli, ale to nie znaczyło, że ta Świnia nie miała kolejnej kryjówki. Dym zaczął dławić, więc kaszląc, wyszedł na powietrze. Zrobiło się już ciemno, a ich sytuacja ponownie się skomplikowała. Steyr zatrzymał się przed lazaretem von Plauena. Wyciągnęli półprzytomną kobietę i pchnęli w kierunku sanitariusza, po czym bez słowa popędzili do koszar.

* * *

Erdmann przyciął drugi knot i oparł dłonie odziane w rękawiczki o blat stołu.

- Mała przerwa? Zimno, może po kieliszeczku?

Edmund i ksiądz Józef wymienili spojrzenia i jednocześnie skinęli głowami. Od prawie dwóch godzin próbowali odcyfrować znaki, które aptekarz wpisał w swoim kajecie. Kilkakrotnie padało pytanie o wierność ich zapisu i tyleż razy Boehmer wybuchał gniewem. Ksiądz co rusz zapisywał w znalezionym w piwnicy dziecięcym zeszyciku fragment zdań, następnie kreślił i pisał na nowo. Potem przysuwał się bliżej świecy i rozgrzewał zgrabiałe dłonie. Piwnica przy Spieringstraße była znacznie większa i dużo lepiej zaopatrzona, jednak przy tym znacznie zimniejsza. Wprawdzie miała zainstalowaną przezornie „kozę” z rurą wchodzącą do przewodu kominowego, ale gospodarz skąpił na opale. Sowiecki

pocisk lub bomba spowodowały pęknięcie stropu w jednym z rogów, gdzie ich dom stykał się z nowszym, siedemnastowiecznym, i w tym miejscu wpadało do środka powietrze wyziewające kryjówkę. Paul pokazał im też wyjście na niższą kondygnację.

- Kiedyś kupcy chronili tu swoje skarby, lecz po pożarach i wojnach, zwłaszcza szwedzkich, tylko niektóre kamienice mają takie kryjówki - wyjaśnił. - A większość właścicieli o nich nie wie.

- Pewnie jak będzie trwała odbudowa miasta, to część z nich się wykopie. Ciekawy jestem, czy i moja kamienica ma coś takiego? - zainteresował się Edmund.

- Może znajdą, a może i nie znajdą. Te piwnice są częściowo zasypane i zamurowane, bo podsiąkały wodą. W niektórych wejścia są tak dobrze zamaskowane, że tylko bardzo dokładne badanie coś wykaże. To tak jak z tymi pozostałościami drewnianych domów na Speicherinsel.

- A o jakich domach mówisz, Paul? - Boehmer spojrzał na przyjaciela uważnie. - Wiesz, że interesuję się starożytnościami, ale o czymś takim nie słyszałem.

- Ach, to było chyba w trzydziestym ósmym albo trzydziestym dziewiątym roku. Po zimie zawalił się jeden z domów i kazali go rozebrać, bo ruina była straszna. I wtedy znaleziono drewniane pale, jakieś srebra czy brązy. Wezwali archeologa z Danziga, który określił je jako pruskie lub pomorskie, a datował na dwunasty-trzynasty wiek. Zawiadomiono dyrektora muzeum, kierownika archiwum Kownatzkiego. Od niego dowiedział się ten twój przyjaciel z biblioteki. W końcu doszło do ratusza i nadprezydent Woelk i kreisleiter Dahnke zainteresowali się wykopaliskiem. Niestety, jak znaleźli tam ornament z polskim orłem, to natychmiast kazali go zasypać, nawet wstrzymali artykuł w „Elbinger

Zeitung”. A mnie o tym opowiadał inżynier, który robił w firmie zakupy. Potem jeszcze, przy wódeczce, wspomniał o tym doktor Hermann Kownatzki, szef archiwum. Dalej sami wiecie - wybuchła wojna, no i skończyło się.

- Mówisz pan orzeł? Ale orły były przecież różne? - wtrącił wyraźnie zaintrygowany ksiądz.

- No, tak mówił inżynier, ja tego nie widziałem.

Płomienie świec zafalowały, a mury zadrżały od pobliskiego wybuchu. Erdmann wzdrygnął się, rozlewając resztkę alkoholu. Przez chwilę patrzyli to na siebie, to na strop, który drżał wraz z całym starym miastem pod wpływem eksplozji sowieckich pocisków.

- Jestem gotów. Możemy pisać. - Ksiądz przemógł strach przed zasypaniem, który nieustannie wdzierał się w zakamarki jego umysłu.

Wiele ludu biskup Krystyian i bracia od Świętego Dominika w rzekach okrzčili. Znał li on, iż mnogość od chciwego vityngo ili ku słabości do srebra uczyniła, dyć krzyż na piersiach noszą, a i bałwany w siedliskach swych obalili. Upomniał się listem do mistrza Hermana Salza Jaśnie Xiążę o biskupa Krystyiana, który w Prusiech w kajdanach jęczy, a Szwaby uwolnić go rychło ślubowali. Gród Santyr⁶², co go Xiążę we swej wspaniałości biskupowi dla wspomżenia dzieła Bożego dał, bracia chytrością zajęli. Mistrz Salza, co na Świętego Błażeja z Sebaste w świątyni prawił, że jeno zakon dla ochrony biskupiej dziedziny i okrzczonych ludków przed pomstą Pomezaińców uczynił, którzy z łupieżem, a węglem drzewnym i mazidłem przybyli, między ludy gadali, że Szwabi wolnych rabami uczynili i w kajdanach jęczą, a starych to potopić kazali.

Jaśnie Xiążę do Marienweder opata Witrycha przysłał o biskupa i gród Santyr upominając się. Brat Balk wtedy na

papieskie pergamina klął się, że Santyr prawem wzięty jest i żadna grzywna srebrna za niedolę i zaprzaństwo nie należy się. Opat wzburzon wielce ujechał, a one popiwszy, jeszcze dziewczki lubieżne sprowadziły i z pruskiemy pogany ucztowały.

W niedzielę ostatnią, po mszy w dziesięć koni wybralim się do Lynguar⁶³, iż to możny Vityngo Wannags syna swego wydawał. Jechalim podle lasu i strugi, gdy horda z sąsiedniego pulka⁶⁴ opadła nas jako pszczoły niedźwiedzia. Musi szpiegi jakieś w Marienwertermieli, gdyż zaś na czoło hurma ich spadła, gdzie brat Balk z anglickim rycerzem Witredem szli. Brat mieczem jął drogę wycinać w gąszczu wrogów i najwięcej napierał. "Krist!" krzycząc, jako niedźwiedź siekł. Moc naszych padło, pode mną konia ubito, a ja rzuconą pałką w czerep ogłuszon byłem. Brat Balk z rycerzem anglickim na innego konia mnie posadziwszy, razem z boju wyszli. Wszego czterech naszych usiekli, a trzech w plen wzięli. Wrócilim zaraz z poczem od Wannagasa, ale kole pobitych szkap i zgniecionego chaszczu wroga nijakiego nie naszlim, choć jucha wokół rozchlapana była. Siedzielim cztery dni z okładem u vityngo w gościnie, bo owa chąsa wokół dworzyszczca grasowała, a w święty wesela czas vityngo wackis zwołać nie chciał. Potem podjazd nasz z rycerzy Duxa Henryka i braci szwabskich zajechał i bezpiecznie wrócić moglim. A ja, choć brat Balk jako liszka przebrzydła jest, świadczyć uczciwie muszę, że serca wielkiego jest, a w boju mało kto mu stanie. Rycerz Witred, syn Erla Witreda, wiele się mnie o Prusów wypytywał, a znalazłszy, żem szlachetny, z vityngo, drużbę mi ślubował.

Ksiądz Józef skończył i zmęczony opadł na krzesło. Paul skorzystał z okazji i zasłonił płomień świecy dłońmi. Z wypiekami na twarzy spoglądał na Edmunda i księdza.

- Wiecie, panowie, wyobrażałem sobie tę scenę, tych wyjących dzikusów w skórach i z kamiennymi toporkami atakujących naszych rycerzy... Musiała być ich faktycznie masa, skoro tylko trzech przeżyło.

- Nie, cóż ty opowiadasz? Skąd wiesz, że to były dzikusy?

- Edmund aż uniósł się, wbijając dłonie w oparcie fotela. Atmosfera w piwnicy nagle zgęstniała.

- A co, może mieli hełmy i zbroje tak jak nasi rycerze?- A mieli, mieli. Jedni i drudzy nosili kolczugi, jedynie nasi nie zakładali stożkowych hełmów. No i wyszkolenie rycerza niemieckiego musiało być wspaniałe, skoro mieczami wyrąbali sobie drogę - powiedział Edmund z satysfakcją.

- Zapominacie, drodzy panowie, że był tam jakiś Anglik.

- Nie, Josef, nawet ten kronikarz uznaje męstwo rycerza Balka. - Starszy pan wycelował palcem w księdza. Światło świec odkładało cienie na ich zmarszczkach, czyniąc z twarzy maski pełne napięcia. Ksiądz Józef przytaknął.

- W końcu von Balk był rycerzem, i to niezłym, skoro został mistrzem krajowym. Zastanawia mnie tylko ten Santyr. Nie wiem, czy dobrze pamiętam zapis z kroniki Dusburga, ale to, co on pisze, jest nieco inne, niż podaje nasz vityngo. No dobrze. Panie Paul, czy masz pan coś innego do jedzenia niż kartofle i kiszona kapusta?

* * *

Kreisleiter Emil Preuß dzielił piwniczną izbę z jej stałymi lokatorami i paroma przypadkowymi przechodniami, którzy tak jak i on starali się przetrwać nalot sowieckich lekkich bombowców - „jabo” - jak nazywano je w wojennej gwarze. Budynek drgał od dudnienia dział pobliskiej ciężkiej baterii przeciwlotniczej i kilku średnich, osadzonych na pojazdach.

Preuß przebiegłby ulicą, ale zatrzymał go starszy mężczyzna w hełmie z oznaczeniami obrony przeciwlotniczej, wskazując na „stalowy grad” odłamków po eksplodujących pociskach, które z głuchym łoskotem obsypywały ziemię, mogąc zranić, a nawet zabić.

- To potrwa dość długo - życzliwie go poinformował.

- Regularne bombowce sypią i wieją, ale te szakale - splunął ze złością - na pojedynczego człowieka polują.

Kreisleiter wcisnął się na skrzynkę obok pochlipującej kobiety. Przyjęła jego chusteczkę, po czym mruknęła słowa podziękowania. Wyciągnął się, jak mógł najwygodniej. Cóż, miał teraz czas na przemyślenie sytuacji. Zacisnął zęby na myśl o spotkaniu z Schoepfferem. Nigdy nie lubił tego Prusaka, ale musiał go znosić, gdyż był protegowanym reichsfürera i Alberta Forstera. Obiektywnie zmuszony był przyznać, że stary znał się na wojskowym rzemiośle jak mało kto i że jego wybór na komendanta obrony był optymalny. Ale ta jego pycha i ledwo hamowana pogarda dla dostojnika partyjnego! Najpierw Preuß czekał prawie godzinę w schronie pod komendą garnizonu, choć widział, że Schoepffer nie był specjalnie zajęty. Potem to oschłe powitanie i zaskoczenie, że on, kreisleiter, jest wciąż ze swoimi ludźmi w mieście. Na końcu jeszcze pretensje:

- Jak już pan tu jest, Herr Preuß, to może skontaktuje się pan ze swoim szefem, Forsterem, by przysłał nam jakieś posiłki? Najpierw nie pozwoliliście ewakuować tych wszystkich ludzi, a teraz ciągle przeszkadzacie w walce. Sytuacja? Jesteśmy okrążeni, mamy tysiące rannych i chorych, brak jest wody, żywności i zwłaszcza amunicji. Siódma pancerna? Wyszła z miasta. Ja z tymi paroma tysiącami prawie bezbronnymi ludźmi mam powstrzymać bolszewickich barbarzyńców! Toć przecież Murzyni, z którymi walczyłem w pierwszej wojnie, mają więcej

honoru niż sowieci, którzy nie stosują żadnych honorowych metod walki.

Pułkownik nie mógł się uspokoić, a napięcie nerwowe towarzyszące ostatnim tygodniom wyłobiły na twarzy dowódcy głębokie bruzdy.

- Ale Sowietci przecież tylko blokują miasto? - kreisleiter zadał oczywiste pytanie. - Trochę pomysłowości i wysiłku i można komunistów pogonić.

Pułkownik aż posiniał ze złości i z trudem oddychał.

- A czym, do diaska? Może pan ruszysz swoją dupę i poprowadzisz SA do walki? Wiesz pan, ilu straciliśmy ludzi? Ponad trzy tysiące! Zabitych, rannych i dezertów... nie licząc jeńców i - co najgorsze - naszych, tu formowanych batalionów, które wyszły do ataku na Preußisch Holland i Wormdit⁶⁵. One już nie wróciły. Był pan na linii frontu? Widział pan te luki między oddziałami? A jak wyglądają ci ludzie? Chorzy, głodni, bez nadziei na wyjście z tego piekła. Te swoje rady to udzielaj pan Forsterowi. - Schoepffer trzasnął pięścią w biurko i opadł na krzesło.

- Za te słowa może pan stanąć przed sądem wojennym, pułkowniku. - Preuß zdobył się na odwagę. Zarówno argumenty, jak i agresywny ton komendanta obrony go zaskoczyły i przeraziły.

- Won stąd, bo cię sam zastrzelę, ty...

Preuß trzasnął drzwiami, nie czekając na realizację groźby. Wciąż nie orientował się dokładnie, gdzie są ich oddziały, a gdzie bolszewicy, ale był pewien swoich chłopaków i wiedział, że bez większych problemów dadzą radę przemknąć między walczącymi. Musi dostać się do Danziga. Na miejscu zadzwoni do Forstera, a temu zasranemu Prusakowi sprawi niezłą łaźnię. Albo sam...

Kobieta poderwała się i podbiegła w stronę otwartego wyjścia ze schronu. Nalot się skończył, więc i on mógł wyjść. Ulica zasnuta była kłębamii duszącego dymu, który zmusił go do skręcenia w boczną uliczkę i nadłożenia drogi. Bismarckstraße nie wyglądała na pierwszy rzut oka gorzej niż wtedy, kiedy wychodził, ale szalejące pożary przyśpieszyły jego kroki. Paliło się gdzieś na podwórzu jego domu. Mrużąc oczy i przykładając rękaw kożucha do ust, wdarł się do środka, po czym jeszcze szybciej wycofał na ulicę. Piwnica i parter płonęły w najlepsze, nie dając szansy na przedostanie się dalej. Przez chwilę oddychał głębiej, oczyszczając płuca z dymu, po czym rzucił się w głąb podwórka. Po omacku dostał się pod huczącą ścianę płomieni i uderzeniem cegły wybił boczną szybę w horchu. Krztusząc się, wcisnął kluczyk w stacyjkę i nacisnął rozrusznik. Oślepiiony przez dym i własne łzy ruszył powoli przed siebie. Słyszał, jak karoseria trze o coś, ale w końcu wydostał się przez bramę na zewnątrz. Przynajmniej to udało mu się ocalić.

* * *

Obudziła go siostra, szarpiąc tak długo, że aż prawie zleciał z łóżka. Horst wodził za kobietą półprzytomnym wzrokiem, starając się zrozumieć, co do niego mówi. Zareagował dopiero, gdy usłyszał przekleństwo. Diakonisa nie powinna przecież kłać. Podniósł się wreszcie spod koców i popatrzył przytomniej na kobietę w poplamionym habicie.

- Mamy nowych rannych, trzeba pomóc przy segregacji.
- Boże, przed chwilą się położyłem, a poza tym to...
- Nie jest pan lekarzem, a spał pan już dwie godziny. Aha, i Else się znalazła. - Ostatnie słowa siostra Hilda zaznaczyła szczególnie mocno.

- Przyszła wreszcie do pracy? - Starał się ukryć nagły szczękościsk.

- A, nie. Nie przyszła - przywieźli ją. Jest na opatrunkowej. - Odwróciła się na pięcie i wyszła. Przeczesał palcami włosy, z obrzydzeniem myśląc o swoim brudnym i zarośniętym ciele. Wciągnął buty i splamiony fartuch na sweter, który wydziergała żona, i poczłapał na dół, do opatrunkowej.

Tam chociaż było cieplej i powinna być czysta woda, by się trochę odświeżyć. Udając obojętność, podszedł do leżących i zaczął pracę. Towarzyszący mu sanitariusz wypisywał kartki, po czym kładł na rannych, starając się uniknąć zabrudzenia ich krwią.

- Piwnica. - Horst jednym rzutem oka ocenił ciężko rannego z poszarpaną klatką piersiową. Umieralnia. Dwóch starszych, zmęczonych jak on ludzi chwyciło nosze i ze stęknieniem powlekli się schodami w dół. Na kilkanaście przypadków trzykrotnie wypowiadał to słowo. Piekło? Bez szansy na przeżycie. Siostra Klara i jej umieralnia. Chwilę trwało, zanim zorientował się, że to już koniec segregacji. Nie lubił widoku krwi i nie znosił smrodu otwartych ran, ale teraz z obojętnością zmył krew z twarzy i rąk.

Else - nagle przypomniał sobie, że musi jej poszukać. Na pewno nie był mistrzem w amorach, zresztą Else leżała spięta, z ledwością odwzajemniając jego pieśczęty. Ich stosunek nie dał mu przyjemności, raz, że byli brudni, a dwa, że świadomość ciężkiego grzechu nie mogła go opuścić. Znalazł ją na korytarzu leżącą na sienniku z byle jak obwiązaną głową, ze wzrokiem wbitym w cienie na suficie rzucane przez światło karbidówki.

- Else - szepnął, chwytając ją za rękę. Wzdrygnęła się przestraszona i zacisnęła powieki. - Else, to ja, Horst, jesteś bezpieczna. - Pochylił się nad nią. Chciał coś więcej powiedzieć, ale zamilkł przerażony widokiem jej twarzy.

- Gdzie byłaś, dziewczyno? - zdołał wydusić z siebie.

Przypomniał sobie jeden z filmów oglądanych jakiś czas temu w kinie. Taka sama sytuacja. Ranna i nieprzytomna dziewczyna uratowana przez bohaterskiego podróżnika. Z tym że dziewczynie na słowa miłości popłynęły łzy z oczu, a oczy Else... zalane były łzami.

* * *

...aże nieprzystojnie z ową wdową się brat Anzelm Kùchmeister prowadzał ku pośmiewisku, a zgrozie wojska całego w obozie naszym. Idziem teraz pochodem wielkim w sto i trzydzieści koni i dwakroć tyle pieszych tarczowników podle rzeki Vistuli, a statków mnogość płynie z prądem spyżę i maszyny do dobywania grodów potrzebne wioząc. Podziw nad zmysłowością ludzką robiącą takie maszyny, które kamień młyński miotnąc potrafią na łokci ze dwieście albo i więcej. Bo brat Hermann z diukiem Henrykiem z Miśni gród jaki planuje zdobyć, aby siedle do dalszych rejz na pogany ustanowić. Mnie też w takowej radzie udział kazano mieć, a Xiążę się pytał i wielce naszych pruskich zwyczajów się dziwował, że i mieczem robić niepodle umiem, że ptaka w locie na kroków pięćdziesiąt ustrzele, a i w piśmie biegłym A jakim mu o biegłości w mowie pruskiej, polskiej i szwabskiej rzekł, to od razu w poczet swój wziąć chciał. Alem przecie Xięciu Świętopełkowi służbę swą ślubował. Na popasie są my i właśnie konni wrócili k nam, co to ich brat Balk wysłał i powiadają, że jezioro i gród Drusen za lasem są i że do grodu ćma ludu ciągnie. Zaraz Xiążę słać konnych chciał za kmieciami onymi. Brat Balk wstrzymać się radził, jako lisiec podstęp wietrząc. Za to setkę pieszych z kuszami do skraju lasu pchnął i dopiero ruszać pozwolił. Czekalim pięć pacierzy i ruszylim do grodu traktem. Ledwo co

wyszlim na łęgi pod grodem, a ćma Prusów z grodu i lasu na nas konno i pieszo spadła. Ufni w swe pancerze Szwabi i Henrykowi wbili się w nich, a oni jako wróble opadli i uciekając, nasz szyk rozciągać poczęli. I następna chęsa z lasu wypadła, a lud w kolczych zbrojach i hełmach solidnych naszych ciąć zaczął. Sam wybacznie Boże, dwóch zem położył, ale śmierć była bliska, gdyby nie owa setka pieszych, która Prusów...

- Koniec. Nic dalej tu nie ma. - Duchowny odsunął notes.

Edmund odłożył pióro i zaczął rozcierać ręce. Tłumaczenie księdza Józefa otwierało odmienny świat niż ten, który do niedawna dostrzegał. Oczywiście znał historię, czytał choćby i Dusburga, i wiele dzieł o pięknych rycerskich czasach. Jednak to, co opowiadał przecież naoczny świadek, było tak różne. Ów duchowny-rycerz na pewno nie darzył sympatią Balka, ale też nie ukrywał podziwu dla jego męstwa w boju i wojennej roztropności. Zamyślony wyszedł z piwnicy w ruiny oświetlane płomieniami palących się spichrzów i domostw za rzeką. Z westchnieniem ulgi załatwił swoje potrzeby, uważając, by nie przewrócić się na gruzach, po czym wrócił do schronienia. Na dworze nie było tak zimno, a niebo zasnuły kolejne gęste chmury śnieżne.

- Pewnie będzie znów sypać - oznajmił, domykając drzwi, zasuwając żelazną sztabę i przez moment badając wzrokiem zabezpieczenia. Paul Erdmann był faktycznie przygotowany na długie oblężenie...

- Ciekawy jestem, co dalej z bratem Balkiem. - Paul popatrzył znacząco na księdza Józefa.

- Mogę dalej pisać - pośpieszył z zapewnieniem Edmund, siadając na swoim miejscu.

Ksiądz uśmiechnął się. Historia z odległej przeszłości pobudziła jego ciekawość z dawno niepamiętaną siłą.

- Widzę, panowie, że ciekawość zwyciężyła zmęczenie. No dobrze. - Chwycił ze stołu notatnik Boehmera i zbliżył się do świecy, odsłaniając zamierzchną przeszłość.

Dziś wreszcie nasze statki wedle obozu stanęły i knechci, a ciury wszelakie przez błocko nadbrzeżne skrzynie z częściami machin nosić zaczęły. Prusy obelgi na nas miotali i ciura jeden w dół mulisty wpadł i zanim go wyciągli, utonął. Dobrze choć, że słońce przygrzewać zaczęło, bo już bracia bali się, że kusznikom cięciwy do szczętu rozmiękną.

- Tu musiała chyba być przerwa w zapisie - mruknął ksiądz, patrząc z wyrzutem na Edmunda. Pedantyczny aptekarz kolejny raz obruszył się. Trzej pochyleni nad stołem mężczyźni wiele by dali za szansę ponownego obejrzenia pergaminów.

Dwa dni kamienie łomotały w wały, aż belki i ziemia puszczać zaczęły. Nasi i ogień miotali, lecz że strzechy mokre były, skutku, widać nie było, bo i przecie miejscowi do gaszenia gotowi stali. I szturm w końcu przypuścili na wyłom i wojska całe w krwawym boju, starło się, jeno jęki, a trzask oręza słyhać był. I na ten czas rycerz Uhtred, Angielczyk, syn erla znacznego ze swoimi na łodziach podpłynął i przez wodną bramę do grodu wdarł się, pożogę, wzniecając i ciurów tnąc niemiłosiernie. Prusowie widząc naszych od tyłu uciekać zaczęły, szyk ich załamał się, a nasi bramę otwarli i konni wjechali do środka pogany tnąc i gród zaraz plądrować poczęli, i panoszą, i knechty, rabów wiążąc i tylko nobila ostali się, bo za nich okup można wziąć. A mnie, co chorzałem od gorączki, z obozu naszego oglądać to przyszło. Pisać przerwałem, bo piór zbrakło i przyciąć nowe musiałem, kiedy od północy tumult powstał i luty zastęp konnych z grodu Ilfing z lasu wychynął. Widząc ich, pchnąłem konnego do diuka Henryka, co w grodzie już był, a sam obóz

nakazałem zwinąć, ledwie pergamina i inkaust zabrałem na łódź skoczywszy. Wybacz mnie, Panie Boże, tchórzliwość moją, ale skoroś Twarz Swoją od krześcijańskiego ludu odwrócił za wyrżnięcie dzieciaków niewinnych, a i wielu nowych okrzczonych, co w latach bywanych Światła Pana Naszego Jezu Krysta przyjęli, jakże samokroć z ciurą jedynie bronić obozu miałem? W niesławie uchodzić nasi musieli, plunder i rabów rzuciwszy, i karku w mieście pod pałki i miecze Prusów dawszy. Poległ brat Anzelm, co widną karą jest za rozwiązłość, siedmiu rycerzy z pocztu diuka Henryka, a on sam strzałą w dłoń trafiony był. I dwóch nobili Angielczyków padło, a knechtów i ludu masa wielka. Jeno konni i w pancerzach ująć zdołali, choć wielu jezioro wchłonęło. Jutro po nowym popasie do Marienwerder zajedziem siły dalsze zebrać, a rany lizać. Bo i diukiem Henryk i brat Balk gniewem wielkim na Prusów płoną, choć to ich wina przecie straży nie dawszy i wojennego baczenia zaniechawszy, plundrem przejęci, o świecie zapomnieli.

* * *

Edmund od kilku ładnych dni nie mógł spokojnie zasnąć, a jeżeli już, to sen był ciężki i krótki, z tych, które bardziej dręczą, niż dają ukojenie. Czasami był zbyt zmęczony, by spać, lecz częściej natłok myśli nie pozwalał na zaśnięcie. Bywało, że nie wiedział, czy śni, czy nadal walczy z myślami. Zaczął nawet powtarzać modlitwę, ale myśląc o Bogu, zawsze widział rycerzy z krzyżami na piersiach, którzy murem tarcz bronili świata przed muzułmanami i całą resztą pogaństwa. Pod zamkniętymi powiekami pojawiło się warowne obozowisko, a on dzięki wyobraźni znów znalazł się w trzynastym wieku.

Pamięć przetwarzała słowa na obrazy, a te zachodziły jedne na drugie, jak zdjęcia w fotoplastykonie. Zobaczył płomienie

rozciągające się za ścianą lasu i rozejrzał się. Usłyszał obok siebie głosy, a z mroku wyłoniły się sylwetki ludzi w błyszczących hełmach z ptasimi piórami na ich szczytach, z kropłowymi tarczami i w kolczych kaftanach. Jakiś brodacz coś do niego mówił, krótką włócznią wskazując na płomienie. Choć starszy pan nie rozumiał tych słów, wiedział, że ludzie, których obecność czuł za plecami, czekają na jego przemowę. Zaczął perorę i ujrzał wznoszącą się rękę o ramieniu grubszym niż jego udo, zwieńczoną prostym, ciężkim mieczem. Zakończył mowę, a stojący za nim odpowiedzieli ogłuszającym „Ilfing!, Ilfing!”. Biegł na ich czele, a raczej unosił się zdziwiony, że nie czuł swoich sześćdziesięciu lat, że jego płuca pompowały powietrze pomimo dymu, w którym się znalazł. Jak to możliwe?

Stał teraz w płonąłym grodzie, czuł parzące ciepło gorejącego drewna, oczy były pełne dymu, choć dziwnie nie łzawiły. Nagle dostrzegł sunącego ku niemu człowieka w białej, przasanej szacie z czarnym krzyżem na piersi. Jego głowę okrywał otwarty hełm przypominający rondel, a usta z krzywymi, niekompletnymi zębami otwierały się, rzucając obelgi. Aptekarz zawołał, że też jest Niemcem, że jest stąd, z Prus, ale Krzyżak nie zatrzymał się. Nagle jego ciało wykonało półobrót, a trzymana w lewej ręce tarcza pchnęła biegnącego na węgiel chaty. Bezskutecznie chciał powstrzymać prawą dłoń, ale ta opadła z całą siłą, oddzielając stalowy garnek od reszty głowy. Po zniszczonych, żółtych zębach przeciwnika poznał, że to brat Anzelm, bo przecież tak właśnie Pan Bóg karał lubieżników. Czuł swąd palących się włosów i swojej wełnianej odzieży, a strach, który wcześniej dominował, został zastąpiony przez nieznaną mu ekstazę. Jakby obcymi oczami zobaczył zalaną krwią i potem twarz wściekłego vityngo z Ilfingu i zrozumiał, że widzi siebie. Nagle dym rozwiął się, a on stał na placu ogrodzonym palisadą. Przed nim wyrósł kolejny rycerz z

twarzą zakrytą hełmem i tylko z otworów na oczy błyskały groźne białka jego oczu. To musiał być brat Balk, który ruszył z toporem w lewej ręce i tarczą na prawym ramieniu. Mańkut? Edmund zasłonił się tarczą, a umbo przyjęło potężny cios, który przeniknął go śmiertelnym zimnem. Prawa ręka Edmunda z Ilfingu poszła nisko - trzask pękających drewnianych klepek tarczy Hermanna ogłuszył go. Wokół kłębiły się jakieś cienie, on to uskakiwał, to ciął potężnie, szukając dojścia do ciała Szwaba. Nagle rycerz stanął nieruchomo, jakby skamieniał, a ramię wyprowadziło morderczy cios. Edmund z krzykiem rozluźnił palce, miecz wypadł mu z dłoni. Coś pchnęło go na ziemię i przed oczami pojawiła się twarz okolona szczeciną.

- Edmund, przestań krzyczeć! Spać nie możemy!

* * *

Hauptmann musiał być bardzo zmęczony, bo jako jedyny nie zdziwił się kierunkowi jego marszu i nie zadał serii oczywistych pytań. Od przeprawy przez Wisłę poruszał się pieszo bądź przygodnym transportem, chroniąc swój połowy mundur SS pod długim, zniszczonym cywilnym płaszczem. Jedynie wojskowe buty i mocne rysy twarzy psuły maskowanie.

- Wie pan co, poruczniku - kapitan użył wojskowego odpowiednika jego stopnia - mogę dać panu obsadę, która postara się cicho przewieźć pana przez rzekę i zostawi tam samego.

- To nie da się przejść po lodzie? - Cohna zaskoczyła ta informacja. Rzeki były w większości solidnie skute, umożliwiając ludziom, furmankom, a nawet samochodom poruszanie się po lodzie. Kapitan skrzywił się kwaśno i przez chwilę taksował Heinza wzrokiem.

- Widać, że pan tu nowy... Rzeka jest pod nieustannym ostrzałem i co zamierznie, bolszewicy natychmiast rozłupują ją pociskami. Może za dnia dałoby radę przejść, ale teraz? Jak moi chłopcy skończą jeść, zgłosi się do pana sierżant i ruszycie. A teraz żegnam, panie poruczniku.

Cohn strzelił obcasami i wyszedł z chałupy. Kapitan musiał być zapewne dowódcą batalionu w dywizji pancерnej rozłożonej na zachodnim brzegu rzeki Elbing, bo dowódca niższego szczebla nie wysłałby ludzi na tak ryzykowne zadanie. Heinz ruszył wzdłuż dzielącej wioskę drogi, starając się bardziej zorientować w sytuacji. Pod wszelkimi możliwymi zadaszeniami stały wozy pancерne i ciężarówki, a od sporej stodoły dobiegały dźwięki łyżek skrobiących menażki. Poczł nagły przyplływ głodu i stanął niezdecydowany, czy podejść i poprosić żołnierzy o jedzenie. W końcu przemógł się i odwrócił. Ten kapitan powinien był o tym pomyśleć i zapytać, kiedy ostatni raz jadł. Powolnym krokiem poszedł w stronę rzeki, mimo ciemności starając się trzymać za wszelkimi obiektami dającymi ochronę. W końcu stanął na koronie wału przeciwpowodziowego, skąd miał dobry widok na drugi brzeg. Znajdował się naprzeciwko stoczni, której budynki stojące w mroku podświetlone były od tyłu łuną pożarów. Bardziej na północy paliło się gdzieś w Kolonii Pangritza⁶⁶ i stamtąd dobiegały go przytlumione wybuchy. Czyżby Ruscy znowu podeszli i wdarli się do tego siedliska lokalnych komunistów? Wielokrotnie w swojej policyjnej karierze prowadził śledztwa czy przesłuchania przeciwko mieszkańcom Kolonii. Podniósł do oczu lornetkę, starając się zobaczyć coś bardziej na południu. Wzrok zatrzymał się na wieży kościoła Świętego Mikołaja, która wydała mu się jakaś inna. Coś paliło się obok, może któryś z domów towarowych? Także Grubenhagen⁶⁷, dzielnica

spichrzów za rzeką, jaśniała, ale unoszący się dym uniemożliwiał rozpoznanie sytuacji. Płonęły chyba też baraki podobozu KL Stutthof albo te, gdzie mieszkali robotnicy przymusowi. Ze złością pomyślał, że cała dzielnica za rzeką została splugawiona istnym miastem baraków, w których zgromadzono robotników do dziesiątek elbińskich fabryk i fabryczek. Chwilę regulował lornetkę, starając się dostrzec coś na peryferiach dzielnicy, gdzie znajdował się warsztat jego znajomego, w którym pozostawił zapakowaną „cytrynkę”. Obszar spowity był mrokiem, co dawało pewną nadzieję, że auto jeszcze tam stało. Wprawdzie statek dawno odpłynął, ale paliwa miał w bród i sam czy z rodziną gdzieś do południowych Niemiec dojedzie. Usłyszał za sobą kroki, a promień latarki oślepił go, gdy się odwracał. Na szczęść przeładowanej broni uniósł ręce. Przez chwilę tłumaczył się podoficerowi, który w końcu zdecydował, by odesłać go pod broń do dowództwa. Został zamknięty w podtopionej wodą ziemiance, w której miał czekać na decyzję. Cohn, klnąc pod nosem, starał się rozgrzać gimnastyką w niewygodnym odzieniu. Po pewnym czasie strażnik odryglował drzwi i zaprowadził go do podporucznika artylerii szturmowej, który zgodził się z nim porozmawiać. Wyglądający spod rozpiętego płaszcza szary mundur SS musiał zrobić wrażenie, bo wsadzono go na motocykl z przyczepą i po potwornej jeździe ponownie trafił do centrum wsi. Stał przed obliczem kolejnego kapitana - wysokiego okularnika w brudnym pancerniackim uniformie. Znowu musiał przedstawić sprawę i tłumaczyć się. Nagle drzwi do izby otworzyły się i zameldował się żołnierz w grenadierskiej kurtce z pistoletem maszynowym na szyi.

- Panie kapitanie, proszę o zgodę na zwrócenie się do pana porucznika. Jesteśmy gotowi, by przewieźć pana przez rzekę. - Położył jednocześnie palec na ustach.

Heinz odetchnął z ulgą i skinął kapitanowi pancerniaków. Ruszyli boczną drużką wydeptaną w śniegu. Żołnierz pośliznął się i nagle upadł z głuchym jękiem. Heinz przysiadł, czekając, aż mężczyzna wstanie. Idąc, rozglądał się. W kilku miejscach udało mu się zobaczyć czarne lustro wody, połyskujące odbitym blaskiem pożarów. Doszli do małej zatoczki, w której czekała już łódź i kilku żołnierzy.

- Gotów pan? - zapytał jeden z nich, zapewne dowódca. Heinz skinął głową. Był policjantem, a nie żołnierzem i nie miał takiego doświadczenia jak frontowcy, ale te środki bezpieczeństwa wydały mu się absurdalne, jakby przeznaczone tylko na pokaz.

- Po co ten cały cyrk? - zapytał szeptem. - Przecież po obu stronach rzeki są nasi?

- Komuniści wypuszczają tu swoich zwiadowców, snajperów i obserwatorów artylerii. Kilkakrotnie mieliśmy ogień moździerzowy, wyraźnie kierowany. A pan chyba nie chciałby się znaleźć w jego zasięgu na rzece, prawda?

- Dobrze, płynmy - Heinz przerwał dyskusję. Sierżant kazał mu przysiąc na dziobie i łódź z cichym pluskiem odbiła, by zaraz ze zgrzytem uderzyć w świeży lód.

- Niech pan go rozbija, tylko cicho. - Sierżant stuknął go w plecy. Ręką namacał długi, okorowany drąg i wychyliwszy się, zaczął rozsuwać lodową taflę. Poczuł, jak drętwieją mu dłonie zalewane ciekącą po drewnie wodą. Ramiona i plecy nienawykłe do pracy zaczęły boleć, a oddech stał się krótki i świszczący. Nagle wypłynęli na wolną od lodu toń i łódź wyraźnie przyśpieszyła. Usiadł na dziobie wyczerpany, gdy usłyszał szept:

- Uwaga na kry.

Ponownie wyprostował się z wyciągniętym przed siebie drągiem, na szczęście dla nich kry były daleko od burt łodzi.

Wreszcie łódź uderzyła o brzeg.

- Dziękuję - wymruczał na pożegnanie i wyskoczył, przytrzymawszy się wyschniętego zielska. Jedna noga obsunęła się i z chlupnięciem zanurzyła się aż po kolano w wodzie. Zanim zdążył zakląć, usłyszał plusk wody i został sam. Wystawił głowę - znajdował się gdzieś koło browaru. W bucie nieprzyjemnie zachlupotało. Z kabury wyjął pistolet i przeładował. Raz jeszcze spojrzął na rzekę, lecz nie było już nawet śladu po łodzi.

- Dzień 9 -

Emil Preuß oprzytomniał dopiero wtedy, gdy przód samochodu wbił się w zaspę zlodowaciałego śniegu, uniemożliwiając dalszą jazdę. Klnąc jak szewc, wysiadł, bezradnie starając się znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. W końcu poddał się rozpacz i po pełnych policzkach pociekły mu łzy. Kopnął oponę i usiadł na śniegu obok samochodu, starając się uspokoić. Po chwili poczuł dotkliwe zimno, które przywróciło go do równowagi i znów zaczął racjonalnie myśleć. Rozejrzał się wokół; pusto, dopiero gdzieś w oddali stały domy, zawył pies. Słysząc też było dudnienie dział i jakieś zgrzyty, ale okolica wyglądała na bezpieczną. Trafił w rejon Königsberger Straße i Erich-Koch-Siedlung⁶⁸. Zaczął dreptać wokół auta, starając się coś wymyślić. Pomimo grubego okrycia mróz mocno szczypał, więc musi znaleźć miejsce, by przenocować. Auto zamknie i zaryzykuje pozostawienie w nim zgromadzonych dóbr - nie ma innego wyboru. Zresztą kręcą się tu wojskowe i policyjne patrole, co powinno odstraszyć amatorów cudzej własności. Nagle przypomniał sobie Minnę! Ta wojenna „żona” wielu partyjnych i wojskowych dygnitarzy Elbinga mieszkała w pobliżu. Zamknął samochód i ruszył szybkim krokiem. Kilka budynków musiało zostać trafionych, ale większość nie wyglądała na zniszczone, więc pewnie i jej ciepłe mieszkanko, pachnące zawsze dobrymi perfumami, jest całe. Minna była jak kotka, bardzo przywiązana do swojego domu, więc jest duża szansa, że w nim została. Skręcił koło dymiących zgliszczy robotniczego domku, a myślami cofnął się do wydarzeń wieczoru. Co stało się z jego piwnicą i chłopakami? Gdy wtedy wpadł na zadymione, pełne płomieni

podwórze, zrozumiał, że to co było w budynku, jest stracone. Cudem udało mu się uruchomić samochód i uciec nim. Starał sobie przypomnieć, czy widział jakiś ślad po pocisku lub bombie, lecz niewiele zapamiętał. Może jednak chłopcy zdążyli się uratować? Może wynieśli najcenniejsze rzeczy? Precjoza, futra i księgi! Tak, na pewno, takie wygi tak łatwo nie giną! Jutro, a w zasadzie już dziś, ich odszuka. A jeżeli to był napad? Może to ten kapitan z Volkssturmu jakimś cudem dowiedział się, kto mu zwinął księgi i napadł na jego siedzibę? To było mało prawdopodobne, ale rano musi to sprawdzić. Uruchomił samochód, podjedzie do majora Schmidta z policji i zażąda pomocy.

W oknach domu Minny błysnęło światło. Chciał, aby była u siebie, ale na ten widok stanął zaskoczony. Domek wyglądał na cały, nawet szyby były w oknach, a zza ciężkich, aksamitnych kotar przeciskał się promyk.

- Głupia baba, sprowadzi na siebie nieszczęście - wymruczał. Nacisnął na klamkę, ale drzwi były zamknięte. Przyłożył ucho do zimnego drewna. Wydało się, jakby słyszał ludzkie głosy - może to było tylko złudzenie. Rozejrzał się wokoło i delikatnie zapukał. Zastukał ponownie, trochę mocniej. Po chwili uderzył pięścią w drzwi, nie zwracając już uwagi na ewentualne sąsiedztwo. Był bądź co bądź kreisleiterem, więc faktycznie stał ponad wszelkim prawem. Zza drzwi dobiegło go wyraźnie szuranie i przestraszony głos.

- To ja, Emil, otwórz, Minnie, proszę cię - odezwał się przymilnie.

- Jaki Emil? Odejdź człowieku, mam broń i jej użyję! - usłyszał przytłumiony szept.

- Twój miś Emil, nie mów, Minnie, że zapomniałaś!

Za drzwiami zapadła cisza. Preuß przyłożył ucho do drzwi, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Franca jedna, dostała

od niego tyle biżuterii, takie piękne futra, francuską bieliznę, a teraz on musi kosztować pod jej domem.

- Otwórz, Minnie, jestem zmarznięty. Jak nie otworzysz, to wywalę drzwi! Musisz mnie przenocować! - Podniósł głos i ponownie rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł śladu ludzkiej aktywności.

Zamek szczęknął i pojawiła się świetlista szczelina. Emil wcisnął się bezceremonialnie, odpychając Minnę od wejścia.

- Idiotko! - krzyknął, patrząc na okrytą pledem kobietę.

- Zapomniałaś, ile ode mnie dostałaś! Jakaś elementarna wdzięczność się należy.

Przekręcił za sobą klucz i powiesił kozuch na wieszaku. Jego niedawna kochanka patrzyła na niego przestraszona. Mężczyźni, którzy bywali u niej, nigdy się do niej tak nie zwracali, bo oznaczało to koniec erotycznych rozkoszy, jakich żadna z żon nie potrafiła im dać.

- Daj mi koniaku i zrób coś gorącego do żarcia. A, i umyłbym się. Pewnie masz wodę. - Nie czekając na odpowiedź, ruszył do łazienki, wyciągając jej świecę z dłoni. Z ulgą rozsiadł się na sedesie, przyglądając się wnętrzu. W wannie była woda, którą się opłukał. Zimna, nie nadawała się zbytnio do kąpieli, ale co tam. Ze świecą w dłoni wkroczył do saloniku i skamieniał. Minna siedziała na krześle za stołem, a obok niej stał mężczyzna w mundurze SS z wycelowanym w jego stronę pistoletem.

- Niech pan siada, Herr Kreisleiter. - W jego głosie brzmiała złośliwa uprzejmość. Dłoń Preuśa powędrowała do kabury, ale ruch pistoletu SS-mana powstrzymał go. Odsunął krzesło i przysiadł na jego krawędzi.

- Minna opowiadała mi, że nigdy nie grzeszył pan dobrymi manierami. I miała rację. - Wsunął dłoń w jej bujne włosy. Kobieta nie zareagowała, wpatrując się w twarz Preuśa.

- Czego tu pan szuka?

- Spaliło się moje biuro, chciałem po prostu przenocować. A pan, panie... oficerze, jako żołnierz SS winien pan jest swojemu kreisleiterowi szacunek i posłuszeństwo. - Preuß zaczął odzyskiwać pewność siebie. - Z jakiej jednostki pan jesteś? Bo sądząc po mundurze, nie z bojowej...

- Za dużo chciałbyś wiedzieć, Preuß - przerwał mu obcesowo. - Teraz ja tu wydaję rozkazy, a ty uważaj, żeby nie zarobić kulki. Takich jak ty, dekowników, wieszamy. Ciekawe, co by nasi obrońcy powiedzieli, gdyby zobaczyli twoje cielsko dyndające na drzewie. Nie, chyba nie podziałałoby na nich to zbyt budząco, więc dam ci odejść. Powiem ci tylko tyle, że mój oddział SS wykonuje tu specjalne zadanie i jeżeli się dowiem, że w jakiś sposób próbujesz węszyć albo zaszkodzić tej tu damie - pociągnął ją za włosy - to znajdziemy cię Preuß, wiesz o tym? Zrozumiałeś? - Pistolet w drugiej ręce wykonał ruch, a jego lufa skierowała się w twarz kreisleitera.

Ciężko przełknął ślinę i skinął głową. Co tu, do diabła, SS robiła bez jego wiedzy? W ciągu kilku dni cała jego potęga, którą on i jego poprzednicy budowali w mieście, zawaliła się. Teraz jakiś chłystek w mundurze mu wygraża. Wysiłkiem woli skoncentrował się.

- Dobrze, macie moje słowo. Wasza robota mnie nie interesuje. Dajcie mi tylko odejść.

SS-man skrzywił się.

- Żegnamy pana kreisleitera, prawda, Minnie? No, ubieraj się i znikaj. - Pistolet wskazał na drzwi. Preuß poderwał się z krzesła i ruszył do holu. Narzucił na siebie kożuch i czapkę i prawie wyskoczył na zewnątrz, a drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Wściekły ruszył przed siebie szybkim krokiem. Jasna cholera, musi odszukać swoich ludzi i niech diabli wezmą te książki i skarby! Pozostanie tu, w Elbingu, do końca i

pozałatwia wszystkie sprawy. Teraz musi wyciągnąć nogi, aby dojść do domów profesorskich koło budynku akademii, gdzie miał kolejną metę.

* * *

Else była mocno pobita, ale poza palcami lewej dłoni na szczęście nie miała nic złamanego. Horst spędził przy niej kilka godzin, gdy leżała, co chwilę tracąc i odzyskując świadomość. Kazał sanitariuszom przenieść ją do swojego pomieszczenia służbowego. Kobieta w końcu zasnęła, dając mu możliwość złapania kilku bezcennych godzin wypoczynku. Gdy ocknął się, ona już siedziała na materacu, wpatrując się tępo w promienie światła przebijające się przez szczeliny w zabitym deskami oknie.

- Obudziłaś się... Jak się czujesz? - zapytał po cichu. Przeniosła na niego wzrok, po czym znów zwróciła się w stronę okna. W półmroku pomieszczenia, który maskował rany na jej twarzy, nadal wyglądała ponętnie, zupełnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz przyszła do apteki. Może arcypiękna nie była, ale miała w sobie taką dziewczęcą delikatność i nieśmiałość, która w mężczyznach wzbudzała rycerską chęć opieki. No, prawie w każdym mężczyźnie.

- Daj mi pić, dobrze? - usłyszał nagle szept i zerwał się z krzesła po kubek wcześniej przygotowanej wody.

Piła łąpczywie, drobnymi łyčzkami, pozwalając wodzie przeciekać pomiędzy spuchniętymi, pokrytymi strupami ustami.

- Dziękuję. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Horst uśmiechnął się i odebrał kubek. Z jękiem opadła na siennik.

- Boli - stęknęła.

- Powiesz mi, co się stało? Wiem, że przywiózł cię wojskowy samochód.

Przytaknęła i zamknęła oczy.

- Scheppke - powiedziała z trudem. - Pobili mnie, porwali.

- Co? Hauptmann cię porwał i pobił?

Pokręciła głową opartą o brudną, podartą poduszkę.

- Nie on. Mój stryj, Emil Preuß. Ukryłam się u Scheppkego, a oni przyszli i porwali mnie. - Słowom zaczęły towarzyszyć ciekące po policzkach łzy. - Potem mnie pobili. Wtedy powiedziałam im, że dałam detektywowi ten pakiet. Chyba straciłam przytomność, potem były wybuchy, strzelali. Hauptmann krzyczał coś o książkach, żeby zabrać, a ja nie mogłam mówić, leżałam gdzieś tam w kącie związana i zakneblowana. Zaczęło się palić i już nic więcej nie pamiętam. - Zamilkła wyczerpana.

- Co mówiłaś o księgach? To Scheppke je ma? - Przez chwilę wpatrywała się w aptekarza, starając się zrozumieć sens jego słów.

- Znaleźli jakieś księgi. Może i te same, które stryj zwędził z waszej piwnicy, świnia jedna! - krzyknęła i opadła na poduszkę, ciężko oddychając.

- Prześpij się teraz, Else, ja wrócę za jakiś czas.

- Musisz go zabić, bo inaczej on zabije nas - wyszeptała.

Przez chwilę patrzył, jak uspokaja się i zasypia, po czym wyszedł.

* * *

Książdz Józef musiał wchodzić dalej w ruiny, aby załatwić swoje potrzeby, gdyż przeszkadzali mu kręcący się od czasu do czasu ludzie oraz koszmarny widok szczątków ludzkich i zwierzęcych, tylko częściowo przysypanych śniegiem. Nie miał

możliwości, by je pochować, jedynie odmówił krótką litanie nad każdym zmarłym. Powoli idąc przez gruzowisko, musiał zachować ostrożność, również ze względu na liczne niewybuchy. Dzięki temu mógł lepiej przyjrzeć się człowiekowi, który niezdecydowany kręcił się po Spieringstraße, jakby czegoś szukał. Wychodząc z ruin, rozpoznał go i zawołał. Horst wyraźnie ucieszył się na jego widok i razem przedostali się do piwnic domu Erdmanna. Jego ojciec jeszcze spał, ale poderwał się radośnie, pomimo bólu w skostniałych kończynach. Przez chwilę trwali w uścisku, aż wrócił gospodarz z kubelkiem śniegu, który stopili w ciepłe spirytusowej maszynki i zrobili całkiem smaczną herbatę. Horst ciekawie rozglądał się po oświetlonym świecami wnętrzu.

- Mam wiadomości, tato - rozpoczął, siorbiąc gorący płyn.

- Idzie ofensywa, odpychamy bolszewików? - Ojciec aż uniósł się z fotela.

- Nie, tu akurat chyba nie ma zmian, ale sądząc po liczbie rannych, to sytuacja ustabilizowała się. Chodzi o książki. Pamiętasz panią Breitfeld, taką blondynkę, jedną z naszych klientek?

Przez twarz Edmunda przemknęło coś na kształt zrozumienia.

- Otóż pracowała u nas w lazarecie, potem uciekła, bo jak się okazało, poszukiwali ją ludzie jej stryja, kreisleitera Preuša. Tak, tego samego, który rąbnął nam te najcenniejsze księgi. Ludzie kreisleitera porwali Else, a kapitan Scheppke ze swoimi żołnierzami odbił ją, ratując jednocześnie woluminy. Ją, pobitą, odstawił do lazaretu, a sam gdzieś wyjechał. I co ty na to?

- To te księgi, które teraz tłumaczycie? - Erdmann pierwszy przerwał ciszę.

Edmund skinął głową.

- Wreszcie dobre wieści. Musimy je teraz odzyskać. Musisz, synku, odszukać Scheppkego i wskazać, gdzie je ma przetransportować albo zapytać, jak my możemy je odebrać.

- Tato, ja ledwo się wyrwałem. Nie mam możliwości biegania po mieście!

- Spokojnie, synu, masz rację, masz rację. - Stary aptekarz intensywnie myślał. Spoglądał na wpatrzone w siebie twarze. Miał pomysł. - Paul, przyjacielu, ciebie poproszę, abys poszedł do domu kapitana Scheppkego. Napiszę ci list, który tylko on zrozumie. A jeśli go nie będzie, to zostawisz go komuś albo wsuniesz w drzwi. Nas ktoś mógłby rozpoznać, ale ty...

- Spojrzał prosząco na Paula, który skrzywił się.

- Dlaczego to ja mam załatwiać jakieś wasze sprawy? I tak przygarnąłem was do siebie...

- Wiem, Paul. Jesteśmy obaj z księdzem Josefem bardzo wdzięczni za to, co zrobiłeś i robisz. Jednak jest prawdopodobne, że ludzie tego Preuśa krążą po ulicach i poznają nas. I zaraz będziemy mieli tu całą bandę. A ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. Proszę.

- No dobrze, pójdę. Tylko niech ksiądz Josef pomodli się za mnie, żeby mnie nie zabili po drodze.

* * *

Von Dobernitzowie należeli do tych rodzin, które pomimo zubożenia wciąż kontynuowały swoje rodowe tradycje. Poczucie honoru i obowiązku stawiano w nich na pierwszych miejscach; toteż Richard dał obu synom, gdy wyruszali na wojnę, uroczyste słowo honoru, że zadba o ich żony oraz dzieci, a swoje wnuki. Ale Marta, małżonka młodszego Richarda, zmarła dwa lata temu, zaraziwszy się tyfusem od jednego z robotników przymusowych, a Johannę w czterdziestym

czwartym powołano do jednostki pomocniczej Luftwaffe i zabrano gdzieś do Prus Zachodnich. Pozostała im opieka nad czwórką wnucząt, które, ku ich utrapieniu, wciąż łąpały jakieś choróbka. To właśnie ich zdrowie uniemożliwiło wcześniejszą ewakuację, bo najmłodszy, Erich, dostał puchliny połączonej z wysoką gorączką, a dziadkowie, nauczeni doświadczeniem, wiedzieli, że kolejne dzieciaki zaraz też pójda w jego ślady. Skorzystali ze zgody właścicieli willi przy Mackensenstraße⁶⁹ i za obietnicę opieki nad domem zamieszkali w obszernej piwnicy. Jakimś cudem ani pociski, ani bomby nie spowodowały większych zniszczeń, choć budynek stracił szyby w oknach i część dachówek. Ich dom szczęśliwie przeżył także atak sowieckich czołgów, z których jeden, trafiony, zablokował pobliską część ulicy. Richard miał na podorędziu załadowaną myśliwską dwururkę, którą odstraszał zarówno potencjalnych szabrowników, jak i wojskowych maruderów. Poza tym bliskość koszar gdańskich i możliwość napotkania patrolu stanowiła dodatkową gwarancję bezpieczeństwa. Tej nocy ich wnuki nie mogły usnąć, narzekając i popłakując. Richard zasnął późno, a jego sen nie był czujny jak zwykle. Było już jasno, gdy obudziła go wystraszona żona. Ktoś kręcił się po mieszkaniu Hoffmanna nad nimi. Faktycznie, usłyszał stukot przewracanych mebli, więc zerwał się i z bronią gotową do strzału popędził na górę. Nie czuł strachu, gdy drzwi wejściowe ustąpiły lekko, prowadząc do mrocznego korytarza. Przeleciało mu przez myśl, że szabrowników może być kilku, ale przecież dał słowo! W pokoju od podwórza zaskoczył grubego mężczyznę w kożuchu, który wyrzucał zawartość szuflad z pościelą na podłogę.

- *Halt!*- krzyknął, starając się nadać swojemu głosowi odpowiednią siłę. Człowiek odwrócił się, a widząc niepozorną posturę i siwą głowę, wsunął rękę pod kożuch. Huk wystrzału

ogłuszył obu, ale obcy pchnięty energią śrutu grzmotną o ścianę, wypuszczając z dłoni metalowy przedmiot. Grube okrycie zatrzymało większość ołowianych kulek, ale kilka musiało skaleczyć napastnika, bo Richard zauważył stróżki krwi.

- Wiesz, do kogo strzeliłeś? - Twarz złodzieja wydała się znajoma, ale Richard nie dał się zastraszyć i groźnie kiwnął nań lufą. Nagle człowiek odepchnął się od ściany i rzucił w stronę balkonowego okna, które z trzaskiem ustąpiło pod jego ciężarem. W kilku krokach znalazł się przy metalowej balustradzie i przerzucił przez nią ciało. Richard wypalił z drugiej lufy, a śrut znalazł drogę do ciała pomiędzy rozchylonymi połami okrycia. Grubas spadł na zasypany cegłami i dachówkami podjazd z głuchym hukiem. Starszy pan otworzył strzelbę i załadował nowe naboje na kaczki. Kiedy podszedł do balustrady, obcego już nie było. Pozwolił sobie na przekleństwo, po czym domknął uszkodzone, podwójne drzwi. Aż dziw, że intruz nie stłukł szyb. Krytycznym wzrokiem sprawdził stan pokoju. Powie żonie, by choć trochę posprzątała. Gdy ustawił krzesło, jego wzrok przykuł połysk niewielkiego metalowego przedmiotu. Podniósł go i zważył w ręku. Mały mauser przyda mu się do obrony rodziny i domu.

* * *

Chęsa, dzika z lauksu Passaluc jesienią podle nowego Drusen przybyła, a odwody na łodziach z Honedy, co to ją, Szwabi onegdaj zając próbowali. Świeże palisady popsowali i popalili, a knechtów i ludzi od diuka Henryka pobili. Tych zaś, co pochwycili, w plen sprzedali lub poćwiartować dali, a głowy na pale wbili, jako ostrzeżenie dla rycerzy. A dyć biskup Krystian powieleć gadał, że nie tylko mieczem, ale, i Słowem Bożym i

dobrocią nawracać trza. W ten czas mnie Jaśnie Xiążę Świąłopełek wezwali, by komesa Tomasza, wykupić. W Hennedę ze strachem spłynąłem z darami dla wodza ichniego, co mu Prauas było. Honeda, to gród mocarny nad zatoką, do której rzeka, Ifing wpada, wałem potężnym otoczony i niedosiężny od wody i bagnisk rozległych. W środku, chram olbrzymi Potrimpusowi⁷⁰ poświęcon, a i innym demonom pogańskim. Całą, noc czekaliśmy z rycerzem Boguszą, aż do środka wejść nam dano. Tam, zaś lud różnoraki, i naszych Prusów, i Duńczyki, i Szwedy, którzy w bałwany jeszcze wierzą, a i Rusów z brodami długimi widzieliśmy. Dobra wszelakiego mnogość, żywności, przedniego łupieżu, ryb tłustych, jantaru, a srebra i kosztownych materij moc. Warty liczne w kolcze odziane i hełmy żelazne. Prauas dwa dni targować się z nami dał, aleć ucztować prosił i Tamasza razem z nami za stołem siadał, jeno pod strażą. Grzywien srebrnych tuzinów osiem ceny wykupu ustaliliśmy i jechać było można. Radością uwolnienia komesa cieszyć się nie dano, bo do Lanzani zawinąć musielim, a naród nasz krześcijański nowiną dobrą ucieszyć. Tydzień w Gdańsku z Jaśnie Xięciem spędzić musielim. Potem, z Boguszą do Marienwerder przed mrozami spłynęliśmy. Lodem witał nas brat Balk, aleć gdy Bogusza listy od Xięcia pokazał, że statki dwa, wielkie buduje na wprawę nową i zbrojnych mnogość w grodzie - ucieszył się brat Balk wielce. I wspólnie z diukiem, Henrykiem także statki budować zaczęli, które "Pilgrim", „Lubeck" i „Frydland" nazwali. Zaraz też brat Balk pchnął do mistrza von Salzy gońców, by z wiosną nowych rycerzy na wyprawę krzyżową wzywać. Chwalił się brat Kumo, iż do samego Ojca Świętego bracia szwabscy posłowali i listy do krześcijańskiego rycerstwa dostali.

Edmund skończył pisanie i odłożył pióro. W kałamarzu zaczynało brakować atramentu.

- Pięknieś, Josefie, to przetłumaczył. Ale chyba zgubiłeś jeden fragment, który mówi o ataku krzyżowców na Honedę. Sam go tłumaczyłem.

Ksiądz Józef podał mu notes. Boehmer zaczął go kartkować, coraz bardziej nerwowo przerzucając kartki.

- Nie rozumiem. Nie zdarza mi się, aby coś zgubić, zwłaszcza tak ważnego. To pewno starość. Wiesz, coraz bardziej mnie to wszystko przytłacza. Najgorsze, że zapominam o oczywistych sprawach.

- Wiem coś o tym, Edmundzie. Gdy Paul przyjdzie, musimy poprosić go, aby poszukał czegoś, abyśmy mogli schować te zapisane stronicie. Jest tu parę linijek jeszcze. Piszemy?

Edmund roztarł zmęczone dłonie i chwycił za pióro.

Pochwyciły mnie knechty i powlokły do braci Kuna i Balka.. Bracia, chcieli mi oczy wylupić i język odjąć, bo umyślnego, co go rycerz Bogusza posłał, zdradziecko pochwycili i całe pisanie moje na jaw wyszło. Na nic zdały się słowa a drużbie rycerskiej moim Panem Xięciem, ani krzyż na piersi i duchowna ma sukienka. Ku szczęściu mojemu rycerz Adalbert, co duksa Henryka zastępował, wszedł do izby i za miecz w obronie mej chwycił. Sam dukś Henryk musi poznał się, co zacz owe Szwaby, które krześcijańskiego braterstwa nie baczą i pakta zerwać chcą. Brat Balk za to...

* * *

- Doktorze, doktorze, niech pan podejdzie, szybko! - krzyczał sanitariusz wyraźnie przestraszony. Niewysoki mężczyzna w szylkretowych okularach z wyrazem złości na twarzy oderwał się od opatrywanego cywila i rzuciwszy polecenie pielęgniarce, ruszył między leżącymi w stronę sanitariusza. Kapitan

Wehrmachtu, a w cywilu lekarz chorób kobiecych, był zastępcą głównego lekarza w lazarecie w szkole Jahna⁷¹, we wschodniej części miasta. Tak jak i inne szpitale, lazaret Jahna wypełniony był rannymi, których dawno nie mieli gdzie układać.

- Co jest? - zwrócił się w stronę sanitariusza.

- To jakaś szycha. - Na przykrytym brezentem sienniku leżał grubas w partyjnym mundurze. Przód ciała, nogi, twarz pokryte były wieloma drobnymi rankami, z których obficie ciekła krew.

- Chyba masz rację, to szycha. Rozepnij go. - Lekarz wyprostował się na chwilę, dając odetchnąć obolałym plecóm. Leżący nagle jęknął przeraźliwie i otworzył oczy.

- Ręka! - Twarz leżącego wykrzywiła się grymasem bólu, a z oczu pociekły łzy Sanitariusz nożykiem ciął uszytą z najlepszej gabardyny mundurową kurtkę i kosztowną koszulę.

- Siostro, trzeba będzie go dać na operacyjną, ma otwarte złamanie prawego przedramienia - rzucił lekarz przechodzącej sanitariuszce.

- Ale będzie musiał poczekać, bo do zabiegu mamy kolejkę żołnierzy z batalionu jegrów, w tym kilku oficerów. - Kobieta popędziła na piętro.

- Dobrze, Hans, przygotuj go i opatrz mu te krwawiące ranki. Ja idę do innych. Aha, sprawdź jeszcze, co to za jeden.

Sanitariusz sprawnie zajodynował i zaklecił gazą widoczne ranki i założył opaskę uciskową na prawe ramię. Jego pacjent, nieprzytomny, okryty kożuchem został ułożony w kolejce do operacyjnej. Potem odwołano sanitariusza. Gdy wrócił po godzinie, spojrział na siennik, na którym leżał dostojnik - nie dostrzegł go. Nie zdążył też sprawdzić, kim był mężczyzna i nie przyszło mu do głowy spojrzeć do prowizorycznej kostnicy, gdzie pozostawiono blade ciało kreisleitera Emila Preußa.

* * *

Kompanieführer Otto Scheppke mógł mówić o prawdziwym szczęściu w nieszczęściu. Rzucono ich do natarcia na pozycje Sowietów usadowionych w pobliżu autostrady, aby odciągnąć ich uwagę od cofających się spod Pomehrendorf⁷² pobitych czołgów z dywizji pancerniej. Trafili na baterię przeciwpancerną, rozsiekli obsługi dwóch dział ogniem karabinowym, ale załogi pozostałych otworzyły do nich ogień z kartaczy, zatrzymując ich impet. Dwóch ludzi, znacznie młodszych, wyprzedziło Scheppkego, przyjmując na siebie deszcz stali. Jakiś odłamek trafił go w szczękę, rozrywając policzek i wywołując krwawienie z dopiero co podgojonych ran. Naładowany adrenaliną kapitan nie czuł piekącego bólu, ale wyczerpany, z wdzięcznością przyjął ewakuację do miasta. Lekarz na żywca zaszył tę dziurę, wychodząc zapewne z założenia, że oficer jest zbyt stary na środki znieczulające, których brakowało dla najciężej rannych, a zwłaszcza poparzonych. Scheppke z trudem wytłumaczył sierżantowi prowadzącemu ewidencję, że ma blisko do siebie i woli odpocząć we własnym schronie, niż kiwać się na siedząco z innymi rannymi. Plując krwią, powłókł się Sant Georg i Trusotraße⁷³ do domu, nie dziwiąc się, że jego ulica praktycznie była nienaruszona w morzu ruin wokół. Wybełkotał coś sąsiadowi i wlaźł do cuchnącego wnętrza swojej piwnicy. Udało mu się jeszcze otworzyć lufcik i nie zważając na napływające zimno, skulił się na skrzyni po pociskach. Ręką wymacał flaszkę z niedopitą gorzałką od Boehmera i powoli, przewyciężając pieczenie alkoholu dotykającego świeżej rany, wlał zawartość do żołądka. Skontrolował jeszcze wzrokiem ściany i zapadł w głęboki sen.

Przez dłuższą chwilę nie docierało do niego, że ktoś szarpie go i krzyczy. Ból pulsował, rozrywając nerwy, więc sięgnął po

butelkę. Jej brzęk przywołał pierwszą jasną myśl, że jest pusta, a on nie ma już nic w zapasie. Zmusił się, by spojrzeć na wąsatego, siwego mężczyznę, który wpatrywał się intensywnie w jego fizjonomię.

- Żyje pan, panie Scheppke? - zapytał z wyraźną troską, w głosie.

Oficer powoli pokiwał głową i palcem wskazał na zawiniętą twarz.

- Edmund mówił, żeś pan zęby stracił, ale aż tak? Może pan mówić?

Scheppke pokręcił głową. Usta wypełniała mu kleista klucha, której musiał się pozbyć. Podniósł się, odsunął nieznanego i chwiejnie wyszedł na dwór. Parę dobrych minut pluł i charczał, pozbywając się paskudnej zawartości. Przydałaby się woda do opłukania ust, ale jej nie miał. Przyłożył kawałek zmrożonego śniegu do twarzy i wrócił do piwnicy. Mężczyzna siedział na skrzyni, trzymając kawałek zapisanego papieru. Chwilę trwało, zanim udało mu się odcyfrować notatkę podpisaną przez starszego z aptekarzy.

- Fótki - wychrypiał, starając się nie ruszać ustami, wykonując jednocześnie charakterystyczny gest.

- Edmund chciałby wiedzieć, kiedy przywiezie pan księgi, do mnie, na Spieringstraße 23-24. Kojarzy pan, gdzie to jest? - Mężczyzna patrzył na niego czujnie.

Otto skrzywił się nagle przeszyty falą bólu. Odłamek musiał uszkodzić dziąsło, podrażniając korzenie zębów.

- Jak pan przywiezie księgi, to dam panu zapas alkoholu - mężczyzna dodał współczująco.

Kapitan pokiwał głową. Oddałby wszystko, aby przerwać cierpienie. Powoli wciągnął na głowę czapkę i dopiął płaszcz.

Wskazał na wyjście i razem wyszli na światło. Do Danziger Kaserne⁷⁴, gdzie stacjonował ich batalion, mieli niedaleko.

Potem przekaże mężczyźnie skrzynię i zorganizuje jakiś transport na starówkę, gdzie wymieni je na wodę. Morze wody, aby zalać ten potworny ból.

* * *

- Wygląda na to, że brakuje ładnych paru kart w tych pergaminach. Nasz anonimowy kronikarz chyba lubił pisać lub może miał to przykazane, więc zastanawiająca jest ta luka czasowa. - Ksiądz Józef kiwał się na krześle, patrząc na odłożony na stole notes Boehmera.

- No nie wiem, póki Paul nie przyjdzie, a Scheppke nie przywiezie księgi, nic zrobić nie możemy. Chociaż, poczekaj...

- Podniósł notes i zbliżył go do światła świecy. Przez chwilę pomrukiwał coś do siebie, wertując w te i we w te kartki.

- Popatrz na to. - Podsunął duchownemu fragment. Ksiądz przez chwilę wpatrywał się w krótki fragment tekstu.

- Ciekawe - łacina i trochę staropolskiego, jakby autor chciał utrudnić zrozumienie. Pamiętasz, był tam fragment, że kurier wpadł w ręce zakonników. To może być próba szyfrowania.

- No, ale mógł pisać po prusku. Byłoby mu łatwiej.

Ksiądz Józef drapał się przez chwilę po swojej kilkudniowej brodzie.

- Czy ja wiem? Język Prusów nie był wtedy spisany, a poza tym pewnie rycerze niemieccy mieli już swoich wykształconych ludzi, którzy znali języki podbijanych plemion, więc daliby radę. Natomiast polski? Jest całkiem możliwe, że występowały jakieś pisma, a nawet księgi w tym języku. Może też u Niemców nie było nikogo do tłumaczenia z tego języka. To wszystko, co

przychodzi mi teraz do głowy. Popatrzmy przykładowo na ten fragment:

Wśród nich był Lasten, i brat mój przeklęty, Tolkit, co to w wilię roku pańskiego 1237 z poselstwem przybył, a po prawdzie szpiegować jako bałwochwalca przebrzydły. Od pachotka dowiedziałem się, że ojciec mój dychają ledwo, ślepy i bezzębny, a mać latem pomarli. Teraz on vityngo znaczny w luksusie i pan mój...

Skończył dyktować i znieruchomiał. Z zewnątrz dobiegł ich wyraźny warkot, a potem zgrzyt otwieranych drzwi.

- Jestem, ale zmarzłem. - Paul wbiegł do środka, wnosząc mroźny powiew. Za nim usłyszeli stękanie i zgrzyt rozgniatanego ciężkimi butami kurzu. W słabym świetle padającym zza otwartych drzwi pojawiła się sylwetka człowieka niosącego ciężką, drewnianą skrzynię. W tej chwili rozległ się bełkotliwy głos o znajomej nucie. Edmund poderwał się na nogi.

- Herr Hauptmann, to pan? - Falujące światło świecy słabo oświetlało znaną im sylwetkę z bandażem okrywającym większą część twarzy. Zapytany skinął tylko głową.

- Pan kapitan został poważnie ranny w twarz i potrzebuje środka przeciwbólowego. Edmundzie, uratowałeś coś z apteki?

Aptekarz smętnie pokręcił głową w geście zaprzeczenia.

- Dobrze, damy panu kapitanowi wódki. Proszę, niech pan siada. - Paul wskazał na najbardziej zniszczone krzesło.

- To są księgi? - Ksiądz Józef podszedł do stojącego przy skrzyni żołnierza, który wzruszył ramionami. - Może pan otworzyć to wieko?

Mężczyzna odpiął klamry i długim bagnetem podważył zabite gwoździemi wieko. Uwaga wszystkich, poza

otwierającym butelkę detektywem, skupiła się na zawartości.

- Są! - Edmund uklęknął obok skrzyni i ostrożnie zaczął wyjmować opasłe tomiska. Jedną z ksiąg uniósł wręcz z nabożeństwem i podał księdzu.

- Mamy ją. Teraz będziemy mogli skończyć nasze dzieło.

* * *

Tego dnia odbyli jeszcze niespodziewaną podróż na Heilig-Geist-straße, gdzie znajdował się sklep wielobranżowy Kusha i Ilgnera, w poszukiwaniu cementu i wapna do przygotowania zaprawy. Wcześniej Paul zaprowadził ich do niższej piwnicy swojego domu, gdzie pokazał miejsce nadające się ewentualnie do zamurowania woluminów. Z cegłami nie było problemu - mogli wyszukać w gruzowisku takie, jakie chcieli. Co najwyżej trzeba było je oczyścić. Erdmann okazał się tutaj bardzo pomocny, gdyż sam zamurował najcenniejsze eksponaty swojej kolekcji. Ani aptekarz, ani ksiądz nie mieli w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, więc ofertę przyjęli z wdzięcznością.

Chyłkiem przemknęli się przez ruiny ulicy Wodnej, starając się uniknąć spotkania z patrolem, których sporo kręciło się po mieście, korzystając ze zmniejszenia natężenia walk i sowieckich bombardowań. Żandarmi i policjanci wyłapywali dezertersów, złodziei i wszystkich podejrzanych - głównie cudzoziemców. Edmund i ksiądz Józef musieliby długo tłumaczyć powody swojego wyjścia z bezpiecznego schronienia, dlatego też stracili sporo czasu na bezpieczne przejście niewielkiej odległości. Potężny sklep, zajmujący kilka kamienic, częściowo był zasypany, odsłaniając otwarte piętro i dział z bielizną. Zdesperowany Edmund zostawił duchownego na straży i wszedł do środka, na jakiś czas ginąc zaniepokojonemu przyjacielowi z oczu. Ksiądz Józef zaczął po cichu nawoływać,

ale z wnętrza nie doszedł go żaden dźwięk. Co gorsza, za sobą usłyszał głośną rozmowę i przestraszony sam wskoczył do środka, unikając patrolu volkssturmistów i policji, który wolnym krokiem przemaszerował przez ulicę. Siedział tak skulony za potrzaskanymi meblami, zastanawiając się, co on, katolicki ksiądz, robi w tym miejscu, pomagając zwariowanemu Niemcowi szabrować. To była ewidentna kradzież, choć zapewne żaden z właścicieli, gdyby tu jeszcze byli, nie oskarżyłby go. W końcu pojawił się Edmund, szarpiąc się z workiem wypełnionym białym proszkiem. Wspólnie chwycili go i sapiąc z wysiłku, już bez przeszkód dotarli do domu Erdmanna. Ten pokiwał tylko z politowaniem głową. Pigmentem malarskim nie uda się nic zamurować.

Ksiądz Józef miał dość, przybity bardziej swoim udziałem w kradzieży niż ich pomyłką. Edmund przez długą chwilę na przemian go prosił, krzyczał i przekonywał, używając najróżniejszych argumentów. Kapłan zamknął się w sobie, modląc się i nie zwracając uwagi na aptekarza. Starszy pan dał mu spokój, gdy w końcu zrozumiał, że duchowny może odmówić dalszej pracy nad tekstem. Kilkakrotnie przecież powątpiewał w celowość całego przedsięwzięcia, mamrocząc coś o szatańskim spisku. Boehmer poirytowany kręcił się po całej piwnicy, wylewając przed Erdmannem całą swoją złość. W końcu Paul dał się przekonać i postanowił wraz z przyjacielem udać się tym razem na nieodległą Junkerstraße 57⁷⁵, gdzie mieścił się specjalistyczny sklep z materiałami budowlanymi, należący do Koernerera. Edmund odżył, ba, nawet wrzucił na ramiona worek z pigmentem, obiecując go odnieść.

Na Göring-Platz⁷⁶ trafili na przejeżdżającą kolumnę wojska i stanęli obok nielicznych gapiów przyglądających się żołnierzom. Żaden z nich nie był specjalistą w tej dziedzinie, ale

to, co zobaczyli, wywarło na nich przygnębiające wrażenie. Brudni, wychudzeni, obwiązani gałganami, większość z wyrazem rozpaczki lub całkowitej obojętności na twarzach, leniwie reagujący na komendy nielicznych przełożonych. Ich ciężarówki i wozy bojowe też ledwie się trzymały, skręcane często drutem czy byle jak pospawane. Przybici, milcząc, przeszli na drugą stronę Friedrich StraÙe, mijając uszkodzony budynek prezydium policji. Edmund z zazdrością spozierał na nienaruszony budynek mieszczący „Aptekę Polską”. Witryna była zabita deskami, ale całość wyglądała nieźle. Riebenschach był szczęściarzem, a Edmunda „Rats” leżała w gruzach... Dom mieszczący sklep Koernerera został rozpruty od podwórka. Materiały budowlane i remontowe nie były ludziom potrzebne, więc gdy dostali się przez wielką dziurę do magazynu, bez problemu trafili na to, czego szukali. Większość papierowych worków była uszkodzona, ale znaleźli pogniecione wybuchem wiadra, które świetnie się nadały i nie zwracały takiej uwagi. Przecież w wiadrach ludzie targali choćby śnieg, by go stopić. Zadowoleni, przeszli obok policjanta, nie zwracając jego uwagi. Cegły mieli wszędzie dookoła, a i pomysł na nową, szczelną skrzynię też się pojawił.

* * *

Heinzowi nie udało się wyjść tak wcześnie, jak planował. Minna, wystraszona nocnym zajściem, przyczepiła się do niego i nie chciała go puścić. Z niezwykłą dla siebie uległością spełniła jego wszystkie zachcianki, a gdy zerwał się z łóżka, wybuchła histerycznym szlochem, raz błagając go, raz przeklinając. Wściekły sam na siebie usiadł w płaszczu na brzegu łóżka i zaczął ją nieudolnie pocieszać. Kobieta chwyciła z zaskakująco wielką siłą jego ramię i uwięziła je. Nie dała się oszukać

banalnymi kłamstewkami o nowej ofensywie, o kolejnej przygotowywanej ewakuacji. Minna była chyba lepiej poinformowana na temat tego, co dzieje się w Elbingu i okolicy niż komendant Schoepffer czy on, kiedy jeszcze siedział w gestapo. Zaczęła sypać informacjami o pozycjach ich i wrogów, o tym gdzie który z notabli się ukrywa, kto zwiął, kogo zabili. Heinz zaczął słuchać jej z coraz większą uwagą. Przez łóżko kobiety musiało przejść ostatnimi czasy wielu ważniaków, skoro tyle wiedziała.

Mówiła jak nakręcona, z coraz większą nadzieją wpatrując się w jego twarz. W końcu słabo zgodził się, a ona rzuciła na stół następne asy. Tak, ma ukryte i marki, i funty, i dolary. Ma biżuterię. Transport? Żaden problem. W Jungfer⁷⁷ mieszka kuzyn, który przewiezie ją za Wisłę, a w Dirschau ma własny samochód, przy domu z panienkami, którego jest współwłaścicielką. A w Alpach czeka na nią posiadłość, po zabitym mężu, pułkowniku SS. Tylko on, Heinz, skoro nie uciekł z miasta, musi ją tam zabrać. I niech się nie przejmuje, jej nie przeszkadza, że jest żonaty i ma dzieci. Może ich potem ściągnąć. Jej, Minnie, wystarczy, jak zajdzie do niej od czasu do czasu. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej brązowe oczy, pełne łez, szukając oznaki fałszu. Jako doświadczony policjant umiał poznać, kiedy ktoś kłamie. Kobieta, która teraz klęczała u jego kolan, nie kłamała. To była inna Minna niż ta, którą znał wcześniej. Wytworna i wyuzdana, namiętna, ale często też lodowato zimna, delikatna i jednocześnie twardsza od większości mężczyzn. Przed nim znajdowała się mała, wystraszona dziewczynka. Taka, jaką zawsze chciał widzieć. Wreszcie została poskromiona, choć to przecież zasługa okoliczności, a nie jego. Podniósł ją i ucałował zapuchnięte oczy. Dobrze, on załatwi swoje sprawy i wróci do niej, po czym razem

wyjadą. Daje jej na to uroczyste, oficerskie słowo honoru, słowo SS-mana. Ma się spakować, tylko najważniejsze rzeczy i czekać na niego.

Przez Königsberger i Äußerer Mühlendamm⁷⁸ dostał się do centrum. Po drodze zatrzymał go patrol policji, ale machnął im legitymacją służbową. Podoficer pamiętał go jeszcze z prezydium policji i był wyraźnie zdziwiony, że nadal tu jest. Heinz skorzystał z okazji, by czegoś się dowiedzieć. Z jego pionu w budynku już nikogo nie było, zresztą część została uszkodzona i nikt tam się nie zapuszczał. Podoficer poradził mu, żeby zgłosił się do komendantury, bo potrzebują oficerów, którzy od razu awansują. Heinz podziękował, nie dając po sobie poznać, gdzie ma takie rady. Neustadt było znacznie zniszczone. Zerknął tylko w ulicę, gdzie stał jego dom. Wyglądał na cały, choć opuszczony. Może później tam zajrzy. W końcu dostał się na Altstadt. Zaszedł od tyłu, na podwórze apteki, ale nawet nie mógł zlokalizować tylnego wejścia, którym ścigał tego... Bergmanna. Może od przodu. Musiał nadłożyć sporo drogi, aby dotrzeć przed fronton domu, a raczej tego, co z niego zostało. Budynek częściowo się zawalił, widział belki tarasujące wejście do wnętrza apteki, ale klatka wyglądała na w miarę bezpieczną. Splunął za siebie. Ależ jest głupi! Przecież te stare domy mają solidne piwnice, dużo mocniejsze niż choćby ta w jego bloku. Nie miał przy sobie latarki, lecz miał prawie dwa pudełka zapalek. Poprzez dziurę w klatce schodowej otwartą na aptekę wyciągnął kawałek szmaty i rozłupaną deskę. Ma pochodnię. Przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w „Rats”, Tym razem nie może dać się zaskoczyć. Wychylił się z wejścia i zlustrował ulicę. Od strony Alter Markt przez gruzy szła jakaś grupka kobiet, bacznie rozglądających się wokół. Zaklął. Pewnie szukały czegoś do jedzenia, a może drewna na opał. Wyciągnął

spod płaszcza szalik i owinął nim czapkę. Z postawionym kołnierzem wyglądał jak jeden z mieszkańców. Wysunął się na chwilę z klatki na ulicę, udając, że się rozgląda. Szabrownik tak jak i one. Kobiety zauważyły go, więc wrócił do środka. Na pewno już tu za nim nie wejdą. Ostrożnie stawiając stopy, doszedł do solidnych drzwi. Były uchylone, a z wnętrza ciągnęło stęchlizną i ludzkimi odchodami. Zaczął nasłuchiwać - do odległego dudnienia wojny doszły go strzępki kobiecych rozmów. Cholerne babska! Widać stanęły w pobliżu, bo wyraźnie rozróżniał całe zdania, niektóre wypowiedane też po francusku. Zrezygnowany wszedł w cuchnącą ciemność. Pod nogami zatrzeszczał gruz, stopa stanęła na czymś nierównym i o mało nie poleciał na twarz. Zaklął głośno i zapalił zapałkę. Szmata szybko zajęła się, rozjaśniając ciemność. Wyciągnął z kieszeni pistolet i cicho odbezpieczył. Jeżeli ktoś tu był, to już wiedział o jego obecności, więc musiał być ostrożny. Pomieszczenia sprawiały wrażenie dość dawno opuszczonych, jednak ewidentnie zamieszkanymi. Zamarł. Coś albo ktoś krył się w głębi. Poczul nieprzyjemny, zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Uspokoił oddech i wsunął swoją pochodnię w dziurę w ścianie. Wpatrywał się w ciemność przed sobą i intensywnie myślał. Światło zdradzało jego pozycję, musiał sobie dać radę bez niego. Zgasił ogień i najdelikatniej jak potrafił ruszył dalej, krok po kroku, z pistoletem wysuniętym przed siebie. Zimny metal uderzył go w kark.

- Nie ruszaj się, bo zastrzele.

Jasna cholera, znał ten głos. Nie jego się tu spodziewał, facet widocznie przeżył sowiecki najazd na miasto...

- Rzuć pistolet w głąb piwnicy.

Broń z głuchym łoskotem uderzyła o cegły podłogi. Lekki błysk światła odbitego od metalu zdradził mu jego pozycję. Pięć kroków. Cohn zdał sobie sprawę, że kula może zaraz

roztrzaskać mu czaszkę. Z podniesionymi rękami stał przy murze, gdy tamten go obszukiwał. SS-man nie miał innej broni przy sobie, i pożałował, że nie wziął od Minny jej małego pistoleciku. Przeszukanie było bardzo pobieżne i niefachowe.

- Zapal pochodnię i włącz do środka.

Posłusznie wszedł do sporej komory z klubowymi fotelami, drogim, choć zniszczonym stołem i pełnej pustych butelek. Jego pochodnia oświetliła pomieszczenie, które dodatkowo rozjaśniło się płomieniem dwóch małych świec. Mężczyzna pistoletem wskazał mu głęboki fotel, a sam siadł w przeciwnym kącie, zbyt daleko, by Heinz mógł myśleć o zaatakowaniu go. Skoro jednak usiadł, to znaczy, że jeszcze dane mu będzie chwilę pożyć.

- Przeżyłeś, draniu. Udało ci się.

Heinz nie odpowiedział wpatrzony w ciemną postać. Jego przeciwnik był jakiś pokrzywiony, na oświetlonej płomieniem twarzy dostrzegł ślady ciężkich doświadczeń, zresztą jej część była obwiązana opatrunkiem, a ubranie, wcześniej zapewne eleganckie, było całe brudne i poplamione - prawdopodobnie krwią.

- Czego tu szukasz, Cohn? Interesuje cię aptekarstwo? Może lek na hemoroidy albo na syfilis?

Zmienił ton z beztroskiego na groźący. Heinz gorączkowo myślał. Jego czas się kończył, trzeba było zaryzykować.

- Tego samego co ty. Co nieco się dowiedziałem o tych papierach, jakie są cenne dla ojczyzny...

- Tylko mi tu nie pieprz. Znam się na ludziach, i wiem, że z ciebie lepszy cwaniaczek, a Rzeszę masz głęboko w dupie. Sam chcesz wszystko zagarnąć, aby po wojnie wypłynąć. Ty, typek z gestapo, z łapami czerwonymi od krwi po łokcie!

- Jak wpadniemy w łapy komunistów czy jankesów, obaj skończymy z kulką w czaszce. Ty też masz niezłą kartotekę.

Jako policjant nieźle dałeś się we znaki komunistom. Słuchaj, albo zastrzel mnie tutaj, albo proponuję ci układ.

Tamten wyduł usta, ale tylko sapnął. Lufa pistoletu zachęciła go do dalszej rozmowy. To była szansa dla Cohna.

- Mam możliwość wydostania się z miasta i z Prus. Pewny transport aż w Alpy. Wciąż mam tu pewną władzę i możliwość odszukania ksiąg.

- To jak chcesz się do tego zabrać, panie oficerze?

Heinz rozluźnił się. Tamten połknął haczyk. Teraz delikatnie trzeba ciągnąć, aby się nie spłoszył.

- O nie. Albo idziesz na układ, albo strzelaj - powiedział z pewnością w głosie.

- No dobrze, powiedzmy, że założymy taką spółkę księgarską. Jak chcesz odszukać te książki?

- Zaraz, zaraz, a ty co wniesiesz do naszej księgarni?

- Po pierwsze, to, że cię nie zastrzelę. Po drugie, że wiem, jak zabrać się do znalezienia książek, a poza tym mam papiery, które pozwolą na przejazd przez cały kraj. Ty dasz transport, ale ja dam bezpieczeństwo. Z tym że papiery są imienne. To na wypadek, gdybyś próbował mnie stuknąć albo je ukraść.

Lufa pistoletu opadła na stolik. Pakt z diabłem wyglądał na zawarty.

- To jaki masz pomysł na znalezienie aptekarza i jego książek?

Heinz skrzywił się. Na razie nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie.

- Tak myślałem... No dobrze, jesteśmy sobie potrzebni. Ty możesz biegać po mieście, a ja będę myślał. Słuchaj uważnie; zrobimy tak...

* * *

Nadal bolało ją całe ciało, lecz obudziła się w znacznie lepszej kondycji psychicznej. Co więcej, opuchlizna na twarzy nieco się zmniejszyła i przyblakła, więc mogła zjeść kleik na śniadanie. Najgorszą rzeczą było proszenie Horsta, gdy do niej zaglądał, by pomógł jej wybrać się do toalety, Czyli w pobliskie gruzy. Ten strasznie się zmieszał i zarumienił, ale ona naprawdę musiała. Kazał jej czekać, po czym wrócił z młodą dziewczyną z bundu⁷⁹, która pomogła jej zejść i wreszcie załatwić potrzeby. Wracając, musiała przysiąść na schodach, bo krew zaczęła łomotać jej pod czaszką i nogi odmówiły posłuszeństwa. Dziewczyna zostawiła ją bez słowa i poszła za swoimi sprawami. Skulona, siedziała przy poręczu, starając się zebrać siły, by wstać. Niżej po korytarzu sanitariusz prowadził kuśtykającego mężczyznę, na którego widok skuliła się, wciskając twarz między stopnie schodów. Jego fizjonomia mignęła jej tylko na chwilę, ale mogła przysiąc, że był to jeden z oprawców od stryja Emila. Dopiero po dłuższej chwili odważyła się odwrócić głowę i spojrzeć w tamtym kierunku - na szczęście nikogo już nie było. Poczowała na ramieniu czyjąś dłoń i odwróciła się gwałtownie. Na widok poważnej twarzy siostry Klary, jak zwykle w czystym czepku i białym kołnierzyku, wybuchła gwałtownym szlochem. Starsza kobieta usiadła obok niej, odkładając spory wiklinowy kosz. Milcząc, pozwoliła Else wypłakać się i gdy kobieta uspokoiła się nieco, zapytała czule:

- Co z tobą, dziecko? Uciekłaś od nas, teraz jesteś cała pokiereszowana. Co z tobą?

Else otarła łzy. Stara diakonisa była pierwszą osobą od dłuższego czasu, która naprawdę zainteresowała się tym, co czuje.

- Wpadłam - chlipnęła - wpadłam w straszne kłopoty.

- Wiesz co, dziecko? Idź teraz do siebie, ja muszę jeszcze załatwić kilka spraw, ale na chwilę przyjdę do twojej izby. Wszystko mi opowiesz, może znajdziemy jakieś wyjście. Gdzie cię położono?

Klara uniosła brwi, słysząc odpowiedź, ale nic nie rzekła. Pomogła Else wstać, a sama podreptała z ciężkim koszem w dół schodów. Potem na chwilę wpadła Marie, koleżanka, której uśmiech nie schodził z ust nawet w najtrudniejszych chwilach. Else w pewnym momencie musiała zasnąć, bo potrząśnięcie mocno ją przestraszyło. W ciemnym pomieszczeniu rozpoznała sylwetkę siostry Klary i odetchnęła z ulgą.

- Mam jakieś pół godziny, więc musisz opowiadać krótko.

Else zawahała się. W sumie jej historia nie była ciekawa, zapewne każdy ranny w lazarecie miał więcej do powiedzenia. Jednak spojrzenie spokojnych, siwych oczu pomogło jej uporządkować myśli. Wróciła pamięcią do szkoły, wspomniała o tym, którego pierwszego pokochała z całą siłą i który nie został jej mężem, a zostawił córeczkę. O śmierci ojca, spowodowanej pośrednio przez stryja, o ślubie i śmierci narzeczonego Ericha, potem męża, Georga, i o niespodziewanej nowej miłości - poruczniku Bauerze z lotniska. O nieudanej ewakuacji, o rozdzieleniu z matką i córką, o Horście, który jej pomógł, a któremu się oddała. Następnie o strasznych chwilach we własnym domu, o stryju, który ją ścigał i wreszcie porwał, i o tym, w jak dramatyczny sposób została odbita. I o człowieku, którego widziała w lazarecie, a który mógł zrobić jej znowu krzywdę.

Zmęczona twarz diakonisy, początkowo obojętna, stopniowo zaczęła ożywać, przejmując emocje słów Else. Słyszając o Horście, aż zagryzła wargi. W końcu słabo uśmiechnęła się.

- Masz rację, dziecko, twoja sytuacja naprawdę jest skomplikowana. Nigdy nie interesowałam się polityką, bo

zresztą jako osoba duchowna nie powinnam. Ale ten stryj Emil to szatan wcielony. Trzeba cię stąd wyrwać. Teraz powiedz mi, dziecko, co łączy cię z naszym panem aptekarzem?

Else zarumieniła się i spuściła oczy. Zrobiło jej się wstyd.

- Nie wiem, nic, siostro. Kiedyś go poznałam w aptece i bardzo mi się podobał jako mężczyzna. Wiem, że jest żonaty i ma dzieci. Źle zrobiłam, choć wtedy... wtedy to jakoś tak samo...

- Dobrze, dziecko, trzeba cię będzie wywieźć z Elbinga. Zaraz będę widziała się z doktorem Romeikiem i dowiem się czegoś. Aha, i nic nie mów panu Boehmerowi o naszej rozmowie.

Klara pogłaskała ją po głowie i uśmiechnęła się. Else odwzajemniła uśmiech, czując się znacznie lepiej. Wstała i powoli zaczęła zajmować się sobą. Na półce znalazła grzebień i wyczesła włosy. Widok twarzy w kawałku lustra nie wywołał przestachu, a wręcz przeciwnie, uśmiech. Za kilka dni robi się sinożółta, jak jej kolana, kiedy wracała do domu po szaleństwach dzieciństwa. Marie przyniosła jej miskę zimnej polewki i czarny chleb. Przez chwilę porozmawiały, nie poruszając tematów osobistych. Kobieta pocieszyła ją, że na froncie wojsko trzyma się dobrze i nawet ostatnio dało się mocno bolszewikom we znaki. Gdy została sama, zaczęła porządkować pomieszczenie, by zabić czas. Chciała się przejść, choćby po korytarzach, lecz przypomniała sobie tamtego człowieka. Lepiej, żeby jej nikt nie widział. Zaczęła cerować swoją wojskową kurtkę, gdy do środka wpadła zdyszana diakonisa.

- Zbieraj się, dziecko, ale szybko. Nie ma czasu na zadawanie pytań.

Nie bacząc na jej ból, wcisnęła kurtkę na dziewczynę, pomogła jej włożyć buty. Bezceremonialnie ściągnęła koc Horsta i zarzuciła jej na ramiona.

- Jedziesz do Danziga. Nic nie mów, idziemy.

Ruszyły centralną klatką schodową w dół, mijając sanitariuszy i żołnierzy znoszących na noszach rannych.

- Else, ty dokąd? - Silna ręka chwyciła ją za ramię.

Horst Boehmer zaskoczony wpatrywał się w nią.

- Wyjeżdża, panie aptekarzu! - Zakonnica zrzuciła jego dłoń z jej ramienia. - A ja sobie z panem porozmawiam, ale potem.

Siostra Klara schwyciła ją za dłoń i nie czekając na reakcję, pociągnęła po schodach. Else, przejęta, nie czuła bólu. Wyszły na olbrzymi dziedziniec dawnej szkoły, na którym stały... piętrowe autobusy. Diakonisa postawiła ją przy murze, a sama podeszła do grupki mężczyzn przyglądających się załadunkowi rannych. Wokół stali też okoliczni mieszkańcy, ściągnięci tak niezwykłym widokiem. Do pojazdów oprócz rannych pakowano też poduchy, koce, zasłony - wszystko to, co miało zapewnić jako taki komfort ewakuowanym. Siostra zamachała w jej kierunku, więc Else podeszła.

- To ona, panie doktorze - przedstawiła ją mężczyźnie ukrywającemu pokrwawiony kitel pod płaszczem. Ten skinął głową.

- Panie sierżancie! - zawołał do żołnierza z żandarmską blachą na piersi. Ten podszedł i zasalutował. - To jest nasza siostra, Else, która, jak pan widzi, też została ranna. Jest jednak w stanie zaopiekować się rannymi w czasie transportu. Czynię pana osobiście odpowiedzialnym za jej bezpieczeństwo i przekazanie do kliniki w Danzigu. Czy pan zrozumiał?

- *Jawohl, Herr Doktor!* - Sierżant ponownie strzelił obcasami.

- Pani pozwoli, pokażę miejsce. - Podprowadził ją i pomógł wsiąść do środka. Wnętrze było zaskakująco ciasne, z trudem przedostała się na siedzenie tuż za kierowcą.

- Tu ma pani baniak z wodą, a tutaj są podstawowe leki. Zaraz kończymy i ruszamy.

Żołnierz wyskoczył z autobusu, a ona za sobą usłyszała pukanie w okno. Siostra Klara uśmiechała się do niej, machając na pożegnanie. Mimo bólu odwzajemniła uśmiech, najmocniej jak potrafiła.

* * *

Wykonanie nowej skrytki nie było takie łatwe. Dostęp do wybranego miejsca był utrudniony poprzez kształt przypory muru i starą żelazną skrzynię wypełnioną różnymi bibelotami, której nie mogli przesunąć ze względu na olbrzymią wagę. Paul wygrzebał skądś młot i solidny przecinak i rozpoczęła się mozolna praca. Mieli kuć na zmianę, ale Erdmann, po tym jak przyłożył sobie w rękę, wściekł się i odmówił współpracy. W końcu to on był właścicielem schronu, on dał im miejsce, narzędzia i pomógł zdobyć materiały, więc niech sami sobie radzą. Edmund także był zły, ale ksiądz Józef nie podjął wyzwania do kłótni i emocje powoli opadły. Zwyczajnie brakowało im sił. Od kilku dni nie dojadali, a wiek i trudy wojenne wysssały z nich resztki energii. Poza tym żaden nie był przyzwyczajony do fizycznej pracy. Dłubali tak ze dwie godziny, w końcu zniechęceni odstawili ciężkie narzędzia i powlekli się na górę, gdzie owinięty kocem Paul czytał książkę.

Boehmer miał już coś powiedzieć ostrego na przywitanie, ale ksiądz Józef klepnął go w ramię, powstrzymując sprzeczkę. Wizja ich kolejnego exodusu nieco się oddaliła, lecz nadal była realna. Mimo iż byli przyjaciółmi, zarówno Paul, jak i Edmund mieli choleryczne charaktery, co w trudnych warunkach musiało prowadzić do iskrzenia.

Erdmann w końcu „zauważył” ich przyjście i odłożył książkę. Przez chwilę badawczo przyglądał się swoim gościom i zrezygnowawszy z rzucenia przygotowanej na tę okazję

uszczypliwej uwagi, zapytał o postęp prac. Duchowny uprzedził Edmunda.

- Oj ciężko, niewiele się posunęliśmy. Sił brak.

Paul skrzyżował wzrok z aptekarzem, który wydawszy wargi, zaczął rozglądać się po piwnicy, jak gdyby był w niej po raz pierwszy.

- Ma pan coś na wzmocnienie? - Na twarzy księdza Józefa pojawił się lekki uśmiech. On naprawdę nie miał zamiaru włóczyć się po zrujnowanym mieście w poszukiwaniu nowego lokum i zwyczajnie brakowało mu sił. - Chwilę odpoczniemy i może wyjmiemy te pergaminy? Nie mogę się tego doczekać.

Obaj Niemcy drgnęli. Ciekawość przemogła wzajemne pretensje i wyzwoliła ukryte głęboko resztki energii. Erdmann poderwał się z fotela i ruszył w kierunku komody z trunkami.

- Edmundzie, zobacz, co tam mamy do jedzenia. Niech ksiądz pomoże coś przygotować - rzucił, nadając głosowi sympatyczniejszy ton. - Wzmocnimy się i siadajmy do pracy, a to kopanie zostawimy na potem.

* * *

Do budynku nie udało się wejść niepostrzeżenie, zresztą znów nie przewidział takiej sytuacji. Z głębi klatki schodowej dobiegł go ostrzegawczy głos wartownika połączony z dźwiękiem przeładowywanej broni. Cohn zatrzymał się, oblekając twarz w maskę służbowej obojętności. W prezydium policji nadal tliło się życie, podobnie jak w sąsiednim gmachu ratusza. Młody chłopak w policyjnym płaszczu zażądał dokumentów, a po wylegitymowaniu i uważnym porównaniu zdjęcia z fizjonomią zapytał o powód wizyty. Ani on, ani dwóch innych wartowników go nie znało, co bardzo utrudniło sprawę. W końcu Heinz zapytał o dowodzącego policją oficera i

dowiedział się, że major Schmidt nadal urzęduje w piwnicach. Pod strażą jednego z policjantów zszedł do dobrze znanych mu podziemi, gdzie znajdował się areszt tymczasowy, w którym on sam wielokrotnie przesłuchiwał różnych nieprawomyślnych obywateli III Rzeszy. W lochu panował zaskakujący ruch. Część cel zajęta była przez śpiących i wypoczywających ludzi w mundurach, kilka było zamkniętych, ale nie pustych. Bezpieczeństwo widocznie nadal funkcjonowało w Elbingu. Nie musiał długo czekać, bo sympatyczna Frau zaprosiła go do niewielkiego pokoju zajmowanego przez majora. Heinz strzelił obcasami i wyrzucił rękę w partyjnym pozdrowieniu. Schmidt popatrzył na niego jak na idiotę. Znali się z pracy w tym samym budynku, choć wcześniej Cohn nie podlegał komendantowi zwykłej policji. Major wskazał mu obdrapany stołek, który Heinzowi wydał się znajomy. Może kiedyś używał go w czasie swoich przesłuchań?

- Cóż pan tu robi, Cohn? Z tego co pamiętam, to został pan ranny, kiedy te sowieckie czołgi wdarły się do miasta? Pański szef zdaje się zginął.

Cohn skinął głową. Nie znał losu swoich współpracowników, ale informacja o śmierci Petersa niespecjalnie go zasmuciła.

- No cóż, ewakuowano mnie z rannymi do Danziga, ale tam dostałem rozkazy od samego gruppenführera Katzmanna⁸⁰, by wrócić i załatwić pewną sprawę. Oczywiście poufną.

Schmidt kiwał się na krześle, przyglądając się leżącym na biurku papierom. Miał masę roboty, a wykształconych policjantów jak na lekarstwo. Nawet ten gestapowiec by mu się przydał.

- No cóż, rozumiem. Oczywiście nie wnikam w pańskie rozkazy, ale sytuacja zmusza mnie do zapytania o dalsze plany tutaj, w Elbingu. Zapewne domyśla się pan, że ogromną

większość oficerów policji po prostu „wywiało”. Mimo że trwają walki, to trzeba zapewnić spokój wojskom na zapleczu frontu, no i jakieś podstawowe bezpieczeństwo pozostałym cywilom. Gdyby mógł pan tu zostać, kriminalkommissar Cohn, byłbym panu bardzo wdzięczny. Dostałby pan pod opiekę dział kryminalny.

Heinz skinął głową i zmarszczył czoło, udając zamyślenie. Pomoc dowódcy policji w mieście mogłaby się przydać.

- Dziękuję za propozycję, Herr Major. Nie wiem, ile czasu zajmie mi wykonanie mojego zadania, ale po jego zakończeniu i zameldowaniu się gruppenführerowi myślę, że nie będzie miał nic przeciwko mojemu pozostaniu w mieście. W sumie to nawet niektórymi sprawami mógłbym się już dzisiaj zająć, ale najpierw muszę sprawdzić pewne dane z kartotek.

- Przecież spaliliście je lub wywieźli.

- Podejrzewam, że część została. Aha, i prosiłbym o przepustki. Nie chcę się tłumaczyć każdemu napotkanemu patrolowi.

- Oczywiście, ma pan prawo poszukać tych dokumentów. A o przepustkę proszę się zgłosić do pokoju... - zachnął się - izby obok. Hauptwachtmeister Krutz wypisze panu stosowne kwity. No, a teraz nie zatrzymuję pana. Obaj mamy masę swojej roboty.

Tym razem uścisnęli sobie dłonie. Wychodząc, Heinz poczuł pot na łysiejącej czaszce. Bez problemu załatwił papiery i ruszył po zasypanych pyłem, papierzyskami i fragmentami ścian schodach. Od pierwszego piętra nie mógł korzystać z poręczy, gdyż wraz z resztką schodów zwisała, grożąc zerwaniem. Zatrzymał się, zastanawiając się nad bezpiecznym dotarciem do archiwum. Druga klatka schodowa? Przeszedł kawałek korytarzem i stanął przed wyrwaną przez ciężką bombę studnią. Wprawdzie schody wyglądały na całe, ale jak

przeskoczyć przez tę dziurę? Wrócił do pierwotnego planu i powoli wdrapał się na trzecie piętro. Tak jak przypuszczał, najtajniejsze akta zniknęły, ale archiwum podstawowego prawie nie ruszono. Przypomniały mu się słowa Schmidta. Pewnie, drań jeden, doskonale wiedział, jak wyglądają archiwa gestapo w budynku prezydium policji. Sam powinien albo je zabezpieczyć, albo też zniszczyć. W każdym razie ktoś musi ich strzec. A może zresztą ten cały Schmidt faktycznie nie dysponował ludźmi i miał ich tajną robotę gdzieś? Niektóre stalowe szafki na akta były pootwierane, a wiatr poruszał kartkami.

Niech to! Ten głupi wiatr może roznieść je po okolicy, a ludzie dowiedzą się, że byli śledzeni, kto na nich donosił i co najistotniejsze - KTO prowadził sprawy.

Stanął przed pierwszą szafą - była pusta. Kolejna i kolejna - podobnie. Popatrzył na oznaczenia i poznał, że szukał w końcówce alfabetu. Szybkim krokiem ruszył wśród rzędu szaf w poszukiwaniu litery „B”. W drzwiczkach oznaczonych tą literą znajdował się klucz. Odetchnął z ulgą, gdy ją otworzył. Teczki Boehmera i jego syna były na miejscu. Zabrał je w pobliże okna i zaczął studiować. Co chwila wracał do stalowych szaf z pustymi rękami lub kolejną szarą teczką. Po dłuższym czasie na jego twarzy pojawił się grymas zadowolenia; coś miał...

* * *

I wtedy w Marienwerder ruch się wzmożył, bo lody puszczać zaczęły, a krypy nasze do wyprawy nie w pełni gotowe były. Brat Balk co dzień w gniewie po wałach chodził, a ku rzece zbiegał, by robót doglądać. Ale sznury, które na statkach niezbędne były, szczury pogryzły, a do zrobienia nowych biegłych w obozie nie

było. W końcu ptacy zlatywać się poczęły i wiosna ciepłem oddychać poczęła, kiedy nasze statki gotowe były. I ruszyliśmy na trzech statkach radością w duszach, bo zimowanie w Marienwerder wszystkim rozum mieszało, a swady i burdy...

- Tu jest przerwa w twoim zapisie, Edmundzie, ale mamy przecież te pergaminy. Poszukajmy tego fragmentu.

Paul poderwał się i przyciął świecom knoty, rozjaśniając piwnicę. Trzej mężczyźni pochylili się nad bezcennymi kawałkami zapisanej skóry, choć tylko Edmund i ksiądz Józef umieli rozpoznać poszukiwane łacińskie zapisy.

- To jest tutaj. Masz, porównaj. - Edmund podał fragment duchownemu, który nie zwrócił uwagi na irytację w jego głosie. Ksiądz Józef skupiony zerkał to na notes, to na pergamin, a jego usta zaczęły się coraz bardziej ścigać. Popatrzył na Edmunda, po czym zwrócił się do Paula.

- Co aptekarz to aptekarz. Jestem pełen podziwu dla dokładności naszego przyjaciela Edmunda. W czasach Balka i naszego kronikarza byłby najprawdopodobniej kopistą ksiąg w jakimś klasztorze.

Lico Boehmera pokraśniało, a on sam swobodnie rozsiadł się na fotelu. Miał wreszcie chwilę choć drobnej satysfakcji. Kiedy po raz pierwszy zobaczył fragment przetłumaczony przez księdza, ucieszył się bardzo, lecz poczuł też ukłucie zazdrości. Uważał się za niezłego łacinnika, jednak to Josef był prawdziwym lingwistą. W czasie pracy nad tłumaczeniem czuł ciągle zawiść, że to nie on tłumaczy, choć ksiądz nie negował jego pierwszeństwa i kierownictwa w pracy. Teraz jednak wypadało zdobyć się na wielkoduszność.

- Cieszę się, że tak mówisz, Josef. Ale proponuję nie przerywać, przecież dobrze nam idzie.

Ksiądz wyraźnie docenił zmianę nastroju swojego przyjaciela. Przekład wcale nie był tak idealny, ale skoro teraz miał rękopisy, drobny komplement na pewno polepszy relacje trzech mężczyzn zamkniętych w jednej z piwnic płonącego miasta.

Wody wciąż były wzburzone, a nurt krnąbrny zaniósł „Lübeck” na łachę piachu, iż krypa ugrzęzła i nijak, ściągnąć jej nie można było. Zaczęliśmy ludzi i konie na brzeg przewozić, kiedy rzeka statek porwała i obróciła dnem do góry, ludzi i zapasy topiąc. Dwa dni suszyliśmy to, co się uratować dało. Trza, było też krześcijański pochówek ludziom dać, co to ich ciała pochwycić z wody zdołaliśmy. Na brzegu, też diuk Henryk, brat Balk, rycerz de Dypenow i rycerz Witred radzić poczęli. Wielce oni niezadowoleni byli, bo na krypie cztery dziewczki, wszeteczne jechały, które panowie rycerze ku, folgowaniu chuci brali. I Bogu chwała, co one gamratki zabrał do piekła.

Kole wieczora umyślny z Thorn przybył, że mistrz von Salza nowy zaciąg rycerski brzegiem posłał ze świeżymi rycerzami z całego Cesarstwa. Zatem te, co żywe z Lübeck uszli pieszo wzdłuż rzek, ciągnąć mieli, jako oczy wielkiej wyprawy z Thorn ciągnącej.

Ruszyliśmy już ostrożnie, z brzegu, by nurtu unikać. I jako szczęśliwie w końcu wpłynęliśmy w deltę Vistuli, ku Drusen kierując się. Zdumieli się, wszyscy, bo wioski ludne ujrzeli, a na brzegach krzyże z dębu uczynione były. Sam lat kilka, w ziemiach tych nie byłem i oczy ze zdumienia przecierałem. Bardzo się diuk Henryk z bratem Balkiem trapili, bo jakże to zbrojnych na lud krześcijański prowadzić. A we wioskach zbrojni liczni nam się pokazali i lądowania wzbraniali. Wylądowaliśmy u rozlewiska i diuk na radę wołać mnie kazał. Brat Balk na Honedę płynąć dalej zamierował, ale rycerz de Dypenow od ziemi swojej daleko nie

chciał ruszać, a i grodu bał się. W końcu wyprawę, która lądem szła, spotkać miałem. I rzekłem, że przez ziemie, Jaśnie Xięcia Świętopełka iść im by trzeba, a ta do wojny otwartej wiedzie. I na południe, do Drusen w końcu uradzono płynąć, by cały lauks zająć od pogany.

W rzekę Ifing wpłynęliśmy wielce wodą rozpasaną. Serce mi radować się poczęło, bo to i strony ojców moich. Na ostrowie zaś gród stał, a wokoło wieś znaczna. Ku kryptom naszym łodzie wypłynęły, a lud ochotnie machał wiciami na znak powitania. I brat Balk na mnie krzyk uczynił, iżem go o grodzie nie powiadomił. Ale i jego szpiegi nic przecie nie wiedziały o Elfingu, choć ich srebrem hojnie opłacał. Ku nam wyszedł z gościńcem druh mój komes Tamasz i ucztę sprawić na gąb blisko sto kazał. Wielce się nasi dziwowali grodowi nowemu i jego potędze. Ino od lata przeszłego Jaśnie Xięzę Świętopełek w tajemnicy budować go kazał, a i mnie nawet wieści nie posłał, bojąc się pewnie pergaminów utraty. Komes Tamasz bardzo nam rad był, bo pruski gród Ifing, potężny wielce blisko wzniesion był. Naszym jednak w niesmak słyszeć to było, bo vityngo Garrin przecie rzeź sprawił i wielu krześcijan ubił, kiedy my Drusen zdobywalim.

Trzy dni stalim w Elfing czekając na szpiegów naszych, wreszcie ruszyliśmy pod Drusen, bo i piesi nasi blisko byli.

Ksiądz Józef nagle zamknął notes. Edmund i Paul spojrzeli na niego zaskoczeni. Duchowny przymknął oczy i opadł bezwładnie na oparcie krzesła. Pochwycili go za ramiona i wystraszeni wyprowadzili na powietrze. Po chwili spojrzeli na nich przytomniej.

* * *

Minna z wyraźną niechęcią przyjęła pod dach otyłego partyjniaka o chytrych, wodzących po wszystkich oczkach i z opuchniętą twarzą. Przyprowadził go Heinz, który kazał się zaopiekować jego przyjacielem Gerhardem i o nic więcej nie pytać. Grubas bezceremonialnie rozłożył się na jej łóżku i zasnął tak, jak stał. Minna przez chwilę zastanawiała się, co zrobić z tym cuchnącym typem, gotowa była nawet ściągnąć mu buty kalające pościel, ale po namyśle dała sobie spokój. Tym bardziej że nad miastem znowu pojawiły się bolszewickie samoloty, więc zbiegła do piwnicy, by przeczekać nalot. Co jakiś czas wchodziła na górę, lecz męczyzna chrapał, a pokój wypełnił się smrodem niemytego cielska. W końcu zgłodniała i sięgnęła do spiżarni, skąd po dłuższym namyśle wyjęła rarytas - jajka, które dostarczył jej jakiś czas temu oficer kwaterunkowy z garnizonu. Aż podskoczyła, gdy usłyszała za sobą sapanie. Grubas stał w drzwiach kuchni i łapczywie zerkał to na jajka, to na nią. Cofnęła się, ściągając przezornie patelnię z rozpalonej płyty.

- Nie bój się... panienko - wycedził, krzywiąc się. - Nie gustuję w takich jak ty, ale te jajka to chętnie zjem. Masz może coś jeszcze?

Spąsowiała.

- Słuchaj, ty gruba Świnio! - Wysunęła nogę do przodu, a patelnia stała się orężem. - To, że Heinz tu cię przyprowadził, nie oznacza, że możesz sobie na cokolwiek pozwalać. Twoja władza - wskazała patelnią na wystający spod kożucha partyjny mundur - została tam, na mrozie. Wystarczy, że zapaskudziłeś mi moją jedwabną francuską pościel. Chyba będę musiała ją wyrzucić. Siadaj grzecznie za stołem, to może coś ci dam do jedzenia. Jednak jajka są dla mnie i dla Heinza.

- Uśmiechnęła się nagle i odstawiła patelnię na płytę. Zaskoczony Bergmann podążył za jej wzrokiem - za jego

plecami stał gestapowiec Cohn.

- Ma pani rację, odezwałem się w sposób niegodny funkcjonariusza partii. Proszę wybaczyć, to przeżycia ostatnich dni i zwykła walka o przetrwanie...

- Dobra, siadaj, Bergmann, jak pani powiedziała. Minnie, dasz nam zjeść i potem pójdziesz zająć się swoimi sprawami, bo mamy tu z Herr Bergmannem parę spraw do omówienia. Aha, będziemy razem podróżować, więc zachowujcie się wobec siebie poprawnie.

Zjedli w milczeniu. Gdy Minna wyszła, Cohn wyciągnął na stół szare teczki. Wspólnie przejrzeni ich zawartość, przekładając poszczególne papierki na kilka kupek. W końcu przed gestapowcem pozostała jedna, z czterema kartkami w środku.

- To co, bierzemy się do roboty? Ty, Bergmann, sprawdzisz doktora Liesa z Königsberger Straße, a ja tych trzech. Tylko delikatnie, aby ich nie wypłoszyć. Spotkamy się wieczorem, tylko pamiętaj, łapy precz od Minny, bo zastrzelę. Tu masz jeszcze przepustkę podpisaną przez dowódcę policji, ale nie staraj się włączyć patrolom w łapy, bo są nerwowi i lubią strzelać. Poproś grzecznie, to może Minna znajdzie ci jakieś ubranie po którymś ze swoich mężów.

* * *

Po kolejnym zejściu na dół i kilkunastominutowej pracy nad rozkuciem kawałka muru Edmund zniechęcony wdrapał się na wyższy poziom. Nie naciskał księdza na udział w dalszej pracy, ponieważ zasłabł niedawno, a Paul wymigał się korzonkami.

- Potrzebne nam inne narzędzia, może jakiś spory łom albo oskard? Podkuje się trochę od dołu i podważy, a cały kawał

muru odpadnie. Może znowu przejdziemy się na Junker Straße? A i tobie Josef wyjście z tego smrodu się przyda.

Mieszkańcy piwnicy przy Spieringstraße, jak i większość elbingerów, zdążyli się już oswoić z nalotami i okresowymi bombardowaniami. Wiedzieli, kiedy należy bezwzględnie kryć się, a kiedy można przemknąć wśród domów i ruin. Wiele kamienic miało też poprzebijane przejścia w najniższych kondygnacjach, umożliwiające w miarę bezpieczne poruszanie się. Także wzdłuż licznych ulic pobudowano głębokie, często przykryte kolejowymi podkładami rowy, zmniejszające zagrożenie trafienia odłamkiem. W ten sposób można było zdobyć zaopatrzenie, odszukać zaginionych czy odwiedzić rannych w lazarecie.

Dzisiejsze południe, pomimo natrętnych „jabo”, było względnie spokojne. Dokładnie zamknąwszy swoje lokum, ruszyli wśród gruzów. Od strony centralnego placu dobiegł ich potężny grzmot. Skoczyli do najbliższej kamienicy, czekając na huk eksplozji. Łoskot narastał, ale nie przypominał ani dźwięku nadlatujących sowieckich samolotów, ani zgrzytu rakiet czy świstu haubicznych pocisków. Z przeciwnej strony ulicy pojawiły się zaintrygowane twarze, a potem sznurek postaci ruszył w stronę Friedrich-Wilhelm-Platz. Z pewną obawą poszli za ludźmi, którzy nagle zaczęli coś krzyczeć i biec. Oni też biegli tak szybko, jak mogli. Gdy dotarli do budynku poczty, z całą siłą uderzył ich ryk czołgowych silników, łoskot stalowych gąsienic trących o granit kostki brukowej i smród spalanego paliwa. Kolumna niemieckich czołgów różnych typów wolno toczyła się przed ich oczami, otoczona wianuszkami machających doń ludzi. Ciężko dysząc, wmieszali się w tłum, ze zdumieniem przyglądając się ogromnym, pancernym potworom, które na swoich pancierzach wiozły... dzieci. Wokół nich zrobiło się zamieszanie, pojawiła się młoda, zapłakana kobieta, która

wyskoczyła przed ogromny pojazd i zaczęła machać ze wszystkich sił rękami. Pomalowany na biało z żółtozielonymi zaciekami czołg zatrzymał się, a za nim reszta kolumny. Zarośnięty, brudny żołnierz, zapewne dowódca wozu, mało nie wypadł z wjazdu, z wściekłością wrzeszcząc na sprawczynię zamieszania, która tymczasem obiegła pojazd i wyciągnęła ręce do siedzącego między dziećmi na tylnym pancerzu chłopaka w pancerniackiej kurtce.

- Otto, czego chce ta wariatka? - dotarł do nich krzyk dowódcy czołgu.

Jedno z dzieci zsunęło się z pancierza, w ostatniej chwili uchwycone przez czołgistę wpadło w ręce matki. Przytuleni do siebie zaczęli oboje płakać, nie zważając na potężny ryk silnika i łoskot ruszających gąsienic. Ktoś z tłumu wyciągnął kobietę spod nadjeżdżającej następnej maszyny, podobnie objuczonej dziecięcym ładunkiem. W kierunku czołgów poleciały nagle kawałki chleba, puszki, koce, jakieś zabawki. Trzej przyjaciele stali nieruchomo, z rozszerzonymi szeroko oczami chłonąc tę niezwykłą scenę. Zapłakana kobieta, zapewne matka malca, znowu krzyknęła, i biegiem ruszyła za toczącym się czołgiem. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, stanęła tuż koło sunących gąsienic i wyciągnęła ryczącego malca w górę. Młody żołnierz sprawnie chwycił go i posadził wśród wystraszonej gromadki. Kobieta biegła przez chwilę obok czołgu, machając i coś krzycząc. Nagle maszyna stanęła, a żołnierz wyciągnął do niej rękę i machnął zachęcająco. Z niesamowitą szybkością kobieta stanęła na pancerzu, po czym usiadła, znikając między główkami dzieci. Kolumna przyśpieszyła, a jej czoło zniknęło im z oczu. Ostatnia maszyna przeparadowała przed nimi, a oni nagle ocknęli się. Rozemocjonowani ludzie wokół krzyczeli do siebie: początkowa radość z ujrzenia potęgi Wehrmachtu zaczęła ustępować rozpacz. Te czołgi z dziećmi na pancierzach

opuszczały przecież Elbing. A z czołgami miasto opuściła nadzieja.

* * *

Gorąc potworny nastał, a z nim plaga. much i robactwa wszelakiego oblazła naszych, co to w zdobytym grodzie zostali. Rejzydiuk Henryk kazał słać w ziemię Pogezanum i Lanzanum, ale kromie spalonych chałup, a obalonych chramów wiele nie zwojowali, bo Garrin zbieżał ze swoimi w lasy wzgórza i nękał naszych spyży i rabów szukających. Mnie zaś też jakowaś gorączka, dopadła i bez sił dni kilka złożon leżałem, nawet jeść nie mogąc. Jednak teraz siły mnie. i drugim wracają i choć słabym pióro w dłoni trzymać mogę.

Ksiądz Józef położył pergamin na stole i palcem wskazał fragment. Edmund i Paul nachylili się, badawczo przyglądając się nakreślonym literom.

- Ale o co chodzi? - Erdmann pierwszy stracił cierpliwość. Nie lubił takich zagadek.

Ksiądz wziął z kupki inny pergamin i położył obok. Obaj mężczyźni ponownie pochyliłi się nad nim, porównując ich strukturę i treść.

- Chodzi ci o rodzaj pergaminu? Różnią się nieco, ten jest cieńszy... chyba - odezwał się niepewnie Boehmer. Znowu ta księżowska sztuczka, mająca sprawdzić jego inteligencję - pomyślał.

- Popatrzcie na zapis. Porównajcie obie karty.

Teraz obaj zaczęli dostrzegać różnicę. Zawijasy liter na jednym były kształtne, wręcz kaligraficzne, choć opisujące dramatyczne zdarzenia i pisane zapewne nie na klasztornym pulpicie. Na tym drugim kawałku było inaczej. Litery były jakby

chropawe, stawiane niepewnie, choć zostały stworzone przez tę samą rękę.

Edmund pokiwał głową, że też on sam tego nie zauważył. Uprzedził go Paul.

- No, faktycznie, nasz mnich był słaby, kiedy zaczął pisać.

- I czego to dowodzi? - Ksiądz Józef poczuł się jak na kazaniu. Spojrzeli po sobie, potem na niego, skonfundowani.

- Autentyczności, kochani, autentyczności tekstu! To jest na to dowód - ekscytował się duchowny. - Mieliliśmy od samego początku wątpliwości co do autentyczności tego tekstu, prawda? Brak jest imienia autora, choć to, co wiemy, wyjaśnia wiele rzeczy, jak wstawki słów z innych języków, pewną nieporadność i ubóstwo słownictwa, lecz ten tekst nie był sfalszowany, bo czy fałszerz wpadłby na to, żeby zmienić styl pisania? Przecież te litery kreślone były właśnie słabą, niepewną ręką! Popatrzcie też na te dziwne plamy na pergaminach. Zastanawiałem się, co one oznaczają. To jest po prostu brud. Ślady są na tych stronicach, które były zapisywane gdzieś w terenie, w czasie wypraw. O - a tę zapisywał w Marienwerder. I...

- Jest czysta... - cicho dokończył Boehmer. Był wstrząśnięty odkryciem księdza. Nagle uzmysłowił sobie konsekwencje.

- *Herr Gott!* To oznacza, że...

- Że to, co nam przez wieki do łbów wbijali, jest warte funta kłaków! - wyręczył go Erdmann. Wstał i podszedł do kredensu, gdzie trzymał alkohol. Z pierwszej z brzegu butelki nalał do brudnego kieliszka i wychylił.

- Ktoś chce?

Nalał sobie i Edmundowi. Aptekarz zapadł się w fotelu, myśląc intensywnie.

- Kilka kartek było pomiędzy stronami inkunabułu. Pewno i Nitschmann je odcyfrował, co tłumaczyłoby jego polonofilstwo.

Potem przeczytali to naziści i zrozumieli wagę tych dokumentów. Dlatego tak za wszelką cenę chcą je zdobyć. Nawet teraz, gdy Niemcy giną.

- Niemcy nie giną, Edmundzie. To zdycha narodowy socjalizm, który ogłupił miliony. A Niemcy za jakiś czas podniosą się. Mam nadzieję na to jako ksiądz i jako Polak, że będzie to kraj ludzi raz na zawsze wyleczonych ze ślepego posłuszeństwa i drylu. Że każdy Niemiec zacznie myśleć i będziecie odpowiedzialni za swoje czyny. Wtedy też staniecie się wolni. A co do rycerza Balka... Myślę, że jego wkład w cywilizowanie tych terenów jest nie do przecenienia. Mnie, jako Polakowi, jest trudno to przyznać, ale Balk był niezłym administratorem i świetnym żołnierzem - jak na tamte czasy. Może i ja patrzę na niego, zbyt sugerując się książką Sienkiewicza? - Paul i Edmund zaskoczeni spojrzeli na księdza, który jakby nigdy nic ponownie przysunął kawałek pergaminu przed oczy.

- To co, możemy dalej?

Cały dzień na krypach i pieszko, po brzegu nasi do Elfing wędrowali, a przekłete grodzisko Ilfing trzeba spalić było, wraz z trupami tych, co od moru pomarli. I opadły nas Pogezany, którzy póki siedzielim w Ilfing, w lasach się kryły. Co rusz strzała w nas puszczona frunie, a to zbrojni na koniach pokażą się, a to pałka ze świstem uderzy. Pruski lud zna siłę szwabskiego miecza i do walki nieskory. Bo i po prawdzie przez chaszczce i moczary idziem, a i pola otwartego wiele nie widać. Daj Panie Jezu nam koniec tej udręki.

Dni z dziesięć z okładem od ostatniego pisania przeszło, aleć moc... Popasalim, gdzie w pergaminie zdań kilka zapisałem i ledwie ruszylim, rzuciły się na nas Pogezany, rumor straszmy czyniąc. Wszelcy panoszą, na krypach płynęli i jeno knechty z

kusz prac do wrogów mogli. I bój straszny stoczyli, gdzie i ja, sługa pański, krew przelewać musiałem. I pióra, i inkaust w boju postradałem; dobrze, że pergaminy wynieść udało się. W trzcinach martwego udając pacierzy kilka leżałem, aż w końcu Henrykowi krypą do brzegu przybili i bój nowy rozgorzał. Wtedy ujrzałem owego Garrina, który jak bożek pogański na naszych głazy i kłody ciskać począł. Śmierć w oczy zajrzała, bo znikąd ratunku, widno nie było, Kiedy róg się odezwał, a to załoga z grodu, braci krześcijany ratować pośpieszyła. I mnież wtedy rycerz Uhtred, Angielszczyk, z bagniska poratował i na krypę wrzucił. Tamć ci leżałem bez pamięci dni dwa, ale mnie brat Johan, od świętego Dominika opatrywał.

Na, krypie Pilgrim zwanej, u grodu Elfing do dziś dnia siedzieć mi Szwaby każą, przez wzgląd na dobrego rycerza Witreda i brata Johana nie ubiwszy. Wielkiej nieprawości się bracia szwabscy wedle Jaśnie Xięcia Świętopelka dopuścili. Rannych i chorych udawszy, gdy załoga grodu, ratować nasze nędzne dusze uszła, jako liszki podstępem do grodu, dostali się i zajęli go, białą banderę z czarnym krzyżem nad bramą powiesiwszy. A pachotków i ciurów, którzy w grodzie byli, w plen wzięli i do posłuszeństwa przymusili. Kiedy komes Tamasz, z naszymi z opresji wielkiej uwolnionymi pod gród na ostrowiu przyszedł, brat Balk dzwierza zaprzec nakazał i do środka nie wpuścił.

Ja zem bez pamięci wtedy na krypie leżał, a teraz wciąż na mnie baczenie mają, co bym do wioski, która Jaśnie Xięcia przynależy, nie bieżał. Mówił brat Johan, że do mistrza von Salza pismo skrobał, że ostrów sami zajęli i gród stawiają. jakże więc może to być, że rycerz prawy, co znak Jezu Krysta na szacie i piersi nosi, jako lisiec podły był. Ratunku mi znikąd, jeno modlitwa ostała. Amen.

** * **

Całe popołudnie i wieczór kuli mur. W końcu oporna ściana poddała się ich anemicznym uderzeniom i miejsce na skrytkę zostało przygotowane. Gdy cegły ustąpiły, okazało się, że nie tylko cztery opasłe tomiska zmieszczą się w otworze, ale i coś jeszcze. Zmordowany, lecz zadowolony Edmund od razu pomyślał o jakimś dodatkowym zabezpieczeniu. Chociaż ściany są grube, to jednak ogień albo, co gorsza, podsiąkająca woda może bezcenne księgi uszkodzić. Natychmiast zaczął namawiać przemęczonych przyjaciół na wymarsz w gruzowisko, by czegoś stosownego poszukać. Może w ruinach któregoś z domów towarowych? Albo w „ich” sklepie na Junkerstraße? Im mocniej opierali się, tym bardziej rosła w nim złość na ich małostkowość i patrzył nie dalej niż na koniec własnego nosa. Ale nawet ksiądz Josef, zazwyczaj ustępujący pod siłą jego argumentów lub namolnym marudzeniem, odmówił. Zdenerwowany włożył płaszcz, owinął twarz dodatkowym szalikiem i wyszedł. Skręcił w stronę rzeki na Wasserstraße. Wokół panował mrok rozjaśniony poblaskiem płynącym od wody. Nie niepokoił go odgłos głuchych wybuchów, do których się zbliżał. Zatrzymał się na chwilę, gdy minęła go wataha psów. Odruchowo rozejrzał się za czymś do obrony. Z poprzedniej wojny pamiętał opowieści, jak to dziczące psy rzucały się na samotnych ludzi. Na Wasserstraße nie było już ani jednego całego domu, ale mrok litościwie skrywał rany zadane murom. Hermann-Balk Ufer powitał go uderzeniem lodowatego wiatru, który zmusił do cofnięcia się za załom muru. Stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w rosnącą dziurę w chmurach. Wygwieżdżone niebo, którego nie widział od... - nie mógł sobie przypomnieć od kiedy. Spojrzenie przeniosło się na drugą stronę rzeki.

Jak pięknie - pomyślał.

Spichrze i domy na Lübecker Ufer⁸¹ paliły się, oświetlając płomieniami pokrytą krąg rzekę. Tam gdzie nie było lodu, tafla połyskiwała na przemian szkarłatem i czernią. Wielki spichrz za nabrzeżem dodawał głębi ognistemu widowisku, dołączając do czerwieni ognia na nadbrzeżu tajemnicze niebieskie błyski. Nad płonąca dzielnicą pojawiały się co chwila krwiste koraliki pocisków smugowych i od czasu do czasu gasnące natychmiast błyski eksplozji. Gdzieś dalej rozlała się nagle kaskada upiornie białego światła, obrzucając rzekę przesuwanymi się cieniami płonących domów. Edmund mimo słabego wzroku zlokalizował niewielki spadochron, pod którym płonęła magnezja. Cienie na rzece tańczyły, aż oślepiające światło nagle zgasło, pozostawiając czerwone plamy pod powiekami. Aptekarz zamknął oczy i wtedy poczuł na sobie działanie mrozu. Roztarł policzki i ze zdumieniem stwierdził, że ledwie je czuje. Musiało być z minus dziesięć lub więcej stopni. Nagle coś szarpnęło go do tyłu i o mało nie upadł na ziemię. Kilku zakutanych w grube czapy i szaliki na twarzach żołnierzy stało tuż obok, równie zaskoczonych jego widokiem, jak on nimi.

- Co tu robisz, dziadku? Życie ci niemiłe? - Głos jednego z nich przedarł się przez obrośnięty kawałkami lodu szalik.

- Ja, przepraszam, ja - zapatrzyłem się. - Pokazał ręką na umierającą dzielnicę za rzeką.

- Dziadku, wynoś się stąd, bo cię Iwan zastrzeli. Przecież mają tu swoich snajperów! - Żołnierz pchnął go w stronę ruin. Oszołomiony Edmund przebiegł kilkanaście metrów w głąb zabudowań, po czym stanął. Z oczu zaczęły mu płynąć łzy, które zamazały obraz. Sam nie wiedział, kiedy i jak trafił do ich bezpiecznej piwnicy. Długo nie mógł się uspokoić, aż poczuł gorąco wódki rozlewające się w ciele. Pomogli mu rozdziać się, a Paul wcisnął w dłoń pióro. Pod kozą płonął ogień, rozsiewając

miłe ciepło. Wcześniej Erdmann uszczelnił dziurę, którą wpływało lodowate powietrze, więc mogli się czuć jak w domu za starych, dobrych czasów.

Ksiądz Józef popatrzył badawczo na przyjaciela. Gdy ujrzał błysk w oku, zaczął wolno dyktować.

Już miesiąc mnie na owej krypie brat Balk więzi. Henrykowi rycerze szwabscy wszech ludzi zapędziwszy, sami do budowy grodziska zabrali się. Dwie niedziele temu rejza wróciła z setką blisko ludzi przypędzanych w powrozach. Lud ten okrzyczony jeszcze przez biskupa, Krystiana był, i wszystkie na piersiach drewniane lub kościane krzyże nosili. Ale brat Balk oślepnął jakby na znak krzyża i za pogan uznawać ich kazał. Jako raby bez spyży robić muszą od świtu do nocy, a tych, co bieżec próbowali, ubić kazał. Nawet brat Johan od Świętego Dominika, który pogańskimi psami ich nazwał, wstawiać się chodził do brata Balka, ale wskórać nic nie zdołał. Jeno gadał, że chorzeje brat, a i na rozum mu padło, bo pianą toczy z gęby i wrzody na ciele powyłaziły, jak u trędowatego. Na drugiej stronie rzeki, bliżej Vistuli cmentarz uczynili, bo chorych mnogość i poumierają jako muchy. A mnie pod strażą trzymają. Dobrze, że druh mój Witred inkaustu i piór przyniósł, co bym mu pisma do domu jego pisał. To i ja mogę na swych pergaminach słów skreślić. Te bezprawie opisuję, co by je Jaśnie Xięciu Świętopelkowi przedstawić. A i do cesarza posłować nam pewnie trzeba będzie. Ojcie Nasz zmiłuj się nad nami grzesznymi.

* * *

W trybie alarmowym ich batalion przerzucono za rzekę, w rejon Grunau i Fischau⁸², gdzie mieli wesprzeć spieszonych artylerzystów, którzy starli się z sowieckimi grupami

rozpoznawczymi. Ich dowódca był wściekły, bo nikt w sztabie obrony miasta nie liczył się z oczywistym faktem, że volkssgrenadierzy, jak ich szumnie nazywano, zanim gdziekolwiek przedrepcą, stracą resztki swojej wartości bojowej. Kompania Scheppkego, wraz z jej obandażowanym dowódcą, wlokła się na końcu tej żalosnej parady, przeklinając wszystko i wszystkich. Jedynie wcielony do niej ostatnio pluton niszczycieli czołgów, składający się głównie z hardych szczeniaków pod dowództwem sierżanta Carssona, stanowił spore wsparcie. Ci młodzi ponoć zniszczyli kilka czołgów sowieckich, które parę dni temu próbowały wedrzeć się do miasta od wschodu. Jednak grupa Carssona trzymała się z dala od „dziadków” Scheppkego, wyraźnie uważając się za lepszych. Zaczynało już zmierzchać, kiedy doleciały ich odgłosy walki oraz nowe rozkazy. Major kazał kierować się na zachód, w kierunku koryta Nogatu, gdzie Sowieci zaczęli przenikać niemieckie pozycje.

Scheppke zebrał swoich podoficerów i przedstawił im sytuację. Jak wcześniej przypuszczał, jedynie Puckert i Carsson wykazali jakieś zainteresowanie. Wściekłe złożenie obwieściło moment dotarcia jego rozkazów do przerzedzonej kompanii. Plutonami ruszyli w stronę nadrzecznych wiosek, wystawiając się na porywy lodowatego wichru, który rwał na strzępy resztki ich bojowego zapachu, jeśli takowy jeszcze pozostał. Wraz z plutonem Puckerta, swoimi najbardziej zaufanymi chłopakami, w końcu dotarł do Schwarzdamm⁸³, gdzie ostatkiem sił pokierował zakwaterowaniem ludzi. Tak jak inni, ledwo żył, w pełni świadomy swojego wieku i coraz bardziej sceptyczny wobec rozkazów bataillonsführera. Jeśli jacyś bolszewicy byli w pobliżu, to mogli ich wziąć do niewoli, kończąc tę bezsensowną męczarnię. Bauer, którego

gospodarstwo zajęli, zwał, zostawiając zabudowania i inwentarz pod opieką dwójki robotników przymusowych - chorej kobiety i nastoletniego chłopaka, który się nią opiekował. Zanim schronił się w chałupie, Otto rozejrzał się pobieżnie po obejściu - krowa, wałach i kilkanaście owiec było dobrze utrzymanych. Dał się chwilę ogrzać swoim chłopakom i zarządził zarżnięcie kilku zwierząt. Teraz się najedzą, a i wezmą resztę tam, gdzie rzucą ich rozkazy. Kobieta podniosła się z legowiska i zabrała się do przygotowania jedzenia, a mocno wystraszony chłopak w towarzystwie rzeźnika z Grubenhagen wyszedł do obórki. Nastrój żołnierzy poprawił się, gdy na przekąskę dostali chleb, kwaśne mleko i kartofle wraz z gąsiorem domowego wina. Wzrok kapitana powędrował na wypięte pośladki kobiety, potem objął jej sylwetkę. Mimo że wychudzona i zmęczona, miała ładną twarz i ciało niczego sobie. Kilku jego ludzi zaczęło rzucać w jej stronę sprośne uwagi, lecz uciął to krótko. Jeżeli ktoś ma skorzystać z gościny w tym gospodarstwie, to on będzie pierwszy. Zaspokoiwszy pierwszy głód, wyznaczył warty i patrole. Zaczynało mu się tu podobać i nagle przestało zależeć na powrocie do zimnego i głodnego Elbinga. Z pełnym brzuchem nabrał ochoty do życia, podobnie jak jego ludzie, i postanowił o nie bardziej zadbać. Byli daleko od głównych dróg, wśród pól i rowów, gdzie wojna mogła o nich zapomnieć. Kompanieführer zaczął mościć sobie legowisko na ławie, by zdrzemnąć się, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Puckert. Mężczyzna otrzepał się i spojrzał z uznaniem na wnętrze.

- No, szef to wojuje - powiedział z wyraźną zazdrością. Scheppke wysłał go i kilku ludzi w największe chaszczce, w okolicę rzeki. - Można się poczęstować?

Scheppke skinął głową. Jego podwładny zaczął pośpiesznie wpychać ciepłe jeszcze kartofle do ust.

- Dlaczego zszedłeś z posterunku? - Głos kapitana był lodowaty.

Puckert z pełnymi ustami pokręcił przecząco głową. Skończył przełykać i pochylił się ku dowódcy.

- Niech pan się nie denerwuje, szefie, wystawiłem czujki. Zresztą przy takim mrozie i takiej widoczności żaden Ruski nie będzie ryzykował, ale mam coś do pokazania, tylko szef musi się ubrać.

- Zaraz będzie jedzenie, czujesz przecież. - Spojrzał znacząco na otwarte drzwi do kuchni. Żołnierze zaczęli im się przyglądać podejrzliwie, wietrząc szybki koniec pobytu w ciepłej chacie.

- Wolałbym teraz. Moi też przyrządzają posiłek - kaczkę znaleźliśmy. Tu nie chcę o tym mówić.

Schepke popatrzył uważnie w twarz kaprała. Podniósł się wreszcie i zaczął ubierać. Gestem wskazał na dwóch żołnierzy, wyglądających na najmniej zmordowanych. Warto mieć jakąś ochronę w czasie drogi. Mróz uderzył ich natychmiast, gdy wyszli. Skulili się i ruszyli szybkim marszem, podążając za kapralem. Kapitan przestał w końcu dygotać i mógł przyjrzeć się drodze. Z daleka dostrzegł kępę bezlistnych drzew i suchy pas trzcin, w których kierunku zbliżali się. W pewnej chwili zeszli z drogi, zwracając się nieco bokiem do solidnych, murowanych, choć niewielkich budynków. Puckert coś szepnął Ottonowi, a ten gestem pokazał swoim ludziom gospodarstwo. Z chęcią przyjęli rozkaz, zostawiając swojego dowódcę. Kapral ponownie skręcił i poprowadził go między drzewa. Dopiero teraz Schepke dostrzegł niewielkie wybrzuszenie terenu oraz coś, co wyglądało na niewielki komin, jaki mają wiejskie spiżarnie. Podoficer nachylił się i podniósł ciężkie metalowe drzwi. Po omacku weszli do środka i dopiero wtedy Puckert zapalił latarkę. Schepke otworzył szeroko usta, w zdumieniu przyglądając się ziemnej piwnicy. Na tych terenach gospodarze

często takie budowali, by latem przechowywać w nich bezpiecznie mleko, a nawet lód z rzeki, przykryty warstwą słomy.

- Niech pan popatrzy tu, szefie. - Puckert wskazał na fragment muru z tryumfem w głosie.

W ścianie widniał kanał wentylacyjny, zaopatrzony w metalową zasuwę.

- Dokąd on prowadzi? - Scheppke przejrzał pomysł swojego podoficera.

- Do wędzarni ryb, obok. Stąd ten komin, ale tam też jest taka zasuwka, więc bezpiecznie można schować w środku....

- No dobrze, jednak tu obok jest wał przeciwpowodziowy, a jak rzeka na wiosnę wyleje?

- Sprawdziłem wszystko, szefie. Niech pan popatrzy na ściany - nie widać na nich wilgoci. Nie ma też śladu po zalaniu, a przecież ta piwnica wygląda na starą, prawda? Zawali się tę część ściany drewnem i nikt nie będzie tu szukał. Na podwórku stoją sanie, w szopie jest wóz, a gospodarza nie ma. Jeno dwie baby, robotnice, siedzą na strychu. W pobliżu widziałem też dwie łodzie leżące do góry dnem...

Scheppke intensywnie myślał. W mieście pozostał Emil Preuß, który mógł wiedzieć o skrytce w jego piwnicy. Trzeba też zabrać te cztery księgi od tych szwargotliwych dziadków, którzy w razie niebezpieczeństwa natychmiast wypapłają, gdzie są schowane, a tutaj jest idealne miejsce, w którym księgi mogą przetrwać zawieruchę.

- Dzień 10 -

Edmund obudził się pierwszy, przytłoczony bólem głowy. Z trudem zwał się z posłania - w głowie mu się kręciło, a żołądek podchodził do gardła. Ciągnąc za sobą koc, wdrapał się mozolnie na schody i z wysiłkiem otworzył drzwi. Świeże, lodowate powietrze i smuga światła wpadły do wnętrza ich kryjówki. Przypomniawszy sobie, że po raz pierwszy było mu naprawdę ciepło, bo Paul rozpałił piecyk i uszczelnił dziurę w stropie. Ból powoli przechodził, ale pojawiło się parcie na pęcherz. Ruszył z powrotem do piwnicy po płaszcz i czapkę i już w środku zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Podszedł do Paula i szarpnął go za ramię. Ciało bezładnie poruszyło się i znieruchomiało. Szarpnął go raz jeszcze. Jakby grymas przeleciał przez twarz Erdmanna, ale nie budził się.

- Josef, budź się! Z Paulem jest niedobrze! - krzyknął do nadal śpiącego przyjaciela. Nie widząc reakcji, pomimo bólu jednym susem był przy stercie skrzynek, na której ulokował się ksiądz. Zerwał z niego pled i aż odskoczył na widok wbitych w siebie otwartych oczu.

- *Herr Gott*, ale mnie wystraszyłeś! Wstawaj, z Paulem niedobrze. - Chuchnął leżącemu wczorajszym oddechem. Ten się skrzywił i niemrawo zaczął się podnosić z legowiska. Edmund ponownie był przy kanapie, na której spał Paul. Jęknął boleśnie, chwytając przyjaciela za ramiona. Ksiądz, w samej bieliźnie tylko złapał za nogi i z trudem, uderzając chudymi pośladkami Erdmanna o ceglane stopnie, wynieśli go na powietrze. Duchowny znikł na chwilę, po czym wrócił już ubrany. Z niepokojem wpatrywali się w siną twarz, która powoli zaczęła różowieć od mrozu. Głowa wykonała

nieskoordynowany ruch, a usta otworzyły się jak u wigilijnego karpia i ze świstem wciągnęły powietrze.

- Trzymaj go! - Teraz Edmund popędził na dół. Wrócił z butelką, której prawie całą szyjkę wepchnął Paulowi do gardła. Ten zakrztusił się i szarpnął do tyłu.

- Gdzie... gdzie z butelki. Są kieliszki... - wyjęczał, wyraźnie wracając do życia. Boehmer oparł go o mur i rozstawił palce przed nosem.- Ile widzisz palców?

- Edmund, do licha, nie wydurniaj się. O Boże, jak mi głowa pęka.

- To wszystko przez czad, całe nasze szczęście, że piecyk dopiero teraz wygasł. - Ksiądz Józef już wcześniej znalazł rozwiązanie zagadki. - Na przyszłość nie wolno nam zasłaniać tego otworu, musi być zapewnione krążenie powietrza.

- Dobrze, chodźmy już na dół, bo mnie mrozem uśmiercie.
- Erdmann ruszył powoli do piwnicy. - Musimy coś zjeść, a potem pójdziemy w miasto.

* * *

Wyjście od razu po namiastce śniadania okazało się niemożliwe. Mróz nie zelżał, a Paul wciąż narzekał na ból głowy, ale nie zgadzał się na spacer na świeżym powietrzu. Ksiądz Józef sięgnął po płat pergaminu i zasiadł z nim. Boehmer z westchnieniem przygotował pióro z resztką atramentu, zastanawiając się, czym będzie dalej notował. Ich praca przekroczyła półmetek, a wraz z odkrywaniem coraz to nowych świadectw pojawiały się kolejne pytania. Duchowny długo przypatrywał się pergaminowi, przesuwając co chwilę arkusz. Tak, to był ten, na którym znajdował się dziwny rysunek.

- Widziałeś go, Edmundzie. Co o tym sądzisz?

Boehmer wziął kartę do ręki. Wraz z Horstem też nad tym się głowili, ale nie znaleźli odpowiedzi.

- Nie jestem pewien; mnie wyglądało to trochę na mapę. Horst uważa, że to obraz jakiejś osoby, ale narysowany niewprawną, jakby dziecięcą ręką. Może ktoś później coś nagryzmolił?

- Portret, mówisz? Jak patrzę na te linie, to widzę, że przystają kolorystycznie do inkaustu, czyli chyba to ta sama ręka malowała. Zresztą zacznijmy tłumaczenie, to może z treści coś wyniknie.

Duchowny zaczął, jak miał w zwyczaju, przemierzać piwnicę miarowym krokiem, to zerkając na pergamin, to patrząc w mroczne kąty, półgłosem układając treść. Aptekarz nie lubił tego oczekiwania, lecz nie śmiał przyjacielowi przeszkadzać. Po chwili ksiądz usiadł i rozpoczął czytanie:

Diuk Henryk na parol wolność dał i po grodzie i ostrowiu pozwolił chodzić. Bydlił na to brat Johan wielce, który szpetnie przyjaźń mą oszukał, a bratu Balkowi o wszem gadał. Widzi się, że i diuk ze Szwaby związawszy się, jeno kielbie z sieci ciągnie, a wielkie ryby do zakonnego saka idą. Gród jak się patrzy stoi i nawet kaplicę brat Balk wyrychtować kazał. Wielce on pobożnym stał się, od kiedy franca na gębie wyszła mu, i konia dosiąść trudno. Plaga, co to w boleściach wielu nas złożyła, precz poszła. Jeno i mnie i inszym, na, ciele dzioby poczyniła, ale mnież tam jako słudze Bożemu to za jedno.

Trzy dni nazad statki dwa przybiły posażne, z kupcy z miasta Lübeck, którzy na banderę białą i czerwoną posiadają, a krzyże na nich jakowe rycerze od Świętego Jana mają, Myślelim wprzód, że to owi rycerze wspomóc Szwabów przybyli, ale jeno kupce i rzemieślników garść i pospólstwo do nas miasto zakładać przy płynęli. Wieczszą ich diuk Henryk podjął, a oni bogate dary

nieśli. I zdziwiłem się wielce, bo i Jaśnie Xięciu Świętopełkowi za lista dziękowali i ziemi nadanie, a mnie tęsknica za dworem Jaśnie Xięcia naszła. Zaraz się, wzięły kupce za miasta wytyczanie, a żem w geometrii sprawnym, to mnie da roboty najęły. I dwa spichlerze budujemnajpierw, bo to zaś żniwować pora będzie, a i siano dla żywiny zbierać czas. Radosno tak przy ludziach pracować i nowych patrzeć, choć język ich szwabski w uszy mocno kole. A z niemi złodziejski syn, Gunter przy płynął, który mnie pergamina i pióra, i inkaust zwędził, diabelec jeden, i mazać na nich panosze, żywinę i ptaków zaczął. Skórę mu garbować musiałem, ale serce zbolało i sierotę przygarnąłem. Jeno pergaminów mało mi ostało i na pomazanych pisać muszę. A tu i diuka Henryka i gród Elfing skrobnał, co się widzi podobne wielce.

- No i wyjaśniło się. Jak się tak przyjrzeć, to faktycznie, człowiek jest narysowany, o tu ma brodę, łysy chyba odrobinę. - Ksiądz Józef położył pergamin przed Edmundem. Paul, zaintrygowany, też się podniósł.

- To jest chyba wieża, a te kreski to ostrokół. Czekaście, tu jest jeszcze jakiś człowiek, pochylony, może coś kopie?

- Tak czy inaczej, to pierwszy wizerunek Elbinga, czy raczej Elfinga. Szkoda tylko, że brata Balka nie narysował.

- Paul wyprostował się.

- Słuchajcie, panowie, zostawmy te tłumaczenia. Czuję się już na tyle dobrze, że mogę iść. Jak coś znajdziemy, to może to być bardzo ciężkie, więc trzeba nas trzech.

Posłusznie podnieśli się i zaczęli ubierać. Erdmann skrzywił się niezadowolony.

- Edmund, po jaką cholerę bierzesz tę księgę?

- Przecież trzeba będzie sprawdzić, czy wejdzie. Ta jest największa. Dam radę, nie bój się.

Paul z irytacją przyglądał się księdzu Józefowi znikającemu w niższej piwnicy z notesem i papierzyskami i Edmundowi mocującemu się z jutowym workiem przewieszonym pod płaszczem. Kręcąc nosem, zamknął piwnicę. Ruszyli na łowy.

* * *

Heinz Cohn wrócił późnym wieczorem, skostniały, z katarem i kaszlem. W przedpokoju napotkał przestraszone, ale współczujące spojrzenie Minny i zaciekawiony, choć pogardliwy wzrok Bergmanna. Minny pomogła mu zdjąć płaszcz i buty, sadzając na fotelu. Bergmann, czując się jak u siebie w domu, nalał mu kieliszek wódki i rozsiadł się naprzeciw. Pomimo odniesionych w dwóch wypadkach obrażeń waźniak z Königsbergu trzymał się zaskakująco dobrze. Minna krzątała się w kuchni, rozpalając przygasły piecyk, a Gerhard cierpliwie czekał, aż Cohn odtaje.

- Coś długo, panie kolego - zaczął wreszcie. - Jak tam poszukiwania?

Heinz dolał sobie wódki. Drżenie skostniałego ciała ustąpiło, czuł za to rosnący ból w przemarzniętych członkach. Dobrze, że alkohol rozgrzewał od środka.

- Najpierw ty, Bergmann. Co ustaliłeś?

- Byłem pod wskazanym adresem, znalazłem jakichś ludzi w sąsiedniej piwnicy. Dom został zajęty przez oddział pomocniczy Luftwaffe, a właściciele uciekli jeszcze przed sowiecką ofensywą. Chłopak, który tam został na posterunku, od dawna nie widział żadnych cywilów. To wszystko. Teraz twoja kolej.

- Najpierw Heinz zje gorącą zupę. - Minna weszła do środka z parującym talerzem, Bergmann uśmiechnął się ironicznie, ale pozostała dwójka nie zwróciła na to uwagi.

* * *

Wstali wcześniej, jeszcze przed świtem. Niewiele rozmawiali, Cohn krótko przypomniał to, co ustalili, gdy wrócił. Zjedli solidnie, uszczuplając znacznie zapasy w spiżarni Minny, ale w końcu miał to być ich ostatni dzień w Elbingu. Kobieta dała im butelkę wódki oraz torebki z suszonymi śliwkami i jabłkami, aby mieli czym zagryzać. Obaj solidnie opatulili się i ruszyli. Już po kilku minutach Cohn zdał sobie sprawę, że ich akcja opóźni się. Mróz kąsał wściekle, a wiatr wyciskał łzy z oczu, które zamarzały na twarzy. Spojrzał na Bergmanna, który mimo grubego kożucha i sporej warstwy tłuszczu podobnie cierpiał. Kilka dni temu, gdy szedł do miasta, czuło się już wiosnę, a teraz? Skręcili do schronu przeciwlotniczego, których w mieście wiele zbudowano od jesieni czterdziestego czwartego. Dyżurny, starszy mężczyzna z opaską na wyświechtanym paletku, wpuścił ich do środka i wskazał miejsce na ławce, koło piecyka. Przez chwilę rozgrzewali dłonie i stopy, po czym podziękowali i ruszyli dalej.

Cohn wybrał dłuższą drogę, by sprawdzić też możliwości przejścia przez rzekę tam, gdzie przeprowili go żołnierze z siódmej pancерnej. Oznaczało to dojście do Ziesestraße i marsz wzdłuż zabudowań stoczni. Ponownie zatrzymali się, tym razem koło ogniska rozpalonego w ruinach domu przez patrol policji. Heinz ze współczuciem zagadał do trzech skostniałych mężczyzn, którym kazano sprawdzać przechodniów, odchodząc od życiodajnego ognia. Im bliżej centrum, tym krajobraz był coraz bardziej przygnębiający. Spalone kikuty tramwajów, rozbity sowiecki czołg, zniszczone domy, rozszabrowane sklepy, trupy koni, z których wycinano kawały mięsa. Mijali wymarłą baterię przeciwlotniczą ukrytą wśród baraków, baterię haubic okopaną na cmentarzu i zauważyli wreszcie jakiś ruch w

okolicach Schichaustraße⁸⁴, prowadzącej na starówkę. Z bramy targowej powiewała jeszcze dumnie banderia ze swastyką, choć materiał był rozpruty wewnątrz białego koła. Bergmann pokazał ręką na bujającą się na wietrze płachtę, a Cohn skinął głową. Przy skwerku koło bramy grupa ludzi w pasiakach wrzucała sztywne trupy do leju po potężnej bombie. Pilnowało ich zaledwie dwóch ludzi z bronią, ale ci biedacy chyba nawet nie chcieli uciekać. Wszyscy myśleli tylko o ciepłym schronieniu. Bergmann i Cohn byli już niedaleko celu.

Kierując się strzałkami, trafili do schronu-piwnicy, gdzie w smrodzie i ciemnościach siedziało kilkanaście osób. W Bergmannie wywołało to odruch wymiotny, ale wszedł za Cohnem do środka. Rozejrzeli się po oświetlonym karbidówką wnętrzu, ogrzewanym ciepłotą ludzkich ciał. Dygnitarz zaczął robić się zielony na twarzy, z paniką w oczach spoglądając na wyjście. Cohna także ten zapach mdlił, ale nie mógł pokazać swojej słabości przed tym nadętym bubkiem. Pociągnął go za ramię i wyjął spod płaszcza butelkę. Wypili po szybkim łyku i usiedli. Było parę minut po dziesiątej, czas na dojście do siebie i przemyślenie szczegółów. Wczoraj, w czasie wędrówki, Cohn sprawdził dokładnie swoje adresy, na koniec zostawiając szanowanego kupca Erdmanna. Budynek był częściowo zwalony, ale zauważył wydeptaną ścieżkę prowadzącą w gruzy, więc postanowił zaczekać. Fakt, zmarzył jak cholera, jednak w końcu zauważył charakterystyczną sylwetkę drobnego mężczyzny w okularach. Tego, którego kiedyś trzymał na muszce. Zadowolony ruszył za rzekę. Jego przepustka była doskonała, więc warty puszczały go bez problemu. Wokół przyczółków mostu, w umocnionych stanowiskach znajdowały się karabiny maszynowe, a niedaleko dwa okopane działa

przeciwpancerne. Był też pewien, że w filarach mostu założono ładunki wybuchowe.

Dzielnica za rzeką, nazywaną Grubenhagen, była znacznie bardziej zniszczona niż reszta miasta. Szczególnie dostało się spichrzom i magazynom, będącym charakterystycznym motywem, często uwiecznianym na pocztówkach. Z coraz większym niepokojem szedł w kierunku warsztatu, gdzie przezornie ukrył swojego citroena. Posesja leżała przy samym wylocie szosy na Gdańsk, zasłonięta przez magazyny miejskie. Pomimo zimna ruszył biegiem, wciągając lodowate powietrze do płuc. Dom mechanika był otwarty, a szopa rozwalona. Zaklął wściekle. Będzie musiał z Minną i tym grubasem w taki mróz leżeć tyle kilometrów. Zrezygnowany podszedł do sterty desek i szarpnął jedną z nich. Spadła z łoskotem na ziemię, pociągając kilka następnych. A jednak szopa nie była zniszczona w całości. Poszerzył wejście i wcisnął się do środka. „Cytrynka” miała lekko wgnieciony dach i lewy błotnik, ale jakimś cudem nie doznała większych uszkodzeń. Obok stała ciężarówka na holzgas⁸⁵, która przyjęła na siebie impet walącej się budowli.

Gorączkowo myślał nad alternatywnymi sposobami wyrwania się z Elbinga, nie wierząc w możliwość uruchomienia auta. Ale skoro już tu doszedł, musiał je sprawdzić. Pochylił się, sięgnął po korbę i zaczął kręcić. Tłoki poruszyły się, ale zgęstniały od mrozu olej nie pozwalał, by silnik zapalił. Wyciągnął zapaliki i przypalił drzazgę, a od niej deskę. Wczołgał się pod auto i zaczął żywym płomieniem rozgrzewać blok silnika. W końcu wyczołgał się, zmordowany i umorusany. Zakręcił ponownie, tym razem dużo łatwiej. Zaklął cicho w proszącej tonacji i... „cytrynka” z kaszlnięciem odpaliła. Pozwolił nabrać temperatury silnikowi, nie zważając na hałas. Potem sprawdził zawartość kufra - mechanik był uczciwy i nic

nie tknął, a zawalenie szopy musiało zniechęcić złodziei i innych amatorów motoryzacji. Zamaskował wejście do szopy i ruszył do domu Minny.

- Obudź się, czeka nas robota - dotarł do niego głos zirytowanego Bergmanna. Zerknął na zegarek, minęła jedenasta. Wyszli na powietrze, które choć lodowate, to ewidentnie nadawało się do oddychania. Przedzieranie się przez gruzowisko rozgrzało ich.

- To tu. - Cohn wskazał na kamienice należące do Erdmanna. Gdzieś za nimi słyhać było hałas, ale Spieringstraße wyglądała na opuszczoną. Szybko sprawdzili i przeładowali broń. Spojrzenie w lewo i w prawo i znaleźli się przed posesją. Mniejsza z kamienic była wyraźnie opuszczona, ale przed wejściem do większej policyjne oko Cohna rozpoznało ślady ludzkiej bytności. Przyłożył palec do ust i mocniej chwycił pistolet. Weszli do mrocznego wnętrza i stąpali ostrożnie po podłodze zasypanej gruzem. Rozpoznali w ciemności kilkoro drzwi, lecz te prowadziły do zrujnowanych pomieszczeń. Ostatnie były zamknięte. Cohn spróbował pchnąć je ramieniem, ale nie poddały się.

- Dawaj szalik i uważaj na ulicę - szepnął do Bergmanna. Obwiązał broń dwoma szalikami i wycelował w zamek. Dwukrotny huk wydał się znacznie głośniejszy, niż był w rzeczywistości. Cohn błyskawicznie napał na drzwi, które z trzaskiem ustąpiły pod siłą jego ramienia. Podłoga nagle urwała się, a on wykonał w powietrzu salto i zaczął toczyć się po ceglanych schodach. Pomimo dojmującego bólu zerwał się na nogi z pistoletem w poranionej dłoni. Za nim do środka wtoczył się Bergmann, sapiąc z wysiłku. Cohn schował pistolet i sięgnął do lewej kieszeni po latarkę.

- Szukaj - powiedział, zapalając światło. - Coś zrobiłem sobie w rękę, niech to szlag!

Pomieszczenie było puste, choć jego gospodarz lub gospodarze musieli je niedawno opuścić. W kącie stał metalowy piec, jeszcze ciepły, a na stole brudne filiżanki i kieliszki.

Bergmann zaczął od kredensu, wywalając jego zawartość na podłogę.

- Nie rób tyle hałasu, idioto - skarcił go Cohn. Grubas odburknął coś, jednak przeglądał zawartość mebli już ostrożniej. Ręka bolała coraz bardziej, z trudnością zapalił zapałkę i przytknął ją do świecy. Lewą dłonią sprawdził paluchy prawej, z trudem powstrzymując jęk. Chyba będzie musiał iść jeszcze do lazaretu, aby mu ją obejrzeli. Zacisnął zęby i wziął świecę w zdrową dłoń.

- Patrz, tutaj są! - Migoczące światelko oświetliło wykusz w murze, pod samym sklepieniem piwnicy. Bergmann podsunął fotel i wspiął się nań.

- Do diabła! Tylko trzy! Chyba te najcenniejsze, ale nie wszystkie!

- Dobra, zbieramy się. Pozostałe musieli gdzieś ukryć. Ładuj je do worka - rozkazał. Widział wściekłość na twarzy Bergmanna, lecz to on teraz miał dość. Te trzy księgi plus to co ma w aucie, starczą na rozpoczęcie nowego życia. W pobliżu jest wciąż funkcjonująca policja, przy moście wojsko, więc nie mogą ryzykować. Ci dziadkowie są niezwykle sprytni, o czym się sam przekonał. I jeszcze musi nakłonić Bergmanna, aby poszli do lazaretu von Plauena opatrzyć jego rękę.

* * *

Mieli szczęście, lecz tylko połowiczne. Szczęście, bo trafili na patrol, zanim weszli w gruzy, a zmarznięci strzelcy nie zainteresowali się trzema wędrującymi staruszkami. Połowicznie, bo wracali źli i zmarznięci, nie zdobywszy tego, o

czym myśleli. Przeszli koło ratusza i prezydium policji, gdzie zbierał się jakiś oddział, a jego podoficerowie klęli, używając najpodlejszej niemczyzny. „Ich” sklep ktoś inny musiał odwiedzić, może także, by załatać jakieś dziury. Edmund wśliznął się do środka, a Paul z księdzem Józefem udawali znajomych, którzy właśnie spotkali się przypadkiem w zburzonym mieście. Już zaczęli się niecierpliwić, gdy wyłonił się Boehmer, zawzięcie doń machając. Zmarznięci weszli do środka.

- Masz coś? - Głos Paula wyraźnie drżał.

- Tu, popatrzcie. - W kącie leżała metalowa skrzynia, zamykana na kłódkę.

- Ale jakaś mała. - Duchowny przyjrzał się jej krytycznie.

- To sam znajdź coś lepszego! - odparował aptekarz.

- Nie krzycz, Edmund, bo nas zaraz zgarną. Za rogiem przecież jest policja, ale skrzynia faktycznie mała.

- Ta się zmieści, może jeszcze jedna. Zostawimy ją na razie i szukajmy dalej. Może w muzeum będzie coś lepszego? Kiedyś taką tam widziałem.

Ksiądz Józef schwycił za uchwyt na wieku i jęknął z wysiłkiem.

- Dobry Boże. Tę ledwo można podnieść. Trzeba byłoby wojskowych o pomoc prosić, tylko gdzie ich znaleźć?

Stanęli nad skrzynią, nie wiedząc, co zrobić. Boehmer drapał się po kilkudniowym zaroście, po czym ruszył w stronę nadwerężonej ściany.

- Pomóżcie.

Chwycili za wystający spod cegieł i desek kawałek metalu i pociągnęli. Stopniowo, centymetr po centymetrze zaczęła pojawiać się taczka ogrodnicza, solidna, czarna, z drewnianymi rączkami. Razem wrzucili na nią skrzynię, ciężko dysząc.

- Zaraz nas policja złapie i dostaniemy po kulce w łeb. Przecież widać, że z nas złodzieje.

- Nie martw się, Josef. Chodź ze mną, niech Edmund poszuka jeszcze jakiejś kłódki, a my zaraz wrócimy.

Paul wyszedł na ulicę i rozejrzał się. Niedaleko oddział wojska formował szyk marszowy, przyciągając uwagę tych wszystkich, którzy mogli znaleźć się w pobliżu. Ruszyli do budynku po przeciwnej stronie ulicy. Drzwi były uchylone, a mieszkania na piętrze opuszczone.

- Bierz to. - Paul wcisnął księdzu wiadro, czajnik i kilka szmat. Sam pojawił się z pierzyną i książkami.

- Udajemy, że uciekamy z miasta, a to zabieramy. - Popatrzył kapłanowi w oczy. Ten kiwnął głową. Po chwili taczka z wściekłym turkotem, pchana na zmianę, ruszyła koło prezydium policji, odprowadzana zdumionym wzrokiem kilkudziesięciu ludzi ustawionych w szyku. Wielka pierzyna, z leżącymi na niej książkami, dyndające wiadro i trzech staruszków uciekających z miasta nie wyglądały w obleżonym mieście dziwnie. Na Spieringstraße chwycili razem skrzynię, uprzednio wepchnąwszy pojazd w gruzy. Mógł się przecież jeszcze przydać.

Pierwszy krzyknął ksiądz Józef. Metalowa skrzynia grzmotnęła o obsypaną gruzem podłogę, a oni popędzili schodami w dół. Księgi zniknęły!

* * *

Doktor Romeik był naprawdę wspaniały. W jakiś sposób potrafił wpłynąć i na nadprezydenta Lesera, i na komendanta Schoepffera, że jakimś cudem sprowadzili do największego lazaretu w mieście nowe leki oraz środki dezynfekcyjne i opatrunkowe. Ciężarówki i podwozy zwiozły je na wewnętrzny

dzieziniec, skąd wszyscy, którzy mogli, włączając lżej rannych, wnosili je na długi korytarz. Horst Boehmer, jako aptekarz, zajął się ich segregacją, kierując swoich pomocników w różne miejsca, gdzie poszczególne rodzaje środków były układane.

Sporą część stanowiły leki weterynaryjne, ale nie narzekał. Wieczorem, na kolejnej odprawie poinstruuje lekarzy i sanitariuszy o dawkowaniu. Martwiło go jedynie to, że znaczna część tych skarbów miała być rozesłana do innych szpitali.

Skrzynie, paczki, butle rozłożone wzdłuż okien długiego korytarza skutecznie utrudniały ruch personelowi i rannym, narzekającym na niespodziewany bałagan. Boehmer przywołał podoficera kierującego wyładunkiem i zabrali się do skrzyń z pękatymi baniakami środków dezynfekcyjnych. Wydawał polecenia, podoficer notował je na kartce, a ludzie chwyтали ciężkie paki i maszerowali z nimi w różnych kierunkach. Nagle usłyszał za sobą wściekły wrzask i odwrócił się. W rozpiętym płaszczu stał oficer SS, trzymając się za rękę, z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Przed nim przeżył się młodzian ze służby pomocniczej, na próżno starając się coś wytłumaczyć. Horst miał ruszyć, by uciszyć krzykacza, gdy zamarł. O kilka kroków dalej, za plecami SS-mana, stał ten grubas, który pojawił się u nich w aptece pamiętnego wieczoru. Sprawca wszystkich nieszczęść, jakie spadły na niego i ojca. Grubas trzymał coś pod pachą i rozglądał się wokół.

- Niech pan zawoła tu tego krzykacza, sierżancie - powiedział cicho do podoficera. Sam wszedł za stertę skrzyń, udając, że bada ich opisy. Serce waliło mu jak młotem, usta wyschły, a język skołowaciał. Dlaczego wydał sierżantowi takie polecenie? Usłyszał za plecami twarde uderzenia podkutych butów i nieprzyjemny głos:

- Pan jest szefem tego burdelu?

Horst odwrócił się powoli, prostując się. Był nieco wyższy od mężczyzny w oficerskim mundurze. Poczuł, że robi się czerwony na twarzy.

- Najbliższy burdel jest na Alt Stadt, jeśli go pan szuka. Sierżant wskaże kierunek. Zrozumiano?! - Podniósł głos.

SS-man zaskoczony zamrugał oczami, a stojący za nim podoficer zbladł.

- Chyba oszalałeś, doktorku. - Głos mężczyzny był podniesiony, ale bez poprzedniej pewności siebie.

- Sierżancie, proszę zawołać dowódcę ochrony. Zgodnie z rozkazem komendanta miasta za napaść na służby medyczne czeka natychmiastowy sąd polowy. - Horst wbił wzrok w twarz oficera, starając się za wszelką cenę nie zemdleć ze strachu.

- Przepraszam, doktorze, wiem, że odstawiacie tu świetną robotę. Doznałem dokuczliwej kontuzji - uniósł obolałą, spuchniętą rękę - a tu wszyscy biegają, nie zwracając uwagi na chorych. - SS-man zmienił ton na wręcz przymilny. - Raz jeszcze przepraszam i proszę o pomoc.

Horst pokiwał głową. Czuł, że napięcie gwałtownie opada. Skinął na sierżanta.

- Proszę zaprowadzić tego tu oficera do wolnego chirurga, aby to obejrzał. A gdyby robił jakieś problemy, to proszę powiedzieć, że ja osobiście go wysłałem. I niech pan wraca, sierżancie, natychmiast, bo nigdy nie skończymy z tymi lekami.

Mężczyzna skinął głową i wymruczał podziękowanie, ruszając za podoficerem. Horst opadł na skrzynię, ciężko dysząc. Teraz uzmysłowił sobie, że ten mundur należał do gestapowca. Ale dlaczego ów człowiek go nie rozpoznał?

* * *

- A niech to! Co teraz! No co teraz?! - Paul Erdmann przemierzał ich schronienie nerwowym krokiem, rozczesując palcami przetłuszczone, skołtunione włosy. Odpowiadało mu milczenie, gdyż Edmund i ksiądz Józef przytłoczeni „niespodzianką” sami walczyli z chaosem myśli. Szybki remanent wykazał, że brakuje pozostawionych na wierzchu ksiąg i srebrnego posążka z piętnastego wieku oraz dwóch połączonych lichtarzy. Na krótko odetchnęli, gdy duchowny wysunął się z niższej piwnicy z notesem i papierami w dłoni. Cała trójka doskonale wiedziała, że skoro złodziej znalazł trzy księgi, to zapewne będzie chciał odzyskać resztę, co osobiście nic dobrego im nie wróżyło.

- A ja myślę, że to znak od Boga. - Głos księdza Józefa, silny i wzburzony, odbił się echem od łukowatego sklepienia. Edmund wyprostował się, a Paul gwałtownie zatrzymał. Zdumienie odebrało im głos.

- Pomyślcie! To pewnie ci sami ludzie, którzy kilkakrotnie chcieli je dostać, a którzy nie przebierają w środkach. To Boża Opatrzność sprawiła, że przyszli wtedy, gdy nas nie było! Bo te diabelskie papiery - oskarżycielsko wskazał na notes i zapisane kartki - to wyrok śmierci. Żyjemy w takim systemie, w którym kto wie zbyt dużo, natychmiast ginie, prawda?

Edmund i Paul patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma. Józef nazwał to, co oni starali się wyrzucić poza nawias codziennych myśli. Przystosowali się do życia w narodowosocjalistycznym kraju, udając, że nie dostrzegają całego przytłaczającego zła totalitaryzmu. Dlaczego oni sami nie dostrzegli tak oczywistych rzeczy zaślepieni swoimi namiętnościami i wygodnictwem? Czy ksiądz zawsze musi mieć rację?

Pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia Paul.

- Że też sam o tym wcześniej nie pomyślałem. Musimy przedsięwziąć odpowiednie środki bezpieczeństwa. Czekać! - Rzucił się w stronę sterty skrzyń. Przez chwilę przestawiał je i gwałtownie przeglądał zawartość, aż wreszcie tryumfalnie postawił na stole drewniane pudełko.

- Co to jest? - niepewnie zapytał Boehmer.- Pistolety! - Erdmann był tak dumny, jakby przedstawiał im nowy typ Wunderwaffe. Otworzył zamek i odchylił wieko. Faktycznie, dwa piękne pistolety... pojedynkowe.

- Nie martwcie się, mam do nich kule i proch. W ubiegłym roku strzelałem tu w piwnicy. O, proszę. - Pokazał na ścianę.

- Tym chcesz strzelać do uzbrojonych zbirów? Takich, którzy mają rewolwery i karabiny, nie mówiąc o granatach?

- Pomyśl, Edmundzie! Oni nie będą się tego spodziewali. Mam jeszcze komplet pięknych polskich karabelli, które ponoć polski król na Turkach próbował. No masz, ta moja pamięć! Zamek wprawdzie przestrelili, ale przecież zapomniałem o tym. - Paul był prawie szczęśliwy. Z zakamarków wyszarpał dwie stalowe sztaby. - Zastanawialiście się, do czego służą te dziury w ścianie przy drzwiach? A niech sobie strzelają - TAKICH sztab nie przebiją.

- A poza tym, skoro zabrali księgi, to czego będą tu szukać? My tę zaraz zamurujemy, a notes i pergaminy będziemy chronić. I od tej pory dwóch wychodzi, a jeden zamyka i pilnuje. Otwieramy tylko na hasło. Poza tym, kiedy pojawi się nasz kapitan Scheppke, to poprosimy go o jakiś karabin czy dwa. Może nawet będzie miał zbędny maszynowy? Jeszcze z poprzedniej wojny pamiętam obsługę, ty też, Paul?

Ksiądz Józef z rosnącym przerażeniem przyglądał się samonapędzającej się ekscytacji dwóch mężczyzn. Głupi starcy. Jedynie natychmiastowa ucieczka może ich uratować. Dlaczego oni są tacy zaślepieni? Sam musi coś zrobić, a jeżeli go nie

posłuchają, to trudno. Otrząśnie pył z sandałów. Kiedy przyjdą tu Rosjanie, każdy kapłan będzie potrzebny i Niemcom, i Polakom.

- Josef, słyszysz mnie? - Twarz Edmunda pojawiła się tuż na wysokości jego oczu.

Zamrugął przestraszony.

- Ty nie musisz walczyć, ksiądz nie może zabijać. Ale, o ile pamiętam, trzeba bronić uciśnionych. Właśnie my takimi jesteśmy, nieprawdaż? - Edmund uważnie patrzył w twarz księdza. Zauważył lekkie, potakujące kiwnięcie.

- Poza tym pomyśl. Jesteś Polakiem, a my Niemcami, więc jeżeli wejdą tu Rosjanie, a to są Słowianie, wasi pobratymcy - to my, jako odkrywcy tej prawdy, będziemy w jakiś sposób chronieni przed sowiecką zemstą. A tylko ty, Josefie, potrafisz to przetłumaczyć. Byłem pyszny, myśląc, że sam to zrobię.

- Edmund, Paul - ta wiedza grozi nam śmiercią! Musicie to zrozumieć.

- Cały czas grozi nam śmierć. Dziś także mogliśmy kilkakrotnie zginąć. Lepiej stanąć przed Stwórcą z podniesionym czołem, jako człowiek, który zrobi coś wielkiego. A! Był taki polski pisarz, który dostał Nagrodę Nobla. Miałem u siebie jego piękną książkę *Quo vadis*. Pamiętasz, o co Jezus pytał Piotra? Ty jesteś naszym Piotrem, Josefie. Zostań z nami i skończ naszą pracę.

Twarz duchownego zaczęła nerwowo drgać, a oczy zwilgotniały. Paul podał Edmundowi chustkę, którą ten wcisnął w dłoń księdza. Brudny kawałek materiału zakrył lico i długie strugi łez.

* * *

Jeno pergaminów mało ostało i na malowanych skrobać mus. A tu i diuka Henryka i gród Elfing maznął, co się widzi podobne wielce. Boży dar tak pięknie...

...żalu po Henrykowych i lud osiadły i nasze Lanzany wyplakać nie mogą. Skwar wielki, a lud wszystki w chłopstwo obrócony wały nowe sypać musi, a do lasu po bale na częstokół wołkami jeździć i ciągnąć. Brat Rodryg jak luty zwierz ze swymi szwabskimi knechty batogów używa, a oporni w rzece Ilfing na podobieństwo pokarmu, dla ryb skończyli. Słabym jeszcze, jucha z łba cieknie, i ledwo pióro w ręce mi trzymać. Nie mogły to Szwaby gdzie indziej gród wznosić, a naprzeciw Elfing? Czy to sam mistrz von Salza tu go kazał stawiać?

We łbie się mi kotłuje ode wszystkiego. Gunter, który mnie wyniósł i dogląda jako pies wierny, braci Balka i Rodryga poszedł, kiedy gadali, iż nowy gród ma być, co by Świętopełkowe gadać przed sądem nijakim nie mogły, że na ichnim miejscu, na ostrowiu zasiedli Gdyby Jaśnie Xiążę z braty swemi kłopotu wiele nie miał, nie musiałyby zbrojna załoga wyjść z grodu Elfing i żaden Szwab zła czynić by nie mógł. I gadał jeszcze Gunter, że brat Balk przed gniewem Rodryga mnie chronił i druhem zwał. Pewność się we łbie mi jeszcze kolebie, bo nijak takiej szlachetności po owym rycerzu nie widzi. Z namiotu, żal jeno na pusty, a ograbiony Elfing patrzeć. Chwała Bogu jedynemu, że choć i pogany cicho po lasach siedzą i z orężem na nas nie idą. Amen.

** * **

Walka rozegrała się nad ranem, kiedy grupa bolszewików próbowała przedrzeć się przez Nogat na ich stronę, jakieś pół kilometra na południe od stanowiska kompanieführera Scheppkego. Warty oczywiście przysnęły, dobrze, że jeden z

chłopaków musiał iść za potrzebą na stronę i usłyszał jakieś niepokojące głosy od rzeki. Miał z sobą broń, więc wypalił kilka razy, chyba bardziej dla dodania sobie kurażu niż do widocznego celu. Rozpoczęła się wściekła strzelanina, gdyż Sowietci wbiegli pomiędzy zabudowania, najwidoczniej w poszukiwaniu języka. Volkssturmiści z kolei, rozleniwieni pobytem w chatach, wpadli w popłoch, biegając naokoło w gaciach i strzelając do wszystkiego, co się ruszało. Jednak w końcu zdobyli przewagę i odcięli Rosjan od rzeki, a ci ruszyli na północ, kierując się na placówki Puckerta i Scheppkego. Niezawodny kapral, jeszcze niezupełnie trzeźwy, zatrzymał pochód wroga, sam jednak został poważnie ranny. Koniec końców napastnicy wycofali się za rzekę, porywając dwóch ludzi, w tym podoficera, i zostawiając półprzytomnego z upływu krwi zwiadowcę. Nie czekając na rozkazy, podoficerowie wystawili świeże posterunki nad rzeką, strzelając od czasu do czasu w stronę obsadzonego przez Sowieców zachodniego brzegu. Wtedy właśnie pojawiła się półgąsienicowa ciężarówka steyr, na którą załadował się Scheppke wraz Wagnerem i Küßnerem oraz rannym bolszewikiem. Bataillonsführer marudził coś przez radio, ale były policjant miał to gdzieś. Ważne było, co on planował, a nie czyjeś rozkazy.

Steyr podwiózł ich aż pod sam sztab obrony, gdzie przekazali rannego jeńca. A o dwa kroki stamtąd był jego dom i piwnica. Küßner dostał rozkaz uruchomienia ich terenowego wozu, który stał w Danziger Kaserne, odpowiednio „zabezpieczony” przed mundurowymi amatorami cudzej własności. Wagner i Scheppke weszli do cuchnącej piwnicy, w której nadal gnieździli się jego sąsiedzi. Obaj, mimo iż zaprawieni do koszarowego smrodu, musieli przez chwilę „aklimatyzować się” do piwnicznej atmosfery. Po napadzie

ludzi kreisleitera zapewne miejscowi także dobrali się do zawartości, którą Otto tak skrętnie gromadził na ciężkie czasy. Klnąc wściekle, kapitan odkrywał coraz to nowe braki: świece, nafta, zapalki, słoje z jedzeniem, koce, dwa kanistry z benzyną, suszone owoce, sól, gwoździe i deski - zniknęły lub ich nędzne resztki zaścielały podłogę. Wagner z respektem spoglądał na szefa, nie odzywając się przezornie, by nie doprowadzić do wybuchu.

- Jasna cholera, nawet łom ukradli. Nie daruję! - Wyszarpnął pistolet z kabury i ruszył do drugiej części piwnicy, nie zważając na to, w co wdeptuje.

- Darnau, wstawaj! - wycharczał przez nie do końca wygojone szczęki. W półmroku kulilo się do siebie kilka bądź kilkanaście osób. Schylił się, chwycił za włosy siedzącą najbliżej dzierlatkę i uniósł ją.

- Zapalić mi tu światła i dawać tego Darnau! - warknął powtórnie. Rozległ się płacz dziecka i przerażone szepty. Błysnął płomień zapalki i świeca. Pchnął panienkę i wycelował broń w stojącego pod ścianą człowieka.

- Wynocha wszyscy na dwór z tego chlewa. A ty najpierw oddasz mi łom i moje narzędzia - już!

Trzęsący się ze strachu ludzie zaczęli się przeciskać obok niego. Schepke złapał za ramię tę samą dziewczynę i przyciągnął do siebie.

- Jak komuś coś głupiego przyjdzie do łba, to ją zastrzelę. A ty się ruszaj.

Starszy mężczyzna objuczony metalowym drągiem coś mrucał przepraszająco, ale wściekły kapitan tylko kopnął go, przyspieszając ruchy. Po chwili z jego piwnicy rozległy się odgłosy kucia, a Darnau, opróżniwszy zabytkową skrzynię ze swoich kłopotów, zaczął napełniać ją przywłaszczonymi rzeczami.

- Benzyna! - krzyknął policjant.

Mężczyzna zaczął coś bełkotać o wybuchu, pożarze, ale zdesperowany Scheppke odbezpieczył broń i przyłożył lufę do głowy skamieniałej z przerażenia nastolatki. Darnau wybiegł na podwórze, gdzie stali rozdygotani mieszkańcy schronu, a do uszu kapitana dobiegł rozrywający szloch kobiety i wiele nerwowych okrzyków. Z brzękiem oba kanistry wniesiono do środka.

- Zamknąć mi skrzynię i włożyć tu, wszyscy! - Posłuszni ludzie wsuwali się do wnętrza jeden za drugim. Po co ich sąsiadowi, temu zawsze uczynnemu, jowialnemu wręcz emerytowanemu policjantowi benzyna? Spali ich? Tuż przed komendą garnizonu? Przecież oni tylko wzięli sobie to, co jemu, oficerowi i tak nie będzie potrzebne. Mieli to rozkraść inni, podobni do tych, którzy napadli ich kilka dni temu? Scheppke stał w drzwiach, z pistoletem w dłoni, coraz bardziej zwracając uwagę na odgłosy dochodzące ze swojej izby piwnicznej. Łoskot sypiącego się muru odciągnął całkowicie jego uwagę od mieszkańców. Ruszył do siebie, wyraźnie podekscytowany, zapomniawszy o przerażonej gromadce. Wagner, ciężko dysząc i krztusząc się od pyłu, wyciągał owinięte w gruby papier pakunki.

- Dobrze, weź którąś ze skrzyń, wywal jej zawartość i wkładaj je do środka. Ja zobaczę, co z transportem.

Wyjrzał na ulicę - wartownicy, potupując, czuwali przed wejściem do sztabu, dalej stały jakieś pojazdy, lecz nie widać było ich terenowego steyra. Zaklął i ruszył na drugą stronę, od podwórza. Odgłos za plecami zmusił go do odwrócenia się. Ktoś wybiegł na ulicę, korzystając z jego nieuwagi. Scheppke skoczył po schodach, ślizgając się na ich powierzchni. Darnau! Jego obmierzły sąsiad sadił w stronę komendy garnizonu, machając rękami do wartowników. Tego jeszcze mu brakowało.

- Jestem, szefie! - w korytarzyku od podwórka rozległ się głos Küßnera. Nareszcie.

- Bierz z Wagnerem skrzynię i ładujcie ją natychmiast. Będą kłopoty! - rozkazał. Przepuścił żołnierza, a sam pojawił się w części wypełnionej swoimi sąsiadami. - Ty i ty - brać skrzynię i za mną. No, ruszaj się! - wycedził, wymachując pistoletem. Wskazani chwycili ciężki mebel i stękając, zaczęli go wynosić. Przepuścił ich, spluwając pogardliwie do środka, po czym ponownie wspiał się na klatkę schodową. Wyjrzał ostrożnie. Darnau coś tłumaczył ubranemu w płaszcz oficerowi, pokazując na ich dom. W otoczonym workami z piaskiem wejściu pojawili się żołnierze pod bronią. Nie czekając na rozwój wypadków, kilkoma skokami znalazł się na podwórzu. Steyr pyrkał na wolnych obrotach - szybko wdrapał się do środka.

- Jedziemy stąd. Gazem!

Samochód zakolebał się gwałtownie, a Scheppke uderzył obolałym policzkiem w szybę. Ból zamroczył go.

- Nic panu nie jest, szefie? - Wagner wychylił się do przodu z tylnego siedzenia i spojrzał w oczy swojemu dowódcy. Kompanieführer przygryzł wargę i coś mruczał do siebie. W końcu głębiej odetchnął i mruknął bardziej do siebie niż siedzących obok towarzyszy:

- Nigdy nie sądziłem, że zachowam się jak skończony bydlak. Ci ludzie w piwnicy przecież chcieli tylko przeżyć. Tak jak ja... my - poprawił się, spojrzawszy na kierowcę i Wagnera. - Jak ta gestapowska świnia, którą tak pogardzałem...

* * *

Po rozszyfrowaniu kolejnego fragmentu tekstu przez chwilę siedzieli, nie wiedząc, co powiedzieć. Najróżniejsze emocje

odbijały się na oświetlonych światłem świec twarzach, wywołując niekontrolowane zmiany mimiki, gesty, słowa, których sens postronnemu obserwatorowi (gdyby takowy był) ciężko byłoby zrozumieć. Edmund pierwszy poderwał się z fotela i zaczął przemierzać ich loch krótkimi, szybkimi krokami. Żaden z pozostałych nie zareagował na jego irytujący nawyk, który wcześniej kilkakrotnie był powodem niesnasek. Ich pamięć podsuwała poprzednie fragmenty pergaminów, tekst Dusburga mieszając z potocznymi wyobrażeniami i jak fala sztormowa podmywając fundamenty znanego świata.

- Wiecie, nic z tego nie rozumiem. To Elfing nie Elbing? - Edmund zatrzymał się gwałtownie przed stołem. Paul i ksiądz Józef popatrzyli na niego, wracając do rzeczywistości z chaosu myśli.

- Tak to chyba należy rozumieć. Pamiętacie, co mówiłem wam o tych wykopaliskach na Speicherinsel? Wtedy zapewne odkryli ten gród założony przez księcia pomorskiego, „Swantopolka”. Strasznie trudne te polskie imię.

- To kto założył Elbing, to znaczy, nasze miasto? Josef, przestań milczeć, ty zawsze masz jakiś pomysł, to oświeć mnie wreszcie! - Edmund podparł się pod boki, wpatrując się w twarz księdza. Ten drapał się po zarośniętej brodzie, zbierając myśli.

- Poczekajcie, przypomnijmy sobie fakty. - Pochylił się i zaczął przerzucać zapisane przez Edmunda szwabachą kartki. Wyciągnął na wierzch jedną z nich i pokazał na fragment palcem.

- Pierwsza nazwa, jaka się pojawia to Ilfing...

- No masz ci los, jeszcze jeden!

- Edmund, uspokój się, daj Josefowi myśleć...

- Dlaczego to JA mam się uspokoić, przecież...

Ksiądz poderwał się na nogi i chwycił płaszcz. Pozostali zaskoczeni zamilkli, zapominając o rozwijającej się awanturze.

- Muszę na stronę. Edmund, chodź ze mną, a Paul popilnuje...

Edmund skinął głową. Włożył płaszcz i okręcił się szalikiem. Pistolet wsunął lufą do rękawa i ruszyli po schodach. Za sobą usłyszeli zgrzyt zasuwanej żelaznej sztaby. Jak wcześniej przez chwilę obserwowali ulicę, lecz poza patrolem i kilkoma przemykającymi postaciami nikogo podejrzanego nie zauważyli. Tym razem przeszli na drugą stronę, gdzie chociaż trudniej się dochodziło, jednak było nieco zaciszniej. Wracając, powtórzyli procedurę, a przy wejściu zapukali w umówiony sposób. Ksiądz Józef rozcierał zmarznięte dłonie, na twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, który zawsze towarzyszył nowym pomysłom duchownego.

- A więc najpierw był gród pruski Ilfing. Pamiętacie, to jego mieszkańcy zaskoczyli krzyżowców w czasie zdobywania Drusen. Potem, na ostrowie, czyli wyspie - popatrzył znacząco na Paula - Świętopełk II kazał zbudować gród zwany Elfing. Oba grody były blisko, a ich mieszkańcy pewno się nie kochali. Aha, Elfing musiał powstać rok wcześniej niż Elbing, a więc w tysiąc dwieście trzydziestym szóstym. Elbing zaś zakłada Hermann Balk czy von Balk. I w dokładniej nieznanych okolicznościach przymusza mieszkańców Elfinga do przeniesienia się. Tak to chyba było, jednak Dusburg nic o tym nie wspomina.

- Kojarzę inny podobny wypadek, choć znacznie późniejszy. W siedemnastym wieku szwedzki król, bodajże Karol XI, postanowił założyć nowe miasto, Karlskrone. By przymusić mieszkańców prowincji do przenosin w nowe miejsce, zniszczył ich domy. Byłem tam kiedyś w interesach w fabryce wyrobów emaliowanych w Ronneby. Opowiadał mi o tym nauczyciel, który mnie oprowadzał po mieście, jak mu było? Aha, Per Linde.

- Mamy jeszcze pięć pergaminów, więc na co czekamy?

- Paul chwycił za ołówek, ze skrami w oczach spoglądając na przyjaciół. Obaj roześmieli się.

* * *

Po powrocie do domu Minny od razu pokłócili się. Bergmann, choć ledwie dysząc, natychmiast chciał ruszać, ale Cohn zaoponował. Wywiązała się z tego niezła awantura, a gdy mężczyźni schwycili za kabury, Minna wkroczyła, uświadamiając im, że zachowują się jak szczeniaki. Mamrocząc pod nosami, usiedli naprzeciw siebie, mając karafkę miętówki pomiędzy. Decyzja została w zasadzie podjęta przez nią, bo po rozgrzaniu się alkoholem zabrała ich na krótki spacer w rejon osiedla Ericha Kocha, gdzie w ogródku wypatrzyła ręczny wózek. Wyciągnęli go spod sterty opałowego drewna i zatargali do domu. Pojazd wymagał drobnych reperacji, więc chcąc nie chcąc, obaj mężczyźni zmuszeni zostali do zejścia do piwnicy i stawienia czoła robotom stolarskim. Ani wyposażenie piwnicy, ani ich umiejętności nie przyspieszyły prac i wraz z ładowaniem wózka zeszło im dobre kilka godzin. Trzeba było jeszcze przejść przez linię wart i patroli. SS-man i wysoki funkcjonariusz partyjny wyglądaliby podejrzanie z walizkami czy wózkiem. Ba, oznaczałoby to najprawdopodobniej natychmiastowe aresztowanie przez żołnierzy, którzy niespecjalnie lubili takich jak oni dekowników. Pozostało im przebranie się w zniszczone łachy, by choć z daleka wyglądać na zwykłych uciekinierów. Było już dobrze po czwartej, kiedy wreszcie ruszyli. Bez problemów przedostali się do Horst-Wessel StraÙe - ulicy noszącej wyraźne ślady walk. Dalej, przy skrzyżowaniu ze Stern Schanze⁸⁶ trafili na rozprzestrzeniający się gwałtownie pożar sporej kamienicy. Znaczna jak na owe czasy gromada mieszkańców miotała się wkoło, lamentując i

starając się zmusić grupkę żołnierzy do ratowania uwięzionych ludzi. Zwolnili, widząc doganiający ich patrol policji, ale ci nie okazali im żadnego zainteresowania, zajęci zamieszaniem na rogu. Głębiej ulica była kompletnie zatarasowana przez rozbity pojazd pancerny szepiony z wypalonym wrakiem ciężarówki. Wokół leżały ludzkie zwłoki, na których widok Minna odmówiła dalszego marszu. Bergmann też miał już dość, lecz widok jego zsiniałej od mrozu i wysiłku twarzy zachęcił Cohna do podkręcenia tempa marszu. Z chaosu wydostali się w okolicach Markt⁸⁷ i tu pozwolił im chwilę odsapnąć. Następnie powoli ruszyli koło zrujnowanej przystani statków w stronę mostu. Chmura gęstego dymu z płonącego po przeciwnej stronie magazynu na moment zasłoniła im widok. Krztusząc się, wyszli z niej, a Cohn gwałtownie zatrzymał się. Przez chwilę cała trójka wpatrywała się w scenę rozgrywającą się przed nimi, po czym ponownie zanurzyli się w dymie. Na przyczółku mostu stało kilku ludzi z podniesionymi rękoma, a wokół nich żandarmi z bronią gotową do strzału. Cohn i Bergmann doskonale wiedzieli, co robi się z każdym podejrzanym o dezercję - w końcu sami stosowali takie prawo wobec innych. Minna zaczęła szlochać akurat teraz, kiedy Cohn starał się przemyśleć sytuację. Pozostawała im tylko ta sama droga, którą on dostał się do Elbinga. Choć był zmordowany, z cichą satysfakcją zauważył, że Bergmann prawie rozplakał się, słysząc o kolejnych kilometrach marszu. Koła wózku czyniły potworny hałas na bruku Ziesestraße, ale Cohn przestał na to zwracać uwagę. Z mijanej stoczni dochodziły ich wyraźne odgłosy ludzkiej działalności - pracujące maszyny, zgrzyt metalu, szcęk gąsienic. Czyżby jeszcze coś produkowali pod sowieckim ogniem? Nieważne. Ostatkiem sił wyszli nad rzekę, naprzeciw obozowych baraków. Parę dni temu, bardziej w

prawo, grenadierzy przewieźli go łodzią. Znaleźli się na otwartej przestrzeni, ale zmrok zamaskował ich obecność. Słabiutki poblask dalekich pożarów za plecami połyskiwał na nierównej lodowej tafli. Co było po przeciwnej stronie, nie wiedział - o ton mroczniejsza linia znaczyła kres ich przeprawy.

- Słuchajcie - szepnął, ciężko dysząc. - Minna, idziesz pierwsza, bo jesteś najlżejsza. Weź tę deskę - wyciągnął spod nogi spory kawałek drewna - będziesz nią badała lód. Ja idę z wózkiem kilka metrów za tobą, a za mną Bergmann, jako najcięższy - dodał zgryźliwie.

- Tyś chyba zgłupiał, Cohn, kiedy myślisz, że ja będę jak wariat za tobą laźł. Jeśli mam iść, to sam będę ciągnął wózek. - Pomimo zmęczenia głos Bergmanna stał się twardy.

- Ty i wózek to będzie ze dwieście kilo, kretynie. Niedawno przewozili mnie przez rzekę żołnierze i wiem, jak ten lód wygląda. Wózek i ja jesteśmy trochę ciężsi niż ty sam. Poszukaj sobie jakiegoś drąga, to w razie czego cię wyciągnę. - Cohn spojrzał na partyjnego z nienawiścią. Do diabła z papierami Bergmanna. Dość miał już tego bubka, który zapewne wkrótce spróbuje się go pozbyć. Nie czekając na ich reakcję, Cohn ostrożnie zszedł na lód. Przynajmniej tu, przy brzegu, był dość gruby. Wdrapał się ponownie na skarpę i chwycił za dyszel wózka.

- Idziemy. Minna - każdy krok sprawdzasz deską. Jeżeli będziesz miała wątpliwość, to cofnij się. Pamiętajcie, żadnych gadek, wytrzeszczać oczy i patrzeć, co robi osoba przed tobą.

Minna i Bergmann pokiwali z rezygnacją głowami. Kobieta skrycie przeżegnała się, starając się modlitwą uspokoić napięte do ostateczności nerwy. Heinz pomógł jej zejść na tafle. Lód połyskiwał słabo matowym odbiciem. Nacisnęła krawędzią deski miejsce przed sobą. Powierzchnia ani drgnęła, więc ostrożnie postawiła w to miejsce nogę.

Jesteś przy brzegu, nie bój się. Tu jest bezpiecznie, a Heinz jest za tobą - powtarzała w myślach. Stuknęła deską nieco dalej i wzdrygnęła się, słysząc jęknięcie za plecami. Postawiła drugą nogę i zamarła. Nic. Jej oczy w mroku zaczęły wyławiać jaśniejsze i ciemniejsze plamy na powierzchni. Przyłożyła deskę do lodu i napała ciężarem ciała. Usłyszała ciche zgrzytnięcie, lecz znowu nic się nie stało. Kolejny krok i kolejny nacisk krawędzi deski. Poczowała się pewniej. Za sobą usłyszała skrzypnięcie wózka - znak, że Cohn wszedł za nią na lód. Nie oglądała się za siebie, skupiona jak nigdy w życiu na swoim zadaniu. Powierzchnia lodu zrobiła się niespodziewanie pofałdowana i ostra.

Pewnie pocisk wyrzucił krę na lód - przemknęło jej przez myśl. Skręciła, wyszukując bezpieczniejszą drogę. Deska rytmicznie stuknęła o powierzchnię, prowadząc małą kolumnę. W pewnej chwili zatrzymała się. Ciemny brzeg znacznie się przybliżył, mogła zobaczyć już nadbrzeżne drzewo. Nagle deska zagłębiła się w lodzie. Minna przesuwiała się wzdłuż szczeliny, badając drogę. Po kilku metrach trafiła na pewniejszą warstwę i zaryzykowała wejście na nią. Usłyszała delikatne chrupnięcie, ale powierzchnia nie drgnęła. Wstrzymując oddech, przeszła dalej. Przyśpieszyła nawet i zlana potem chwyciła się gałęzi nadbrzeżnego drzewa. Ciężko oddychając, odwróciła się, wypatrując Cohna. Światło z przeciwległego brzegu, choć słabe, oślepiło na moment przyzwyczajone do mroku źrenice. Odwróciła głowę, gdyż kątem oka zauważyła ruch, a potem doleciał do niej trzask i głośny chlupot. Zamarła przerażona.

* * *

Cohn wszedł na lód i zatrzymał się. Zdjął skórzany pas, którym spiął swój stary płaszcz i owinął nim dyszel. Zawsze to

metr dalej od ciężaru. Wbił oczy w Minnę. Kobieta badała powierzchnię, zanim zrobiła krok. Po chwili nawet nieco przyśpieszyła. Heinz przesuwiał ostrożnie stopy, naśladowując jej kroki. Wózek z cichym turkotem poruszał się za nim, na razie nie sprawiając kłopotu. Odwrócił się za siebie, by zauważyć Bergmanna uzbrojonego w kawałek zdezelowanego wiosła. Do diabła z nim. Minna wysforowała się do przodu, więc nieco wydłużył krok. Krok ona, krok on. Nagle zatrzymała się, po czym drobnymi kroczkami przeszła wzdłuż niewidzialnej przeszkody. Cohn obserwował ją w bezruchu. W końcu ruszyła prosto, widocznie znajdując pewniejszą drogę. Pozwolił, by jej sylwetka prawie rozplynęła się w mroku, po czym szybko poszedł w jej ślady. Przed miejscem, w którym zwolniła, skręcił, szarpiąc się z wózkiem. Przeklęty rupieć mało go nie przewrócił. Łód zaczął trzeszczeć pod nogami, ale on parł dalej. Zrobił kolejny zakręt prawie o sto osiemdziesiąt stopni i walcząc z wózkiem, przeszedł pięć kroków wzdłuż cienkiego lodu. Zatrzymał się na chwilę, ciężko dysząc. Spojrzenie w prawo - Minna była tuż przy brzegu. Teraz gdzie jest Bergmann? W mroku, skupiony, chyba nie zauważył jego manewru. Heinz odwrócił się w stronę bezpiecznego brzegu i powoli ruszył w kierunku Minny. Kobieta chwyciła się gałęzi drzewa i odwróciła w jego kierunku. Aż zatrzęsł się, słysząc trzask pękającego lodu. Szarpnął za pasek i pociągnął wózek, który potoczył się w kierunku Minny.

- Bergmann, gdzie jesteś?! - krzyknął ściszym głosem, odwracając się. Odpowiedziało mu bulgotanie wody. Pochylił się w stronę topiącego się, starając się przebić wzrokiem ciemność. Zduszony okrzyk dobiegł go z odległości dwóch-trzech metrów i zapadła cisza. Stał skamieniały - strach go unieruchomił. Nagle wiosło grzmotnęło go w stopę. Spojrzał na

swoje buty i wzrokiem trafił na wyciągnięte ręce oraz owalny kształt głowy odcinający się od mrocznej topieli.

- Już idę, trzymaj się! - powiedział w stronę tonącego.

Opadł na kolana i chwycił połamane pióro wiosła.

Szarpnął nim gwałtownie i uwolniwszy je, grzmotnął kilkakrotnie w łeb Bergmanna, który znikł pod lodem. Odczekał chwilę i trzęsąc się dopełził do Minny.

- Nie, nie dałem rady, utonął. - Ciężko dysząc, padł na lód u jej stóp.

* * *

W przezornie zabranym worku nieśli zlodowaciałe bryły śniegu zebrane z ulicy i wojskowe puszki, które zaczęto wydawać z samochodu na Adolf-Hitler-Straße⁸⁸, gdy już wracali z lazaretu. W końcu dojrzeli do decyzji natychmiastowego zamurowania księgi, a pergaminy i notatki mieli ukryć w innym miejscu. Edmund wpadł na pomysł wyprawy do miasta, by przy okazji spróbować się spotkać z Horstem. Dni spędzone w osamotnieniu wywołały w nim tęsknotę za synem i wnuczętami. Po drodze zwierzył się Paulowi z przeczucia śmierci. Ten obruszył się, ale niezbyt mocno. Sam pewnie miał podobne myśli i zaczynał żałować decyzji pozostania w Elbingu.

Horst jak zwykle był zajęty, lecz wyskoczył na chwilę i serdecznie staruszka wyściskał. Stali tak przez chwilę, ojciec i syn obejmujący się na środku korytarza, wywołujący krótkie uwagi przechodzących. Edmund już za bramą popłakał się i Paul nie mógł go uspokoić. Dzień był jak na czas oblężenia spokojny - nawet bolszewicy tylko z rzadka strzelali. Może i im brakowało amunicji?

Paul w końcu krzyknął na Boehmera i przywołał go do porządku. Dla odwrócenia uwagi od niewesołych myśli zaczęli zbierać bryłki czystszeo śniegu, a potem dostali po dwie puszki mięsne wydawane z samochodu. Myśl o smażonej wieprzowinie od razu poprawiła aptekarzowi humor, więc nawet zaczął żartować. Przed wejściem do piwnicy dostrzegli przewrócony dziecięcy wózek i rozrzucone rzeczy. Ktoś musiał grasować w ruinach. Paul rzucił worek i wyciągnął z za pazuchy swój pojedynkowy pistolet. Mruknął ostrzegawczo do Edmunda, który kucnął na środku ulicy. Pocąc się obficie, z łomoczącym sercem wspiał się na zasypane gruzem schody i wcisnął do wnętrza. Boehmera znowu załża czarna rozpacz - utracił książki, stracił dom, teraz zapewne stracił przyjaciela i efekty niezwyklej pracy. Stracił, tym razem ostatecznie, sens życia. Opadł bez siły na kolana i objął głowę rękami. Nie zwrócił uwagi na kroki za plecami. Patrolujący volkssturmiści zbyt wielu takich jak on wiedzieli, by nawet starać się pomóc. Ktoś go wołał. Może to zmarła żona? A może duch sąsiada, Bauera, który zginął parę dni temu?

- Edmund! No rusz się! - Okrzyk stał się wyraźny i zrozumiały Erdmann stał przed zrujnowaną kamienicą i machał na niego przyzywająco. Z trudnością podniósł się i poczłapał do środka. Uderzył go smród niemytych ciał, do którego już przywykł, zmieszany z wonią świec i spalonego tłuszczu.

- No, wreszcie jesteś! Myśmy łazili, a tu patrz, jaka ucztą! Smażony boczek i ziemniaki. Te nasze puszki to...

Edmund jak chłopiec zbiegł po schodach i chwycił księdza Józefa za rękę. Przez dłuższą chwilę potrząsał nimi, starając się powstrzymać łzy. Zaskoczony duchowny wyswobodził dłoń i podprowadził przyjaciela do fotela. Zaraz też podsunął mu talerz z jedzeniem.

- Poczekaj! - Paul poderwał się ze swojego miejsca i zanurkował w głębi kredensu. Z tryumfem na twarzy zaprezentował im zakurzoną butelkę.

- Rocznik tysiąc dziewięćset dziesiąty. Niestety, nie wiem, co to za wino, bo jedynie data na nalepce się zachowała, ale trzeba uczcić taką wyzerkę - trajkotał, by nie dopuścić do kolejnej zmiany nastroju aptekarza. Błysnął korkociąg i ciemny płyn wlał się do brudnych kieliszków. Jedząc, mlaskali, siorbali i oblizywali palce, zupełnie jak chłopcy.

- Powiedz, Josef, skąd to masz? Przecież nie obrabowałeś żadnego sklepu? - Edmund wyraźnie rozluźnił się. Pełny od kilku chwil brzuch i dobre wino odsunęły złe myśli.

- No wiesz co! Jak mógłbym coś... - Ksiądz Józef napotkał piorunujący wzrok Paula i zmieszał się. - Po prostu zajechał tu na chwilę pan kapitan Scheppke ze swoimi ludźmi. Wysłano ich teraz gdzieś nad Nogat i jechał tam z zaopatrzeniem. Wyprosiłem trochę zapasów, ale nie oczekiwałem takiej szczodrości. Mamy też kilka bochenków wojskowego chleba i puszki ze słoniną. Kapitan mówił, że Sowoci coraz mocniej ich naciskają, ale znalazł wspaniałe miejsce na ukrycie ksiąg. Chciał zabrać te, które zostawił, ale mu powiedziałem, że ponownie byliśmy napadnięci i... skłamałem. Niech mi Bóg wybaczy, ale nie chciałem nic mówić o pergaminach ani tej księdze, która została. Jak zaczęli dobijać się do drzwi, to ledwie ją ukryłem. Chociaż teraz żałuję, bo to diabelska książka. Ale z drugiej strony, może nie będzie ona prześladowała kapitana i jego żołnierzy.

Słyszając słowo „księga”, Edmund zeszywniał, ale potem ponownie odetchnął.

- Dobrze zrobiłeś, Josef. Mamy śnieg, zaraz go roztopimy i wreszcie zamurujemy ją.

- Tak zrobimy. I dokończymy tłumaczenie, które rozpocząłem.

* * *

Me serce raduje się, ptacy nad łąkami śpiewają, i zieleń czysta po zimach nad Ifingiem kwitnie. Mój wierny Gunter przed samym Ojcem Świętym śluby złożywszy, jako brat się stał i we wszystkim mnieź dogląda. Statkiem z Duńczyki płyniem z Gdańska da Elfinga, choć wszystkie prawią, że gród, który Jaśnie Xiążę Świętopełk ostawiał, w ruinę popadł, a szwabski Elbing teraz stoi.

Radość największa na ojczyste strony patrzeć, choć przecież cudów żem się naoglądał peregrynując jako poseł Jaśnie Xięcia do Rzymu samego, przez krainy Polaków, dzikie puszcze, gdzie kamienne zamki i Szwaby - rycerze co to grabią pielgrzymów, jak i kupców, góry do niebios sięgające, a mrozy tak lute, jakich nigdy nie doświadczył. I Italia słodka, gdzie drogi z kamienia, domostwa wielgachne, opactwa sute, a lud prosty żebrać jeno umie. Dwie niedziele czekałem w ciżbie wielkiej w Rzymie, aż nas Ojciec Święty Grzegorz IX przyjąć raczył. Padłem przed Majestatem Największym i pismo Jaśnie Xięcia Świętopełka przedstawiłem. Obruszył się wielce, że rycerzom krzyżowym w krucjacie na drodze stoim, ale mój Gunter kapotę zdarł mi z grzbietu i wciąż ropiejącą ranę po batogu szwabskim okazał. Ojciec Święty gniewem, zapalał, bo to już mu donieśli, że ja z wityngów, a i śluby przecież u Cystersów miałem. I ucho dał i narychtować pismo do mistrza von Salzy i brata Balka, kazał, by krześcijańskie miłosierdzie okazywać nowym braciom w wierze.

Gorączka i niemoc okrutna zmogły mnie pewnie od owego cuchnącego powietrza, co miejsce tak cudowne jak Rzym okrywa. I kazał mnie Papież do wód zabrać, w których jeszcze

Rzymianyzdrowia szukali. I tak rok prawie z Gunterem siedzielim i w opactwie u Świętego Dominika ksiąg moc czytać mogli i łacinę naszą szkolilim.

Wezwał nas jesienią Anno 1238 Papież. nasz kochany i do Szwabów z braćmi od Dominika jechać kazał. A jego okiem być mam i nie tylko Jaśnie Xięciu Dobrodziejowi, ale i Papieżowi o nieprawościach mam pisać. I znak otrzymałem, który jako glejt ma być między Szwaby. Z radością padłem pod nogi Jaśnie Xięciu, który mnie jako równego podjął, bo i znak papieski moc świadczył. A i skrzynię żelazną z pergaminy mojemi dał, które wierny Gunter wraz ze mną uratował.

Pisać przerwać muszę, bo statek nasz do grodu zmierza i wszelki na pokładzie wypatruje. Bracia od Dominika modlitwę dziękczynną zaczęli, a i mnie trzeba za wody spokojne dziękować.

- To tyle, co sam zapisałem, gdy was nie było. Jak widać, a raczej słyhać, nasz mnich aż do Rzymu peregrynował.

- Nam by się to nie udało - mruknął Edmund.

- A to niby czemu?

- Bo my teraz od świata odcięci jesteśmy, a w Rzymie teraz Amerykanie siedzą. Włosi, sukinkoty, sami najpierw faszyzm wymyślili, a teraz nas by wywieszali. Jednak widzę analogię. - Wyciągnął się na fotelu i poprawił koc. Ksiądz Józef i Paul wpatrywali się w poszarzałą twarz, okraszoną głębokimi cieniami światła świec.

Edmund zagryzł wargi, zamyślony. Zawsze tak robił, gdy nad czymś głębiej się zastanawiał i wtedy nie wolno mu było przerywać.

- Nasz mnich wrócił do nowego świata. Jego pan, czyli polski książę, zniszczył świat Prusów, a następnie przyszedł nowy zdobywca. Szwab, jak go nazywał. To nasi praprzodkowie. I po

siedmiuset latach historia zatoczyła koło. Nasz niemiecki świat ginie, a przychodzą Słowianie.

Ksiądz chrząknął głośno. Edmund zdziwiony uniósł brwi, zaskoczony reakcją.

- Przecież Rosjanie to wasi pobratymcy, nieprawdaż? -- zapytał z nutką ironii w głosie.

- Prawdaż. Ale myślę, że wasz świat, niemiecki jak mówisz, jednak nie zginie - zło nie wykorzeniło i nie pokonało w nim chrześcijaństwa. Naszych wspólnych korzeni, od których zawsze możemy zacząć budować od początku... I sobie przebaczyć.

Tym razem to Edmund i Paul popatrzyli na siebie zdumieni. Ksiądz Józef znowu coś wymyślił. Ten zaś splótł ręce na piersi i wpatrzony w cienie skaczące na sklepieniu piwnicy zaczął swoim monotonnym głosem:

- Wy, Niemcy, jesteście po trochu i narodowcami, i socjalistami. O, wiem, Paul, ty masz swoją firmę, walczysz o klienta, płacisz podatki. Podatki, które w ciągu ostatnich lat znacząco urosły. Wciąż rządzi tu partia socjalistyczna, choć z przyrostkiem narodowym. Firmy, które coś produkują, od dawna są sterowane przez ministerstwa, a nie przez prawo popytu i podaży. Stąd też ciągle braki, bo ręczne sterowanie zawsze tak się kończy. Do tego ten zamordyzm, cenzura, niszczenie nawet najmniejszych oponentów. Obozy koncentracyjne - o tych i wy wiecie. Nawet miłosierdzie zostało scentralizowane i zbiurokratyzowane. A u Rosjan - przecież jest to samo. Też jest jeden nieomylny wódz. Wszystko, w tym dzieci, należy do państwa. Nieprawomyślność - kulka w łeb albo wywózka na Sybir. My, Polacy, to dobrze znamy. I ten pęd do wojny. Socjalistom nigdy nie jest mało władzy. Oczywiście, wołają, że to dla naszego dobra. Abyśmy sobie krzywdy nie zrobili, żeby było co jeść. A gdzie godność człowieka? A gdzie

chrześcijańska odpowiedzialność za siebie i innych? A podatki? W szkołach mówili wam, że za czasów von Balka to ludzie, zwłaszcza chłopcy, mieli straszne życie. Podatek dla pana, dziesięcina dla kościoła. A czy zliczyliście, ile teraz oddajecie? Oficjalnie. A te wszystkie zbiórki na różne pomoce, na rannych, na ochrony... - Józef zamilkł zdyszany. Powoli uspokajał się, wyrzuciwszy z siebie to, co go od lat gnębiło. - I nieważne, jak będzie nazywał się tu nowy pan. Czy socjalista narodowy, czy proletariacki, czy inny bolszewik. Czy będzie Niemcem, czy Ruskim. Jedna bieda. Zwłaszcza dla kościoła. Bo to przecież takim trzeba cześć boską oddawać. A nie krzyżeliście „Heil”? A nie wieszaliście portretu Hitlera w miejsce krzyża? Tak, powiecie, że Bóg jest daleko, a oni blisko. To prawda, z którą kłócić się nie można. Ale gdyby choć co drugi Niemiec miał prawdziwie Boga w sercu, to taki czerwony antychryst by nie powstał.

- To gdzie, tu na Ziemi, szukać mamy wolności, o której mówisz?

Józef przez chwilę patrzył Edmundowi prosto w oczy.

- Ty, Edmundzie, musisz znaleźć ją w swoim sercu. Mamy wszyscy na to wielką szansę. Wiele zła przecierpeliśmy i wiemy, do czego oni prowadzą. Trzeba wykształcić tych, co przeżyją, aby nauczyli się nie zgadzać na zło.

- My, Niemcy...

- Wy, Niemcy, zawsze pogardzaliście nami, Polakami. Podobnie zresztą jak Rosjanie. Ale w nas jest więcej Boga, który buduje w nas dumę i niezależność. Wiele razy za to cierpeliśmy, ale to daje niezniszczalną siłę przetrwania. I Niemcom, i Rosjanom potrzeba więcej Bożej bojaźni i pokory, to staną się niepokonani, ale nie w sensie militarnym. Duchem. A zresztą... - Józef był zdenerwowany i zmęczony. Zerwał się z krzesła i wyciągnął z kieszeni różaniec. Opadł na kolana pod

krzyżykiem na ścianie i bezgłośnie zaczął się modlić. Paul i Edmund, skonfundowani, także milczeli.

* * *

Auto zepsuło się już za Wisłą. Heinz bezskutecznie próbował je uruchomić, obrzucając wymyślnymi inwektywami francuski pojazd. Przecież nie mógł zostawić Minny ani tym bardziej tych wszystkich cennych rzeczy. Nikt z przemierzających się w obie strony ludzi nie wykazywał najmniejszej ochoty, by mu pomóc, więc w końcu wlaź do środka i zaczął palić papieros za papierosem. Minna wystraszona i zmęczona skuliła się na siedzeniu. W końcu nie wytrzymała i wyszła z pojazdu na drogę, prosto pod drewniaki maszerującej kolumny więźniów. Ci złamali szyk, wywołując wybuch wściekłości wachmanów. Jeden z nich momentalnie znalazł się przy kobiecie i wymierzył jej solidnego kopniaka w plecy. Jej rozpaczliwy krzyk wyrwał Cohna z ponurych myśli. Wysunął się z pojazdu, odruchowo spoglądając w górę i szukając wrogich samolotów. Krzyk przeszedł w płacz - płacz jego kobiety! Błyskawicznie rozpiął płaszcz i sięgnął do kabury, widząc kłębowisko ludzi za budą swojej „cytrynki”. Brutalnie odepchnął wychudzonego człowieka i znalazł się twarzą twarz z zakazaną gębą obozowego strażnika, który unosił kolbę, by ostatecznie uciszyć krzyczącą. Pistoletem odbił opadający karabin, a drugą pięścią trafił żołnierza w twarz. Zdezorientowani i przerażeni więźniowie zaczęli się rozbiegać, wywołując jeszcze większy zamęt. W powietrzu rozległy się kłaśnięcia karabinowych wystrzałów, wrzaski i tupot podkutych, wojskowych butów. Owinięte szalikami twarze w szarych płaszczach z wycelowaną w jego kierunku bronią jak pyski szakali wyłoniły się za krwawiącym wachmanem.

- Baczość! - Cohn był wściekły. Mężczyźni na widok oficerskich patek SS wychylających się spod rozpiętego płaszcza zawahali się. Nikt ich przecież nie instruował, co mają robić, gdy oficer gestapo wejdzie im w paradę. Siła głosu i pewność siebie oficera zdmuchnęły wątpliwości, kazały się wyprostować i przyjąć postawę zasadniczą. Heinz wyprostował się i wciągnął głęboko powietrze. Wachmani patrzyli na niego niepewnie i wtedy kolbą pistoletu trzasnął tego zakrwawionego w klatkę piersiową. Mężczyzna jęknął i skulił się, a reszta zeszywniała.

- Co tu się dzieje, wy... - usłyszał za plecami i gwałtownie odwrócił się. Na widok jego munduru podoficer SS zatrzymał się i strzelił obcasami.

- Wy tu dowodzicie? - Heinzowi odpowiedziało energiczne skiniecie głową.

- Ten tu powinien stanąć do raportu za uderzenie funkcjonariuszki gestapo. Daruję mu życie, bo widzę, że macie mało konwojentów. Dawać tu tych więźniów, niech pchają mój samochód do najbliższej miejscowości. I ruszać się, do diabła!

Pochylił się i podniósł jęczącą Minnę. Gruby płaszcz i koc zamortyzowały siłę esesmańskiego buta.

Siedząc już za kierownicą, z goryczą uśmiechnął się. Na pytające spojrzenie Minny odpowiedział:

- Rzesza ginie, kochanie. Giną ludzie. Kiedyś wachmanami to byli potężni chłopcy, którzy za taki wyczyn jak mój natychmiast wpakowaliby mi kulkę w łeb. Nawet jeśli rozpoznali mój mundur, to przecież nie mam żadnego prawa im rozkazywać. Sam szef gestapo mógłby ich w dupę pocałować, gdy pełnią służbę. A ten karakan, który cię kopał? Ci więźniowie lepiej wyglądają od tego degenerata. Pewnie jakiś ostatni alkoholik-kryminalista, którego z celi wyciągnięto. Kiedy powstawało SS, nawet mnie by nie przyjęto w jego szeregi... No dobrze, zaraz

się zatrzymamy na nocleg. Jutro powinniśmy dojechać do Danziga i tam się rozstaniemy. Zrobimy tak, jak ustaliliśmy.

* * *

- To już ten fragment o otoczeniu włości księcia Świętopelka zapisałeś? - Ksiądz Józef, nie patrząc na aptekarza, wyciągnął przedostatni kawałek pergaminu. Przez chwilę przyglądał się tekstowi, ustawiając go pod różnymi kątami względem światła. Bolały go oczy, łapały dreszcze i najchętniej zwinąłby się na swoim posłaniu, ale myśl o Edmundzie zmusiła go do wykrzesania resztek energii. Jego niemiecki przyjaciel coraz wyraźniej nie radził sobie z otaczającą ich straszliwą rzeczywistością i widać było, że pozostawienie jego umysłu bez naukowej pożywki i skupienia prowadziło do obłędu. Co zrobić, pergaminy się kończą. Pewnie trzeba będzie się zabrać do inkunabułu - lecz czy Edmund będzie wystarczająco nim zaintrygowany? I czy jemu starczy sił na walkę o niego i siebie?

Erdmann drzemał w swoim fotelu, uśpiony monotonnym głosem księdza. Aptekarz siedział nieruchomo, przyglądając się tępemu grafitowi ołówka. Duchowny pochylił się i wyciągnął go z ręki Edmunda.

- Naostrzę, a ty może poruszaj dłońmi. Zaraz będziemy dalej pisać - szepnął. Kuchennym nożem ściał nadmiar drewna i wygładził grafit. Lepiej Edmundowi nie dawać ostrego narzędzia.

- Gotów? To piszemy...

Po odbyciu pokuty opat mnie ze ślubów zwolnił i teraz orężem władać mogę. Ciężko bez sukienki duchowej, ale i dusza rada, bo widać niepisanym mi było w ordynku zostawać. A i wdzięczność dla, Jaśnie Xięcia Świętopelka mam teraz, że mnie żenić się kazał

z córką Witoszy. Bo choć i Ofka najpiękniejszą niewiastą; nie jest, to serca dobrego, a robotna i gospodarna wielce. A i mnie gołodupcowi choć z wityngów wiano słuszne wniosła, a i łono płodne ma. Ale znów w mniszej kapocie, w przebraniu, do braci Dominika do Elbinga spieszę, bo to wojna okrutna i nawet krześcijanin krześcijanina ubić rad.

Prawie zapłakałem, gdy mnie wieść o śmierci rycerza Balka naszła. Dalej na północ w Prusiech bywał i nawet mistrzem wielkim został, lecz grzesznik był i owe diabelskie uczynki boleść na niego. Pomnę, gdy widzielim się raz ostatni, bratem mnie nazwał i w bólu wyznawał grzechy swoje. Rycerz był wielki i chrobry, jako lisiec przebiegły i w sztuce wojennej obeznany, jednak też podszeptów złego ucha nadstawiał, a o miłosierdziu krześcijańskim i rycerskim nie pomniał. Czemuż wtedy na pielgrzymkę do Świętego Jakuba nie ruszył? Albo i ze mną do Rzymu? Uzdrawienia na duszy by doznał, a i może łask cielesnych? A tak to pomarł jako pies wrzodami pokryty w szwabskiej krainie, bez druha i namaszczenia. Widać, za życia karę za grzechy swoje poniósł, jeno by przykład braty jego wzięły i krześcijańską miłość do nawróconych miały, a paktów dotrzymały. Ale gdy takie jak Dytryk von Grüningen czy Belrewin⁸⁹ wiarę w lud pogański nieść mają, to jeno rozpacz i nieszczęście wielkie będzie.

Wielce się Elbing w górę wznosi. Wokół grodu glinę kopią, a w piecach wypalają i z kamienia gród budują. Wieża sroga już stoi, choć bez dachu jeszcze, a i mury domu Pańskiego też z ziemi niosą się. Kupce z Lübeck składy mają, a kramy bogate. Jednak i ogień na palisadzie widać i groby świeże, gdy to Warmy z Natangami do zgody doszły grody szwabskie obległy. Gunter kroki swemi miary bierze, a zmyślnie rysuje, coby Jaśnie Xięciu pokazać, iż my także z cegły tak piękne mury wznosić możemy. W

kaplicy samotrzeć trzy msze za duszę brata Balka odprawilem i ruszam z kupcy, którzy statkiem do Gdańska płyną. Ckni mi się za Ofką i dziecięciem, które w łonie nosi.

* * *

Wielu z jego ludzi było zdziwionych, że wrócił - i jeszcze im tyle jedzenia przywiózł. W czasie nieobecności kompanieführera postrzelali sobie do bolszewików przez rzekę i poradzili sobie z ciekawością dowódcy ich batalionu, który zbyt interesował się jego przedłużającą nieobecnością. Scheppke pochwalił ich za pomysłowość - w końcu dowódca kompanii mógł utknąć na wysuniętej placówce znajdującej się akurat pod ogniem. Jedli właśnie, kiedy pojawił się goniec z dowództwa z rozkazem cofnięcia się do Elbinga. A dlaczego nie mogli ruszyć trochę na północ i wydostać się z bolszewickiego kotła? Dlaczego mieli zdechnąć bez sensu? Scheppke przy łączniku musiał uspokajać wrzeszczących żołnierzy, których morale i wartość bojowa nie były o wiele lepsze niż zwykłych uciekinierów. Część z nich, miejscowych, pragnęła wracać i bić się o swoje domy i bliskich, pozostali chcieli iść na zachód, powstrzymywał ich jedynie strach przed patrolami żandarmerii i SS na drogach.

Scheppke krzyknął na nich, tracąc resztki głosu. Następnie odesłał gońca z informacją, że ruszą po zmroku, by nie prowokować bolszewików do pościgu, a gdy ten oddalił się, przedstawił siedzącym w chałupie swój nowy pomysł. Niezbyt im się podobał, ale w końcu zgodzili się.

Najważniejszym zadaniem było ukrycie tak ciężko obronionych skarbów. Wziął swoich zaufanych i klekoczącym wozem ruszyli do placówki Puckerta. Dopiero po drodze Otto przypomniał sobie, że kapral został ranny. To ewidentnie

krzyżowało mu plany. W ciągu tych kilku tygodni wspólnej służby świetnie zgrali się, bo Puckert przypominał mu syna... Był nawet fizycznie do niego podobny.

Auto zatrzymało się. Ostatni odcinek musieli pokonać pieszo, by nie prowokować sowieckiego ostrzału. Znowu zerwał się wiatr, zdzierając z pól drobne bryłki zlodowaciałego śniegu, które boleśnie cięły odkryte części twarzy. Dobrze, że wiatr wiał w stronę sowieckiego brzegu. Widok kapitana wyraźnie poruszył volkssturmistów.

Kolejni zdziwieni - pomyślał ze złością, ale powstrzymał się od komentarzy. Ci ludzie byli mu teraz potrzebni. Küßner postawił na stół skrzynkę, a Otto otworzył wieko. Widok leżących butelek piwa rozjaśnił twarze mężczyzn, którzy na skinienie kapitana sięgnęli do wnętrza. Na wszystkich bez wyjątku zakazanych i sympatycznych gębach rozlał się uśmiech głębokiego zadowolenia. Gdyby wiedzieli, skąd Otto miał taki skarb...

- Gdzie gruppenführer Puckert? - zapytał służbowo.

Jeden z żołnierzy wskazał na zamknięte drzwi. Schepke gestem usunął ludzi z drogi i wszedł do środka. Resztki dziennego światła padały na leżącego w pościeli młodego człowieka, a cienie wydłużały jego pociągłą twarz. Zamknął za sobą i podszedł do łóżka. Kapral otworzył oczy i na jego widok z wysiłkiem uniósł się.

- Leż, Egon - Schepke ściszył głos. - Jak się czujesz?

- Bywało lepiej. Kula przeszła na wylot, ale rozwalila mi bark. Broni nie podźwignę.

- To niedobrze... cholera. Mam plan, żeby sprowokować Ruskich do otwarcia ognia, a wtedy my wycofamy się na północ wzdłuż Nogatu i dojdziemy do pozycji naszego wojska. Nikt nie będzie mógł nas oskarżyć o dezercję albo kazać wracać do Elbinga. Ty mi jesteś potrzebny, chłopie.

- Nie dam rady, szefie.

- Przestań, liczę na ciebie!

- Mam gorączkę, chyba straciłem sporo krwi i jestem słaby. Gdyby nie Maria...

- Maria?

Puckert opadł na poduszki. Przez chwilę zbierał siły.

- Są tu dwie dziewczyny. Maria - Polka i Tereza - Czeszka. Były na robotach. Nie dałem naszym ich tknąć, a Maria, jak zostałem ranny, opatrzyła mnie i teraz dogląda. Ona mówi świetnie po niemiecku, bo pochodzi z Pomorza, z mieszanej rodziny.

- Jednak musisz wstać, trzeba schować księgi...

- Nie dam rady szefie, naprawdę. Wszystko sobie tutaj przemyślałem. Ta Maria... to, to dobra dziewczyna. Czuję, że mogę jej zaufać. Ona mi powiedziała nawet, że jak wejdą Ruscy, to powie, że jestem jej bratem i razem na robotach byliśmy. Może się uda. Szefie, Maria pójdzie z panem do piwniczki i tam pomoże wszystko ukryć. Ja tu będę dochodził do zdrowia i pilnował wszystkiego. A jak się uspokoi, to szef przyjedzie z papierami i razem zwiejemy. Szef to łebski facet i wie, że mi można ufać. Zresztą daję słowo honoru... Puckert patrzył na ciężko oddychającego mężczyznę. Początkowa złość zaczęła ustępować pod wpływem rozsądnych słów. Smarkacz miał rację. Był prostolinijny i chyba nie mógłby go oszukać. Tylko ta Maria.... Polka, która może wszystko wygadać. Cóż, trzeba będzie ją po cichu szybciotko sprawdzić...

- Gdzie ona jest?

Puckert wskazał dłonią na drzwi w ciemnym kącie pokoju. Scheppke wstał i je otworzył. W zamkniętej komórce, oświetlonej świecą, siedziały dwie wystraszone kobiety.

- Która z was to Maria? - zapytał sucho.

Ta wyglądająca na nieco młodszą i znacznie ładniejszą uniosła się z ławki. Otto skinął na nią. Wyszła, schylając się i niepewnie podeszła do łóżka. Puckert obrócił w jej kierunku głowę i uśmiechnął się. Dziewczyna położyła rękę na jego głowie, a on znieruchomiał, poddając się dotykowi. Schyliła się i zamoczyła w misie z wodą lniany ręcznik, po czym delikatnie umieściła na jego czole. Zaskoczony Scheppke przyglądał się tej komitywie. Znali się w zasadzie od kilkudziesięciu godzin...

- Maria, ubierz się, pójdziesz ze mną - powiedział powoli, wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Nie musi pan tak do mnie mówić, panie kapitanie. Ja znam niemiecki. Moja mama jest, była Niemką - odpowiedziała swobodnie.

Scheppke zamilkł zakłopotany. Ci dwoje wyraźnie nie pasowali do całego otaczającego ich świata.

- Powiesz, że idziesz po drewno. Pójdziesz do piwniczki, wiesz gdzie?

Skinęła głową i weszła do komórki. Po chwili wyszła, ubrana w wytarty kożuszek i wełnianą chustę.

- Czy Puckert, to jest Egon - Scheppke poprawił się szybko - powiedział ci...

- Tak, panie kapitanie, wszystko wiem. Niech pan się nie boi, mój tata w poprzedniej wojnie był w rosyjskiej niewoli i mówił, jacy to ludzie. Nawet nauczył się trochę po rosyjsku i jak sobie popił, to przeklinał. Jak oni przyjdą - zamilkła nagle przestraszona tym, co powiedziała, ale Scheppke nie zareagował - to ich sklnę i nie dam ruszyć pana kaprała.

Sprawę szybko załatwili. Maria poprawiła „ich” maskowanie tak, że piwniczka wyglądała na nieużywaną od lat. Otto przez chwilę patrzył na dziewczynę, po czym podał jej rękę i wszedł do steyra, by ruszyć do swoich. Ludzie Puckerta za dwie godziny mieli dołączyć do reszty oddziału, żeby przeprowadzić

„planowe odejście” na nowe pozycje. Steyr z wygaszonymi światłami powoli toczył się drogą, a Küßner z nosem na szybie kłął ciemnicę wokół. W końcu stało się i wylądowali w rowie, a silnik zgasł na dobre. Mieli ze dwa kilometry do swojej kwatery, czyli nie było problemu z dotarciem na czas zbiórki. Na złość Ottonowi zachciało się w krzaki, więc krzyknął do Wagnera i Küßnera, by szli sami, a on ich dogoni. Przeklęta biegunka, dobrze, że tamci nie słyszeli ani nie czuli tego potwornego smrodu. Obtarł się śniegiem i obolały ruszył dalej. W oddali błysnęła rakietka sygnalizacyjna, a potem zapaliło się magnezjowe światło. Wyszarpnął z kabury pistolet i przyspieszył. Kątem oka zauważył ruch po prawej, ale było zbyt późno na reakcję. Dostał cios w kolana i stracił równowagę. Potwornie cuchnący ciężar przydusił go, ktoś krępował mu z tyłu ręce. Przekręcili mu głowę i wepchnęli w usta jakiś gałgan. Czyjeś ręce dźwignęły go na nogi, jak gdyby był małym dzieckiem. Dusząc się, z przerażeniem zauważył kilka sylwetek w białych strojach. Zanim w kiepskiej niemczyźnie kazano mu iść i nie próbować żadnych numerów, wiedział, że dostał się w łapy sowieckich zwiadowców. Skoro byli aż tutaj, to znaczyło, że zaczęli forsować Nogat.

* * *

Pomimo zmęczenia ksiądz Józef nie mógł spać. Dusił się. W końcu zwłóknął się z posłania i najciszej jak mógł namacał zapalki. Trzasnął płomień, który przytknął do knota. Postawił świecę przy nadkruszonym kawałku stropu, któredy wpadało zimne powietrze, i przeniósł tam skrzynkę. Owinął się kocem i pochylił nad ostatnimi pergaminami. Teraz to przetłumaczy, a potem będzie przedłużał pracę z Edmundem tak długo, jak się da. Wieczorem aptekarz zasnął z ołówkiem w ręku, ale

najważniejsze, że nie miał czasu na myślenie. Jak będzie jutro, a w zasadzie to dzisiaj? Noc niedługo się skończy. I tak nie zaśnie, więc warto zobaczyć, co go czeka. Pisane średniowiecznymi zakrętasami litery zaczęły ponownie układać się w słowa. Duchowny przelatywał wzrokiem kolejne zdania, aż natrafił na słowo „Elbing”.

...i mnie tedy, Maszko, naznaczył Jaśnie Xiążę na setniku i w trzy statki ruszyli pod Elbing. A wielkie poruszenie było w całej ziemi. I Lanzany, i Pomezany, i Pogezany, i inszy lud ku zgodzie przyszedł i z mocą szwabskich rycerzy uderzył. A w przódy posłów stali do Jaśnie Xięcia, by ich siłą zbrojnych wsparł, w grodu dobywaniu zakonnych. Gród już widzieli, gdy mrowie łodzi ku nam ruszyło, a lud zbrojny na nich był. Myśleli, że my z pomocą Poppinowi, co w zamku siedział. Markotno mnie stało, bo choć naród chrobry był, to nijakich machin budować nie chcieli, a i kłócić się, kto łupież większą bierze. A Szwaby murów srogo bronili i kto na kroków sto podszedł, tego strzałą z kuszy bili. Jużem kazał im, jako Jaśnie Xięcia namiestnik drzewa sposobić, doły kopać, a głązy zbierać, ale mnie bydlić poczęli, ku niezgodzie pracę. Jeno co słuchać chcieli, iżby straże stawiać i spyży do zamku nie dopuszczają.

Ruszyli do ziemi Jaśnie Xięcia i na Wisłę wypłynęli, gdy od brzegu konni nas wołać poczęli. Dyc to ludzie Xięcia byli, co to z całą potęgą ruszył na Santyr. A lud wokoło, co to od Szwabów męki cierpieli wielkie, ku nam z radosną twarzą szedł i błogosławił. Na popas stanęli i wieść przyszła, że Prusy Szwabów w bitwie wielkiej pobili, że tysiące białych płaszczy głowy pod miecz dało, że Berlewin von Freiberg, co to za mistrza krajowego był padł. I radość wielka w wojów weszła. A mnie Jaśnie Xiążę posłuchanie dał i setnia ma jako pierwsza grodu dobywać miała. W grodzie brat Rodryk za namiestnika stoi i

jutro da gardło pod mój miecz. Diabeł w nim siedzi i miłosierdzia czekać nie będzie. Świta już i struża ostatnia zwołuje się. Zmiłuj się Panie Jezu Kryście nad mną grzesznym i daj siłę ramionom, co zagładę synom Beliala nieść będą. Amen.

Ksiądz Józef sięgnął po ostatni pergamin. A więc poznał wreszcie imię tajemniczego kronikarza. Kiedy było to powstanie i ta bitwa? Tysiąc dwieście... który? Odłożył kartkę i ruszył do wyjścia. Nagłe powstrzymał się w pół drogi.

- Paul, muszę wyjść. Pójdiesz ze mną?

Leżący pokręcił głową i wbił się głębiej pod brudną pierzynę. Duchowny westchnął i zaczął się ubierać. Nad ranem mróz był najmocniejszy i rozumiał Erdmanna. Wychodzenie w ruiny było nieprzyjemną czynnością. Wsadził do kieszeni gazetę i odblokował drzwi. Okręcił dokładnie głowę szalikiem i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Wciąż był poszukiwany przez policję oraz gestapo i zawsze istniało ryzyko, że jakiś bardziej dociekliwy funkcjonariusz rozpozna zbiega. Było pusto, więc drobnymi kroczkami zbiegł po schodach i ruszył w stronę Alter Markt. Stały tam ruiny niedawno zburzonej kamienicy, w której zachował się prawdziwy, choć nieczynny sedes. Rozglądając się uważnie, przedzierał się, aż dotarł na miejsce. Trzeba tylko było wspiąć się na piętro przez naderwane schody. Małe okienko wychodziło właśnie na ich ukrycie, więc siedząc, mógł je obserwować. Nie zdążył ściągnąć spodni, gdy zaczęło się. Sowieckie bombowce wypadły z ciężkich chmur tuż nad jego głową, zaskakując zaspane obsługi flaku. Przytulony do muru ksiądz widział rosnące w oczach ciemne walce spadające dokładnie na Alt Stadt. Od zbliżającego się sznura eksplozji coraz mocniej drżały mury, aż wielkie kawały zaczęły sypać mu się na głowę. Ostatnie co pamiętał, to swoje otwarte w krzyku usta, widziane w kawałku rozbitego lustra.

* * *

Gdy się ocknął, jego sedes zniknął. Zniknęła też łazienka, a on leżał na kilku belkach, które miłosiwny Bóg zostawił specjalnie dla niego. Obolały, ogłuszony, krztusząc się pyłem, podniósł się na rękach.

- Jezus Maria, nie - jęknął cicho. Po policzkach zaczęły cieknąć mu łzy, z trudem torując sobie drogę wśród tynkowego pudru i dawno niegolonego zarostu.

Spieringstraße płonęła, a po ścianach kamienicy Erdmanna nie było śladu.

- Tu jest jeden! - usłyszał przytłumiony krzyk. Przed nim pojawiła się twarz w hełmie, po tym ręka w wojskowym płaszczu chwyciła go i zmusiła do zejścia. Oszołomionego księdza podtrzymała jakaś kobieta i popchnęła w kierunku grupy takich jak on nieszczęśliwców. Zapłakany Józef próbował wrócić w gruzowisko, by poszukać przyjaciół, ale zatrzymały go ostrzegawcze okrzyki i wyzwiska. Wielka bomba leżąca na przedprożu zgruchotanej kamienicy w każdej chwili groziła eksplozją. Młoda dziewczyna z opaską na rękę chwyciła go pod ramię i doprowadziła do formowanej kolumny osób, które przeżyły nalot. Razem ruszyli przed siebie w stronę stoczni. Rozpoczął się jego exodus.

* * *

Cohn raz jeszcze pomachał żonie i przez chwilę stał, przyglądając się, jak jej drobna sylwetka maleje wraz z płynącym promem. Była bezpieczna wraz z nienarodzonym dzieckiem. Wiedział, że wciąż płacze, ale miał pewność, że da sobie radę. On będzie czuwał nad nią i nad dzieckiem z daleka.

Wrócił na plac, gdzie żołnierze SS ładowali na ciężarówki wielkie skrzynie z napisem „Geheim”. W czasie podróży przez Niemcy, zwłaszcza tu, w okolicach Renu, widział wiele takich. Nie tylko on chciał „chronić” dobra narodowe przed bolszewikami i anglo-amerykańskim żydostwem. Jego „cytrynka”, mocno sfatygowana, czekała wciśnięta między rozbity ciągnik artyleryjski a rozsypujący się dom. Wyciągnął mapę, którą dostał od sympatycznego sierżanta SS, i zaczął się jej uważnie przyglądać. Ma niecałe pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej, ale ta droga na pewno jest ostrzeliwana przez Jankesów i patrolowana przez ich „jabo”. Dodatkowo mogą przesuwac się nią niemieckie niedobitki, a zatem będą stały upierdliwe patrole żandarmerii i SS. Natomiast jego papiery nie tłumaczyły pobytu w tej części Niemiec. Musi mocno nadłożyć drogi, jadąc przez lasy i zapadłe wiochy, ale trudno. Dobrze, że ów sierżant z jednostki transportowej dał mu tyle deficytowej benzyny...

Odpalił maszynę i ruszył. Chciał przed zmierzchem pokonać większość drogi i poszukać ewentualnych możliwych kryjówek. Szosa szybko opustoszała i jazda stała się dość przyjemna. Przyszła mu na myśl Ivonne. Kiedy wrócił z Elbinga, okazało się, że dzieciaki po kolei złapały jakieś choróbsko. Mała Gertie słabła w oczach, a August Brühl w żaden sposób nie umiał jej pomóc. Ivonne bardzo przeżyła śmierć małej, ale na szczęście organizm Jacoba zwalczył infekcję. Potem zaczęły się walki o Danzig. Bolszewicy atakowali zaciekle, a Cohna wcielono do jednostki. Robił to co zwykle, czyli przesłuchiwał dezertersów i schwytanych jeńców. W większości wypadków pełnił też jednoosobowo funkcję prokuratora i sędziego.

W ostatniej chwili udało im się wyjechać z miasta, ale tylko we dwójkę. Wcześniej ich Jacob, który poczuł się lepiej, zwał macosze z domu i polazł za oddziałem Hitlerjugend. Cohn po

powrocie do domu szukał go na liniach obronnych, jednak było już za późno. Jego dziesięcioletni synek poległ w ataku na czołgi z białymi orłami na wieżach. Poryczał się wtedy przy gówniarzach, którzy, gdy odjeżdżał, śmiali się z niego. Przecież Jacob zginął za Führera, któremu i on tyle lat wiernie służył.

Pomorze, o które już toczyły się walki, przebyli w dwa dni, cudem unikając sądu wojennego.

Nocą przejechali przez pas ziemi zajęty przez bolszewików i zdążyli na prom przez Odrę. Ledwo dotarli na brzeg, a następny transport zatopiły sowieckie samoloty. Wpadli na żandarmów, którzy ich aresztowali. Wtedy Cohn zagrał *va banque*. Nazwisko ministra Rosenberga i papiery Bergmanna dały im wolność, choć gdyby nie ten szczeniak, podporucznik (dowodzący siecią posterunków, to podoficer, który ich zatrzymał, kazałby ich zabić.

Ivonne była bliska rozwiązania, kiedy zaczęły się ich kłopoty. Zostawił ją w małym miasteczku, a sam ruszył po żywność i paliwo do auta. Wszedł do budynku policji, gdzie urzędował sztab korpusu SS. Pierwszą osobą, którą spotkał, był stary znajomy jeszcze z Aachen, teraz w stopniu standartenführera. Też z długą kartą w gestapo we Francji i Belgii. Facet był wyraźnie wystraszony, a po chwili jego strach udzielił się Cohnowi. Niedawno uciekł ze swojej placówki, niestety, zostawiając żonę i małe dziecko, które wpadło w ręce miejscowego ruchu oporu. Niemcy na krótko odbili tę miejscowość, ale znaleźli tylko zmasakrowane szczątki. Wczoraj, w pobliżu zestrzelono amerykański transportowiec, w którym znaleziono dokumenty Bardzo ważne dokumenty. Listy oficerów SS, SD i gestapo, często z krótkimi *dossier* i rysopisami lub zdjęciami. Wszystko w wielu egzemplarzach, po angielsku. Cohn wyobraził sobie moment, kiedy oficerowie sztabowi zaczęli przeglądać zestawienia, znajdując swoje nazwiska i

instrukcję postępowania na wypadek schwytania. Jego znajomy był na liście i choć nie znał angielskiego, po wielkości komentarza domyślił się, co go czeka. Tknięty przeczuciem Heinz poprosił go o tę drobną przysługę, by pokazał mu listę. Nie dostał wprawdzie spisu do ręki, ale zeszywniał, dowiedziawszy się, że jego nazwisko też tam figuruje. Zaraz też pomyślał o Ivonne i nienarodzonym jeszcze dziecku. Wracając do żony, intensywnie myślał nad sposobem ocalenia jej i wpadł na pomysł. Dramatyczny, ale w ich wypadku jedyny. Ratunkiem było też to, że babka Ivonne była Żydówką z pobożnej rodziny, co dawało kobiecie szansę na przetrwanie. Żona wykrzyczała mu o tym dwa dni temu, kiedy dostała boleści i wydawało się, że przedwcześnie urodzi. Wybiegł wtedy z szopy, w której się ukryli i wśród ulewy wył jak wilk. Jego własna kobieta tak go oszukała! Gdy się poznali, zaślepiony miłością sam załatwił swoimi kanałami, by dokładnie nie sprawdzali pochodzenia w połowie Niemki i Francuzki. Gdy ustąpiła wściekłość i gorycz z powodu oszukania, zaczął się zastanawiać. Co zrobiłby, gdyby wtedy dowiedział się o jej prawdziwym pochodzeniu?

Zanim przedstawił Ivonne swój pomysł, wypił pół butelki wódki. Tak jak przypuszczał, jego francuska żona zareagowała gwałtownie, odrzucając go. Długo i cierpliwie tłumaczył jej, jaki los czeka jego, oficera gestapo, który choć miał czyste ręce, to za samą przynależność do policji miał pewny wyrok śmierci. Czy uwierzyła mu, gdy wmawiał jej, że w Elbingu zajmował się tylko administracją i zaopatrzeniem? A ona, wdowa po gestapowcu? Francuzka, kolaborantka, boszowska dziwka? Zabiorą jej dziecko i wychowają bez pamięci o prawdziwych rodzicach. I chyba ta wizja zaczęła na nią działać. Straciła ich wspólną córeczkę i małego Jacoba, któremu zastępowała matkę. Szlochając, zaczęła wspominać swoją rodzinę na południu Francji. Kiedyś miała narzeczonego, Ericha, uciekiniera z

Niemiec, który obiecywał jej miłość po grób. Jeżeli żyje, to może ją przyjmie? Cohn ze ściśniętym sercem słuchał słów żony. Dziwka, miała wcześniej kogoś. Nieważne, że wtedy jeszcze się nie znali. Na pewno jakiś komunista, a może i Żyd? Zdusił w sobie przypływ wściekłości. Zaczął ją przekonywać, że tak czy inaczej musi zmienić nazwisko, a może i imię? On nadał będzie ją kochał i z daleka obserwował. Jak wszystko się uspokoi, za parę lat dyskretnie skontaktuje się z nią. I niech mówi, że była robotnicą przymusową, że została zgwałcona, albo że to dziecko jakiegoś robotnika. Wtedy nikt nie będzie się jej czepiał.

Nad ranem wrócił do miasteczka, do sztabu. Jego znajomy jeszcze dobrze nie wytrzeźwiał, ale zgodził się pomóc zdobyć przepustki dla niego i żony. Wypili po kielichu i rozstali się. Przez kilka dni jechali, głównie nocami, w kierunku Renu. Marzec czterdziestego piątego był ciepły, niósł nadzieję na nowe, lepsze życie. Amerykańska ofensywa ruszyła, a Ivonne miała przeczekać w Wiesbaden, po czym natychmiast jechać w rodzinne Pireneje.

Widok posterunku na drodze wyrwał go z zadumy. Wyciągnął papiery w kierunku starszego volkssturmisty i ziewnął. Zapytał o nocleg. Mężczyzna popatrzył na niego wrogo. Mundur kapitana SS (w Danzigu awansowano go) chyba źle mu się kojarzył, ale po chwili polecił gospodę o kilka kilometrów stąd. Cohn ruszył dalej. Teraz się wyśpi porządnie, a może i uda się wykąpać. Jutro spotka się z Minną, o której nawet leżąc przy Ivonne, nie mógł zapomnieć. Uśmiechnął się do swoich myśli. Minniusia bardzo się zmieniła, z kobiety-wampa stała się potulną kotką, która tylko w nocy pokazywała swoje pazurki. Jej kuzynka prowadziła mały burdelik i na pewno pomoże przechować kolejnego „męża” Minny. A potem się zobaczy

Cdn.

* * *

Posłowie

Byłem już po egzaminach wstępnych na wyższą uczelnię i wraz z kilkoma kumplami ze szkoły postanowiliśmy uczcić sukces bądź zapisać gorycz porażki (kiedyś było jednak trudniej dostać się na studia, choćby z powodu systemu punktów preferencyjnych za pochodzenie). Któryś z kolegów miał metę pod Elblągiem, na Żuławach, gdzie można było bezpiecznie poszaleć, a potem odespać. Ruszyliśmy na rowerach, objuczeni prowiantem, prowadzeni przez kolegę, który - jak się okazało - pomylił drogę. Jeździliśmy wzdłuż polderów, dopytując się napotkanych ludzi i będąc w coraz podlejszych nastrojach. Miałem pecha, bo jedna z dętek zaczęła gubić powietrze, więc co jakiś czas musiałem ją dopompowywać, bo oczywiście nie wpadłem na pomysł, by wziąć zapasową. Zatrzymaliśmy się koło sklepu, gdzie wypiliśmy jakieś piwo, a kolega wywiedziało się o dalszą trasę. Pamiętam, że powiedział, iż mamy skrócić koło domu „Szkopa”.

Wzmocnieni, popędziliśmy, a ja po chwili znowu zatrzymałem się, by zrobić porządek z kołem. Zaczęło mżyć, z dętki zrobił się regularny kapeć, a ja, klnąc wszystkich, ruszyłem w kierunku, w którym odjechali kumple. Przed rozjazdem lunęło, więc popędziłem do zaniedbanej zagrody stojącej w pobliżu. Pamiętam ogromne, rozłożyste drzewo, pod którym stanąłem, grzmoty, ścianę deszczu i starszego jegomościa z obfitą brodą, który zamachał do mnie z murowanej stodoły. Przypomniałem sobie, że pioruny biją w takie drzewa i szarpiąc się z rowerem, wpadłem w końcu pod bezpieczny dach.

Jegomość nie wyglądał ciekawie, przypominał mi opryszka z przygodowych filmów kostiumowych, i muszę przyznać, że poczułem się niezbyt pewnie. Miał bardzo charakterystyczną twarz, jedyną w swoim rodzaju. Podziękowałem grzecznie, a on coś burknął, czego nie byłem w stanie zrozumieć. Na pytanie o drogę odpowiedział z jakimś takim ciężkim akcentem, jak nie Polak. Wtedy nic nie wiedziałem o historii tej ziemi poza tym, że przesiedlano tu ludzi z kresów. Jednak akcent jegomości nie miał wschodniego zaśpiewu.

Potem powiedział, że naprawi mi oponę, ale jak dam mu na flaszkę. Szkoda mi było kasy, ale dałem mu tę, którą przeznaczyłem na wspólne wypicie z kolegami. Wkurzyłem się na nich, że mnie zostawili i postanowiłem wracać. Gość zaprosił mnie do domu, gdzie krzątała się tęga, siwa kobieta w dziwnym nakryciu głowy i tam dostałem jeść. Dali mi też ręcznik do wytarcia i zaprosili, bym odpoczął w białej izbie domu. To, co mnie uderzyło, to cała masa książek, głównie pisanych gotykiem. Zawsze byłem mołem książkowym, a spotkanie takich cymesów w takim miejscu było czymś, co wryło mi się w pamięć. Obok ciemnego mebla z księgami stała starodawna drewniana skrzynia, na której leżały warstwami kolejne druki i... inkunabuły. W skórzanych i drewnianych, starodawnych oprawach. Zagadnąłem ich o nie, ale zbyli mnie, mówiąc, że to teraz w gestii syna czy synów. „Szkop” załatał mi dętkę, ja dałem mu na flaszkę i popedałowałem do domu. Zapomniałem oczywiście o sprawie.

Kilka ładnych lat temu w kolejce do dentysty poznałem pewnego starszego pana, którego córka przywiozła i zostawiła w poczekalni. Jak zwykle wcześniejszy zabieg się przedłużał, wszedł ktoś z bólem, więc zostałem skazany na towarzystwo gadulskiego „dziadka”. Po opisanu problemów zdrowotnych widząc, że miałem ze sobą jakąś książkę o tematyce wojennej,

zaczął opowiadać swoje dzieje. Autochton, w czasie wojny miał kilkanaście lat (nie przyznał się do tego, ale zapewne służył w Volkssturmie), mieszkał na Starówce, na Schmeidestraße. Widząc moje zainteresowanie, powiedział o ucieczce z miasta, o tym, że Rosjanie kradli, co się dało i że pomagał wywozić pod miasto, na Żuławy, wojskową skrzynię pełną dokumentów i dwie okute skrzynie wypełnione starodrukami. Jedna z nich została uszkodzona, a on przypominał sobie ręczne pismo, twardy papier (pergamin?) i popękane pieczęcie ze sznurkami. Opowiadał dalej, jak pod ostrzałem sowieckich samolotów ciężarówkami wracali w rejon rzeki Elbląg. Potem mówił, dlaczego został i znowu o chorobach, które mu mocno dokuczały.

Po jednym ze spotkań autorskich podszedł do mnie pan, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam, i z typowym dla starszych osób zacięciem opowiadał o swoim przybyciu wczesną wiosną 1945 roku do Elbinga, o trudach życia, o wypadach łódką na zalane Żuławy po prowiant, o Niemcach, którzy pomieszkiwali tu i ówdzie i którzy bronili swoich posesji. O Wehrwolfie i o zaginięciach poszukiwaczy ukrytego skarbu kreisleitera. I tak, pomału, pewne rzeczy zaczęły mi się kojarzyć. Nawet bez długotrwałego poszukiwania, w samym Internecie można odszukać informacje o cennym księgozborze Nitschmanna, o zaginięciu fragmentu zbioru z biblioteki, o zainteresowaniach rodu Boehmerów, o skłonnościach, nie tylko ostatniego kreisleitera, do gromadzenia bogactw, o sowieckim rajdzie przez miasto i wiele innych. Jestem przekonany, że TE książki istnieją. Że były dobrze strzeżone i że niektóre z nich pojawiły się na rynku. Najprawdopodobniej nie żyją już Boehmerowie, Karl Bauer, ksiądz Józef, Otto Scheppke, Else Breitfeld, Friedrich Wagner, kapral Puckert czy Heinz Cohn, więc nie doczekamy się relacji bezpośredniej. Nie należy jednak

rezygnować. Jest pewna szansa, że znajdą się ślady skrytek w domach przy Wojska Polskiego i na Starym Mieście. Może żyją jednak jeszcze ich krewni, którzy coś wiedzą i zechcą pomóc odzyskać zdumiewające elbląskie skarby przeszłości? Czy gdzieś jeszcze jest notes Edmunda Boehmera?

* * *

Wreszcie, po dwóch latach książka znajduje się w redakcji. A ja z przyjemnością konstatuje, że nawet ta najdawniejsza historia opisana w formie beletrystycznej zaczyna znajdować potwierdzenie. Pod koniec 2012 roku nasi muzealnicy potwierdzili, że na terenie Muzeum w Elblągu znaleziono szczątki drewnianego grodu krzyżackiego. W marcu 2013 roku ukazała się na rynku książka pani Grażyny Nawrołskiej *Początki Elbląga w świetle źródeł archeologicznych*. Na stronie 13 widnieje rycina planu trzynastowiecznego Elbinga z zaznaczonym na Wyspie Spichrzów obszarem zamku krzyżackiego, który możliwe, że był siedzibą namiestnika księcia pomorskiego. Jakie kolejne rewelacje archeologiczne potwierdzą moje słowa i myśli?

12 września 2011 Elbląg, Rymanów Zdrój (Maria)

Przypisy

[←1]

Ulica Kowalska.

[←2]

Stopień w Volkssturmie - dowódca kompanii. Odpowiednik w Wehrmachcie - hauptmanna/kapitana.

[←3]

Sopot.

[←4]

Ulica Wieżowa.

[←5]

Ulica Związku Jaszczurczego.

[←6]

Kwidzyn.

[←7]

Zalew Wiślany.

[←8]

Ulica Mostowa.

[←9]

Pruska arystokracja plemienna.

[←10]

Bulwar Zygmunta Augusta.

[←11]

Krynica Morska.

[←12]

Most Niski - w ciągu ulic Kuśnierskiej i Studziennej.

[←13]

Ulica Wodna.

[←14]

Losy Else Breitfeld zostały szerzej opisane w poprzednich książkach autora - *Elbing 1945, Porucznicy 1939, Kapitanowie 1941*.

[←15]

Gród Warmów, po zajęciu przez Krzyżaków przemianowany na Bałgę. Obecnie Wiesiołoje.

[←16]

Pełna nazwa: Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, czyli potocznie zakon krzyżacki.

[←17]

Żyjący na przełomie XIII i XIV wieku kapelan wielkiego mistrza krzyżackiego, autor *Chronicon terrae Prussiae*.

[←18]

Stopień w Volkssturmie - dowódca drużyny. Odpowiednik unteroffiziera/kaprała w Wehrmachcie.

[←19]

Ulica Rybacka.

[←20]

Ulica Wojska Polskiego.

[←21]

Olsztyn.

[←22]

Obecnie gmach Urzędu Miejskiego.

[←23]

Tczew.

[←24]

Dawna cegielnia w Dębicy. Teren zajmują obecnie zakłady produkcyjne i handlowe.

[←25]

Ulica Przy Murze.

[←26]

Plac Słowiański.

[←27]

Ulica Świętego Ducha.

[←28]

Malbork.

[←29]

Ulica Warszawska.

[←30]

Fiszewka.

[←31]

Znana cukiernia przy Schmeidestraße.

[←32]

Ulica Chmurna.

[← 33]

Gdańsk i Gdynia.

[← 34]

Ksiądz Józef Przepierski.

[← 35]

Ulica Bednarska.

[← 36]

Niemiecka wieś w Prusach Wschodnich (obecnie Majakowskoje), w której 21 października 1944 roku Sowieci wymordowali kilkudziesięciu cywilów niemieckich, głównie kobiet i dzieci.

[← 37]

Stopień w Volkssturmie - dowódca batalionu; major w Wehrmachcie.

[← 38]

Stopień w Volkssturmie - dowódca plutonu; w Wehrmachcie leutnant/porucznik.

[← 39]

Ulice Konopnickiej i Bulwar Zygmunta Augusta (Studzienna).

[← 40]

Ulica Wałowa.

[← 41]

Wyspa Spichrzów.

[← 42]

Królewo Malborskie. Znajdowało się tam lotnisko i fabryka budująca myśliwce Fw-190.

[← 43]

Ulica, przy której znajdowała się Henrich von Plauen Schule, a później lazaret.

[←44]

Apteka Polska przy dawnej Junkerstraße (róg Giermków i Szkolnej).

[←45]

Bohaterowie książek *Porucznicy i Kapitanowie*.

[←46]

Grobla Świętego Jerzego.

[←47]

Nowe Miasto.

[←48]

Ulice Browarna i Mazurska.

[←49]

Kazimierzowo, przy obwodnicy Elbląga.

[←50]

Kumiela, niewielka rzeczka przepływająca przez Elbląg.

[←51]

Nowy Dwór Gdański.

[←52]

Ulica Aleksandra Fredry.

[←53]

Pasłek.

[←54]

Ulica Trybunalska.

[←55]

Ulica Stefana Żeromskiego.

[←56]

Niemiecki skrót: Jäger-Bomber - samolot myśliwsko-bombowy. Tutaj Il-2.

[←57]

Mickiewicza.

[←58]

Koszary przy ulicy Saperów. Obecnie tzw. miasteczko szkolne.

[←59]

Dowódca batalionu, odpowiednik majora.

[←60]

Więcej o tym zdarzeniu w książce *Porucznicy 1939*.

[←61]

Kosynierów Gdyńskich.

[←62]

Gród w dolnym biegu Nogatu, zbudowany przed 1240 rokiem przez księcia Świętopełka.

[←63]

Linki, powiat Sztum.

[←64]

Okręg, jednostka administracyjna.

[←65]

Orneta.

[← 66]

Dzielnica Zawada.

[← 67]

Dzielnica Zawodzie, rejon ulicy Radomskiej.

[← 68]

Ulica Królewiecka i Osiedle Marynarzy.

[← 69]

Ulica Saperów.

[← 70]

Pruski bóg magii i wiedzy. Składano mu ofiary z dzieci.

[← 71]

Budynek szkolny przy zbiegu ulic Górnośląskiej i Agrykola.

[← 72]

Pomorska Wieś.

[← 73]

Ulice E. Orzeszkowej i A. Mickiewicza.

[← 74]

Koszary przy ulicy Saperów.

[← 75]

Giermków.

[← 76]

Plac Wolności.

[← 77]

Marzęcino.

[←78]

Ulice Królewiecka i R. Traugutta.

[←79]

Bund Deutscher Mädel - Związek Niemieckich Dziewcząt - żeńska sekcja Hitlerjugend.

[←80]

Fritz Friedrich Katzmann - dowódca SS i policji w prowincji gdańskiej w latach 1943-1945.

[←81]

Wybrzeże Gdańskie.

[←82]

Gronowo Elbląskie i Fiszewo.

[←83]

Kopanka.

[←84]

Ulica Stoczniowa.

[←85]

Gaz drzewny.

[←86]

Ulice Robotnicza i Brzozowa.

[←87]

Brama Targowa prowadząca na ulicę Stary Rynek.

[←88]

Ulica 1. Maja.

[← 89]

Dytryk von Grüningen - mistrz krajowy w Prusach (1247-1259); Berlewin von Freiberg - wicemistrz krajowy za czasów Hermanna Balka, a od 1240 roku marszałek Zakonu. Poległ w bitwie nad Jeziorem Rządzkim.